

**MARY BALOGH**

**BEZ SERCA**

Zaprawdę, moje dziecko - powiedziała lady Sterne do swojej chrześnicy - musisz teraz poważnie pomyśleć o sobie. Zawsze myślałaś o rodzinie, najpierw o mamie, świeć Panie nad jej duszą, potem o ojcu, świeć Panie nad jego duszą, a potem o bracie i siostrach. Teraz Wiktor jest pełnoletni i odziedziczył należną mu spuściznę, Charlotte wyszła za męża, Agnes jest piękna jak wiosna o poranku i gdy tylko znajdziemy jej jakiegoś godnego dżentelmena, chętnie wyjdzie za męża, a Emilia... Nie możesz, dziecko, zdręzczać się swoją najmłodszą siostrą. Najwyższa pora, żebyś pomyślała o własnych sprawach.

Lady Anna Marlowe obserwowała swoją siostrę z drugiego końca salonu mody. Zwoje materiałów, jedwabiu i błyszczącego atlasu, leżały na stołach, niektóre jeszcze nierozpakowane. Musiała przyznać, że było w tym coś ekscytującego; wyobrażanie sobie, jak będą wyglądały nowe suknie, jak się będzie w nich chodzić, sprawiało jej niemalą przyjemność.

- Agnes ma osiemnaście lat, ciociu Marjorie - powiedziała - a ja dwadzieścia pięć, i właściwie nie mam już widoków na zamążpójście. Stoję, że się tak wyrażę, w kącie.

- I niestety jestem przekonana, że odpowiada ci ten „kąć” - rzekła ostro lady Sterne. - Życie, moje dziecko, szybko mija, a z upływem lat biegnie coraz szybciej, wierz mi. Ogarnia cię coraz większy żal na myśl, co mogłaś zrobić, a czego nie zrobiłaś. Na znalezienie męża nie jest jeszcze za późno, ale za rok, dwa mogą być z tym trudności. Mężczyźni nie szukają matek dla swoich dzieci wśród kobiet dobiegających trzydziestki - bo oni tym właśnie się kierują. Masz w sobie, Anno, tyle ciepła i miłości. Powinnaś szukać mężczyzny, którego obdarzysz tą miłością i który ją odwzajemni. Nie mówię już o pozycji społecznej i poczuciu bezpieczeństwa.

Rozmowa zeszła na sprawy domowe. Wiktor, jedyny brat Anny, obchodził niedawno dwudzieste pierwsze urodziny. Po skończeniu uniwersytetu i otrzymaniu rodowego tytułu, z którym jeszcze nie zdążył się oswoić, stał się prawowitym hrabią Royce. Ojciec zmarł przed rokiem i Wiktor wróci niebawem do domu i przejmie pełną odpowiedzialność za rodzinę. Niedawno się zaręczył. Gdzie ona, Anna, się podzieje? - zastanawiała się. A Agnes i Emilia? Nagle ten dom przestanie być ich domem. Nie sądziła, by Wiktor czy Konstancja chcieli się ich pozbyć. Lecz żadne młode małżeństwo nie lubi lokatorów we własnym domu, zwłaszcza gdy tym lokatorem jest stara panna.

A ona była starą panną. Wsparła o kolana splecione mocno dłonie. Nie mogła wyjść za męża. Na myśl o tym jej oddech stał się szybszy, a w skroniach poczuła ból. Walczyła z

zawrotem głowy.

- Spełniając, ciociu, twoje życzenie, sprowadziłam Agnes do Londynu - powiedziała. - Tutaj zapewne szybciej niż w okolicach Elm Court znajdzie odpowiedniego męża. Będę rada, jeśli przynajmniej ona będzie szczęśliwa.

- O Boże, moje dziecko - rzekła matka chrzestna - nalegałam, żebyście obie tu przyjechały i znalazły sobie mężów. Ty przede wszystkim. Jesteś moją chrześniaczką - jedyną zresztą. Agnes to tylko córka mojej drogiej Lucy. Ale cieszę się, że nazywasz mnie ciotką, choć nią nie jestem. Widzę, że pani Delacroix skończyła właśnie zdejmować miarę. - Ciotka wstała. - Chciałabym, żebyś i ty zamówiła trochę eleganckich strojów. Wybacz mi moją bezceremonialność, ale wyglądasz trochę prowincjonalnie. Nawet twoja spódnica na obręczach powinna być dwukrotnie szersza.

- Większe obręcze wyglądają po prostu śmiesznie - powiedziała Anna. Śmiesznie, ale nadzwyczaj kobieco i ładnie, pomyślała.

Matka chrzestna nie omieszkła przypomnieć Annie, że z Agnes nie łączy ją właściwie żadna rodzinna więź. Czy można zatem liczyć na to, że ciotka wprowadzi Agnes na salony, gdzie dziewczyna będzie miała szansę poznać odpowiedniego kandydata na męża? Czy nie jest to zadaniem jej, Anny? Och, jakby to było cudownie ubrać się w te modne stroje i choć parę razy wystąpić w nich na londyńskich salonach.

„Wróć. I oczywiście zastanę cię tutaj. Pamiętaj, Anno, że jesteś moja. Duszą i ciałem”. Te słowa huczały jej w głowie, jakby wypowiadał je ktoś stojący obok. Przed rokiem padły z ust pewnego mężczyzny w Elm Court. To było dawno, dawno temu. I daleko stąd. Nie wrócił. Mam dopiero dwadzieścia pięć lat, pomyślała Anna... i doprawdy, tak mało radości zaznałam w życiu. Prawie wcale... Poza tym nie zamierzałam szukać męża. Nie, nigdy nie wyjdę za mąż, cóż więc szkodzi, jeśli się trochę zabawię...

- Może masz rację - rzekła wstając. - Sprawię sobie parę nowych strojów, żeby nie przynieść ci wstydu, gdy raz czy dwa będę ci towarzyszyć.

- O Boże, moje dziecko - westchnęła matka chrzestna. - Jesteś tak ładna, że trudno byłoby się ciebie wstydzić. Ale moda to rzecz bardzo ważna. Chodź. - Wsparła się o jej ramię i ruszyła w drugi koniec sali. - Kujmy żelazo póki gorące, zanim opadną cię wątpliwości.

Agnes stała w pasach, oczy jej błyszczały, choć wykrzykiwała jednocześnie, że nie potrzebuje aż tylu strojów. Madame Delacroix obstawała jednak przy swoim: dla młodej damy z jej sfery, która zaczyna bywać w wielkim świecie, strój jest rzeczą pierwszorzędnej wagi.

Anna cieszyła się z całego serca radością siostry. Agnes miała osiemnaście lat i od

dwóch lat była w żałobie - najpierw po śmierci mamy, potem taty. Długo żyli w ubóstwie i Agnes nie miała zbyt wielu powodów do radości.

- Moje dziecko - powiedziała do Agnes lady Sterne - nie możesz przecież pokazać się kilka razy w tej samej sukni. Madame zna się na rzeczy. Ponadto ściśle stosuje się do moich instrukcji. No, a teraz kolej na Annę.

Lady Sterne zapowiedziała, że pokryje wszystkie koszty związane z paromiesięcznym pobytem sióstr w Londynie. Ziszcza się jej marzenia, oznajmiła, gdy będą jej towarzyszyły dwie młode damy, które wprowadzi w świat. Nie miała własnych dzieci. Anna przywiozła ze sobą trochę pieniędzy - Wiktor nalegał na to, albowiem, jak twierdził, upłynie sporo lat, zanim doprowadzi majątek do kwitnącego stanu.

A może nigdy mu się to nie uda, jeżeli... - Anna odrzuciła od siebie te czarne myśli. Postanowiła, że przez te dwa miesiące nie będzie się tym trapić. Zamierzała odpocząć, oderwać się od wszystkiego, co przykre.

Oznajmiła swojej matce chrzestnej, że będzie zapisywać każdy grosz, jaki ciotka wyda na nią i Agnes; będzie to pożyczka, którą spłaci, kiedy tylko będzie mogła.

Tak czy owak, stało się: madame Delacroix wzięła ją w obroty. Zdjęła miarę, obracała, kłuła szpilkami, drapując fałdy sukni. Jednocześnie omawiała z dwiema innymi klientkami rodzaje materiałów, ozdoby, halki, wykończenia stanika, zapięcia, rozpięcia. Wszystko to wprawiało Annę w oszołomienie. Zasznurowano ją znacznie mocniej, niż do tego przywykła, i z pewnym zakłopotaniem, ale i fascynacją patrzyła na swoje piersi - dzięki gorsetowi uniosły się, stały się pełniejsze i bardziej kobiece. Obręcze do sukni, które dopasowała krawcowa, były tak duże, iż Anna obawiała się, że nie przejdzie przez drzwi.

Wszystko to sprawiało jej jednak ogromną radość.

Jakie to cudowne, myślała, czuć się młodą i wolną. Bo w gruncie rzeczy nie zaznała ani jednego, ani drugiego. Młodość jakby ją ominęła. Co do wolności... no tak. Gdyby on wrócił z Ameryki, tak jak przysięgał...

Nie chciała przecież być wolna przez całe życie, tylko przez parę miesięcy! Na pewno nie będzie miał jej tego za złe - zdecydowała.

Wspaniałe uczucie - przez całe dwa miesiące sycić się młodością i wolnością.

- Bądź pewna, moje dziecko - powiedziała lady Sterne, gdy wybieranie sukien dobiegło końca - że ani się obejrzysz, a będziesz czuła brzemień lat. Miałaś ciężkie życie i bez reszty poświęciłaś się rodzinie. Teraz nadszedł twój czas. Nie jest jeszcze za późno. Przebóg, zamierzam znaleźć ci pierwszorzędnego męża, jedyne w swoim rodzaju.

- Wystarczy, jeśli zabierzesz mnie na parę balów i koncertów, ciociu. - Anna

roześmiała się. - Nie zapomnę ich do końca życia. Mąż nie jest mi potrzebny.

- Tam do licha! - burknęła gniewnie matka chrzestna.

- Na Boga, dziś wieczór zadziwiłeś wszystkich - rzekł lord Teodor Quinn, klepiąc się z zachwytem po udach. Siedział w fotelu, w bibliotece swego siostrzeńca; powiedział te słowa, rzecz jasna, po wyjściu kamerdynera, który podał mu szklankę brandy. Lord roześmiał się serdecznie. - Wachlarz. Ludzie po prostu oniemieli.

Lucas Kendrick, książę Harndon, stał, opierając się o marmurowy gzyms kominka. Uniósł w górę wachlarz, o którym mówił wuj; niewielkie cacko z kości słoniowej i złota. Rozłożył go i zaczął z wolna wachlować sobie twarz.

- Służy do chłodzenia czoła, gdy w pokoju jest za ciepło - powie dział. - Bardzo praktyczna rzecz, drogi wuju.

Wuj był w dobrym nastroju, skory do żartów. Roześmiał się ponownie.

- Daruj sobie, Luke, to zwykły rekwizyt, jak puder, róż i czernidło.

- Chciałbyś, Teo, żebym pokazał się w towarzystwie do połowy obnażony? - zapytał.

- Nie, w żadnym razie, chłopcze - odrzekł lord Quinn. Łyknął solidny haust brandy i przez parę chwil rozkoszował się jej smakiem.

- Sporo czasu spędziłem w Paryżu i wiem, jak ubierają się tam mężczyźni i jak się zachowują. O ile mi wiadomo, nawet tutaj masz reputację eleganta wyprzedzającego modę. Na szczęście również opinię celnego strzelca i wytrawnego szermierza i nie można cię podejrzewać...

- Słucham? - Siostrzeniec lekko zmrużył oczy. - Co mianowicie mógłby ktoś podejrzewać?

Jego wuj uśmiechnął się nieznacznie i z błyskiem uznania w oczach zmierzył go od stóp do głów. Przyglądał się z rozbawieniem jego upudrowanym włosom, zwiniętym równo w dwa wałki po obu stronach głowy, z tyłu zaś, na karku, związanych w węzeł ozdobiony czarną jedwabną wstążką tworzącą kokardę. Popatrzył na jego ładną, upudrowaną z lekka, skupioną twarz, cienką warstwę różu na policzkach i mały czarny pieprzyk. Ciemnoniebieski jedwabny surdut, oblamowany srebrną materia, wyhaftowany srebrną nicią i odpowiednio usztywniony leżał nienagannie. Srebrna kamizelka zdobiona błękitem, obcisłe szare pludry do kolan, białe pończochy, pantofle ze srebrnymi sprzączkami na wysokich czerwonych obcasach tworzyły harmonijną całość. Książę Harndon był niewątpliwie uosobieniem paryskiego szyku. U jego boku wisiała szpada z rękojeścią wysadzaną drogocennymi szafirami. Broń, trzeba przyznać, dodawała mu godności i wyróżniała spośród innych.

- Nie odpowiem ci, mój chłopcze, na to pytanie - odparł lord Quinn po dłuższej chwili

milczenia - albowiem ostatnia rzecz, o jakiej marzę, to zginąć z twojej ręki. Postąpiłeś bardzo uprzejmie, że dziś wieczór tak wcześnie opuściłeś klub. Dzięki temu goście będą mieli o czym rozmawiać przez resztę nocy - zachichotał. - Ten wachlarz, Luke. Na rany Boga, gotów jestem przysiąc, że Jessop na widok wachlarza w twoim ręku połknął porto razem z kieliszkiem.

- O ile pamiętasz, Teo - powiedział Luke z powagą, wachlując się nieprzerwanie - bardzo niechętnie wyjeżdżałem z Paryża. To ty mnie do tego namówiłeś. Ale, do diabła, nie próbuj zrobić ze mnie typowego angielskiego dżentelmena. Nie zamierzam łązić po mojej posiadłości w byle jakim surducie, hodować psów ani trzymać krótko służby. Nie będę pił angielskiego piwa ani miotał angielskich przekleństw. Nie licz na to.

- Przestań - rzekł wuj zaskakująco poważnym tonem. - Jeśli namawiałem cię, żebyś wrócił do domu, to tylko dlatego, że pod twoją nieobecność wszystko w Bowden Abbey chyli się ku upadkowi, popada w ruinę. Nie wiesz, co to odpowiedzialność.

- A może - zaczął lodowatym tonem księżę Harndon - guzik mnie obchodzi to całe Bowden Abbey i ludzie, którzy tam mieszkają? Przez ostatnie dziesięć lat świetnie dawałem sobie bez nich radę.

- Nieprawda, chłopcze. Znam cię lepiej niż inni i nie zmyli mnie twój chłód. Zachowaj go dla kobiet, które wciągasz do swojego łóżka, albo dla kogoś, kto cię znieważy. Dobrze wiem, że Luke sprzed dziesięciu laty to ten sam Luke, którego widzę przed sobą. Obchodzi cię to, chłopcze. Poza tym kwestia poczucia odpowiedzialności. Jesteś od dwóch lat księciem Harndon.

- Nigdy o to nie zabiegałem - oznajmił Luke - i nie zależało mi na tym, Teo. George był starszy ode mnie i przed dziesięcioma laty się ożenił. - W jego głosie dało się wyczuć kpinę. - Można było oczekiwać, że dwa lata po ślubie, a osiem przed jego śmiercią przyjdzie na świat męski potomek.

- Przyszedł, ale martwy. Czy ci się podoba, czy nie, jesteś głową rodziny, a oni cię potrzebują.

- W dziwny sposób okazują tę potrzebę - rzekł Luke, wachlując się powoli. - Robię to tylko dla ciebie, Teo. Gdyby nie ty, nie interesowałoby mnie to, czy żyją, czy pomarli. A jeśli są w potrzebie, to moja pomoc stanie im kością w gardle.

- Najwyższy czas, żeby stare rany się zasklepiły - stwierdził wuj. - Należy przerwać to nieszczęsne, przedłużające się w nieskończoność milczenie.. Ashley i Doris byli za mali i nie wolno ci obciążać ich odpowiedzialnością. Twoja matka, a moja siostra... no tak, twoja matka jest tak samo dumna jak ty, mój chłopcze. Co się zaś tyczy Henrietty... - Wzruszył ramionami,

wolał nie kończyć zdania.

- Henrietta jest wdową po George'u - powiedział Luke z kamiennym spokojem.

- Och - westchnął lord Quinn - źle, mój chłopcze, postąpiłeś, wynajmując ten dom, zamiast zamieszkać w swojej rezydencji w Harndon House. Trochę to dziwnie wygląda, że ty mieszkasz tutaj, podczas gdy tam mieszkają twoja matka, brat i siostra.

- Wuju - zaczął Luke wpatrując się w niego spod przymrużonych powiek - nie obchodzi mnie, co ludzie sobie o mnie pomyślą.

- Wiem. - Lord Quinn zaczął czyścić swój monokl. - Ale ty nawet nie raczyłeś ich odwiedzić.

Luke usiadł w końcu, zakładając eleganckim ruchem nogę na nogę. Odłożył wachlarz i wyciągnął z kieszeni emaliowaną, wysadzaną drogimi kamieniami tabakierkę. Położył szczyptę tabaki na wierzchu dłoni i zanim zabrał głos, wciągnął nosem solidną jej porcję.

- Nie - rzekł. - I nie jest mi do tego pilno. Może pojedę tam jutro albo pojutrze. A może wcale.

- Jednakowoż przyjechałeś do domu - powiedział wuj.

- Przyjechałem do Anglii - sprostował książę. - Do Londynu. Być może kierowała mną ciekawość, może chciałem zobaczyć, co tu się zmieniło przez te dziesięć lat. A może Paryż mi się znudził i miałem go dość. A może poczułem się zmęczony Angelique? Tymczasem ona przyjechała tu za mną. Wiesz o tym?

- Markiza d'Etienne? - zapytał lord Quinn. - Swego czasu uznawano ją za najpiękniejszą kobietę we Francji.

- Tak, to ona. I w pełni zasługuje na taką opinię. Była moją kochanką przez prawie pół roku. Dla mnie górna granica to trzy miesiące. Potem kobieta staje się zaborcza.

Lord znowu zachichotał.

- Każdy, drogi Teo, wie doskonale, że od ponad dziesięciu lat masz tę samą kochankę.

- Piętnastu - poprawił go wuj. - Ale ona nie jest zaborcza. Odmawia mi ręki, ilekroć rusza mnie sumienie i ponownie się oświadczam.

- Wzór doskonałości kobiecej - osądził Luke.

- Wrócisz do Bowden? - zapytał lord od niechcienia.

- Jesteś świetnym spiskowcem, mój drogi. Najpierw jeden mały krok, potem drugi i pomalutku twoja ofiara zrobi wszystko, czego od niej żądasz. Nie, nie do Bowden. Nie mam ochoty tam wracać. Nic mnie nie wiąże z tym miejscem.

- Mimo to - ciągnął wuj - te włości należą do ciebie, Luke. Los wielu ludzi jest w twoich rękach, a wieść głosi, że nie dzieje się tam za dobrze. Koszty dzierżawy są wysokie,

zarobki niskie. Farmerzy z okolicznych wsi żyją w nędzy.

Książę Harndon, znowu wachlując twarz, utkwiał w lordzie lodowaty wzrok.

- Przed dziesięcioma laty - zaczął - moja własna rodzina... obwołała mnie mordercą. Miałem dwadzieścia lat i byłem naiwny jak... proszę cię, wuju, dokończ. Jak może nie być naiwny ktoś, kto ma dwadzieścia lat? Byłem zmuszony do ucieczki i wszystkie moje błagalne listy poczta zwracała nietknięte. Żadnej odpowiedzi. Nie miałem gro sza przy duszy. Szedłem przez życie całkiem samotnie, oprócz ciebie nikt z rodziny nie podał mi ręki. I ja mam wracać, by uporządkować ich sprawy?

Lord uśmiechnął się smutno.

- Tak, mój chłopcze - powiedział - musisz tam wrócić. Sam doskonale to rozumiesz.

Książę skinął milcząco głową na znak, że przyjmuje słowa wuja do wiadomości.

- Przede wszystkim - ciągnął lord - powinieneś się ożenić. Jako człowiekowi żonatemu łatwiej ci będzie wrócić, a ponadto pomyśl o progeniturze.

Siostrzeniec obrzucił go lodowatym spojrzeniem.

- Mam spadkobiercę i następcę - powiedział. - Kiedy umrę Ashley odziedziczy pomnie wszystko, podobnie jak ja odziedziczyłem wszystko po George'u.

- Między braćmi często powstają niesnaski, kiedy jeden ma przejąć spadek po drugim - rzekł lord Quinn.

- Tak jak między mną a George'em? - Luke poruszał powoli wachlarzem. - Ale stało się tak nie dlatego, że miałem zostać jego następcą. Prawie całe życie byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, a ja nigdy nie zabiegałem o tytuł. Przyczyna naszej kłótni była dość specyficzna. Omal go nie zabiłem, prawda? Centymetr niżej, jak orzekł lekarz. Jeden centymetr. Kiepskim byłem wówczas strzelcem. - W jego głosie wyczuwało się chłód i gorycz.

- Mamy wiosnę - powiedział lord - porę roku, kiedy cały elegancki, modny świat spaceruje po mieście. To świetna okazja, by wybrać odpowiednią pannę do książęcego łoża.

- Ów książę nie poszukuje partnerki na całe życie - rzekł Luke. - Na samą myśl o tym dostaję drgawek. - Wzruszył ramionami gestem raczej teatralnym, aby dokładnie zobrazować swój punkt widzenia.

- Zastanów się dobrze nad wszystkim, o czym rozmawialiśmy - powiedział lord, wstając i rozprostowując kości. - Najwyższy czas, mój chłopcze.

- Jednakowoż - zaczął Luke - jesteś prawie dwadzieścia lat ode mnie starszy, a nigdy ten „najwyższy czas” nie dotyczy twojej osoby. Trwasz w kawalerskim stanie, choć dobiegasz pięćdziesiątki.

Lord roześmiał się.

- Miałem pecha, że zakochałem się w mężatce - powiedział. - Potem owdowiałą ale na potomstwo było już za późno. A może nie było za późno, kto to wie... Nieważne. Ja jestem zaledwie baronem i nie mam gromady niesfornych krewnych wiszących mi u szyi.

- A ja mam? - zapytał Luke, składając wachlarz i wstając, by odprowadzić wuja do drzwi. - Stawiam sprawę jasno i nie wolno podawać tego w wątpliwość. Wisieć mi u szyi może tylko ta osoba, którą o to poproszę.

Tym razem śmiech lorda zabrzmiał szczerze.

- Ożeń się, Luke. Bóg mi świadkiem, że dobrze na tym wyjdiesz. I jak najszybciej spłodź synów. Obiecuję ci, że będę miał oczy i uszy otwarte i jeszcze w tym roku znajdę ci odpowiednią żonę. Wybiorę najładniejszą, mój chłopcze, z tym że jej uroda musi iść w parze z właściwym pochodzeniem i pozycją społeczną.

- Dziękuję ci, mój drogi - odrzekł powoli siostrzeniec, towarzysząc lordowi Quinnowi do holu - ale mam w zwyczaju sam sobie dobierać partnerki do łóża. I naprawdę nie na dłużej niż na trzy miesiące. - Podązał za lokajem, który otworzył przed nim drzwi. Krzywiąc się z lekka rzekł: - Wuju, czy musisz tak wciskać kapelusz na głowę, że sprawia wrażenie przyklejonego do peruki? Kapelusz nie służy już jako nakrycie głowy, nosi się go w rękę, dla ozdoby!

Wuj wzruszył ramionami.

- Niech licho porwie te twoje paryskie maniery - rzekł. - Jesteśmy w Anglii. Tu klimat jest inny i nosi się kapelusz nie dla ozdoby, tylko żeby ci głowa nie zmarzła!

- Boże, miej mnie w opiece! - westchnął książę.

Gdy za wujem zamknęły się drzwi, wrócił do biblioteki.

Narzeczona. Nigdy poważnie się nad tym nie zastanawiał. Miał już, co prawda, trzydzieści lat i tytuł księcia, ale nigdy dotąd nie rozważał kwestii ożenku. Nie chciał nawet o tym myśleć.

Był przekonany, iż nie nadaje się do małżeństwa. Małżeństwo to niewola. Małżeństwo to dzieci i wszelkie związane z tym obowiązki. Należysz do kogoś ciałem i duszą, tracisz niezależność.

Nie ma obawy, małżeństwo mu nie grozi. Choć przez ostatnie dziesięć lat nieraz było mu ciężko, cierpiał, litował się nad sobą nigdy jednak nie utracił niezależności. Fortunę zawdzięcza tylko sobie - najpierw uprawiał hazard, a potem sprytnie inwestował. Przeistoczył się w paryskiego dżentelmena, obracał w kręgu ludzi z wyższych sfer. Zdobył umiejętność uwodzenia pięknych i bogatych kobiet. Gdy któraś mu się znudziła, po prostu pozbywał się jej. Brał lekcje szermierki u najlepszego eksperta w tej dziedzinie, ćwiczył strzelanie z

pistoletu. Był czarującym człowiekiem o sercu zimnym jak lód. Wiedział również, że nie należy wierzyć w miłość, a w szczególności w miłość własnej rodziny. Nauczył się nie pragnąć miłości ani nikogo nią nie obdarzać.

Zdawał sobie sprawę, że ma reputację człowieka bezwzględного i bez serca. Odpowiadało mu to. Takim właśnie człowiekiem pragnął się stać.

A teraz ma myśleć o małżeństwie? Tylko dlatego, że wuj uznał to za wskazane? Kiedyż to pozwolił mu podejmować decyzję w jego imieniu? Musiał jednak przyznać, że w przeszłości często korzystał z rad wuja. To on zasugerował mu wyjazd do Francji, to on powiedział mu, by nie łudził się dłużej nadzieją na powrót do domu. Zaśmiał się na myśl o tym, że chciał zostać kapłanem. Za radą wuja wyjechał i zaczął nowe życie, za jego radą wrócił teraz do domu. Właściwie nie do domu, tylko do Anglii, do Londynu. Nie miał jeszcze pewności, czy będzie w stanie pojechać do Bowden Abbey.

W Bowden mieszkała Henrietta, jego bratowa. Wdowa po George'u.

Gdyby miał żonę, może nie byłoby to dla niego takie trudne. Ta myśl nie dawała mu spokoju.

Tylko że on nie chce się żenić. I nie chce jechać do Bowden. Teo uświadomił mu jednak, że ma obowiązki wobec ludzi, którzy są od niego zależni. Do diabła z nimi. Kim oni dla niego są? To ludzie jego ojca. Ludzie George'a.

Teraz jednak to on jest za nich odpowiedzialny.

Nigdy nie chciał zostać księciem Harndon. Nigdy nie zazdrościł George'owi jego pozycji najstarszego syna. Był rad z tytułu lorda. Być może wielebnego lorda Lucasa Kendricka. Uśmiechnął się gorzko. Biedny, naiwny chłopak; w wieku dwudziestu lat marzył o kapłaństwie, małżeństwie i szczęśliwym, spokojnym życiu.

Dobrze, skoro jest w Londynie, odwiedzi matkę, Doris i Ashleya. Jeśli chodzi o siostrę i brata, to jeśli ma wierzyć wujowi, na pewno pojawią się problemy, z którymi matka nie potrafi się uporać i z którymi on będzie musiał poradzić sobie sam. I, na Boga, poradzi sobie. Lecz kwestie dotyczące Bowden będą wymagały dłuższego czasu. Wyznaczy być może nowego zarządcę i pozbędzie się Colby'ego. Najlepiej będzie wezwać go do Londynu i niech sam się wypowie.

Nie ożeni się. Gdy po raz kolejny widział się z Teo, nie oświadczył mu tego w sposób dostatecznie stanowczy. Należy w rozmowie z nim okazywać więcej zdecydowania, w przeciwnym bowiem razie człowiek, chcąc nie chcąc, postępuje tak, jak życzy sobie wuj. Doprawdy Teo minął się z powołaniem. Powinien był zostać dyplomata.

Luke przyjechał do Londynu, by na salonach pojawić się jako książę, by zobaczyć się

z matką i rodzeństwem i wzmocnić swój autorytet tam, gdzie wymagał wzmocnienia, i tylko wtedy... gdy zajdzie taka potrzeba. Przyjechał z poczucia obowiązku - i owszem, być może z prostej ciekawości. Lecz nie zamierzał zostać tu na stałe. Jak tylko będzie mógł, wróci do Paryża. Lubił to miasto, bywał tam szczęśliwy - o ile człowiek bez serca może być szczęśliwy. Jeśli jedna osoba jest szczęśliwa, to druga wcześniej czy później stanie się nieszczęśliwa. Najlepiej trzymać się z daleka od wszelkich skrajności. Jedyńm celem Luke'a, był święty spokój.

Lady Sterne przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Była do połowy naga, ramiona i biust przysłaniało tylko cienkie prześcieradło. Osiągnęła wiek, kiedy trzeba zacząć chronić swoje ciało przed wzrokiem innych. Nie była już młoda i piękna. Spojrzała na swego kochanka i spostrzegła oznaki starzenia się na jego twarzy i torsie. Byli ze sobą od dawna. Gdyby zobaczyła go teraz po raz pierwszy, niewątpliwie uznałaby go za mężczyznę w średnim wieku. Wyglądałby nawet starzej, gdyby - tak jak teraz - nie miał na głowie peruki, tylko krótko ostrzyżone rzadkie włosy. Jednak był dla niej kimś, kogo znała i kochała od wielu lat.

Otworzył oczy i uśmiechnął się do niej.

- Starość się ku nam skrada, a właściwie zbliża się galopem, Marj - powiedział, jakby czytając w jej myślach. - Czy przespałem całe popołudnie?

- Nie - odparła. - Zapewniam cię, że pierwszych godzin naszego popołudnia nie przespałeś. - Przeciągnęła się z rozkoszą czując ciepło jego ciała. - Coś mi się wydaje, że z upływem lat stajesz się coraz lepszym kochankiem.

Roześmiał się.

- Tylko że na ogół nie zdarzało mi się zasypiać - powiedział. Nawiązał teraz do tematu, jaki roztrząsali, zanim poszli do łóżka: - Twoim zdaniem w grę wchodzi ta starsza? Czy aby nie jest za stara?

- Za stara, by urodzić mu pięciu synów i parę córek? - zapytała z lekką drwiną w głosie. - Na Boga, Teo, ona ma dwadzieścia pięć lat. Ładna mi staruszka! I co za uroda. Piękna dojrzałość. Jak wiesz, miała ciężkie życie, wiele wycierpiała.

- Dojrzałość - zaczął oschłym tonem - nie stanowi dla Harndona żadnej przeszkody. Znajdzie sobie na boku jakąś dzierlatkę.

- Możliwe - odrzekła. - Nie znam jego gustu. Natomiast Agnes kończy dopiero osiemnaście lat. Dość ładna, skromna, lecz dla mężczyzny w wieku Harndona i z jego doświadczeniem byłaby tylko zabawką. Anna zaś to dobra towarzyszka życia.

- Są mężczyźni, Marj, którzy lubią żony - zabawki. Płodne, oczywiście. Osiemnaście

lat to według mnie dobry wiek dla żony Luke'a.

- Zrób to dla mnie, Teo. - Pocałowała go w policzek. - Zgódź się na Annę. Ona jest mi bardzo bliska. Byłabym szczęśliwa, gdyby udało mi się wydać ją za księcia. Twój siostrzeniec tylko na tym zyska, zapewniam cię.

Teo obrócił głowę i pocałował kochankę.

- Czemużby nie? - rzekł. - Tak czy owak, Luke nie ma łatwego charakteru. Dwa lata nękałem go bezustannie, by przyjechał do Anglii. A przez kolejne dwa będę go przekonywał, żeby wrócił do Bowden. Tymczasem on wciąż swoje: że żona mu niepotrzebna. Postaramy się zainteresować go ową dojrzałą pięknnością.

- Anna też twierdzi z uporem, że nie zależy jej na małżeństwie - powiedziała lady Sterne. - Włożyłam dużo wysiłku w przekonywanie jej, że podczas spaceru po mieście musi być ładnie i modnie ubrana. Wyglądała jak wieśniaczka!

- Harndonowi nie przypadłoby to do gustu - oświadczył lord Quinn, marszcząc brwi. - No więc zakładając, że rzecz niemożliwa stanie się możliwa, gdzie mamy ich ze sobą poznać? Na balu lady Diddering?

- Pojutrze wieczorem - rzekła. - Tak, to będzie odpowiednie miejsce. Och, żeby tylko nasz plan się udał. Moja droga Anna zostałaby księżną! Tak mi zależy na jej szczęściu, jakby była moją córką.

Lord Quinn pogładził ją po włosach.

- Czy nie żałujesz, że nie masz własnych dzieci, Marj? Może powinniśmy byli...

- Nie - odparła - nie ma co ubolewać nad przeszłością. Miałam dobre życie. I ono wciąż trwa. Mam zaledwie czterdzieści lat. Prawdę mówiąc, istnieje możliwość... - Nie dokończyła zdania.

- Natomiast dzisiejsze popołudnie dobiega końca - powiedział lord Quinn. - Jestem umówiony na obiad z Pottersami, a oni są zawsze punktualni. A może wykorzystamy czas, jaki nam pozostał?

- O, tak. - Odwróciła się ku niemu radośnie. - Tak, Teo.

## 2

Matka Luke'a, siostra i brat mieli zjawić się na balu u Didderingów, więc wuj namawiał go usilnie, by również wziął w nim udział. Obaj dobrze wiedzieli, że sytuacja będzie bardzo niezręczna, gdy do pierwszego od wielu lat spotkania z rodziną dojdzie w miejscu aż tak publicznym. Zresztą to rodzinne spotkanie i tak było nieuniknione, więc im szybciej, tym lepiej, zwłaszcza że do rodziny dotarła na pewno wieść, iż przyjechał do Anglii. Luke nie przypuszczał jednak, by go odwiedzili. Teo wiedziałby coś na ten temat. Skoro on, Luke, będąc już w Londynie parę dni, zwlekał z tym spotkaniem, można by sądzić, że bał się go.

Nie, nie bał się. Istniała inna przyczyna, dla której nie chciał widzieć się z rodziną, i świadomość, że będzie musiał to uczynić, bardzo mu ciążyła. Gdyby żył George albo gdyby zmarły zostawił potomka, sytuacja byłaby całkiem inna. On do końca swoich dni mógłby spokojnie mieszkać w Paryżu i zapomnieć, że urodził się w Anglii i jest Anglikiem. Mógłby zapomnieć, że ma rodzinę. Nie byłby im potrzebny i na pewno on nie potrzebowałby ich.

Lecz George nie żył i oboje z Henriettą stracili syna. I właśnie to wiązało go z Anglią z Bowden Abbey, gdzie przyszedł na świat i gdzie jego rodzina mieszkała do tej pory.

Na dzień przed balem Luke pojawił się w Harndon House, swojej londyńskiej rezydencji, mimo iż wynajął inny dom. Wiedział, że wynajęcie domu świadczyło niezbitcie o jego tchórzostwie, nie chciał jednak mieszkać z matką pod jednym dachem. Nie zaproszono go zresztą choć jako żywo nie potrzebował zaproszenia, by zamieszkać w swoim domu. Może jednak matka nie wiedziała o jego przyjeździe?

Kamerdyner, który wprowadził go do holu w Harndon House, nie był mu znany. Był jednak mistrzem w maskowaniu uczuć; nie drgnęła mu nawet powieka, gdy Luke oznajmił, kim jest, tyle że jego ukłon był niższy, a swój szacunek okazał bardziej wyraziście. Ten człowiek stanął jednak przed nie lada problemem. Czy powinien zameldować swego pana jako gościa, czy też...

Luke pomógł mu:

- Zapytaj księżnę Harndon, czy przyjmuje dziś rano.

Matka przyjęła go samą w pokoju porannym, albowiem była to wizyta niezapowiedziana. Wstała, gdy wszedł - miała zaledwie parę minut na przygotowanie się do spotkania z niewidzianym od dziesięciu lat synem.

- Madame? - Luke, stojąc w progu, złożył jej głęboki ukłon. - Mam nadzieję, że cieszysz się dobrym zdrowiem.

- Witaj, Lucas. - Wypowiedziała jego imię po paru minutach milczącego wpatrywania się w syna. - Słyszałam, że się zmieniłeś. Nie poznałabym cię.

Była taka, jaką ją zapamiętał: wyprostowana, skupiona, bez uśmiechu. Jej nieupudrowane ciemne włosy naznaczone były siwizną to jedyna zmiana, jaka po dziesięciu latach rzuciła mu się w oczy. Uświadomił sobie kiedyś, że jego matka nigdy nie była młoda - ani stara. Nigdy się nie uśmiechała, nigdy nie była czuła dla swoich dzieci. Poczucie obowiązku - tym się kierowała przez całe swoje życie. Miłość zaś, jaką być może obdarzała swoje dzieci, tłumilo pragnienie przygotowania ich do roli, jaką odegrają w wielkim świecie. Nigdy nie traktowała dzieci zbyt surowo, nie zaniedbywała ich, lecz czułości i łagodności trudno byłoby się w jej zachowaniu doszukać.

- Byłem bardzo młody, madame - powiedział - gdy orzeczono, iż przestałem zasługiwać na miano twojego syna. Od tamtej pory minęło dziesięć lat.

Zbyła milczeniem jego słowa.

- A więc wróciłeś w końcu, by podjąć swoje obowiązki - rzekła. - Szkoda tylko, że wynająłeś inną rezydencję, zamiast zamieszkać w swoim własnym domu.

Skłonił głowę, ale powstrzymał się od jakichkolwiek wyjaśnień. Bez szczególnego powodu zaczął zastanawiać się, czy matka kiedykolwiek przytuliła go do siebie. Nie przypominał sobie takiego momentu. Dzisiejsze chłodne powitanie było wszystkim, czego mógł od niej oczekiwać. Czyżby spodziewał się otwartych ramion, radosnego blasku w oczach, łez i ciepłych słów? Nie przyjąłby tego. Spóźniłaby się o całe dziesięć lat. Nie uczyniła wówczas żadnego wysiłku, by ochronić go przed surowym wyrokiem ojca. Nie pocałowała go na pożegnanie, nie powiedziała, że mimo wszystko go kocha. Była całkowicie podporządkowana nakazom obowiązku.

- Mam nadzieję, że moje rodzeństwo również cieszy się dobrym zdrowiem - powiedział.

- Doris ma lat dziewiętnaście, Ashley dwadzieścia dwa - rzekła. - Przez pięć lat wychowywali się bez ojca, a przez dalsze dwa bez opieki głowy rodziny.

Czy w ten sposób prosi go o pomoc? A może czyni mu wyrzuty, że zaniedbał swoje obowiązki? Prawdopodobnie to ostatnie, orzekł w duchu.

Zastanawiał się też, czy śmierć ojca pogrzyżyła ją w smutku, Czy rozpaczała z powodu śmierci najstarszego syna? George zmarł na cholere. Choć na wsi ta zaraza zabiła kilka osób, spośród całej rodziny tylko on na nią zapadł.

- Czy stało się coś złego? - zapytał. W dalszym ciągu, stali po przeciwnych stronach pokoju. Nie poprosiła go, by usiadł, choć uświadomił sobie, że przecież we własnym domu

nie potrzebuje czekać, by poproszono go o zajęcie miejsca. Mimo to nie zmienił pozycji.

- Doris postanowiła wyjść za mąż za nieodpowiedniego człowieka - odparła matka - mimo iż poznała już wielu godnych dżentelmenów, równych jej urodzeniem i pozycją. Ashley... no tak... kompletnie wymknął się spod kontroli, zapomniał, kim jest i z jakiej wywodzi się sfery.

- Taki przypadek, madame, określa się mianem czarnej owcy.

- Najgorsze jest to - ciągnęła - że dowiedzieli się o wyczynach ich starszego brata i oczekują od ciebie, że poprzesez ich nierozważne posunięcia, a przynajmniej nie zwrócisz na nie uwagi. Są przekonani, że skoro umarł ich ojciec, a potem George, to wszystko im wolno, że mogą robić, co się im żywnie podoba.

Luke uniósł brwi.

- Doprawdy? - zapytał spokojnym tonem.

- Przyjechałeś - mówiła księżna matka - i nie wiem, czy zamierzasz wkroczyć w te sprawy, czy też je zignorować, czy masz zamiar przejąć wreszcie odpowiedzialność, jaka na tobie spoczywa. Księżna Henrietta rządzi w Bowden, jakby wciąż była żoną głowy rodziny. Chcę wiedzieć, czy nadal będziesz na to pozwalał.

A więc to tak. Istniał zatem konflikt między tymi dwiema kobietami. Obie księżne, ale żadna w pełni. Żadna z nich nie była obecnie żoną księcia. Być może jest to kolejny argument przemawiający za jego ożenkiem? - przyszło mu nagle do głowy. Co go obchodzą ich wzajemne utarczki? Nic.

Zanim na nowo podjęli rozmowę, drzwi za jego plecami otworzyły się na oścież. Bardzo ładna młoda kobieta, o czarnych, lśniących nieupudrowanych włosach, ubrana w modną suknię na szerokich obręczach, wpadła do pokoju i zatrzymała się niedaleko niego.

Doris! Gdy opuszczał dom rodzinny, była chudą niezgrabną dziewięciolatka. Jako jedyna spośród rodziny okazała żal z powodu jego wyjazdu - Ashley był wtedy w szkole, więc nie widział się z nim. Doris ukryła się wśród drzew przy bramie i gdy jechał podjazdem, wyskoczyła na drogę. Zsiadł z konia, przytulił ją mocno do siebie; potem powiedział jej, że musi być grzeczną dziewczynką wrócić do domu i wyrosnąć na piękną dobrze ułożoną lady. Dziewczynka płakała i zdołała tylko kilka razy wyszeptać jego imię.

Doris patrzyła teraz na brata szeroko otwartymi oczami, przygryzając dolną wargę. Odniósł wrażenie, że chciałaby paść mu w ramiona, ale wyraźnie pohamowała ów odruch. On stał nieporuszony. Odwykł od okazywania uczuć.

- Luke? - Patrzyła nań z niedowierzaniem. - To ty Luke? - Roześmiała się, aż zabrakło jej tchu. - Słyszałam, że wróciłeś. Wyglądasz... zupełnie inaczej.

Jako chłopiec nie przywiązywał wagi do mody. Interesowały go tylko książki, przysła karia kapłańska, rodzina, dom... i niewiasta, którą miał zamiar poślubić.

Ty też, Doris - powiedział. - Jesteś tak urocza, jak ci przepowiadałem.

Zaczerwieniła się i uśmiechnęła. Lecz chwila spontanicznej radości minęła. Wiedział - i ukłuło go to boleśnie - że siostra nie rzuci mu się już na szyję. Był teraz dla niej kimś obcym. Gdy pierwszy raz na niego spojrziała, wątpiła nawet, czy to naprawdę on.

- Dlaczego tu stoisz? - Popatrzyła niepewnie na matkę, potem znowu na niego. - Wejdź dalej i usiądź, Luke Zamieszkaś tutaj? Dziwne, że nie przyjechałeś prosto do domu. Czy trudno ci było opuścić Paryż? Musisz mi opowiedzieć, co się tam ostatnio nosi. Obawiam się, że nasza moda pozostaje daleko w tyle. Powiedz mi, jaka moda panuje wśród dam. Bo wśród dżentelmenów - to widzę na własne oczy. Luke, wyglądasz wspaniale! Prawda, mamó?

Księżna matka pominęła to milczeniem. Zadzwońiła, by podano herbatę.

Dziwny to był doprawdy powrót do domu. Paplanina Doris pozwałała jej widocznie zapanować nad szokiem, jakiego doznała w pierwszej chwili. Mimo to w pokoju panowała sztywna atmosfera i coś nieprzyjemnego wisiało w powietrzu. Luke czuł się jak ktoś obcy, składający wymuszoną przez okoliczności wizytę.

I w pewnym sensie był „kimś obcym”.

Mimo iż był głową rodziny.

Szykował się już do wyjścia, gdy drzwi znowu się otworzyły i do pokoju wszedł pospiesznie wysoki, przystojny młody człowiek o ciemnej karnacji. Przez chwilę Luke'owi zabrakło tchu. George? Ale George dawno już nie żył. Luke wstał i wymienił ukłony ze swoim młodszym bratem, który patrzył na niego z ciekawością pomieszaną z szacunkiem.

- Luke? - Podszedł bliżej. - Na Boga, nie poznałbym cię. Wuj Teo uprzedzał mnie zresztą. Rany boskie!

- Witam, Ashley. - Luke skłonił lekko głowę. Jego brat okazał się sympatycznym młodzieńcem o miłym sposobie bycia. Łatwo było sobie wyobrazić, że uważany jest za czarną owcę w rodzinie, choć spontaniczność młodzieńca w jego wieku jest przecież czymś normalnym.

- Podobno we Francji jesteś mistrzem w tej sztuce. - Ashley wskazał na szpadę u boku Luke'a. - I w strzelaniu również. Czy to prawda, że zabiłeś kogoś w pojedynku?

Prawda! Lecz nie był to odpowiedni temat dla niewieścich uszu. Szczególnie w tych okolicznościach byłoby to w bardzo złym tonie. Chodziło przecież o pojedynek, w którym o mało nie zabił swego starszego brata.

- Prawda - odparł zimno. - Nie jest to dla mnie powodem do chwały.

I nie jest to sprawa, o której chciałbym rozmawiać w obecności matki i siostry.

Ashley zmieszał się i Luke'owi zrobiło się przykro, że skarcił go tak surowo. Przypomniawszy sobie własną młodość; on także był impulsywny i zdarzały mu się gafy.

- Przepraszam, mamó - powiedział Ashley. I na tym rozmowa się zakończyła.

Po paru minutach Luke zmierzał już w stronę swojej wynajętej rezydencji, wielce rad, że jest sam i ma za sobą pierwszą wizytę w domu rodzinnym. Odbyła się ona w sztywnej i nieprzyjemnej atmosferze. Uznał w duchu, że nie kocha ani matki, ani rodzeństwa. Czuł się całkowicie wyzwolony.

Jednak jego serce przeszywał ból. Być może to wspomnienia z dawnych lat. Być może tłumiona od dawna pamięć tego, co czuł, kiedy ci, którzy nadali sens jego życiu, zapewnili mu poczucie bezpieczeństwa, odwrócili się od niego. Przerazająca pustka, gdy stanął twarzą w twarz z życiem, nic o nim nie wiedząc, nie umiając się bronić przed pułapkami losu.

Nie był to ból spowodowany tęsknotą za domem rodzinnym. Nie chciał do niego wracać. Bardziej niż kiedykolwiek pragnął znowu znaleźć się w Paryżu; tam żyło mu się wygodnie, tamten świat był mu bliski, bo ukształtował go takim, jakim jest obecnie. Był to świat, nad którym miał pełną kontrolę.

Lecz przyjechał do Anglii i zobaczył się ze swoją rodziną - właściwie z tymi, którzy pozostali. I wróciło poczucie krzywdy, wrócił żal, jaki czuł do matki za to, że go odrzuciła. Jej chłodne przyjęcie utwierdziło go w decyzji zerwania z nią wszelkich więzi. Podczas całej wizyty nie dała mu odczuć, że jest mile widziany, i nie miał chęci na ponowne spotkanie.

Ale była jeszcze Doris, był Ashley. Matka dała mu do zrozumienia, że powinien przejąć nad nimi pieczę. Jako głowa rodziny. Kiedyś darzył ich miłością - kiedyś, gdy jeszcze był do niej zdolny.

Na czym miałyby polegać ta opieka? Czy będzie mógł zaraz wrócić do Paryża?

Henrietta sprawowała rządy w Bowden, jakby wciąż była panią tego domu. Czemu nie? Była przecież żoną George'a. Cierpiała z powodu śmierci męża, chyba bardziej niż on po stracie brata. Znajdowała się jednak w lepszej sytuacji - pozostała w domu i odgrywała w nim znaczącą rolę. O ile się orientował, nie zamierzała usunąć się w cień, a jej postawa była dla matki coraz bardziej nie do zniesienia. Gdyby on miał żonę, nie byłoby kwestii - jego żona byłaby prawowitą panią domu.

Znowu to samo! Niech licho porwie wuja z jego podszeptami, które, jak stwierdził zaskoczony, nie dawały mu spokoju.

Nie, nie zamierza słuchać tych podszeptów. Dla dobra rodziny i spokoju rodzinnego domu nie poświęci swej wolności.

A więc najgorsze mam już za sobą, myślał, idąc ulicą. Zobaczył się z nimi wszystkimi, poza Henrietta, za której widokiem zresztą nie tęsknił. Chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o życiu Doris i Ashleya, pomóc im w miarę swych sił. Zamierzał wysłać posłańca po księgi Bowden i być może porozmawiać z Colbym, aby zorientować się, czy są jakieś podstawy do zwolnienia go z pracy. Jeśli tak, wyznaczy innego zarządcę i czym prędzej wróci do Paryża. W lecie może znów się tu wybierze.

Teraz miał zamiar miło spędzić czas. Znajdzie się w środowisku angielskim, co jest dla niego nie lada nowością, zobaczy nowe twarze, posłucha tutejszych plotek. Teo upierał się, że jego siostrzeniec musi wziąć udział w balu wydawanym jutro przez lady Didding. Jak zapowiedział, będzie to jeden z bardziej uroczystych wiosennych balów, na którym spotka się śmietanka towarzyska Anglii.

Wuj nie dodał oczywiście, że zazwyczaj przybywa tam wiele młodych panien na wydaniu. Lecz Luke domyślił się, że o to mu głównie chodziło.

Mimo to pójdzie. Będzie tam matka i Doris, która powiadomiła go o tym, gdy pili herbatę. Zobaczy, jak Doris zachowuje się wobec ewentualnych adoratorów i czy aluzja matki na temat jakiegoś niefortunnego afektu córki ma istotnie podstawy. No i potańczy z wytwornymi młodymi damami, jeśli nawet nie będą materiałem na kochankę. Będzie je czarowali patrzył, jak uśmiechają się i płoną rumieńcem. Najładniejszą może nawet emablować przez dłuższy czas.

Tak, pójdzie. Może zapomniał, jak to jest, gdy targają człowiekiem silne uczucia, ale na pewno nie zapomniał, co to znaczy cieszyć się życiem.

Wybierały się na swój pierwszy, wydawany przez lady Didding, bal, który zdaniem lady Sterne był wspaniałym, nie mającym sobie równych wydarzeniem. Spotka się tam cały elegancki świat.

Anna miała na sobie wytworną mantylę z jedwabiu barwy zielonego jabłka, ciężką od złotego haftu. Suknia była obszerna, na obręczach. Modnie ułożone włosy wiły się na skroniach i karku i były upudrowane, choć sama nigdy dotąd nie używała pudru. Mały, okrągły, koronkowy czepek, przypięty z tyłu głowy, kolorem dobrany był do trzech dużych falban, będących zakończeniem mantyli. Z tyłu czepka zwisały dwa pasma wstążek z tej samej koronki. Jasnozielone, haftowane złotem pantofelki na kilkucentymetrowych obcasach też były dla niej nowością. Chodziła w nich dwa dni przed balem, aby zyskać pewność, że zdoła utrzymać równowagę. Nie chciała użyć różu i pudru, choć matka chrzestna ostrzegała ją, że z pewnością będzie wyjątkiem.

To nie ja, pomyślała Anna, nim zajechał powóz, ja tak nie wyglądam. Spłonęła

rumieńcem i oczy jej rozbłysły. Stojąc z lady Sterne w salonie, obserwowała, jak Agnes przekracza jego próg, i wręcz nie mogła się nadziwić, że to ta sama dziewczyna, która zaledwie wczoraj była dzieckiem, a dziś...

- Agnes - powiedziała, dotykając jej ramienia. - Wyglądasz przepięknie. .. - Dziewczynie o takiej urodzie, myślała, nie zabraknie adoratorów! Po balu również. Będzie mogła wybierać i przebierać.

- Faktycznie - rzekła lady Sterne, jakby czytając w jej myślach. - Jestem pewna, że zrobisz furorę, moje dziecko. Miałyśmy rację, dobierając do twojej cery ten odcień błękitu.

Tymczasem Agnes, zawsze skromna, nie mająca dobrego mniemania o swojej urodzie, nie mogła oderwać oczu od Anny. Wyciągając ku niej dłonie, powiedziała:

- Zawsze byłaś urocza, najbardziej urocza spośród wszystkich niewiast, jakie znam. Ale teraz wyglądasz... Och, nie mogę znaleźć odpowiedniego słowa. Prawda, że cudownie, ciociu Marjorie?

- Bezsprzecznie, moje dziecko - rzekła lady Sterne. - Będę musiała chyba zabrać ze sobą na bal solidną laskę, by odpędzać tłoczących się wokół was dżentelmenów. Chwileczkę, ktoś stuka do drzwi. Pewno zajechał po nas powozem wuj Teodor. On na pewno ma laskę. I na pewno jest przy broni. Daję głowę, że będzie mu potrzebna.

Obie siostry roześmiały się, patrząc na siebie z zachwytem. Uświadomiły sobie jednak z niepokojem, że choć były córkami zmarłego hrabiego Royce'a i z tej racji obracały się w wyższych sferach, Londyn był dla nich całkiem obcym, nieznanym światem. Były zmieszane, kiedy lord pochylił się, całując je w rękę i oświadczył, że dawno nie widział tak uroczych dziewcząt, po czym zaprosił je wraz z lady Sterne do powozu. Oświadczył również, że nim noc dobiegnie końca, zostanie wyzwany na tuzin pojedynków z powodu dotrzymywania towarzystwa trzem najbardziej fascynującym damom na balu. A jeśli ich maniery są zbyt prostackie? Jeśli rozmowa z nimi okaże się nudna? A jeśli figury taneczne, które znają, różnią się od tutejszych, londyńskich?

A co będzie, jeśli nikt nie zaprosi Agnes do tańca?

Anna obserwowała siostrę i wydało się to niemożliwe. Była pewna, że lady Sterne nie dopuści do takiej sytuacji! Była jednak niespokojna. Gdy powóz zwolnił, poczuła nawet lekkie mdłości. Wyrzała przez okno i zobaczyła wielką rezydencję. Wszystkie okna były jasno oświetlone, drzwi frontowe rozwarły na oścież, toteż dostrzegła wyraźnie przechadzających się po holu panów i panie w wytwornych strojach. Stopnie schodów wysłane były purpurowym dywanem.

Oczy Agnes zaokrągliły się ze zdziwienia.

- Dobry Boże - wyrzekł lord Quinn, podając rękę paniom wysiadającym z powozu. - Od lat nie byłem obiektem takiego zainteresowania i zazdrości. Chciałbym mieć trzy ramiona, ale obdarzono mnie tylko dwoma. Pozwolisz, Marj, że w tej sytuacji nie użyję ci tego trzeciego?

Anna poznała lorda Quinna zaledwie wczoraj. Chrzestna matka przedstawiła ją jako swoją dobrą przyjaciółkę. Spodobał się jej. Był średniego wzrostu, ze skłonnością do tycia. Przystojny, o miłym spojrzeniu. Chyba jest w tym samym wieku co on - pomyślała - ale to jedyne podobieństwo. Jest przemiły, łatwo nawiązuje kontakty z ludźmi. Anna była szczęśliwa, gdy wziął je obie pod rękę; z nikim innym nie miałyby odwagi przekroczyć tych progów.

- Denerwujesz się, kochanie? - zwrócił się lord do Agnes.

- Trochę, milordzie - przyznała.

- Kiedy zostaniesz poproszona do pierwszego menueta - rzekł - po pięciu minutach całkowicie zapomnisz o nerwach i przez cały wieczór będziesz promieniała radością. A pani, moja droga? - zwrócił się do Anny.

- Nie, milordzie - skłamała. - Przyszłam tu, żeby przypatrzeć się temu balowi, cieszyć się widokiem wytwornego towarzystwa. Nie mam powodu do zdenerwowania.

Teo roześmiał się. Lady Sterne porwała wkrótce obie siostry do garderoby, by poprawić im suknie i aby mogły sprawdzić, czy wiatr nie uszkodził im fryzur.

Tak więc nadszedł czas - weszły po raz pierwszy w życiu do londyńskiej sali balowej. Wszędzie pełno było kwiatów - pachniało ogrodem jak w letni gorący dzień. Aż ich za dużo, pomyślała Anna, rozglądając się. Przez chwilę zapach zatamował jej oddech. Od obfitości koronek, cudownych satyn, jedwabów i klejnotów mogło zakręcić się w głowie. Trudno było w istocie orzec, kto prezentował się bardziej okazale - panie czy panowie? Panie zadziwiały różnorodnością sukien, falban i ozdób. Panowie zaś eleganckimi, nienagannie dopasowanymi surdutami, pod którymi widać było kosztowne haftowane kamizelki.

Anna, oglądając stroje londyńskich dam, pomyślała o raczej skromnych sukniach, jakie nosiły panie na balach w jej stronach.

- No i co? - zapytała lady Sterne z uśmiechem.

- To całkiem inny świat - odrzekła Anna. - Wiedziałam, że odbywają się tu wspaniałe bale, ale to, co zobaczyłam, przeszło wszelkie moje oczekiwania.

- Czytam ogromny zachwyt w twojej twarzy, moje dziecko - powiedziała matka chrzestna. - Nie masz mi więc za złe, że cię tu przyprowadziłam?

- Ależ skąd!

W ciągu minionych dwóch lat życie Anny pozbawione było kolorów. Z powodu żałoby siostry ubierały się na czarno, a w sercach ich gościł dojmujący smutek, spowodowany chorobą i śmiercią matki i nagłą śmiercią ojca. Jednak nie tylko żałoba pozbawiła ich życie barw. Przez lata walczyli o to, aby mimo przeciwności losu nadal pozostać kochającą się rodziną. Groziło im popadnięcie w ruinę, a ojcu więzienie za długi. Lecz tym, co spowijało mrokiem życie Anny, był fakt, iż dobrowolnie skazała się na samotność. Rok już minął, odkąd on wyjechał do Ameryki, i zdawała sobie sprawę, że może go już nigdy nie zobaczyć. Prawdę mówiąc, modliła się o to żarliwie.

A teraz oto znalazła się w całkiem innym świecie.

Napotkała wzrok lorda Quinna, a on uśmiechnął się do niej miło i serdecznie. I poczuła nagle, że ogarnia ją bezmierne szczęście. Wkraczała we wspaniały, bajkowy świat, o którym marzyła dawno, dawno temu, gdy jeszcze zdolna była do marzeń. Może wszystko się zmieni, może znów odzyska dawną radość i nadzieję? Teraz była na balu i postanowiła czerpać z tego radość.

O, tak, będzie się dobrze bawić. Tak dobrze jak nigdy w całym swoim życiu. Uniosła wachlarz przywiązany wstążką do nadgarstka, rozłożyła go i zaczęła wachlować twarz dla ochłody. Rozglądała się wokół błyszczącymi oczami, z uśmiechem na ustach.

### 3

Luke pojawił się pod koniec menueta. Jak na niego przybył dość wcześnie. Wuj ostrzegł go, że w Londynie spóźnianie się na bal nie jest w dobrym tonie.

- Marjorie na sezon wiosenny sprowadziła ze wsi swoją chrześnicę - rzucił od niechcienia lord Quinn wczoraj wieczorem. - Córkę hrabiego Royce'a. Wraz z jej młodszą siostrą. Urocze dziewczyny, ostrzeżę cię, chłopcze.

Luke zastanawiał się teraz, którą też wuj upatrzył sobie na jego narzeczoną.

- Doprawdy? - zapytał zdawkowo Luke. - Panny z piętnem wsi, mam rację, wuju?

- Nie, na rany Boga - odparł. - Już Marjorie zadba o ich prezencję. Są urocze i na tyle dobrze wychowane, że można im wybaczyć pewną prowincjonalność. Nie wybrzydź, Luke. Gdybym był o dwadzieścia lat młodszy...

- Gdybyś był o dwadzieścia lat młodszy, też byłbyś związany z lady Sterne, a różnica wieku wprawiała cię w zakłopotanie.

Lord odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się z całego serca.

- Masz rację, chłopcze, świętą rację. Lecz co się tyczy ciebie...

- Tuszę więc, że lady Sterne zaszczyci swoją obecnością jutrzejszy bal. Wraz ze swoimi podopiecznymi.

- Co takiego? - Wuj był wyraźnie zaskoczony. - To już jutro wieczór? Na Boga, rzeczywiście! Czy Marjorie weźmie je na bal? Całkiem możliwe. Tak, raczej będą na tym balu. Mam nadzieję, że ktoś zaprosi je do tańca. Poza mną oczywiście. Będą się czuły trochę obco.

- Skoro są tak urocze, nie ma obawy - odrzekł obojętnie Luke.

- Urocze? W istocie są urocze. - Powiedział. - Śmiem wyrazić przypuszczenie, że raczej nie zabraknie im kawalerów.

Luke nic nie odpowiedział. Zmienił temat. Doskonale wiedział, do czego wuj zmierza.

Na bal przyjechał sam, choć Angelique markiza d'Etienne napomykała jednoznacznie, iż byłaby rada, gdyby jej towarzyszył. Oznajmiła mu, że zamierza parę miesięcy spędzić w Londynie. Czasami życie w Paryżu staje się tak nudne, powiedziała z westchnieniem. A jak słyszała, w Londynie można bardzo interesująco spędzić czas. Nigdy razem nie podróżowali i tylko raz pokazali się publicznie, chociaż Luke składał jej w hotelu długie wizyty. Nie chciał, by uznawano ich za parę.

Menuet dobiegł końca. Sala opustoszała. Młode damy wróciły do swoich przyzwoitek. Oczy Luke'a wyłowiły z tłumu elegancką postać lady Sterne, którą rozpoznałby nawet

wówczas, gdyby wuj jej nie towarzyszył. Patrząc na nią z drugiego końca sali, doznał wrażenia, że odkad przed ośmioma laty widział ją w Paryżu, wcale się nie zestarzała. Obok niej stała młoda dama, właściwie dziewczyna. Była urocza, młodziutka i wyglądała na zawstydzoną. Luke rozebrał ją w myślach, zdając sobie sprawę, że czyni rzecz niegodną. Była niemal dzieckiem. Teo postradał chyba zmysły.

Po chwili dołączyła do nich jakaś para. Dżentelmen skłonił się nisko i odszedł, zostawiając pod ich pieczęcią swoją partnerkę. Niewątpliwie była to druga córka Royce'a. Luke spojrzał na nią krytycznym okiem. Widział tylko jej profil i uznał, że jest to starsza siostra tej młodziutkiej. Mała na sobie modny strój w odcieniu zieleni, co podkreślało świeżość jej urody. Rozmawiając z lady Sterne, wachlowała się lekko. On też wyjął wachlarz z kieszeni i poruszał nim od niechcienia. Skończyła opowiadać coś reszcie towarzystwa i obróciła się tak, że widział teraz jej twarz. Uśmiechała się z radosnym ożywieniem. Tak, zdecydowanie prowincjonalna. Parę miesięcy w Paryżu - a może nawet w Londynie - wymaże z jej twarzy to piętno naiwności. Jego miejsce zajmie ociężałe znudzenie. Bez skrepowania rozglądała się z zaciekawieniem dokoła. Przytupywała nogą, nawet gdy nie było muzyki. Suknia jej poruszała się na obręczach, co było dosyć prowokujące. Objęła go przelotnie spojrzeniem i uśmiechnęła się bezwiednie. Po chwili jednak zatrzymała na nim wzrok, zupełnie jakby uświadomiła sobie nagle, że on także patrzy na nią. Uśmiechnęła się czarująco, przysłoniła wachlarzem usta, a on widział tylko jej roześmiane oczy.

Uniósł brwi i pochylił nieco głowę. Na Boga! Ona go uwodziła!

W tym momencie podeszła doń Angelique.

- Luc - powiedziała twardym angielskim akcentem, kładąc swą delikatną dłoń na jego mankiecie. - A jednak jesteś tu, *cheri*. Bardzo tu jest dziwacznie, *cheri*.

Dziwacznie? Czyżby? Angielska moda nie odbiegała zbyt od paryskiej, aczkolwiek Francuzi mieli w zwyczaju odnosić się z lekką pogardą do Anglików albo przynajmniej traktować ich protekcyjnie. Oczywiście, istniała pewna subtelna różnica - w Paryżu nosiło się trochę bujniejsze koafiury, używano też mniej pudru i różu. Spostrzegł, że na widok jego wachlarza jakaś starsza pani zareagowała pełnym potępienia spojrzeniem.

- Dziwacznie? Bardzo po angielsku - powiedział. - Jesteśmy przecież w Anglii. Następnym będzie kadryl. Uczynisz mi ten zaszczyt?

Choć czuł się obco w tym angielskim towarzystwie, spotkał jednakże ludzi, których znał z Paryża, także tych, którzy pamiętali jego ojca i brata. Było też kilku dżentelmenów, których poznał u Whitesa. No i oczywiście była na balu jego matka wraz z Doris i Ashleyem. Po kadrylu złożył im wyrazy szacunku. Czarował panie, konwersował z panami i po upływie

godziny czuł się tu niemal jak w domu. Zawsze lubił bale. Lubiał tańczyć.

Przez przeszło godzinę trzymał się z dala od lady Sterne i jej chrześniaczki - najprawdopodobniej to właśnie ta starsza siostra. Lord Quinn nie uczynił dotąd nic, by wciągnąć go do swego towarzystwa. Stary lis najwyraźniej coś knuł i chyba nawet nie przypuszczał, że Luke domyśla się jego zamiarów.

Tymczasem Luke nie odrywał wzroku od Anny. Cały czas uśmiechała się promiennie, z jej oczu biła nieskrywana radość i nie narzekała na brak partnerów do tańca, choć jej siostra, młodsza i chyba ładniejsza, jeden taniec musiała opuścić. Anna była świadoma zainteresowania Luke'a. Jej wzrok nieprzypadkowo zatrzymywał się na nim, i to dość często, a gdy ich oczy się spotykały, uśmiechała się jeszcze promienniej.

Luke zdecydował, że chciałby być jej przedstawiony, gdy tylko wuj uzna, że nadeszła odpowiednia pora. Pragnął dowiedzieć się, czy przy bliższym poznaniu jest równie zalotna. Zastanawiał się w duchu, czy wie, że Teo przeznaczył go na jej męża. Skoro Teo podjął się roli swata, to czy miała w tym również udział lady Sterne? - zastanawiał się Luke. Całkiem możliwe, że jej córka chrzestna wiedziała o tym doskonale - jeśli rzeczywiście o nią chodziło. Być może jednak wybrali dla niego tę młodszą?

Musi mieć się na baczności. Tak czy owak, nie zamierzał dać się schwytać w pułapkę, poślubiając jasnooką prowincjonalną dziewicę. Bez względu na to, o którą chodzi w tej grze.

Lady Sterne i lord Quinn postarali się o to, by Annę i Agnes zaproszono do rozpoczynającego się właśnie menueta. Anna była święcie przekonana, iż to ich zasługa. I wdzięczna im była za to. Choć bowiem przyszła na ten bal tylko po to, by obserwować bawiące się towarzystwo, a także, by Agnes mogła poznać odpowiedniego kawalera, uznała, że skoro już się tu znalazła, również może się trochę zabawić. Chciała cieszyć się życiem. Chciała tańczyć. I przyjęła zaproszenie przyjaciela lorda Quinna. Wykonywała z wdziękiem taneczne pas; wsłuchiwała się w brzmienie muzyki, wdychała zapach różnorodnego kwiecica oraz wytwornych perfum. Oczy bolały ją od rozmaitych barw, wytwornych strojów i błysku klejnotów. Były to na pewno jedne z najszcześniejszych chwil w jej życiu. Chociaż jej partner nie zaliczał się do przystojnych młodych mężczyzn ani do takich, z którymi prowadzi się interesującą konwersację, taniec z nim był przyjemnością.

Gdy menuet dobiegł końca, stała w towarzystwie Agnes, matki chrzestnej oraz lorda Quinna i wybijała stopami rytm, jakby wciąż jeszcze słyszała dźwięki muzyki. Mała nadzieję - och, jak bardzo tego pragnęła - by ktoś znowu poprosił ją do tańca. Chciałaby przetańczyć całą noc! Śmiała się w duchu z samej siebie.

Czuła się młoda i piękna, rozpierała ją radość życia i młodzieńcza energia. I nagle

uświadomiła sobie, że właściwie nigdy nie była młoda. Nie miała na to szansy. Liczyła sobie dwadzieścia pięć lat i można by śmiało stwierdzić, że jej młodość minęła bezpowrotnie. Tymczasem okazało się, że nie. Dzięki tej nocy, tej magicznej nocy, podczas której czuła, że jest młoda, wolna i ładna, i... szczęśliwa. Szczęście wypełniało ją po brzegi - i nie potrafiła ukryć swego entuzjazmu.

I wówczas dotarło do jej świadomości to, co przed paroma minutami dostrzegły jej oczy. Spojrzała na mężczyznę stojącego samotnie w progu. Pomyślała, że oto obdarzają spojrzeniem ktoś, kto jest uosobieniem doskonałości - czy istnieje jakieś słowo, które wyrażałoby coś więcej niż doskonałość? Był wspaniały, cudowny, aż dziw, że wobec mężczyzny mogła użyć takich określeń.

Smukły, choć niezbyt wysoki - pełen wdzięku; również to słowo niezbyt pasuje do mężczyzny. Miał na sobie karmazynowy surdut i złotą kamizelkę, które to części garderoby aż lśniły od haftów i klejnotów. Sprzączki pantofli zdobiły drogie kamienienie, czerwone wysokie obcasy także były nimi inkrustowane. Rękojeść szpady błyskała rubinami. Włosy - była przekonana, że to nie peruka - miał mocno przypudrowane, ufryzowane na skroniach w wytworne loki, a z tyłu przewiązane czarną jedwabną taśmą. Nawet z tej odległości dostrzegła z lekkim zaskoczeniem, że w przeciwieństwie do prawie wszystkich uczestniczących w balu mężczyzn używa kosmetyków - różu i pudru.

Lecz tym co najbardziej przykuło jej uwagę, był mały wachlarz z kości słoniowej, którym chłodził twarz.

Winno czynić go to zniewieściałym, pomyślała Anna, spoglądając na księcia. Tymczasem nie. Jak to wytłumaczyć? Miał w sobie coś zniewalająco męskiego. Może wyraz oczu? Spod ciężkich, półprzymkniętych powiek wpatrywał się w nią uporczywie.

Wtedy właśnie zdała sobie sprawę, że ona również nie odrywa od niego wzroku i że on to widzi. Oboje zachowywali się nagannie, wbrew dobrym manierom. Ten mężczyzna jej się podobał, była nim zafascynowana. A ponieważ znalazła się w całkiem obcym i prawie nierealnym świecie i ponieważ czuła się młoda, piękna i wolna, zignorowała ów pierwszy impuls, by skromnie odwrócić od niego wzrok, i zamiast tego znowu na niego spojrzała i uśmiechnęła się, aprobując tym samym jego natarczywe spojrzenie.

Posunęła się jeszcze dalej. Idąc za głosem instynktu - tłumionego od dawna, zaskakującego ją samą kobiecego instynktu - zasłoniła wachlarzem usta i uśmiechnęła się do niego samymi oczami. Nie odwzajemnił uśmiechu. Uniósł jedynie brwi i lekko pochylił głowę w ukłonie i wówczas jakaś kobieta, równie jak on piękna, położyła mu dłoń na ramieniu.

Nie zabrakło Annie chętnych do tańca i cieszyła się każdą chwilą tej magicznej nocy. Nie opuszczała jej jednak myśl o owym dżentelmenie w złocie i szkarłacie. Obserwowała jak tańczy, prowadzi rozmowę, a czynił to z niezwykłą gracją i elegancją. Czy on postara się, by go jej przedstawiono? - zastanawiała się w duchu. Czy zaprosi ją do tańca?

Mała taką nadzieję. Bezwstydnie szukała go wzrokiem, gdy tańczył z innymi damami. Bezwstydnie uśmiechała się do niego, gdy ich spojrzenia się spotkały. Po prostu bezwstydnie z nim flirtowała.

Cudowny jest taki flirt, myślała. I nawet gdy w myślach posłużyła się tym słowem, nie czuła się zażenowana. Gdyby zaprosił ją do tańca, byłaby najszcześniejszą kobietą na tym balu.

Luke obserwował siostrę. Podziwiał z jaką swobodą traktuje swoich partnerów oraz innych młodych mężczyzn, którzy zostali jej przedstawieni i z którymi prowadziła rozmowę w przerwach między tańcami. Zauważył, że po pierwszym tańcu Ashley zniknął - udał się przypuszczalnie do salonu gry w karty. On, Luke, tańczył również, konwersował z damami, nie spuszczając jednak z oka chrześniaczki lady Sterne.

Przepuściwszy jeden taniec, udał się do salonu gry, przekonał się, że stawki nie są wysokie i że Ashley wygrywa i... pije. Co za niefortunne połączenie. Przekonał się o tym kiedyś na własnej skórze. Nie dorobiłby się majątku, gdyby grę zakrapiał tłumiącym rozsądek alkoholem. Postanowił, że przez następnych parę tygodni będzie czuwał nad bratem. Tymczasem uwagę jego pochłonęli dwaj dżentelmeni, którzy nawiązali z nim rozmowę.

Lord Quinn odnalazł go w salonie gry. Przyłączył się na chwilę do grupy, po czym ujął Luke'a pod ramię i poprowadził ku sali balowej.

- Lady Anna Marlowe, córka mojej drogiej zmarłej przyjaciółki, hrabiny Royce. Oraz lady Agnes, jej młodsza siostra. Anno, jego wysokość książę Harndon.

Sklonił się nisko im obydwu, lecz całą jego uwagę pochłonęła starsza siostra.

- Czarująca - mruknął.

Bez grubej warstwy kosmetyków, bez artystycznie rozmieszczonych na policzkach i ramionach pieprzyków, każda paryżanka wstydziłaby się pokazać ludziom na oczy. Tymczasem lady Anna Marlowe obydwała się bez wszelkich upiększeń. Cerę miała delikatną, jasną, zdrową, na ustach uśmiech, w oczach błysk. Gdy się do niej zbliżył, nie zachowywała pozorów obojętności. Może i lubi flirt, pomyślał, ale nie jest kokietką.

- Po wielu latach spędzonych w Paryżu jego wysokość wrócił właśnie do Anglii - oznajmiła lady Sterne.

- Po długim okresie żałoby po śmierci rodziców lady Anna przybyła właśnie ze wsi -

niemal równocześnie oznajmił lord Quinn.

Anna uśmiechnęła się tak radośnie, jak gdyby nie doświadczyła w życiu żałoby ani innych nieszczęść.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia - rzekł Luke, kierując ukłon w stronę obu sióstr.

- Pański pobyt w Paryżu musiał być fascynujący - powiedziała lady Anna głosem miłym, pełnym żarliwości, tak jak żarliwy był wyraz jej oczu.

Uśmiechnęła się. On skłonił głowę.

Jego dotychczasowe kontakty z kobietami cechowała prawie zawsze wyszukana forma. Bezpośredniość tej niewiasty, jej nieskrywany zachwyty otoczeniem, w jakim się znalazła, trochę go oszołomiły. I olśniły. Panie ustawiły się właśnie do następnego tańca w stylu ludowym.

- Madame. - Skłonił się powtórnie, tym razem przed lady Anną. - Tuszę, że nikomu pani tego tańca nie obiecała. Czy mogę mieć zaszczyt poprowadzenia pani?

- Tak, dziękuję - odparła, zanim zdołał do końca wypowiedzieć zaproszenie. Wyciągnęła ku niemu ramię. - Dziękuję, wasza wysokość. - Obdarzyła go uśmiechem, w którym jaśniało słońce.

- Dobrze się składa - usłyszał Luke słowa wuja. - To ostatni taniec przed kolacją.

No tak, oczywiście. Wuj spiskowiec. Luke doprowadził swoją partnerkę do końca rzędu pań, po czym stanął naprzeciwko niej, obok innych tancerzy. Zabrzmiała muzyka.

Anna tańczyła z gracją. Luke był przyzwyczajony do tańczących z gracją partnerek, jednakże gdy patrzył na lady Annę Marlowe odnosił wrażenie, jakby wchłaniała w siebie muzykę - sama była muzyką, harmonią i rytmem. Taniec był czymś więcej niż jej dopełnieniem. Wyrażała nim siebie, zachwyty otaczającym ją światem. I przez cały czas, z wyjątkiem krótkich chwil wymiany partnerów, nie odrywała od Luke'a wzroku i uśmiechała się doń.

Skąd o tym wiedział? On również nie odrywał od niej oczu. Była pełna czaru, bezpośrednia - co stanowiło dlań nowość, z czym dotąd się nie zetknął. Nie wiedział, ile ma lat, ale domyślał się, że pełnoletność ma już za sobą. Okres podwójnej żałoby spędziła z dala od miasta, na wsi. Musiało to być dla niej ciężkie przeżycie, tym cięższe, jeśli rodzinę łączyła bliska więź. Mimo to jednak uważał, że była niewiastą mało doświadczoną i o niezbyt skomplikowanym charakterze. Nie sprawiała wrażenia kogoś, kto w życiu tyle wycierpiał. Jej niewinność i bezpośredniość, w połączeniu z żywiołową energią, wręcz go oszołamiała. Nie miał więc za złe wujowi, że tak to zaaranżował, by do kolacji zasiedli obok siebie. Będzie miał okazję, by z nią porozmawiać. Przypuszczał, że zna się trochę na sztuce konwersacji, że

nie będzie głupio chichotać i pleść trzy po trzy, co jest typowe dla niedoświadczonych i nieobytych towarzysko dziewcząt.

Tego wieczoru Anna nigdy nie zapomni. Był jak bezcenny klejnot na drodze jej ponurego żywota. Będzie strzegła go pilnie, ponieważ wie, że po raz drugi taki wieczór się nie zdarzy. Jutro jej życie znowu będzie takie jak przedtem i choć zamierzała spędzić w mieście jeszcze dwa miesiące, taki wieczór się nie powtórzy.

Przez całe lata mieszkał w Paryżu. To wiele wyjaśnia. Podobno Londyn, jeśli idzie o modę i swobodny tryb życia, został daleko w tyle za Paryżem. Owa dama, która podeszła do niego, gdy tylko się pojawił, i porwała go do tańca, także przyjechała z Paryża. Anna dowiedziała się o tym w trakcie balu. Była to markiza d'Etienne. Włosy miała krótsze i mocniej zakręcone niż inne kobiety. Dziwnych też używała kosmetyków; białego, gęstego pudru i jasnoczerwonego różu, którego duże koła błyszczały na obu jej policzkach. Usta miały tę samą barwę. Powiedziano Annie, że to francuski sposób zdobienia twarzy. Trudno było doprawdy nie patrzeć na tę kobietę, przykuwała wzrok.

Mieszkał w Paryżu. Był księciem. A co do jego oczu - miała rację. Cechował go swoisty rodzaj wdzięku, w każdym szczególe jego postaci, w sposobie bycia. Z wyjątkiem oczu. Były ciemnoszare, o przenikliwym, ostrym spojrzeniu. I choć często przesłaniał je powiekami, łatwo było ową ostrość dostrzec. Przed tymi oczami, jak sądziła, niewiele dało się ukryć.

I w jeszcze jednej kwestii miała rację. Mimo jego bogatego stroju otaczała go trudna do określenia, lecz nie budząca wątpliwości aura męskości.

Wywarł na Annie tak wielkie wrażenie, że aż brakowało jej tchu. W marzeniach jej wybranek zawsze był wysoki, tymczasem on był tylko trochę wyższy od niej. Teraz - w marzeniach i wyobraźni - pragnęła znaleźć się w jego ramionach, czuć mięśnie jego karku. Przeraziła się własnych myśli. Wszelka lubieżność była jej przecież obca. Poza tym owe myśli były zupełnie bezzasadne; ta noc dobiegnie końca i znów wróci ból samotności, w jakiej trwała, ból, jaki do końca życia będzie ją nękać. A jednak - przebiegł ją dreszcz - powinna być wdzięczna losowi za tę samotność. Ody powróci człowiek, na którego czeka, utraci ją. Nie będzie o nim myśleć. Przynajmniej nie teraz, w tę magiczną noc.

Przyszła kolej na nich - na nią i na Luke'a - mieli zawirować między dwoma rzędami par. Zapamięta tę chwilę, myślała, zapamięta obejmujące ją ciepłe dłonie, zapamięta na zawsze, do końca swoich dni. Miał silne i ładne ręce. Gdy uśmiechała się do niego, ich usta dzieliło tylko parę cali. Przez ułamek sekundy zatrzymała na nich wzrok.

Ten człowiek, myślała, całe swoje dojrzałe życie obracał się w wytwornym

towarzystwie, miał doskonale maniery, był pełen uroku. Na pewno hołdował swobodnym obyczajom. Bez obaw można prowadzić z nim flirt. Można czuć się z nim swobodnie i równie swobodnie rozmawiać przy kolacji - nawet przez pół godziny. Człowiek ten nie budził w niej lęku.

Pomyślała przez chwilę o innym mężczyźnie, tak bardzo się od niego różniącym - wysokim, szczupłym, o wąskiej ładnej twarzy, o ciepłym, przyjemnym głosie. Od razu wzbudził jej sympatię. Każdy go lubił. Myślała ongiś o nim jak o swoim wybawcy. Miała nadzieję, że oświadczy się jej, i gotowa była przyjąć jego oświadczyny - nie tyle powodowana miłością, ile szacunkiem i sympatią, co w przyszłości mogło, jak sądziła, zaowocować prawdziwym uczuciem. Lecz jemu nie w głowie było małżeństwo, nie miał nawet pokusy uwiedzenia jej. To ostatnie zadziwiło ją niezmiernie i dotknęło do żywego. Jeśli nie chciał się z nią ożenić ani poślubić jej bez ślubu, to dlaczego...?

Nie. Nie! Przez dwa lata sterował jej życiem, zadreślał duszę. Nie. Nie dzisiaj! Dzisiaj jest jej magiczny wieczór i nie zamierza psuć go takimi myślami.

Wsluchiwała się ze smutkiem w ostatnie frazy muzyki. Ale jeszcze będzie kolacja. Być może najlepsza część tego wieczoru, który i tak był wspaniały. Czy może być coś jeszcze wspanialszego? Uśmiechnęła się.

- Madame - książę Harndon podał jej ramię - czy uczyni mi pani zaszczyt towarzyszenia jej przy kolacji?

Wsunęła dłoń pod błyszczący atlas rękawa księcia i poczuła ciepło jego ciała.

- Z przyjemnością, wasza wysokość - rzekła.

Książę z bajki, pomyślała i zaśmiała się w duchu ze swoich mrzonek. Ciekawe, zastanawiała się, czy książę z bajki o Kopciuszku również przyodziany był w szkarłat i złoto? Nie chce pamiętać o tej starej bajce! O północy wytworne szaty Kopciuszka zamienią się w łańchmany, książę zniknie. Czy warto przypominać sobie o tym, że książę z bajki zachował jeden jej pantofelek, dzięki czemu zyskał szansę odnalezienia swej księżniczki?

Kopciuszek należał do świata bajek. A lady Anna Marlowe - do świata realnego.

Wydaje mi się, że dopięliśmy swego - powiedziała lady Sterne, kładąc dłoń na ramieniu lorda Quinna. - Popatrz tylko na nich, Teo.

Siostrzeniec lorda Quinna i chrześniaczka lady Sterne siedzieli przy stole w pewnej odległości od nich i choć otaczali ich inni goście, widać było, że nie odrywają od siebie wzroku. Lord wiedział, iż tutejsi młodzieńcy, w przeciwieństwie do dżentelmenów z Paryża, a tyczy to zarówno mężów, jak i kochanków, umieją całą swoją uwagę poświęcić damie im towarzyszącej, zapominając w tym momencie o istnieniu wszystkich innych kobiet. Na ogół jednak uwagę tą obdarzają kobiety piękne, damy z towarzystwa, choć o dość lekkich obyczajach, licząc nie bezpodstawnie na to, że uda im się zwabić je do swego łóża.

Mimo wyraźnego ożywienia Anny lord Quinn daleki był od przekonania, że jego siostrzeniec uznał lady Annę Marlowe za niewiastę łatwą do zdobycia. Za przyszłą kochankę.

- Gwarantuję ci, Marj - powiedział - że przed upływem dziesięciu miesięcy ta dziewczyna urodzi mu chłopaka.

Lady Sterne westchnęła - przez te wszystkie lata przywykła do szokującego sposobu wyrażania się swego kochanka.

- O Boże, Teo, chciałabym, żebyś miał rację. Anna nie ma łatwego życia, biorąc pod uwagę fakt, że przekroczyła już właściwie wiek zameścia mimo bezsprzecznej urody i wysokiego urodzenia. Lucy nigdy nie wyraziła zgody, bym odwiedziła ją podczas choroby, a ja nie chciałam wywierać na nią nacisku, choć może powinnam była. Zależało mi na tej wizycie szczególnie wówczas, gdy dowiedziałam się o innych kłopotach w tym domu. Royce stracił całą fortunę i doprowadził rodzinę do ruiny. Hazardzista!

- Właściwe określenie - rzekł lord Quinn. - Nie należy wprawdzie osądzać innych, ale to rzecz wielce karygodna, by człowiek czynił zadość swoim lekkomyślnym zachciankom, podczas gdy jego dzieci nie zdołały jeszcze urządzić się w życiu. Chłopiec i trzy dziewczyny, tak?

- Cztery - odparła lady Sterne. - Najmłodsza przebywa jeszcze w domu, Charlotte rok po śmierci Royce'a wyszła za mąż za kapłana. Wydaje się, że to dobre małżeństwo.

- Coś okropnego - powiedział. - Upadek z dachu i te inne sprawy. Paskudna historia.

- Łatwo można się tam dostać. Pamiętam to miejsce sprzed lat. Dom stoi na szczycie wzniesienia, a z dachu rozciąga się wspaniały widok na wszystkie strony świata. O ile sobie przypominam, balustrada jest dość niska, nie sięga pasa. Nigdy się do niej nie zbliżałam. Podejrzewam, Teo, choć może to wyglądać na oszczerstwo i Anna nigdy by tego nie

potwierdziła, otóż podejrzewam, że Royce za dużo przedtem wypił.

- Bardzo możliwe - zgodził się lord Quinn.

- Szaleńczo kochał Lucy - ciągnęła. - Przypuszczam, że załamał się całkowicie, gdy zapadła na gruźlicę, a potem zmarła.

- To zrozumiałe - powiedział. - To straszne stracić kogoś, kogo się kochało przez długie lata. - Dotknął przez chwilę jej dłoni spoczywającej na stole. Zaraz cofnął jednak rękę. W miejscach publicznych zachowywali daleko idącą dyskrecję.

- Tak - westchnęła lady Stem. - Anna, najstarsza spośród rodzeństwa, przez cztery lata sama borykała się z losem, wzięła na siebie cały ciężar prowadzenia domu. Uginała się pod nim. Gdybym dowiedziała się o tym wcześniej, udałabym się do Elm Court i jakoś ją wspomogła.

- Właśnie jej pomagasz, Marj. Sprowadziłaś ją do miasta przyodziałaś w modne szmatki i przedstawiłaś najwspanialszemu kawalerowi w Anglii. Chłopak powinien paść jej do stóp.

- Spójrz tylko na niego - rzekła ze śmiechem. - Ten wachlarz, Teo. To śmieszne. Czyste pozerstwo, nie uważasz?

- Daj spokój - odparł. - Wszystko w Luke'u jest pozą. Liczy się to, co się kryje pod nią. Tylko że nie jest łatwo do tego dotrzeć, przebić się przez tę grę. Niech skonam, wygląda mi na to, że jest naprawdę zainteresowany tą dziewczyną!

- Tak. - Lady Sterne westchnęła głęboko. - Jakże pragnęłabym ją widzieć z dzieckiem na ręku, mieć pewność, że ma zapewnioną przyszłość.

Lord Quinn znowu pogładził jej dłoń.

Po żwawym wiejskim tańcu policzki Anny zaróżowiły się, zrobiło jej się gorąco, co nie mogło ujść uwagi partnera. Książę Harndon, nałożywszy potrawę na talerze ich obojga, zajął miejsce obok niej przy jednym z długich stołów w sali jadalnej, wyjął wachlarz, rozłożył go i zaczął chłodzić nim jej twarz. Roześmiała się.

- Czy wszyscy dżentelmeni w Paryżu używają wachlarzy? - zapytała.

- Skądże! - Spojrzał jej w twarz. - Ja nie ulegam modzie, madame. Ja ją ustalam.

- A więc w ciągu najbliższych tygodni ujrzę w Londynie wielu mężczyzn z wachlarzami w dłoni?

- Niewątpliwie.

- Życie w Paryżu musi być cudowne - rzekła z tęsknotą w głosie.

- Jeśli chce się żyć barwnie, swobodnie, to tylko w Paryżu - nie ma drugiego takiego miejsca na świecie. A pani chciałaby skosztować takiego życia?

Roześmiała się:

- Nie wiem. Całą młodość spędziłam na wsi i dopiero od niedawna przebywam w mieście. Jestem, że tak powiem, prawdziwą wiejską kurą domową.

Nie zważając na pełny talerz, wsparła łokcie o stół i podparła dłonią podbródek. Patrzyła na niego z uśmiechem. Wyraźnie czekała na komplement i nie wątpiła, że go usłyszy. Nigdy dotąd nie zachowywała się tak bezczelnie. Ale czuła się wspaniale.

- Skoro pani tak twierdzi, madame - rzekł - oznacza to, że wiodłem życie w niewłaściwym miejscu. Być może powinienem również mieszkać na wsi?

- Lecz w innej części kraju. W tym tkwi problem. Kraj jest wielki.

- Słusznie. - Zamilkł na chwilę, wachlując delikatnie jej twarz. - Chyba dobrze się stało, że przyjechałem najpierw do Londynu, a nie prosto do siebie na wieś?

No, doczekała się komplementu i radość przepełniła ją aż po koniuszki palców. Książę złożył wachlarz i zaczął jeść. Mimo iż Anna wiedziała że jej matka chrzestna siedzi wraz z lordem Quinnem gdzieś w pobliżu, że Agnes oraz jej partner do tańca, którego lady Sterne dla niej wybrała, również znajdują się nieopodal, nie za bardzo zdawała sobie sprawę, co się wokół niej dzieje. Książę rozmawiał wyłącznie z nią, opowiadał jej o Paryżu, o panującej tam modzie, bawił ją anegdotami, plotkami z wielkiego świata i wydawało się Annie, że całą uwagę poświęca jej, tak jak ona jemu. Miał w sposobie bycia coś takiego - nie potrafiła tego dokładnie określić - że czuła się kimś wyjątkowym, kimś bardzo dla niego ważnym.

Gra, jaką prowadziła, była podniecająca, ciekawa - zupełnie sprzeczna z jej charakterem i doświadczeniem życiowym. Jeszcze przed paroma godzinami nie wyobrażała sobie, że potrafi sprostać takiej roli. Zabawa na jeden wieczór. I oto kolacja dobiega końca i goście kierują się znów do sali balowej.

- Jeśli jutrzejsze popołudnie lady Sterne zamierza spędzić w domu, pozwolę sobie złożyć jej wizytę - powiedział książę Harndon. - Może po wizycie, jeśli madame okaże mi swoją łaskę, udamy się oboje na przechadzkę do parku St. James. Jak pani zapewne wiadomo, spotyka się tam cały elegancki świat.

Nie było jej wiadomo. Jednakże tego zaproszenia nie wolno jej było przyjąć. Nie wolno przenosić baśni jednej nocy w świat realny. Dla niego nie miało to niewątpliwie żadnego znaczenia - taniec z nią czy spacer nazajutrz; do niczego go to nie zobowiązywało. Co innego ona. Czuła, że jest w nim zakochana. Żywiła doń ciepłe, platoniczne uczucie, wywołujące nazajutrz sentymentalne westchnienia, ale nie ból. A gdyby udała się z nim na przechadzkę...

Nie chciała się zakochać. Bała się. Życie, jakie wiodła od kilku lat, nie było usłane

różami, ale gdyby okazała brak rozwagi i zakochała się naprawdę, stałoby się ono wręcz nie do zniesienia. Instynkt samozachowawczy i zdrowy rozsądek bronił ją przed tym. Nie wolno jej dopuścić, by flirt trwał dłużej niż jeden wieczór.

- Zatem będę się dziś modlić żarliwie, książę, by jutro po południu dopisała nam pogoda - usłyszała siebie, mówiącą te słowa.

Odsunął krzesło, wstał i podał jej ramię. Gdy unosiła się z miejsca, pochylił się nad jej dłonią i delikatnie dotknął ustami jej palców. Mało brakowało, a cofnęłaby rękę jak oparzona.

Po pięciu minutach była już z powrotem w sali balowej i tańczyła kadryla z kimś innym. Wciąż się uśmiechała i wciąż czuła tę falę szczęścia, która unosiła ją przez cały wieczór. Łajała się w duchu za tę wypowiedź o pogodzie, gdy zaprosił ją na spacer. Łajała się w duchu, że nie jest jej przykro, że nie ma do siebie o to żalu. Zaledwie parę dni temu cieszyła się na myśl o tym, że przez parę miesięcy będzie się bawić, radować życiem, nie przypuszczała jednak, że ta radość okaże się tak żywiołowa, pochłaniająca ją bez reszty. Dlaczego zatem kładzie jej tamę, ogranicza do jednego wieczoru? Dlaczego nie przedłużyć sobie tego stanu upojenia? O jeden dzień. A może o dwa miesiące. Jakże byłoby cudownie przez całe dwa miesiące czuć to, co czuje dzisiaj!

Czy gdy pozwoli sobie wykorzystać tę szansę, to później, po powrocie do domu, życie wyda jej się jeszcze bardziej smutne? Jakiś głos wewnętrzny podpowiadał jej, że tak. Skoro poznała inny świat, to może nie udźwignąć losu, jaki ją czeka. Z drugiej jednak strony, jeśli teraz postąpi wbrew sobie, to przez resztę życia będzie żałować, że nie zacisnęła mocno w dłoni klejnotu, jaki podarował jej los.

Jaka czeka ją przyszłość? Powinna być wdzięczna losowi, że jest, jak jest. Gdyby on wrócił z Ameryki, mogłoby być znacznie gorzej. Na pewno nie wróci. Na samą myśl o tym wpadała w panikę - obiecał przecież, że wróci. Nie zniosłaby tego. Wołałaby umrzeć.

Książę Harndon nie tańczył. Stał w pobliżu drzwi i rozmawiał z dwoma dżentelmenami i markizą d'Etienne. Ale obserwował ją. Anna złowiła jego spojrzenie i uśmiechnęła się doń, po czym całą uwagę skierowała na swego partnera i kadrylowe pas.

Nazajutrz Luke wstał wcześniej, tak jak wstawał zawsze, bez względu na to, jak późno udał się poprzedniego dnia na spoczynek. Po powrocie z długiej, forsownej przejażdżki konnej zjadł śniadanie i wtedy, o tej tak niemodnej porze pojawił się u niego nieoczekiwany gość.

Również dawnymi laty jego gość nie przestrzegał zasad mody; Luke poznał go od razu, choć widzieli się ostatnio dziesięć lat temu. Miał teraz bardziej rumianą cerę, był chyba tęższy i choć wyglądał na swoje dwadzieścia dziewięć lat, prawie wcale się nie zmienił. Miał

niestarannie upudrowaną i niestarannie ufryzowaną perukę, niedopasowany surdut, niemodną długą kamizelkę i w równie niemodny sposób noszone pończochy. Najwyraźniej mieszkał na wsi i za nic miał miejskie obyczaje.

- Will! - wykrzyknął Luke. William Webb, baron Severidge, wkroczył do pokoju, depcząc niemal po piętach kamerdynerowi, który w pośpiechu zaanonsował go panu domu. - Witam cię, przyjacielu!

Lord Severidge zatrzymał się nagle z nieelegancko wybałuszonymi oczami.

- Luke? O Boże, czy to ty? - Nie miał jednak zbyt dużych wątpliwości, bo chwycił swego dawnego przyjaciela mocno za rękę i kilka razy potrząsał nią z rozmachem w górę i w dół. - Co, do diaska, ten Paryż z ciebie zrobił?!

- Ach, o to ci chodzi - domyślił się Luke, dotykając jedwabnej porannej togi, jaką przywdział po powrocie z przejażdżki.

- Na rany Chrystusa! - rzekł Will, sięgając do wewnętrznej kieszeni surduta. - Dobiegły nas wieści, że przyjechałeś. Jestem tu w charakterze posłańca, Luke, ponadto mam w Londynie parę spraw do załatwienia. Zdarza mi się to dwa razy do roku, i tak za często jak na mój gust. Mam dla ciebie list od Henrietty.

- Aha - mruknął Luke i poczuł się tak, jakby ktoś pięścią uderzył go w brzuch. Przewyciężając owo uczucie, wziął list z ręki przyjaciela i wsunął go do kieszeni togi. - To ładnie z twojej strony, Will. Co u niej? A co u ciebie? Ożeniłeś się i masz szóstkę pociech w pokoju dzieciennym?

Mimo rumieńców Will się zaczerwienił.

- Nie ożeniłem się - powiedział - i nawet się na to nie zanoszę. Tylko w Londynie mógłbym kogoś poznać, ale na samą myśl o zatrzymaniu się tutaj na dłużej i dreptaniu na balach, i przebieraniu się w te szmatki ogarnia mnie przerażenie. Oj, przepraszam, Luke.

Lord Severidge rozsiadł się wygodnie, a Luke zadzwonił na lokaja, by przyniósł napitki.

- No tak - rzekł po chwili - uważasz mnie więc za... przebierańca, Will? Przecież nie jestem nawet ubrany, nie wiesz, jak kunsztowna jest moja garderoba.

William był wyraźnie zakłopotany.

- U Henrietty wszystko w porządku - powiedział szybko, nawiązując do poprzedniego pytania Luke'a.

Luke usiadł i założył nogę na nogę. Zawsze, nawet za chłopięcych lat, wydawało mu się nieprawdopodobne, że William i Henrietta są rodzeństwem. Henrietta była drobna i szczupła. Ciekawe, czy wciąż zachowała młodzieńczą sylwetkę?

- Nie zaznała szczęścia w życiu. - rzekł William. - Straciła dziecko, jak zapewne słyszałeś. Ona i George nigdy nie byli sobie bliscy, a on potem bardzo się zmienił, stał się ponury... - urwał, żeby odkaszląć. - Niepotrzebnie ci o tym mówię, prawda?

Luke zaciskał dłoń na poręczy fotela.

- Stare dzieje, Will - powiedział. - Stare dzieje. Will przetarł czoło ogromną chustką.

- Gdy dowiedziała się, że wróciłeś do Anglii, stała się bardzo nerwowa - oznajmił. - Być może uważa, że to przez nią opuściłeś dom rodzinny.

- Skądże - odparł Luke swobodnie. - Nie, Will. Ja tak samo nie cierpię wsi jak ty miasta. Przynależę do Paryża, a już w najgorszym razie do Londynu. Twoja siostra nie ma racji.

Milczeli, gdy wszedł lokaj z tacą w rękę - wino dla Williama, woda dla Luke'a.

Nie znam treści tego listu - powiedział William, wskazując głową kieszeń, do której Luke go wsunął. - Ale chyba jest długi. Nie przejmuj się, jak kobieta dorwie się do pióra, to wypisuje różności. Ja wpadam w popłoch, kiedy muszę napisać list, i w głowie mam pustkę. Jestem szczęśliwy, jeśli w ciągu godziny uda mi się przelać na papier parę niezdarnych zdań - zaśmiał się nerwowo.

- List przeczytam później - powiedział spokojnie Luke.

- Nalegała, abym doręczył ci go osobiście, do rąk własnych. I kazała ci przekazać, że Bowden należy do ciebie, że twoje miejsce jest tam, że rada byłaby twojemu przybyciu i że jest jej przykro na myśl, iż przez nią trzymasz się z dala od prawnie przysługującej ci posiadłości.

- Nie przez nią. Powtórz jej to, Will.

- Ma do ciebie żal, że jesteś w Anglii i nie przyjeżdżasz do Bowden. Przybyłaby tu ze mną, ale nie chce ci się narzucać. Wydaje jej się chyba, że ją obwiniasz. Boże, jak ja nie lubię takich sytuacji. Po raz ostatni, daję słowo, pełnię rolę posłańca.

- Jeśli dasz mi czas na przebranie się - rzekł Luke - moglibyśmy udać się razem do klubu. Jesteś jego członkiem? Mnie niedawno tam przyjęto.

- Dobrze. - Will z wyraźną ulgą przyjął zmianę tematu. - Można tam sobie uciąć przyjemną pogawędkę.

- Ziemia, zboże, bydło i temu podobne, to masz na myśli? - zapytał Luke. - Aż dreszcz mną wstrząsa wobec takiej perspektywy. Daj mi pół godziny, Will. Pospieszę się.

- Pół godziny? - zapytał William, marszcząc brwi. - Tyle czasu zajmie ci narzucenie surduta i włożenie kapelusza na głowę?

- My, malowani przebierańcy, poświęcamy więcej czasu toalecie - oznajmił Luke,

wychodząc z pokoju.

Me potrzebował na to aż pół godziny. Chciał jednak przedtem przeczytać list od Henrietty. Dziesięć lat milczenia i oto trzyma w ręku posłanie od niej. Kusilo go, by podrzeć list, nie czytając. Czuł jednak, że musi go przeczytać, i to natychmiast.

Popelnia bład, że bez ogródek od razu przechodzi do rzeczy - pomyślał Luke. Aż dziw, że tak dobrze zapamiętał jej charakter pisma. Nawet po tym, co się stało, myślał dalej, powinna poślubić jego, nie George'a. W końcu byli zaręczeni i kochali się, a on chciał się z nią ożenić. Dokonała złego wyboru, bo była wówczas przekonana, że nie ma innego wyjścia. Popelniła wielki bład i była bardzo nieszczęśliwa.

No tak, zadumał się Luke, przerywając czytanie, jej decyzja odmieniła życie paru osób, łącznie z nim, ale nie może jej za to winić. Nosila pod sercem dziecko George'a i wyszła za niego za mąż. Miała zaledwie siedemnaście lat i nie chciała tego dziecka. Jej słowa w tym liście niewiele już teraz znaczyły. Była wdową po George'u, wolną, otwartą ku szczęściu, mogącą wybrać sobie męża jakiego zechce - z wyjątkiem jego. Niewiasta nie powinna wychodzić za mąż za brata zmarłego małżonka.

Chciała jednak, żeby on wrócił do domu. Jest tam potrzebny, pisała. Od śmierci George'a sprawy majątku nie mają się dobrze i ani ona, ani jego matka nie wiedzą, jak się z nimi uporać. Lawrence Colby nie przykłada się zanadto do roboty i chodzi w glorii sławy jako główny zarządca. A co do prowadzenia domu...

Wyglądało na to, że Henrietta chciałaby dokonać w domu wielkich zmian - od draperii po umeblowanie. Wszystko jest już niemodne, ponure. Natomiast jej teściowa jest przeciwna wszelkim nowinkom.

Luke musi wrócić do domu. Jest jego częścią. Przecież zawsze kochał Bowden Abbey. Nie pamięta, jak razem dorastali? Nie chce zobaczyć stron rodzinnych?

A na końcu: *Wyrazy szacunku i miłości.*

Starannie złożył list. Nie chciał, żeby Will czekał na niego zbyt długo. Niech pozostaje w mniemaniu, że on, Luke, zostawił sobie lekturę listu na później.

Luke przed wieloma laty zabił w sobie miłość do Henrietty. Ból po jej utracie, rozpacz, że musi bez niej przejść przez życie, wyrzucił z siebie raz na zawsze. Kochali się. Zamierzali się pobrać, miała mu towarzyszyć, gdy podejmie się kapłańskiej misji. I wówczas, po trwającej dwa lata podróży po Europie, George wrócił do domu, uwiódł i zapłodnił Henriettę. Szlochając histerycznie w ramionach Luke'a, opowiedziała mu o tym. George podczas konfrontacji nie wyrzekł ani słowa - ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył temu, co mówiła Henrietta choć nie zwlekając, oświadczył się jej. Wołała poślubić tego, który ją

uwiódl, niż tego, którego kochała, a przecież Luke mimo wszystko nalegał na małżeństwo.

Doszło do pojedynku na pistolety i George ostentacyjnie spudłował, oddając strzał w górę. Obserwował pilnie, jak Luke, który nigdy przedtem nie miał w ręku pistoletu, drżącą dłonią przymierza się do celu. Chciał strzelić w bok, ale efekt był taki, że przestrzelił bratu łopatkę i omal nie pozbawił go życia. Wszyscy byli przekonani, że chciał śmierci brata - strzelił, żeby zabić. W owych czasach był gorszym strzelcem, niż ktokolwiek by przypuszczał. Oskarżyli go - i wyrok zapadł - o usiłowanie zabójstwa brata w celu przejęcia tytułu, fortuny i Henrietty. Nie znali prawdy, sądzili, że Henrietta wołała George'a i dlatego zerwała z Lukiem, łamiąc daną temu ostatniemu obietnicę małżeństwa. Byli przekonani, że działał w porywie wściekłej zazdrości. W istocie rzeczy była to kwestia honoru. Oraz tego, że został podle zdradzony. Przez własnego brata.

George, starszy o cztery lata, zawsze był dla niego wzorem. Po powrocie z podróży po Europie tryskał energią, dowcipem. Był wyjątkowo przystojny, atrakcyjny - tak jak teraz Ashley. Luke spędzał z nim wiele czasu, czerpiąc prawdziwą przyjemność z jego towarzystwa. A potem George ukradł mu narzeczoną w sposób najokrutniejszy z możliwych.

Nie, nie trzeba ożywiać tych wspomnień, myślał Luke. Lecz Henrietta musiała żyć z tym przez dziesięć lat, no, raczej przez osiem, aż do śmierci George'a. Nie była z nim szczęśliwa - wspominał o tym William i również wyczytał to z jej listu.

Wciąż była jednak księżną Harndon. I nosiła się z zamiarem renowacji Bowden Abbey, czemu jego matka była przeciwna. Zaproszono go do domu, a zatem będzie musiał wesprzeć którąś ze stron. Nie znosił, kiedy wciągano go w takie spory.

Mało go obchodziło, co się dzieje w Bowden. Mogą spalić dom, zmarnować ziemię, nie dbał o to. A jednak - wbrew jego woli - napłynęły wspomnienia domu, w którym spędził dzieciństwo i wczesną młodość i który kochał. Nie wiedział, jakie zamiary ma Henrietta, ale nie wyobrażał sobie, żeby w tym domu można było cokolwiek zmienić. Panowała w nim atmosfera dawnego opactwa, mimo iż w ciągu wieków architektoniczne nowinki zatarły kościelny charakter budynku. Prawdopodobnie, jeśli już będzie musiał zająć stanowisko w tej sprawie, poprze matkę.

Oczywiście, jeśli Colby nie wywiązuje się ze swoich obowiązków, trzeba go zwolnić. Ale na jakiej podstawie on, Luke, ma to zrobić, skoro nie przekonał się na własne oczy, jak Colby pracuje. Jak może wypowiedzieć mu pracę, opierając się na czyjejś relacji bądź na księgach, po które miał zamiar posłać?

Będę musiał sam tam pojechać, orzekł w duchu z rezygnacją. Niech to wszyscy diabli! Jeżeli do tego dojdzie, to musi się liczyć z tym, że wpadnie w pułapkę: po jednej

stronie księżna, jego bratowa, po drugiej - księżna, jego matka.

Chyba że...

Przerwał rozmyślenia, bo kamerdyner właśnie podał mu paltot. Sięgnął po swój trójgraniasty kapelusz i laskę.

Chyba że przywiezie do domu trzecią księżną Harndon. Żonę. Wrócił myślą do wczorajszego wieczoru. Była uroczo świeżą czarująca i niewinna mimo flirtu, jaki podjęła tak odważnie. Miała w sobie jakiś blask, promieniała radością życia - cechy, z którymi u niewiast raczej się nie stykał. Ku własnemu zdziwieniu był tym olśniony. Wracając dziś do domu po przejażdżce, zatrzymał się przed kwiaciarnią i kazał przesłać jej dwanaście czerwonych róż. Po południu weźmie ją na spacer do St. James Park. Rozmyślał o tym, jadąc konno, i potem, przy śniadaniu. Oczekiwał tej chwili z niecierpliwością jakiej się po sobie nie spodziewał.

Należała do wyższej sfery. Córka hrabiego. Nie wiedział, czy jest bogata, ale to nie miało dla niego znaczenia. On miał wystarczająco duży majątek.

Była odpowiednią narzeczoną. Teo wybrał doskonale. A do takiego wyboru przyczynił się niewątpliwie fakt, że dziewczyna była chrześną córką jego kochanki. Ale, rzecz jasna, nie tylko tym powodował się wuj. No i najważniejsze: dziewczyna była piękna. Już wyobrażał sobie, jak przyjemnie będzie z nią w łóżu.

Gdyby urodziła mu synów, najlepiej paru, dałoby to rodzinie poczucie stabilności, zniknąłby problem sukcesji.

Luke zszedł ze schodów z niewielkim tylko opóźnieniem. Przekroczył próg pokoju porannego i ujrzał lorda Severidge'a, który wyraźnie zniecierpliwiony chodził tam i z powrotem. Gdy opuszczali domostwo - William w kapeluszu wciśniętym na perukę, on, Luke, trzymający swój zgodnie z modą pod prawym ramieniem - pomyślał, że nie ma ochoty się zenić, ani teraz, ani nigdy.

Czasem jednak ochota czy jej brak niewielkie ma znaczenie.

Świetnie się bawiłam - oświadczyła lady Agnes Marlowe. - Naprawdę świetnie, Anno.  
- Spojrzała na dwie wiązanki kwiatów, które dziś rano przysłali jej dwaj kawalerowie. Jedną trzymała w ręku, obracając w palcach płatki.

- No i...? - zapytała z uśmiechem Anna, prowokując siostrę do zwierzeń.

- No i nic - westchnęła Agnes. - Cudownie jest mieszkać w mieście. Pobyt tutaj zawsze będę wspominała z przyjemnością. Że aż trudno mi sobie wyobrazić, jak wesoły żywot prowadzą niektórzy ludzie.

- Chciałabym, żebyś znalazła tu sobie męża - powiedziała poważnie Anna. - Kogoś z naszej sfery, z kim byłabyś szczęśliwa. U nas na wsi nie widzę takiego kandydata. Charlotte miała szczęście, lecz na męża dla ciebie nikt tam się nie nadaje.

- Tak, wiem. Ale ja mam dopiero osiemnaście lat. Nie jestem jeszcze starą panną. - Zarumieniła się i popatrzyła z niepokojem na siostrę, czy aby jej nie uraziła. - Kiedy ciotka Marjorie nalegała na nasz przyjazd, a ty tak chętnie wyraziłaś zgodę, ucieszyłam się, bo pomyślałam, że może i ty poznasz tutaj kogoś. Na pewno dobrze się bawiłaś na balu. Sprawiałaś wrażenie ogromnie szczęśliwej i wyglądałaś dziesięć razy ładniej niż wszystkie inne damy. Widziałaś tę francuską lady? Z wielkimi kołami różu na policzkach? Wyglądała... dziwnie.

- To markiza d Etienne - rzekła Anna.

- A księżę Harndon? Też myślałam, że to Francuz, dopóki lord Quinn nie przedstawił mi go jako swego siostrzeńca. Anno, tańczyłaś z nim i towarzyszyłaś mu przy kolacji. Byłam przerażona.

- Przerażona? - Anna spojrzała na siostrę ze zdziwieniem.

- Nigdy nie widziałam tak przyodzianego dżentelmena. Wyglądał zresztą wspaniale, nie uważasz? Lecz miał w sobie coś dziwnego, coś w oczach, tak mi się wydaje. Moim zdaniem jest inny, niż wskazywałby na to jego wygląd.

- Jest uroczy - powiedziała Anna z uśmiechem - i bardzo interesujący. Złoży dziś wizytę ciotce Marjorie, a potem zabierze mnie na przechadzkę do parku St. James. Widocznie to bardzo modne miejsce spacerowe.

- Och, księżę - westchnęła Agnes. - Młody i bardzo przystojny, mimo pudru i różu. Cieszę się, że tak znamienity dżentelmen zwrócił na ciebie uwagę.

Anna roześmiała się.

- Nie sądzę, aby był bliski wyznania mi dozgonnej miłości. Wybieramy się po prostu

na przechadzkę, jeśli nie zapomni, co obiecał.

Agnes odłożyła swoją wiązanekę i dotknęła płatków czerwonych róż, które otrzymała jej siostra.

- To od niego? - zapytała. - Tak byłam zdziwiona, że ktoś przysłał mi kwiaty, że nie zapytałam nawet o twoje. Od niego?

Anna skinęła głową.

- Zatem nie wierzę, żeby zapomniał o przechadzce. Byłabym taka szczęśliwa, gdybyś sobie kogoś znalazła. Zaslugujesz na szczęście bardziej niż inne damy. Swego czasu myśleliśmy wszyscy, że Lovatt Blaydon...

- Ten człowiek! Nie! - rzekła szybko Anna, wstała, chwyciła bukiet i zamierzała pójść na górę do swego pokoju.

- Co prawda był za stary - ciągnęła Agnes - mógłby być twoim ojcem. Zawsze uważałam, że szkoda cię dla niego. Ale był dla nas wszystkich taki uprzejmy i obdarzał cię szczególnymi względami.

- Był po prostu dobrym sąsiadem. - Anna pochyliła głowę, by powąchać kwiaty; nagle źle się poczuła. - Ponadto był dobrym znajomym rodziny naszej mamy.

- Gdy nas odwiedzał, zawsze najpierw pytał o ciebie - rzekła Agnes z uśmiechem. - I zawsze był rozczarowany, gdy nie zastał cię w domu. Zabierał cię na przejażdżki, spacer, a podczas spotkań towarzyskich tańczył tylko z tobą. Wszyscyśmy uważali, że ma do ciebie słabość.

- Nie - rzekła twardo Anna. - Muszę iść na górę i wstawić kwiaty do wazonu.

- Przepraszam, zdenerwowałam cię. Czy on ci się oświadczył, a ty dałaś mu kosza? I dlatego po śmierci ojca tak szybko wyjechał, choć wszyscy przypuszczaliśmy, że w tych ciężkich chwilach będzie dla ciebie oparciem?

Anna zapanowała nad drżeniem głosu.

- Nie - rzekła. - Nic nas nie łączyło. Dosłownie nic. Tak jak wspomniałaś, był to starszy człowiek. Nie interesował się mną ani ja nim. Okazywał mi po prostu sąsiedzką życzliwość.

- To dobrze. On był dla ciebie za stary. Książę Harndon jest znacznie młodszy. I chyba coś do ciebie czuje. - Agnes roześmiała się, podczas gdy jej siostra szybko wyszła z pokoju.

Anna biegła po schodach, jakby diabeł deptał jej po piętach. Z pochyloną nad kwiatami głową, wdychając ich woń, weszła do gotowalni. Dwanaście czerwonych róż. Tak czerwonych jak jego surdut ubiegłej nocy. I kartka. Przeczytała ją powtórnie. Miał bardzo staranny charakter pisma: *Z wyrazami uznania od Pani wiernego sługi. Harndon.* Zwykle

konwencjonalne słowa. Czują przyspieszone bicie serca.

Ciągle nie mogła otrząsnąć się po przeżyciach ubiegłej nocy. Nie mogła zejść na ziemię, wrócić do rzeczywistości. Nie robiła sobie wyrzutów - a jej zdaniem powinna była - że zgodziła się na ową przechadzkę. Zastanawiała się, jak on też dzisiaj będzie wyglądał. Może całkiem zwyczajnie - bez tych wszystkich balowych atrybutów? Może już nie będzie kojarzył się jej z księciem z bajki? Miała taką nadzieję. Miała nadzieję, że tego popołudnia czar pryśnie.

Lovatt Blaydon. Anna zamknęła oczy, pochyliła głowę i długo wtulała twarz w płatki róż, zanim wstawiła je do wazonu. To prawda, wszyscy go lubili, cała rodzina i sąsiedzi. Może z wyjątkiem Emilii, lecz Emilia nigdy nie podzielała opinii innych. Wszystkich zwiódł jego elegancki wygląd i urok osobisty.

Przybył w ich strony zaledwie parę dni po śmierci mamy i wynajął dom. Od bardzo dawna znał mamę i jej rodzinę. To czysty przypadek, powiedział, że osiedlił się właśnie tutaj, i dopiero potem skojarzył sobie, iż był znajomym zmarłej niedawno lady Royce. Jego zatroskanie i życzliwość wydawały się niezwykle szczere. Był nadzwyczaj uprzejmy i opiekuńczy, szczególnie wobec Anny, która od lat czuwała nad chorą matką, a przez ostatnie tygodnie nie odchodziła niemal od jej łóżka. Po śmierci matki i pogrzebie była kompletnie wykończona, zarówno fizycznie, jak psychicznie.

Lovatt Blaydon umiał wesprzeć w potrzebie. On jeden. Ojciec był wówczas ruiną człowieka, a Wiktor zaraz po pogrzebie wrócił na uniwersytet. Zresztą miał zaledwie dziewiętnaście lat.

Lovatt Blaydon podtrzymywał ją na duchu, dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Wyczekiwała jego odwiedzin. Zwierzała mu się nawet ze swoich trosk - martwiła się o ojca, dziewczynki, o przyszłość rodziny. Był serdeczny i pełen zrozumienia.

Anna otworzyła oczy i przez chwilę wpatrywała się w róże niewidzącym wzrokiem. Wstała, podeszła do dzwonka i pociągnęła za taśmę. Trzeba nalać wody do wazonu. Róże były piękne. I najważniejsze, że od niego, od jej księcia z bajki. Uśmiechnęła się do swoich myśli.

Tak, musi się skoncentrować na dniu dzisiejszym. Dziś może się zdarzyć to, czego nigdy nie zaznała. Znowu się uśmiechnęła. Czują litość dla samej siebie.

Luke zastanawiał się, czy w świetle dnia będzie równie zachwycony lady Anną Marlowe, czy aby urok jej nie okaże się złudny. Nie. Była tak samo czarująca i żywiołowa jak na wczorajszym balu.

Spacerowali szeroką aleją parku St. James, zatrzymując się, by wymienić uprzejmości

ze znajomymi, lecz w głównie rozmawiali ze sobą. Wiedział doskonale, że niewiasty lubią skupiać na sobie całą uwagę mężczyzny. Nigdy zresztą nie pozwalał sobie na to, by towarzysząc jednej kobiecie, zwracać uwagę na inne.

Jeśli chodzi o lady Annę Marlowe, nie sprawiało mu to żadnej trudności. Była olśniewająca, z wesołym błyskiem zielonych oczu opowiadała mu, jaka to męczarnia, gdy stoi się nieruchomo przez wiele godzin, podczas gdy szwaczka dopasowuje i układa rozmaite części nowego balowego stroju. Czysty absurd.

- Wyglądało na to - ciągnęła - że wszystkie rzeczy, jakie ze sobą przywiozłam, nadają się na śmietnik, choć upewniłam się, że tam się nie znalazły. Nawet służące, jak wspomniała pani Delacroix, wstydziłyby się pokazać w tak niemodnych sukniach. - Roześmiała się wesoło.

Kobiecie, która potrafi śmiać się z samej siebie, na pewno obca jest próżność, pomyślał.

- Idę o zakład, madame - powiedział - że w swoich wiejskich sukniach wygląda pani stokroć ładniej niż niejedna wystrojona według ostatniej mody paryżanka.

Znów się roześmiała.

W tych nowych strojach wyglądała naprawdę ładnie. Jego uznanie zyskał słomkowy kapelusz Anny o szerokim, przysłaniającym z lekka i czoło rondzie, spod którego wystawała wąska koronkowa falbanką związany pod szyją błękitną wstążką. Podziwiał luźny krój zdobionego plisą zakietu, suknię opinającą jej zgrabną figurę - zgodnie z angielską modą - oraz haftowany pięknie żabocik.

Rozmowa toczyła się gładko, o wszystkim i o niczym, a on wrócił do myśli, jakie nawiedziły go dziś rano. Co by było, gdybym spędził życie z tą kobietą? Czy zawsze byłaby tak uroczo radosna? Interesująca i dowcipna? Czy nie znudziłaby go jej żywiołowość? Czy cechuje ją głębia charakteru, która nie ujawniła się przy pierwszym poznaniu? I jak czułby się z nią w łóżku? Była urocza. Gdy zaczął rozbierać ją w myślach i porównywać okiem znawcy z innymi kochankami, poczuł dreszcz pożądania. Tak, kochanie się z nią dostarczyłoby mu na pewno wielkiej satysfakcji. Ale czy na długo? Na zawsze? Gościł w swoim łóżu najbardziej czarujące piękności Francji, ale każda z nich nudziła go już po kilku miesiącach. Przed przybyciem do Anglii spędził w łóżu z Angelique dwa upojne popołudnia, lecz prawdę mówiąc, też był nią znudzony. Nie miał ochoty, wręcz nie życzył sobie, by jechała z nim do Londynu.

A czy kobieta niewinna tym bardziej go nie znudzi? Nie zna się na niczym. Nie będzie wiedziała, jak zaspokoić jego żądze. Będzie musiał wszystkiego ją uczyć, również tego, jak

bez pruderii przyjmować dawana! jej rozkosz.

Uśmiechnęła się do niego, gdy opowiedział jej historię burzliwej przeprawy przez kanał La Manche i jakie wrażenie wywarło to na jego współpasażerach.

Zgodą ale z drugiej strony nauka niewinnej uroczej dziewczyny musi być pasjonująca.

Tylko że tu chodzi o całe życie.

Jest księciem Harndon. Wiadomo także o jego wielkiej fortunie. I wiadomo również, że ma trzydzieści lat i jest kawalerem. Przypuszczał, że tej wiosny jest jedną z najlepszych partii w Londynie, jeśli nie najlepszą. Odkąd przed dwoma laty stał się po śmierci brata sukcesorem majątku i tytułu, nigdy się nad tym poważnie nie zastanawiał. I nigdy dotąd nie myślał poważnie o małżeństwie.

A czy teraz myśli o tym poważnie? Pod wpływem impulsu gotów był zaprzeczyć, ale po głębszym zastanowieniu...

Niewykluczone było także to, że lady Anna Marlowe, która, jeśli się nie myli, jest już dobrze po dwudziestce, zastawiła na niego sidła. Za nią stoją jej matka chrzestna i jego wuj. I wczoraj wieczór robiła wszystko, by zwrócił na nią uwagę. Uwodziła go całkiem otwarcie. Być może prawdziwa lady Anna jest zupełnie inna od tej obecnej, która czaruje go uśmiechem. Może to jakaś paskudna jędrza? Może dopiero po ślubie pokaże pazurki?

Po ślubie?

Musi być niezmiernie ostrożny.

Minęła godzina i pożegnał się z Anną w holu domostwa lady Sterne, pochylając się i całując jej dłoń.

- Od powrotu do Anglii było to dla mnie najmiłsze popołudnie, jeśli nie liczyć balu - powiedział. - Bardzo pani za to dziękuję, madame.

- A ja panu, książę - rzekła. - Nie przypuszczałam, że życie w mieście może być tak... tak przyjemne.

On zaś dodał pod wpływem nagłego impulsu:

- Jutro wieczorem zamierzam wraz z matką i siostrą udać się do teatru oraz zaprosić do naszej łoży parę osób. Czy uczyni mi pani za szczyt, madame, dołączając do tego grona? - powiedział szybko, jak gdyby od niechcienia.

I znowu nasunęła mu się myśl: nie, lady Anna Marlowe nie jest kokietką. Nachyliła się ku niemu lekko. Usta miała rozchylone, błysk w oczach. Odpowiedziała, zanim skończył mówić:

- Oczywiście, książę. Bardzo się cieszę. Nigdy nie byłam w teatrze i zawsze pragnęłam obejrzeć jakieś przedstawienie. Jaka wystawiają sztukę?

- *Opera żebracza* - powiedział. - Świetne dzieło nie żyjącego już pana Johna Gaya.

- Ach, tak - rzekła - słyszałam o nim.

Skłonił się przed nią i był to jeden z najpiękniejszych jego ukłonów.

- A zatem do jutra, madame. Godziny dzielące mnie od tego momentu ogromnie będą mi się dłużyć.

Odchodząc, obejrzał się - stała w holu uroczym uśmiechnięta. Co za diabeł mnie podkusił? - zastanawiał się w duchu. „Godziny dzielące mnie od tego momentu ogromnie będą mi się dłużyć”. Zwykł był używać tych pełnych galanterii słów wobec niewiast, które chciał uwieść. Nie przemawiał tak do młodych niewinnych panien, z którymi ani nie życzył sobie, ani nie zamierzał znaleźć się w łóżku ani przed ołtarzem.

A jednak przemówił tak do lady Anny Marlowe - zaledwie godzinę po nakazaniu sobie daleko idącej ostrożności.

I co go podkusiło z tym teatrem, do którego miał się niby udać wraz z matką i Doris? Niechętnie odnosił się do wszelkich zobowiązań wobec rodziny. Na gruncie towarzyskim wolał nie mieć z nimi kontaktu. *Operę żebraczą* zamierzał obejrzeć sam. Ciekaw był tego spektaklu, tym bardziej, że po śmierci George'a rodzina zachowała prawo do łoża. Nie planował jednak nikogo zapraszać. Dzięki Bogu, że przynajmniej włączył w poczet gości lady Sterne i siostrę Anny.

Powinien teraz ponownie odwiedzić matkę i skłonić ją do przyjęcia zaproszenia.

Niech to wszyscy diabli, pomyślał. Matka nie zaliczała się do osób, z którymi chciałby odnowić towarzyskie kontakty. Nie wybaczył jej, i chyba nigdy nie wybaczy, nie stać go na to. W trakcie krótkiej wizyty, jaką jej złożył, i podczas przelotnego spotkania na balu nie sprawiała wrażenia, że jej na tym zależy. Prawdopodobnie wciąż tkwiła w przekonaniu, że on istotnie chciał zabić George'a. Do diaska! Szkoda, że nie został w Paryżu - nie miałby tych idiotycznych problemów.

Skierował kroki w stronę swojej książęcej rezydencji.

Anna, lady Sterne i Agnes siedziały w łożu księcia Harndon w Covent Garden. Dziewczęta z podziwem rozglądały się dokoła. Anna tak długo, od wczesnej młodości po lata dojrzałe, tłumiała w sobie pragnienie ujrzenia Londynu, uczestniczenia w balach, koncertach, oglądania sztuk bądź oper w teatrze, że prawie przestała wierzyć w ich istnienie. To, że się tu znalazła, wydawało jej się wręcz niemożliwe.

A jednak była tu. Stało się coś, co przekraczało jej wyobraźnię. Przez ostatnie parę dni odprężyła się, korzystała z życia. Byłoby głupotą z jej strony, myślała, gdyby w ciągu tych dwóch miesięcy odmówiła sobie radości tylko dlatego, że ów cudowny okres kiedyś się skoń-

czy. Postanowiła cieszyć się każdą chwilą i towarzystwem księcia. Będzie nawet z nim flirtować tak długo, jak to tylko możliwe. Potem przecież wróci do domu i już nigdy go nie zobaczy. Nieważne, co on sobie o niej pomyśli.

Spojrzała na niego przez ramię; witał właśnie lorda Quinna i wysokiego, przystojnego, młodego mężczyznę, którzy przed chwilą weszli do łoży. Książę miał na sobie złoty surdut i szkarłatną kamizelkę. Znowu użył palety kosmetyków, bez których obył się podczas wczorajszego spaceru. Zastanawiała się, ile czasu zajęło mu przygotowanie fryzury. A również, jaki kolor pod starannie nałożonym pudrem miały naprawdę jego włosy. Przystojnym młodym człowiekiem okazał się lord Ashley Kendrick, młodszy brat księcia Harndon. Uśmiechnął się do Anny, gdy mu ją przedstawiono, i uklonił się nisko. Ma wdzięk swego brata, stwierdziła Anna, ale uśmiech przychodzi mu znacznie łatwiej. Przywitał się z lady Sterne i usiadł obok Agnes, która miała ogromnie speszoną minę.

- Matka księcia i jego siostra przybyły do teatru w towarzystwie dwóch dżentelmenów i niebawem pojawią się w łoży - wyjaśnił lord Quinn, zajmując miejsce obok lady Sterne.

Ona wraz z rodziną i on wraz z rodziną. To bardzo znamienne, oceniła lady Sterne, dowiedziawszy się o zaproszeniu. Uśmiechnęła się i skinęła głową z aprobatą. Nadzwyczaj pomyślny układ. O to jej chodziło od samego początku. Książę Harndon to siostrzeniec lorda Quinna, człowiek o ogromnej fortunie, w której Bowden Abbey w Hampshire zajmuje czołową pozycję. I, jak widać, chce przedstawić Annę matce.

Annę ogarnął nagle niepokój. Zupełnie niepotrzebnie, pomyślała. To śmieszne. Tańczył z nią na balu, towarzyszył jej przy kolacji. Zabrał na popołudniowy spacer po parku. I teraz zaprosił do teatru wraz z jej siostrą i matką chrzestną. Nie ma powodu do niepokoju. Co z tego, że inni goście księcia należą do jego rodziny? W końcu jest najznamienitszym dżentelmenem w Londynie. Absurdem byłoby wyobrażać sobie, że oto występuje w roli zalotnika. Nie ma powodu do obaw i nie ma sensu unikać jego towarzystwa.

Wówczas właśnie wkroczyły do łoży dwie damy. Anna wstała i dygnęła, albowiem miała być przedstawiona księżnej Harndon, eleganckiej lady o królewskiej postawie, wciąż jeszcze przystojnej, oraz lady Doris Kendrick, ładnej dziewczynie o pociągłej twarzy i buzi w ciup. Anna, mająca trzy młodsze siostry, tak zwykła określać ów układ ust.

Księżna matka, skwitowawszy obecność lady Sterne i Agnes lekkim skinieniem głowy, spojrzała uważnie na Annę i również skinęła głową, tym razem łaskawiej.

- Rada jestem z poznania pani, lady Anno - rzekła. - Czy jest pani siostrą młodego hrabiego Royce'a?

Anna potwierdziła.

- Wyrazy współczucia z powodu podwójnej straty - rzekła jej wysokość. - Po tym smutnym okresie wizyta w Londynie sprawia pani nie wątpliwie wielką przyjemność.

Doris usiadła obok Anny i uśmiechnęła się do niej.

- Byłam ciekawa, czy to pani - powiedziała. - Widziałam, jak Luke tańczył z panią na balu u lady Diddenng, i podziwiałam pani strój. Zastanawiałam się, czy to właśnie panią tu zaprosił. Tak się cieszę, że wrócił z Paryża. Nie wyobraża sobie pani, jaka to dla mnie radość. Dziesięć lut temu, gdy opuścił dom, byłam jeszcze dzieckiem. - Przynęła się bliżej Anny i mówiła ściszym głosem: - Ojciec był bardzo surowy, a George - mój najstarszy brat, który przez trzy lata nosił tytuł księcia - trzymał się zawsze na uboczu. Teraz Luke jest księciem. Miałam nadzieję, że w końcu wróci do domu. Wszyscy na to liczyliśmy.

Przez dziesięć lat mieszkał w Paryżu i nawet nie przyjechał na pogrzeb ojca ani brata? Przez dziesięć lat nie widział swojej siostry? Tak go pochłaniały rozrywki tego świata, że zapomniał o rodzinie i domu? O swoich powinnościach jako księcia Harndon? Tylko człowiek rozpustny i bez serca ma za nic własną rodzinę - rozmyślała poruszona Anna.

- A może pani, lady Anno - szepnęła Doris - uda się go zatrzymać w Anglii i sprowadzić na łono rodziny, do Bowden Abbey?

Osoba, która właśnie weszła, zwolniła na szczęście Annę od odpowiedzi; był nią nieco korpulentny, rumiany, wyraźnie rozemocjonowany młody mężczyzna, który musiał chyba czuć się tutaj tak samo nie na miejscu, jak przybyłe przed paroma tygodniami do Londynu Anna i Agnes. Gospodarz przedstawił go obecnym: baron Severidge, mający swą siedzibę w pobliżu Bowden Abbey. Szybkim skinieniem głowy powitał nowych znajomych i klapnął na zwolnionym przez Ashleya fotelu obok Agnes. Anna szczerze siostrze współczuła.

Tymczasem księżę Harndon zajął miejsce po jej drugiej stronie. Obróciła ku niemu głowę, uśmiechnęła się, po czym całą swoją uwagę skupiła na scenie. Przedstawienie zaraz się rozpocznie.

Była zafascynowana muzyką i grą aktorów. Przez przeszło godzinę siedziała zasluchana i zapatrzona, nic innego nie docierało do jej świadomości. Nigdy w życiu nie przeżywała czegoś tak wspaniałego. W końcu jednak poczuła potrzebę podzielenia się z kimś swoimi doznaniem i obróciła się ku księciu.

Siedział rozparty w fotelu i obserwował ją, nie scenę. Z niepewną miną spojrzała mu w twarz. Złożony wachlarz położył na kolanach. Uniósł go i jego końcem dotknął delikatnie dłoni Anny wspartej o pokryty aksamitem skraj łoża. Przesunął go od paznokcia średniego palca po nadgarstek. Nie odrywał od niej oczu. Nie uśmiechał się.

Anna poczuła, że jakieś głęboko intymne doznanie stało się ich udziałem. Gdyby

trzeba było teraz wstać z miejsca, myślała, kierując nie widzące oczy na scenę, nogi by się pod nią ugięły.

Przez resztę wieczoru każdym nerwem wyczuwała bliską obecność księcia.

W drodze powrotnej siedziała w mrocznym powozie obok księcia, naprzeciwko siostry i matki chrzestnej. Nie dotykał jej - wyczuwała jedynie bijący od niego żar.

- Czy podobał się pani spektakl? - zapytał.

Uśmiechnęła się do niego radośnie, lecz w ciemności chyba tego nie zauważył.

- Oj, tak - odparła. - Był cudowny. Nie przypuszczałam, że może być aż tak pięknie.

Podziela pan moją opinię?

Chrzestna matka, jak spostrzegła Anna, rozmawiała z ożywieniem z jej siostrą. Zdaniem Anny lady Sterne usiłowała w ten sposób, bardzo taktownie zresztą, zapewnić im choćby namiastkę intymności.

- Piękny był cały wieczór - rzekł książę, akcentując słowo „wieczór”. - Nie potrafiłem jednak skoncentrować się na przedstawieniu.

- Ach! - powiedziała i zabrzmiało to jak lekkie westchnienie. Milczał, a ona patrzyła na niego wyczekująco, z uśmiechem, aby po chwili skierować uwagę na panie siedzące naprzeciwko.

Przed domem lady Sterne wszyscy wysiedli z powozu; książę wszedł z nimi do środka. Przytrzymał Annę za ramię, podczas gdy obie panie podążały na górę. Oczekał, aż znajdą się na piętrze.

- Uprzejmie proszę o pozwolenie, madame - zaczął - złożenia pani jutro rano wizyty; chciałbym porozmawiać o pewnej ważnej dla pani sprawie.

Jutro rano? Ważna sprawa? Serce Anny było przyspieszonym rytmem, a umysł szukał gorączkowo jakiejś racjonalnej przyczyny tego pośpiechu.

- Oczywiście, książę - odparła, a głos jej brzmiał tak, jakby przebiegła milę pod wiatr.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Jest pani pełnoletnia? - zapytał.

- Tak - potwierdziła, patrząc nań rozszerzonymi oczyma. - Mam dwadzieścia pięć lat, wasza wysokość. Uważał mnie pan chyba za młodszą. - Może źle go zrozumiała? Tak, z pewnością. Ale dlaczego zapytał ją o wiek?

- Mogę zatem omówić pewną sprawę z panią, a nie z jej bratem? Spoglądała na niego, czując, że traci oddech.

- Tak, może pan - odparła niemal szeptem.

Wówczas pojawiła się na schodach lady Sterne, zapraszając go na mały poczęstunek.

Odmówił uprzejmie, złożył ukłon obydwu paniom i odszedł.

- Uwierz mi, dziecko - powiedziała lady Sterne, objąwszy Annę i kierując się w stronę schodów. - Stanowicie piękną parę. Wiedz, że księżę przez cały wieczór nie odrywał od ciebie wzroku. Sądzę, że jeszcze tej wiosny można się spodziewać jego oświadczyn.

- Ależ, ciociu Marjorie! - wykrzyknęła Anna z przerażeniem. Czemu jednak miałyby służyć te jutrzejsze odwiedziny?

- Agnes czeka na nas w jadalni - rzekła lady Sterne, idąc z chrześniaczką na górę. - Zanim udamy się na spoczynek, omówimy we trójkę sprawę wesela. - Roześmiała się radośnie.

Anna, wchodząc do jadalni, marzyła tylko o jednym: znaleźć się jak najszybciej w swoim pokoju, zamknąć drzwi i przestać myśleć. Czuła, że zaraz zemdleje.

Luke doznawał uczucia, iż rozpoczął grę, której nie sposób zatrzymać, że działał pod wpływem szaleńczego impulsu, nie dopuszczając do głosu rozsądku. Przez całe śniadanie rozmyślał o tym i czuł się tak, jakby wskoczył do dołu pełnego jadowitych żmij.

Analizował drobiazgowo wszystkie swoje słowa wypowiedziane wczoraj wieczorem. Czy brzmiały jednoznacznie? A może dałoby się im nadać inny sens, co pozwoliłoby mu wycofać się z honorem? Nie, jego zachowanie nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Zapowiedział swoją wizytę na dziś rano, a to nie są towarzyskie odwiedziny. No i oznajmił, że musi z nią omówić pewną bardzo ważną sprawę. Spacer? Bzdura. Przecież zapytał, czy jest pełnoletnia, po czym orzekł, że wobec tego omawianie z bratem Anny owej ważnej sprawy jej dotyczącej nie jest konieczne.

Istotnie. Niewiasta musiałaby być kompletną idiotką, gdyby nie domyśliła się, o co chodzi, a miał podstawy mniemać, iż Anna nią nie była, nawet jeśli jej umysłu nie cechowała zbyt duża głębia.

Stało się. Po dziesięciu latach życia według własnych reguł, po dziesięciu latach pełnej niezależności skapitulował w ciągu trzech dni - trzech dni! - powodowany księżącym poczuciem odpowiedzialności za rodzinę. Nie chciał dźwigać jej na swych barkach! Chciał wrócić do Paryża i dalej prowadzić życie, jakie najbardziej mu odpowiadało, jakie wiódł od wielu lat. Chciał zapomnieć o Anglii i rodzinie. Chciałby, żeby George żył i był ojcem dziesięciu dorodnych synów. Chciałby być znowu zwykłym bratem, Lucasem Kendrickiem.

Ale nie zawsze ma się to, czego się pragnie. Dla niego nie ma już odwrotu; musi zmierzać w kierunku, który w tak nieprzemyślany sposób obrał ubiegłego wieczoru. A może jednak nie był to chwilowy impuls? Jeszcze przed powrotem do Anglii pewne okoliczności skłaniały go ku takiemu rozwiązaniu. Niewątpliwie.

Najważniejsze teraz to iść na górę, ubrać się i udać niezwłocznie do domu lady Sterne. Chciałby, żeby już było po wszystkim i niech się stanie to, co za jego sprawą stało się już nieuniknione. Lecz tak wczesnym rankiem nie wypadało składać damom wizyty. Nie wiedział, co ma począć z czasem, jaki pozostał do nadejścia bardziej odpowiedniej pory.

Problem sam się rozwiązał: zaanonsowano, że przyszedł jego brat i prosi uprzejmie o możliwość zamienienia z nim paru słów. Odrzuciwszy serwetkę, Luke wstał ochoczo od stołu.

- Jak się masz, Ashley - powiedział, wchodząc do holu, gdzie jego brat kontemlował rzeźbę Wenus. Przysłaniające ją cienkie draperie rozwiewał niewyczuwalny podmuch

powietrza i właściwie równie dobrze mogłaby być całkiem naga.

- Chodźmy do biblioteki. Czemu zawdzięczam honor widzenia cię u siebie?

Idąc we wskazanym kierunku, lord Ashley uśmiechał się szeroko.

- Nie wiedziałem, Luke, czy zdążyłeś już wstać o tej godzinie - powiedział. - Boże, co za kapitalny strój poranny masz na sobie. Prawie tej samej barwy co surdut, w jakim byłeś na balu.

- Siadaj. - Luke wskazał mu fotel obok kominka, a sam zajął miejsce po przeciwnej stronie. Zakotował sobie w myślach, że jego brat, wysoki, szczupły i przystojny, nosi się modnie, ale z pewną niedbałością. Typowy Anglik.

- Wczorajszy spektakl w Covent Garden był kapitalny - rzekł Ashley. - No i piękna muzyka!

- Też tak uważam - zgodził się Luke. - Nigdy zresztą nie zdarzyło mi się widzieć, by to dzieło wykonano niedbale.

- To prawda - potwierdził Ashley. - A lady Anna Marlowe jest wspaniałą kobietą. W drodze powrotnej Doris wyraziła taką opinię, a matka przyznała jej rację. Sądzę, że istnieją duże szanse, że dzięki niej wreszcie się ustakujesz. - Obdarzył brata miłym, acz filuternym uśmiechem.

- Czyżby? - zapytał Luke cicho, uniósłszy w górę brwi. Obserwował, jak brat to zaciska, to rozluźnia dłonie na oparciu fotela. Mimo wesołości wyczuwało się w nim jakieś napięcie. - Ale nie przyszedłeś tu, mój drogi, po to, by dyskutować o sztuce czy chwalić mój gust tycający niewiast. Co masz mi do powiedzenia? Znowu szeroki uśmiech.

- Nic szczególnego - powiedział - poza tym, że Colby przekroczył wszelkie granice przyzwoitości.

- Zarządca? - spytał Luke. - Co takiego zrobił, że jesteś tak wzburzony?

- Zwrócił mi wszystkie moje rachunki, ot co. Czy możesz sobie wyobrazić bezczelność tego człowieka? Powiedział, że w tym kwartale znów przekroczyłem koszty i że bez twego pozwolenia nie wypłaci mi pieniędzy - i że muszę zwrócić się z tym do ciebie, nie do niego.

Luke wyciągnął rękę - jego brat wpatrywał się w nią tępym wzrokiem.

- Rachunki - powiedział Luke.

Ashley zaczerwienił się po korzonki włosów.

- Nie wziąłem ich ze sobą - rzekł. - Chodzi mi tylko o to, byś kazał Colby'emu wypłacić mi pieniądze i żeby na przyszłość nie czynił mi takich afrontów.

- Co to za rachunki? - nastawał starszy brat.

- Surduty, kamizelki, buty, laski, kapelusze. Skąd, do diaska, mam wiedzieć, czego one dotyczą? - Ashley wyrażał się chyba zbyt swobodnie. - Bądź człowiekiem, Luke. Nigdy nie żywiłem niechęci do George'a przysięgam, ale pewną rzecz miałem muza złe i dlatego rad byłem, że umarł i ty staniesz się głową rodziny. Ty zawsze byłeś spokojny, opanowany. Pamiętam, jaką wykazałeś cierpliwość, bawiąc się ze mną i z Doris, choć byłeś przecież od nas starszy.

- A inne długi? - zapytał Luke, nie pozwalając zbić się z tropu. - Karciane, na przykład?

Ashley znowu się zaczerwienił.

- Przez całe życie muszę się przed kimś tłumaczyć! Owszem, znajdą się i takie. Raz się wygrywa, raz się przegrywa. Taka jest natura gry.

- Ale gdy się stale przegrywa więcej, niż wygrywa - powiedział Luke - to raczej jest to natura gracza, mój drogi.

- Daj spokój - rzekł Ashley, zajmując w fotelu wygodniejszą pozycję. - Czy musisz mówić do mnie „mój drogi”, i to tym swoim słodkim głosem, jakbym był dziewczynką. Powiedziałaś, że nie jestem dobrym graczem?

- Wygłosiłem oświadczenie, nie oskarżenie.

- Na Boga, stroisz sobie ze mnie żarty? - zapytał Ashley, marszcząc brwi. - Nie wyobrażasz sobie, Luke, jakie to okropne żyć z tych kwartalnych wypłat! Sam wydajesz fortunę na stroje - obejrzałem sobie kilka. Nie potrzeba eksperta, żeby stwierdzić, iż w Paryżu nie ma piękniejszych. Czy chcesz, żeby twój brat wyglądał jak nędzarz?

Luke sięgnął do kieszeni po tabakierkę i zażył szczyptę tabaki. Spojrzał pytająco na brata i wyciągnął ku niemu pudełeczko. Ashley potrząsnął głową.

- Zapomniałeś chyba - rzekł Luke - że przez dwa lata ja też byłem młodszym bratem.

- Masz kosztowne gusta. Ale gotów jestem założyć się, że Colby nigdy nie odmówił regulowania twoich rachunków.

Luke spojrział na brata spod półprzymkniętych powiek.

- Nie, nie odmówił. A to z tej przyczyny, że nie przesłałem mu ni gdy żadnego mojego rachunku. Po opuszczeniu domu zamknięto przede mną rodzinną kasę.

Ashley patrzył na niego zaszokowany.

- Przyślij mi te rachunki pod koniec dnia - oświadczył Luke. - Zapłacę je, ale najpierw; chcę się im przyjrzeć. Poznam także szczegóły dotyczące twoich wypłat i jeśli uznam za stosowne, zarządzę ich powiększenie. Od następnego kwartału. Mam nadzieję, że starczy ci na życie.

- Na życie? - Ashley zbladł. - Chyba na życie w domu? Luke uniósł pytająco brwi.

Ashley zerwał się na równe nogi.

- Dochodziły nas przez te lata różne słuchy o tobie, Luke - powiedział - o twojej pozycji wśród francuskich elit, o twoich pojedynkach, o twoich kobietach. Wierzyłem w to wszystko oprócz jednej rzeczy. Wieść głosiła, że jesteś człowiekiem bez serca, że masz za nic uczucia, że liczy się dla ciebie tylko własna przyjemność. Nie dawałem temu wiary. Zawsze miałem w pamięci starszego brata, który bawił się ze mną, którego uwielbiałem. Niech to wszyscy diabli, zaczynam wątpić, czy ten mój brat żyje.

- Nie żyje - odrzekł Luke cichym głosem. - Zmarł śmiercią tragiczną przed dziesięcioma laty. Jedynie George przeżył pojedynek.

Ashley wstał i skierował się w stronę drzwi. Przystanął z ręką na klamce i rzekł po chwili milczenia:

- Przyślę ci te rachunki. - Po czym dodał bezbarwnym głosem: - Dziękuję, że się nimi zajmiesz.

Luke słyszał trzask otwieranych i zamykanych drzwi. O, Boże. Wsparł głowę o fotel i zamknął oczy. Oto zrobił sobie wroga, i to w sposób najgorszy z możliwych. Ashley, przychodząc do niego w takiej sprawie, i tak czuł się wystarczająco upokorzony. A Luke, zamiast machnąć na wszystko ręką i powiedzieć: tak, oczywiście, wyślę Colby'emu odpowiednie zalecenia, i od razu zmienić temat, zażądał od brata rachunków, których ten oczywiście nie miał przy sobie. Upokorzył go jeszcze bardziej.

Dlaczego tak postąpił? Czyżby chciał uczyć brata poczucia odpowiedzialności? Karać go za to, że jego, Luke'a, gdy miał dwadzieścia trzy lata i był nieodpowiedzialnym młodszym bratem, żaden starszy brat nie rozpieszczał?

Pamiętał czasy, o których mówił Ashley. W domu w owych latach był znacznie częściej starszym bratem niż George. Młodsze rodzeństwo uwielbiało go, bardziej niż on uwielbiał George'a. A on odpłacał im szczerze, darząc ich uczuciem, poświęcając im swój czas, nie okazując zniecierpliwienia. Wysoki młody mężczyzna, który zagniewany i upokorzony opuścił jego progi, był tym samym tryskającym energią chłopakiem, z którym wchodził na drzewa, którego uczył pływać, łowić ryby. Dawno, dawno temu. Całe wieki temu.

Sęk w tym, że nie umiał już kochać. Mało tego: nauczył się nie kochać, chronić się przed bólem, upokorzeniem i zdradą. Przez dziesięć lat był szczęśliwy - tak szczęśliwy, jak może być człowiek, który ze swego życia wykreślił miłość.

Teraz jednak, gdy dotknął boleśnie i upokorzył swego brata, poczuł coś w rodzaju

wyrzutów sumienia. Niepotrzebnie. Człowiek nie powinien żyć ponad stan, licząc na to, że ktoś, jak gdyby nigdy nic, zapłaci jego rachunki - nawet jeśli ów gest nie uczyni żadnego uszczerbku w fortunie płacącego.

Ashley powinien dostać od życia jakąś nauczkę, a im szybciej to się stanie, tym lepiej dla niego. Tym większe będzie miał szanse na pokonanie wszelkich trudności, jakich świat nie skąpi. W świecie dorosłych nie ma miejsca na sentymenty. W sytuacji, jaka zaistniała nie powinien mieć żadnych wyrzutów sumienia.

Nagle zerwał się na równe nogi. Dziś rano jego myśli winny być skierowane całkiem gdzie indziej. Najwyższy czas ubrać się i udać do rezydencji lady Sterne.

Wizyta Ashleya miała przynajmniej jedną dobrą stronę, myślał, wchodząc po schodach i wydając odpowiednie polecenia swemu lokajowi. Oderwała go od rozważań o tym, co być może zaważy na całym jego życiu.

Postanowił nie zastanawiać się nad tym. Skupi się na własnym wyglądzie. Przywdzieje strój stateczny, odpowiedni na poranną wizytę. Żadnej ostentacji.

Zatęsknił nagle za Paryżem, za przyjemnym tokiem spędzanych tam dni. Wizyta Ashleya i to, jak potraktował brata, przygnębiły go bardziej, niż sam się do tego w duchu przyznawał.

Obie panie, Anna i lady Sterne, siedziały w pokoju porannym. Zajmowały się haftem i rozmawiały o wydarzeniach towarzyskich, w jakich miały wziąć udział w przyszłym tygodniu. Najznamienitszym miał być bal u lorda i lady Castle. Agnes wyszła po sprawunki z nowo poznaną przyjaciółką i jej matką.

- Być może Agnes spotka na tym balu kogoś, kto bardziej przypadnie jej do gustu - rzekła Anna. - Kilku dżentelmenów sprawiało wrażenie zainteresowanych nią mimo braku zachęty z jej strony. Sądziłam wczoraj wieczorem, że może lord Ashley Kendrick... Ale kiedy lord wstał na chwilę, lord Severidge zajął jego miejsce obok Agnes. Wzburzyło ją to, ale ten biedny człowiek wyglądał tak pocziwie...

- Pamiętajmy, że Agnes ma dopiero osiemnaście lat - powiedziała lady Sterne. - Lecz niewątpliwie to rozsądna dziewczyna. Jest młodą damą i głowę daje, że nie przyjmie pierwszej lepszej oferty matrymonialnej, chyba że ów dżentelmen jej się spodoba. Nie trap się nią, Anno. Zważywszy okoliczności, bardzo ładnie sobie poczyna.

- Martwię się o nią - rzekła Anna z westchnieniem. - Wiktor jest taki młody, sam się jeszcze nie ożenił. Nie chciałby być obarczony dwiema niezamężnymi siostrami i obowiązkiem znalezienia im mężów - pomijając fakt, że i Emilia wejdzie niedługo w wiek małżeński i jest mało prawdopodobne, by znalazł się ktoś, kto zechce się z nią ożenić mimo

jej wdzięcznej urody. Tym bardziej, że nie jest posażna.

- Dwie niezamężne siostry - powtórzyła lady Sterne, ostrząc język przed następnym zdaniem. - Zauważyłam, że nie wspomniałaś o sobie, bo sądzisz, moje dziecko, że wiek małżeński jest już poza tobą.

Anna zarumieniła się i pomyślała o tym, o czym od rana starała się ze wszystkich sił zapomnieć. Mimo godzin porannych włożyła na siebie nową suknię - co nie uszło uwagi matki chrzestnej. Anna nic jej dotąd nie powiedziała. A powinna była.

- O - o mało... nie wyszło mi... z - z pa - amięci - rzekła, stwierdzając z konsternacją, że się jąka, co nie zdarzyło jej się od wielu lat. - Możliwe, że księżę Harndon złoży nam dziś rano wizytę.

- Możliwe? - Lady Sterne obrzuciła ją ostrym spojrzeniem, igła zawisała nad jej robótką. - Dziś rano? O, Boże, dziecko, o tym właśnie marzyłam. Przyjdzie, żeby ci się oświadczyć?

- No, nie - zaprzeczyła Anna, wyraźnie spłoszona. - Po prostu chce złożyć wyrazy uznania, ciociu Marjorie. Przypuszczam, że jest ciekaw, czy miło spędziłyśmy wczorajszy wieczór w teatrze.

- Doprawdy, moje dziecko - rzekła lady Sterne, zwijając robótkę i odkładając ją na stół - zastanawia mnie twoja wstrzeźliwość. Nic więcej ci nie powiedział? O celu swej wizyty?

- N... nie - skłamała. - Nic więcej. A może wcale nie przyjdzie? Powiedział to ot tak sobie, od niechcenia. Nie sądzę, żeby przyszedł.

„Uprzejmie proszę o pozwolenie, madame, złożenia pani jutro wizyty; chciałbym porozmawiać w pewnej ważnej dla pani sprawie”.

Te słowa dźwięczały jej w głowie. Jeśli nawet istniała możliwość, że miał na myśli coś zupełnie innego niż to, co wydawało się oczywiste, to jego następne słowa rozwiewały wszelkie wątpliwości. Zapytał, czy jest pełnoletnia. Gdy podała mu swój wiek, orzekł, iż wobec tego najpierw porozmawia z nią, potem z Wiktorem.

Zamierzał prosić ją o rękę.

Pewność w tej kwestii spędziła dzisiejszej nocy sen z jej powiek.

Musi mu odmówić, to oczywiste. Nie ma wyboru. Nawet gdyby Lovatt Blaydon nigdy nie wrócił z Ameryki. Nie wolno jej wyjść za mąż. Mógł wrócić, tak jak zapowiadał. A łączyły ich więzy ściślejsze niż niewolnika z jego panem. Gdy leżała w nocy w łóżku, to pocąc się od ogarniającego ją żaru, to znowu drząc z zimna, wspominała - i nie mogła położyć tamy tym wspomnieniom - jak kiedyś objął dłońmi jej szyję i powoli, bardzo powoli

je zaciskał, tak jak - opowiadał - sznur zaciska się na szyi skazańca, i że ten sznur, gdy zapadnia się otwiera, nie zawsze rozrywa kręgi szyjne, ale po prostu dusi. Omal wtedy nie zemdląca.

Musi odmówić księciu Harndon. Prosta sprawa. On się jej oświadczy, ona mu odmówi, on wyjdzie. Całkiem prosta. Ale jedno nie ulegało dla niej wątpliwości: przez parę minut trwania tej wizyty będzie musiała stawić czoło największej pokusie w swoim życiu.

Pragnienie, rozpaczliwe, przemożne pragnienie ucieczki od samej siebie, od własnego losu, było nie do zniesienia. Popęłniła błąd, rozpoczynając flirt z księciem. Teraz, kiedy przekonała się, jak cudowne może być życie, chciała czerpać z niego pełnymi garściami. Lecz mogło ją to zabić. Jak trucizna.

- Śmiem twierdzić, że nie przyjdzie - powiedziała tonem nieco ostrzejszym i uśmiechnęła się do matki chrzestnej. - Panowie zwykli chyba tak mówić, odprowadzając panie do domu?

- Co też ty opowiadasz? - rzekła lady Sterne, potrząsając głową z dezaprobatą.

Więcej już powiedzieć nie zdążyła, bo właśnie lokaj otworzył drzwi i zapytał, czy wielmożna pani i lady Anna zechcą przyjąć jego wysokość księcia Harndon.

Anna mocno zacisnęła powieki, ale zaraz je otworzyła. Z zamkniętymi oczami czuła się jeszcze gorzej.

Luke ubrany był w szmaragdową zieleń i złoto. Anna stwierdziła, że wyglądał wspanialej niż kiedykolwiek przedtem. Być może dlatego, że nie był już jej księciem z bajki, z którym ośmielała się flirtować, był człowiekiem, który przyszedł, by wystawiać ją na pokusę i którego musi odrzucić - na zawsze. Po kilku krótkich, ukradzionych losowi chwilach, po cudownym upojeniu i niezwykłym jej naturze flircie piękna bajka właśnie się kończy.

Zaczęła podejrzewać, że jednak nie miała racji. Przez piętnaście minut księżę z gracją i wdziękiem prowadził rozmowę z nimi obiema, co zdawało się wykluczać inny powód jego wizyty. Tymczasem, gdy Anna nieco się już odprężyła, wypowiedział słowa, które przejęły ją lękiem. Nie od razu trafiły do jej świadomości. A więc zwrócił się z pytaniem do jej chrzestnej matki:

- Madame - zaczął - czy byłaby pani uprzejma pozwolić mi na rozmowę w cztery oczy z lady Anną?

Lady Sterne natychmiast wstała, uśmiechając się ciepło.

- Oczywiście, Harndon. Minęły już jej dziewczęce lata i nie potrzebuje przyzwoitki. Wróć jednak za dziesięć minut.

Luke przemierzył pokój, by otworzyć drzwi przed lady Sterne. Anna uniosła się z miejsca. Podeszła do okna niemal tego nieświadoma i patrzyła w dal nie widzącymi oczyma. Słyszała bicie własnego serca, które podeszło jej do gardła, tamując oddech.

Boże, proszę, dobry Boże, proszę Cię, dobry Boże, modliła się do ducha. Wiedziała jednak, jak daremne są to modlitwy. Już od lat Bóg był na nie głuchy. A może poddawał ją próbie, jak poddawał próbę Hioba, chcąc się przekonać, ile ten zdoła znieść, nim się załamie? Wydawało się jej, że stoi na samej krawędzi przepaści.

Jego głos rozległ się tuż za nią.

- Madame - zaczął cicho - domyśla się pani chyba, dlaczego przy szedłem i co mam pani do powiedzenia?

Odwróć się. Powiedz mu. Teraz. Ze zdziwioną miną powiedz, że nie, nie masz pojęcia. Nie, nie tak. Zrób poważną minę. Zakłopotaną. Powiedz mu, że jest ci przykro, ale on błędnie ocenił sytuację. Powiedz mu, że w twoim życiu jest ktoś inny. Czeka na nią w domu. Dreszcz przeszył ją na myśl, że ten człowiek może istotnie na nią czekać.

Odwróciła się. Czyniąc to, przywdziała maskę, właściwie chciała ją przywdziać, mówiąc mu, że cieszy się z pobytu tutaj i będzie się cieszyć, aż nastanie pora powrotu do domu. Tymczasem pomyliła maski. Uśmiechała się promiennie, oczy jej rozbłysły.

- Ależ nie, wasza wysokość - rzekła. - Żadna kobieta nie ośmieliłaby się demonstrować takiej pewności siebie. A jeżeli wysnułaby błędny wniosek? Proszę sobie wyobrazić, w jak kłopotliwej sytuacji by się znalazła. - Roześmiała się. Chciała ponownie ujrzeć ów pytający ogień w jego oczach. Czowała przemożną, typowo kobiecą potrzebę górowania nad tym mężczyzną. Po raz ostatni.

Obserwowała siebie samą, jakby stała obok, słuchała wypowiedzianych przez siebie słów, przerażona, zawstydzona. Straszliwie nieszczęśliwa.

- Ma pani absolutną rację. - Patrzył na nią przenikliwie spod tych swoich półprzymkniętych, ciężkich powiek, w sposób tak niestosowny, że ugięły się pod nią kolana. - Proszę mi wybaczyć, nie mam doświadczenia w tych sprawach.

Ujął jej prawą rękę, przykrył nią swą lewą dłoń. Niebywała intymność. Annie zaschło w gardle.

Po czym wprawił ją w zdumienie, klękając na jedno kolano. I nawet nie wyglądało to śmiesznie.

- Madame - zaczął. - Lady Anno, czy uczyni mi pani ten zaszczyt i zostanie moją żoną, co sprawi, że będę najszczęśliwszym człowiekiem na świecie?

Stało się, słowa padły. Słowa, których oczekiwała i na które miała przygotowaną

odpowieź. A jednak ich sens nie docierał do jej świadomości. Spojrzała w dół, prosto w jego oczy, i lekko się ku niemu pochyliła. I wtedy odnalazła zaszyfrowany w tych słowach sens.

Słowa, których oczekiwała i na które miała przygotowaną odpowiedź. Lecz były tak zaskakująco cudowne! Mogła zostać jego żoną, mogła odzyskać wolność i znaleźć szczęście, zrzucić z siebie wszystkie troski, jak wąż zrzuca skórę. Mogła zostać jego żoną.

Nie, nie mogła.

Próbowała oponować:

- Wasza wysokość - rzekła głosem cichszym od szeptu. - Ja nie mam majątku. Być może nie wie pan o tym. Mój ojciec stracił prawie wszystko, nie ze swojej winy, a mój młodszy brat nie ma żadnej szansy, by go odzyskać. Jestem bez posagu.

- Proszę tylko o panią - powiedział, wstając, lecz nie puszczając jej dłoni. - Mam wielką fortunę. I nie zależy mi na jej powiększaniu.

Pragnął jej. Tylko jej. Ponowiła próbę:

- Mam dwadzieścia pięć lat, wasza wysokość. Powinien pan mieć młodszą narzeczoną.

- Chcę właśnie mieć narzeczoną w pani wieku. Chcę panią za żonę. Pragnął jej. O Boże, dobry Boże, on jej pragnął!

- Mam siostry - rzekła. - Dwie, za które po śmierci rodziców jestem odpowiedzialna. Mój brat jest za młody, by, poza stroną finansową, przejąć nad nimi opiekę. Muszę wrócić do domu, aby czuwać nad nimi.

- Pani siostry - odparł - mogą równie dobrze mieszkać razem z nami, jeśli taka będzie pani wola. A jeżeli brak im posagu, co napawa panią lękiem o ich przyszłość, to gotów jestem ten posag im zapewnić. Czy są jakieś inne powody, lady Anno - zapytał - które osłabiłyby moją wolę poślubienia pani? Jakież tajemnice?

- Nie... - szepnęła.

- A więc... - Poczowała nagle przyjemne ciepło i krzepiącą siłę jego rąk. - Chce mnie pani za męża? Chce pani zostać moją księżną?

Gdyby cofnął dłonie, nie ustałaby w miejscu, upadłaby na podłogę jak długa. Gdyby cofnął dłonie, znikłoby źródło ciepła, ogrzewające jej ciało. Zamarzłaby. Jeśli powie „nie”, on cofnie dłonie.

- Tak.

Słowo to ledwie wyszeptwała, ale jego waga i moc przytłoczyły ją. Nie wierzyła, że padło z jej ust. I nie wykonała najmniejszego gestu, żeby je wycofać. Wirowało w powietrzu niczym jakiś realny przedmiot.

Podniósł jej rękę i przywarł ustami do wewnętrznej strony dłoni.

- Zatem jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, madame - rzekł.

Owe konwencjonalne słowa pieściły ją jak aksamitna rękawiczka. A zarazem ugodziły jej serce niczym ostrze noża.

Uśmiechnęła się do niego czarująco. Potrafiła, jak widać, posługiwać się maską.

Luke rad był, że przez resztę dnia musiał zająć się interesami.

Lady Sterne, zgodnie z zapowiedzią, po dziesięciu minutach wróciła do pokoju porannego. Była, rzecz jasna, zachwycona obrotem spraw.

Święcie wierzyła, że to zasługa jej i Teo, i gratulowała sobie, że ich nadzieje tak szybko się spełniły.

Lady Anna Marlowe nie życzyła sobie hucznego wesela, wymagającego miesięcy przygotowań. Najważniejsze, by o ślubie powiadomiono jej brata. Był w domu swej narzeczonej, odległym o zaledwie dzień jazdy od Londynu. Wołała nie sprowadzać tu swojej najmłodszej siostry - za długo by to trwało.

Luke czuł wielką ulgę. Nie dając sobie czasu na drobiazgowo zastanawianie się, wykonał krok jakże poważny - chciał więc teraz jak najszybciej mieć to wszystko za sobą. Uniknąć tygodni, a może miesięcy rozważań, czy może warto się wycofać. Nie, klamka zapadła. Jako człowiek żonaty musi jednak przyzwycząić się do pewnych zmian w swoim życiu.

Sugerował, by, uzyskawszy odpowiednią licencję, wzięli ślub w ciągu trzech najbliższych dni, na co Anna wyraziła zgodę. Pobiorą się w Londynie i przez jakiś czas pozostaną w mieście. Trudno mu było się zdecydować na wyjazd do Bowden. Może da się tego na razie uniknąć. W głębi duszy żywił jednak przekonanie, że nieuchronność powrotu wpłynęła w znacznej mierze na jego decyzję o małżeństwie. Nie zenił się wszak z powodów czysto osobistych.

A jednak, patrząc teraz na swoją narzeczoną - jego narzeczoną! - nie był tego taki pewny. Uśmiechała się promiennie i przepięknie wyglądała. Zauważył, że ubrała się z okazji jego wizyty w sposób bardziej wyszukany, niż wymagały tego poranne godziny. Była tak radosna i szczęśliwą choć przecież szczerze i uczciwie powiedziała mu, że z takich czy innych powodów nie nadaje się na jego narzeczoną. Zastanawiał się, czy Anna go kocha.

Zawsze czuł się nieswojo na myśl, że jakaś niewiasta jest w nim zakochana. Zrywał romans, nawet jeśli nie zdążyła mu się jeszcze znudzić. Nie potrafił odwzajemnić miłości. Z lady Anną Marlowe sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Ma zostać jego żoną. I choć nie potrafił jej kochać, świadomość, że jest piękna, szczęśliwa i pełna życia, sprawiała mu niewątpliwą przyjemność.

Skoro już musiał się ożenić - a wszystko wskazywało na to, że musiał - to spośród licznych kobiet, jakie spotkał w życiu, tylko ona odpowiadała jego wymogom.

Chyba że Henrietta, podszeptała wbrew jego woli jakiś głos. Ale to było całe wieki temu.

Pochylił się nad dłonią lady Anny, ujął ją w obie ręce.

- Mniemam, madame - rzekł - że uczyni mi pani ten zaszczyt, tańcząc ze mną pierwszy taniec i ostatni taniec przed kolacją na dzisiejszym balu.

Uśmiech jej promieniał radością. Aż cofnął się o krok, by go lepiej widzieć.

- Dziękuję waszej wysokości - odparła. - Będę oczekiwała niecierpliwie obydwu tańców.

- A ja tylko tych dwóch będę oczekiwał. Uniżony pani sługa. - Uniósł jej rękę do pocałunku.

Zadecydował, acz z wielkimi oporami, że wizyta w Harndon House jest absolutnie niezbędna. Oczywiście żałował, że wrócił do Anglii i odnowił kontakty z rodziną. Ale stało się. Teraz musi być konsekwentny. Powinien porzucić wszelkie myśli o powrocie do Paryża i dawnego życia.

Zastał w domu obie panie - matkę i siostrę. Rozmawiali o wczorajszym pobycie w teatrze. Doris stwierdziła, że on całą swoją uwagę skupiał na lady Annie Marlowe. Uśmiechnęła się przy tym figlarnie.

- Jest piękna - orzekła. - Znacznie piękniejsza niż markiza d'Etienne z całym tym jej paryskim szykiem.

- Doris! - upomniała ją ostro matka, a Luke uniósł brwi ze zdziwieniem. - Nie zapominaj o dobrych manierach.

Doris mrugnęła do Luke'a porozumiewawczo.

- Lady Anna Marlowe sprawia wrażenie dobrze wychowanej młodej damy - powiedziała księżna do syna. Luke zauważył, że tak jak poprzednim razem matka nie patrzy mu w oczy. - Jest córką hrabiego Royce'a. Ma zatem odpowiednie pochodzenie.

- Odpowiednie do czego, madame, jeśli można wiedzieć? - zapytał z wciąż uniesionymi brwiami.

- Od tak dawna sprawa sukcesji jest niepewna - powiedziała. - Najwyższy czas, żeby w Bowden Abbey rządziła prawdziwa pani domu, kobieta będąca żoną obecnego księcia. W tym wypadku, Lucas, musisz przedłożyć obowiązek nad przyjemność.

- Ku twojemu zadowoleniu, madame - oznajmił - żenię się z lady Anną. Od dziś za trzy dni, odpowiada ci to?

Popatrzyła na niego podejrzliwie, zacisnąwszy nieznacznie wargi.

- Jadę prosto od lady Sterne - powiedział - gdzie oświadczyłem się lady Annie i

zostałem przyjęty. Za trzy dni ślub.

Doris wrzasnęła całkiem nieelegancko, przebiegła przez pokój, rzuciła mu się na szyję i pocałowała w policzek.

- Luke! - zawołała. - Wiedziałam, że tak się stanie. Że zakochasz się w niej, ożenisz i wrócisz do domu. I wszystko będzie tak jak trzeba. Jestem tak szczęśliwa, że chciałabym krzyczeć na cały głos.

- Proszę cię, moja droga, nie krzycz - powiedział łagodnie Luke.

- Doris! - skarciła ją matka.

Lecz Doris nie dała się poskromić. Oplotła ramionami szyję Luke'a. - On jest moim bratem, mam - rzekła - i wraca do domu. Mimo tych twoich pięknych strojów, eleganckich manier i pozornego znudzenia jesteś tym samym Lukiem. Wiem o tym i bardzo się cieszę. No i obiecuję, że będę lubić tę moją... bratową.

Akcent, jaki położyła na zaimku „tę”, sugerował, że tamtej bratowej raczej nie lubiła. Czy Henrietta ma trudny charakter? Czy jej ciężkie przeżycia sprawiły, że jest nie do zniesienia?

- Mam taką nadzieję, Doris - powiedział, czując, że jest trochę skrepowany tak jawnym manifestowaniem uczuć. Doris była taka od dziecka. Przylepka. Lubiła na spacerze trzymać go za rękę. Lubiła tulić się do jego włosów, gdy jako młody chłopak brał ją na barana. Po raz ostatni widział ją wtedy, gdy już na podjeździe desperacko przywarła do niego.

Doris niebawem przeżyje rozczarowanie. Nie był już tym bratem, jakiego zapamiętała z dzieciństwa. Tamten brat już nie istniał.

Matka sprawiała wrażenie zadowolonej. Luke zastanawiał się jednak, czy ona istotnie chce jego powrotu do Bowden, czy też może zależy jej tylko na tym, by miejsce Henrietty zajęła nowa synowa, którą być może łatwiej jej będzie kierować.

Ashleya nie było w domu. Ciekawe, myślał Luke, czy ucieszy się na wieść o jego ślubie, czy też wolałby go widzieć w piekle lub przynajmniej w Paryżu.

Luke pożegnał się i poszedł do klubu, by coś zjeść i odprężyć się po pełnym napięcia przedpołudniu. Spotkał tam wuja i przekazał mu nowinę. Lord Quinn, jak należało się spodziewać, przyjął tę wiadomość z wielką radością i tak gwałtownie potrząsał jego rękę, jakby chciał mu ją wyrwać ze stawu, co zwróciło uwagę innych obecnych w klubie dżentelmenów. Wkrótce połowa gości wiedziała o jego zaręczynach. Na dzisiejszym balu dowie się o tym cały elegancki świat, pomyślał Luke.

Po obiedzie wybrał się do redakcji porannej gazety, by zamieścić nazajutrz zawiadomienie o ich zaręczynach i rychłym ślubie. Po czym pospieszył załatwić licencję.

Późnym popołudniem Luke przybył do hotelu, w którym markiza d'Etienne wynajmowała apartament. Wróciła właśnie ze spaceru, który odbyła w towarzystwie nowo poznanych osób, i zdążyła przebrać się w swobodny, domowy strój. Przywitała Luke'a z rozwartymi ramionami i z dość wyniosłym uśmiechem na ustach.

- Och, *cheri* - rzekła, podstawiając mu policzek do pocałunku. - Jestem na ciebie wściekła. Podobno wczoraj wieczór byłeś w teatrze z tą angielską lady, a że twoja *mamon* też się tam wybierała, wstydziłeś się pokazać w towarzystwie francuskiej markizy. Dziś czekałam na ciebie całą godzinę, wreszcie powiedziałam sobie: *non*, nie będę dłużej czekać na niewiernego kochanka. Być może wrócę do Paryża i obdarzę łaskami innego mężczyznę, co ty na to? Wielu ubiega się o to żarliwie.

- Wiem, Angelique - odparł. - We Francji możliwość bycia twoim kochankiem to rzecz wielce chlubna i przynosi większy zaszczyt niż łaska króla.

- Och, bezwstydnny pochlebco - powiedziała. - Złotousty Luc. Wybaczam ci wszystko, *cheri*, choć zasłużyłeś na karę i przynajmniej przez godzinę powinnam się na ciebie gniewać. Ale byłaby to stracona godzina, nie uważasz? Zabieram cię do łóżka, a ty chełpić się tym będziesz przed jakże nudnymi mieszkańcami Londynu. Chodź - dziś jesteś moim lwem. Jestem gotowa poddać się bez walki, *mon amour*. - Głos miała lekko ochryply, a oczy kokieteryjnie przymknięte.

Kusiło go, by przed powiadomieniem jej o wydarzeniu pójść z nią do łóża. Angelique była niezwykle skrupulatna i bardzo sprawna w tej dziedzinie. Wydałby jednak o sobie fatalne świadectwo, gdyby ukrywał przed nią fakt, który mógłby zmienić radykalnie jej stosunek do niego. Nie zaliczała się w końcu do kobiet, którym płacił za ich usługi. Powinna zatem wiedzieć o jego planach małżeńskich.

- Angelique - zaczął - nie powinnaś była chyba wyjeżdżać z Paryża. Tam błyszczałabyś. Tutaj nie jesteś doceniana. Może powinnaś wrócić?

Przesłała mu dłonią pocałunek.

- Wrócimy razem - powiedziała. - Nie czas teraz na rozmowy. Chodźmy. Będziesz mnie dotykał, pieścił, będę cię błagała o łaskę, krzyczała w ekstazie. Weź mnie, mój lwie.

- Dama, z którą byłem w teatrze - rzekł - lady Anna Marlowe, zgodziła się dziś rano zostać moją żoną. W ciągu trzech dni zamierzamy się pobrać.

Przez parę sekund markiza wpatrywała się w niego, nic nie rozumiejąc, po czym, całkiem nieoczekiwanie, uderzyła go z rozmachem w twarz.

Wpadła w szal, rzuciła się na niego z pięściami, drapała, gryzła, kopała i przeklinała, używając rysztkowego języka. Nie mógł odwzajemnić jej ciosów, ale wyteżył wszystkie

swoje siły, by nad nią zapanować. A uczynił to, powalając ją na łóżko, odbierając jej tym samym swobodę ruchów; chwycił ją za nadgarstki i leżąc na niej, trzymał je silnymi dłońmi nad jej głową.

- Luc - rzekła i w jej oczach nie było już nienawiści. - Zrobiłam z siebie kompletną idiotkę. Przyjechałam tu za tobą, mimo iż mnie o to nie prosiłeś. Wybaczam ci to dzisiejsze popołudnie, bo powinnam była zlecić służbie, by zamknęła ci drzwi przed nosem. A gdy oznajmiłeś mi, że się żenisz, rzuciłam się na ciebie, zamiast okazać ci pogardę. Nigdy przedtem tak się nie zachowywałam. Jestem markizą d'Etienne. Tą, która łamie męskie serca, nieprawdaz?

- Tak - odrzekł. - W Paryżu aż roi się od mężczyzn ze złamanym przez ciebie sercem.

- A tutaj zrobiłam z siebie idiotkę - powtórzyła. - Dopuszczałam do tego, że ktoś złamał moje. Zostałabym twoją żoną, Luc. Sądziś, że nie opuściłabym Francji, by resztę życia spędzić z tobą? Poszłabym za tobą na koniec świata. I to ja byłabym twoją księżną.

Nie miał jej nic do powiedzenia. Patrzył w milczeniu w jej oczy.

- Kochaj się ze mną - szepnęła. - Kochaj się ze mną *mon amour*, jak tylko ty to potrafisz.

Lecz on wstał i wygładził surdut. Ten pokój wydał mu się nagle znacznie mniejszy niż ongiś, podczas dawniejszych tu bytności, i bardzo duszny. Myślał tylko o tym, by jak najszybciej stąd wyjść, zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Nie mogę, Angelique. Postąpiłbym wobec ciebie niegodnie. Przy kro mi, kochanie. Sądziłem, że przeżyliśmy wspólnie piękne chwile, sprawialiśmy sobie wzajemnie mnóstwo przyjemności.

- Och, Luc. - Wciąż leżała w tej samej pozycji, z rękoma nad głową - To prawda, *cheri*, to prawda. Przyjemności najprzyjemniejszej. Nigdy dotąd takiej nie zaznałam.

Wziął kapelusz, laskę i skierował się ku drzwiom. Chciał jak najprędzej znaleźć się na ulicy. Już w progu zatrzymał go jej głos:

- To prawda, co mówią o tobie w Paryżu - rzekła. - Powinnam była im uwierzyć, ale sądziłam, że to nieważne. Że w tej kwestii jesteśmy do siebie podobni. Ludzie uważają, że jesteś człowiekiem bez serca.

Zmusił się, by bez pośpiechu schodzić po schodach, bez pośpiechu przemierzać ulicę. Po raz drugi dzisiejszego dnia usłyszał te słowa - najpierw z ust Ashleya, teraz od Angelique. I oczywiście oboje mieli rację.

Dlaczego ci głupi ludzie pozwalają sobie na miłość? - myślał, przyspieszając kroku i napawając się chłodnym wiosennym powietrzem. Miłości zawsze towarzyszy ból,

upokorzenie i bezradna wściekłość.

Miłość odbiera człowiekowi rozsądek i pozbawia kontroli nad własnym losem.

Z determinacją skierował myśli ku dzisiejszemu wieczorowi i owym dwóm tańcom z lady Anną Marlowe. Była w jego życiu jak powiew świeżego powietrza. Dziś także będzie się do niego uśmiechała i uwodziła go wzrokiem, nawet gdy nie będzie z nią tańczył. On zostanie na balu do końca mimo iż zatańczy tylko dwa razy, zostanie dla samej przyjemności patrzenia na nią, obserwowania jej entuzjazmu, z jakim traktuje życie.

Trzy dni przed ślubem minęły Annie tak szybko, nie miała nawet chwili oddechu. A chciała sobie tyle rzeczy przemyśleć, znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, w którą zabrnęła nęcona pokusą, działając pod wpływem impulsu, pod presją chwili. Zabrakło jej jednak na to czasu.

Zgodnie z obietnicą, księżę Harndon zatańczył z nią dwukrotnie na balu wydanym przez lorda i lady Castle i przez cały wieczór obserwował ją pozornie niedbałym wzrokiem, to rozkładając, to składając ten swój absurdalny wachlarz. Znowu był upudrowany i uróżowiony, a do policzka, poniżej oka, przykleił sobie czarny pieprzyk. Ubrany był inaczej niż pierwszego wieczoru, w bladoniebieski i lśniący biały strój, a liczne diamenty błyszcząły w fałdach jego chusty, u rękojeści paradnej szpady i na palcach.

Anna też przez cały wieczór śledziła jego postać, choć nie opuszczała żadnego tańca, i z niezmiennym uśmiechem na ustach uwodziła go spojrzeniem.

Lecz dziś wieczór czuła się zupełnie inaczej. Wydawało się jej, że wszyscy już wiedzą o ich zaręczynach. Dziś jawnie nie odrywali od siebie wzroku, jawnie ze sobą flirtowali, wzbudzając tym zainteresowanie całego eleganckiego towarzystwa. To było cudowne i ogromnie ekscytujące. Sam fakt, że świadom obserwacji innych wpatrywał się w nią, przepełniał ją radością. Pragnął jej - były to wszak jego słowa. I czuła, wiedziała, że to prawda. Pragnął jej.

Nazajutrz po południu wraz z matką i siostrą zaprosił ją na herbatę. Obwieszczenie o ich zaręczynach i rychłym ślubie ukazało się w porannej prasie, więc sprawa nabrała oficjalnego wymiaru - jak gdyby do tej pory takiego wymiaru nie miała.

Księżna Harndon powitała Annę łaskawie, a lady Doris Kendrick uściskała ją i pocałowała w policzek. Została więc zaakceptowana. Była świadomą że choć bez fortuny, jest córką i siostrą dwóch hrabiów Royce, narzeczoną odpowiednią dla księcia.

Księżę siedział w milczeniu, jego siostra uśmiechała się do niej serdecznie, podczas gdy księżna matka opowiadała jej o Bowden Abbey i licznych obowiązkach spoczywających na przyszłej młodej księżnej.

- Rzecz oczywista, że po ślubie będziesz miała, madame, wyższą pozycję niż inni upoważnieni do tego tytułu - wyjaśniła księżna matka. - Liczą się tylko moja synowa i ja. Zostaniesz panią na Bowden.

Nie wyglądała na zmartwioną faktem, że będzie miała wyższą niż ona pozycję - pomyślała Anna. A straciła tę pozycję wraz ze śmiercią męża, gdy najstarszy jej syn został księciem. Anna wiedziała już, że księżę Harndon miał starszego brata, który po śmierci ojca przez trzy lata, aż do swojej śmierci, piastował tytuł księcia. Lecz starszy brat nie miał dzieci, nie miał synów.

Oczekuje się od niej, że obdaruje księcia synem, myślała, i coś ścisnęło ją w żołądku.

Zanim skończyli pić herbatę, do pokoju wszedł lord Ashley Kendrick. Dopiero co przyjechał, oznajmił, i powiedziano mu, że lady Anna towarzyszy jego matce przy herbacie. Z chłopięcym uśmiechem dworsko się przed nią skłonił i pocałował w rękę.

- Nie mam słów zachwyty - rzekł. - Gdybym ja miał dokonać wyboru, lady Anno, to właśnie panią wybrałbym na swoją bratową.

Roześmiali się we troje, wraz z Doris - matka uniosła łaskawie głowę, księżę zaś obserwował Annę, a ona poczuła wyraźnie dreszcz podniecenia.

Ashley uściskał dłoń brata, złożył mu gratulacje i oświadczył, iż Luke ma diabelne szczęście. Matka skarciła go ostro, że używa przy damach tak wulgarnego języka.

Jest bardzo przystojnym, pełnym energii młodym człowiekiem, orzekła w duchu Anna, i przypomniała sobie, jak zdenerwowała się w teatrze, gdy lord Severidge zajął miejsce lorda Ashleya obok Agnes. Bardzo by do siebie pasowali - byli prawie w tym samym wieku. Jak się domyślała, lord Ashley był znacznie młodszy od księcia. I na pewno niewiele starszy od Wiktora. Być może uda jej się wyswatać siostrę i brata jej małżonka.

Jej małżonek. Znowu poczuła skurcz żołądka i ogarniającą ją panikę. Zapanowała nad nią. To nie są sprawy do rozważania w towarzystwie.

Nazajutrz przyjechał Wiktor. Konstancja została w domu z rodzicami, albowiem, jak tłumaczył, za mało było czasu na to, by znaleźć jej odpowiednią towarzyszkę, jak też przyjaciół, u których mogłaby się zatrzymać. Powiedział Annie, czule ją ściskając i całując w obydwa policzki, że bardzo się cieszy z powodu szczęścia, jakie ją spotkało, gdyż obawiał się, że po tak długim pielęgnowaniu matki i czuwaniu nad ojcem jej szanse na szczęśliwy mariaż znacznie zmalowały.

- Rzecz jasna - ciągnął - spodziewano się swego czasu, że Blaydon ci się oświadczy i zostanie przyjęty, ale prawdę mówiąc, nigdy nie byłem zwolennikiem tego małżeństwa. Sympatyczny z niego chłop, ale za stary dla ciebie, Anno. Prawie w wieku naszego ojca. Z

całą pewnością.

Pominęła jego słowa milczeniem i zapytała, czy istotnie jego ślub z Konstancją odłożono na jesień, gdyż rodzice panny chcieli jej osiemnaste urodziny uczcić jeszcze przed ślubem.

Księżę Harndon przybył po południu na herbatę - życzył sobie poznać brata Anny. Dwaj panowie przeszli wkrótce do innego pokoju, by porozmawiać w cztery oczy. Na jaki temat, skoro narzeczona nie miała posagu, była pełnoletnia i sama decydowała o swoich losach? Obaj uznali jednak za słuszne omówić pewne materialne aspekty tego małżeństwa. Dyskusję księcia z Wiktorem o jej małżeństwie Anna uznała za czysty absurd. Brat wyglądał tak młodzieńczo mimo peruki i modnego stroju.

A jutro, myślała Anna, gdy zostały same z matką chrzestną i Agnes, odbędzie się mój ślub. Jutro o tej porze będzie już Anną Kendrick, księżną Harndon. Znów ogarnęła ją panika, którą stłumiła skutecznie, odpowiadając z uśmiechem, że tak, Wiktor wyrósł na przystojnego młodego mężczyznę i z godnością nosi od niedawna przysługujący mu tytuł.

Czasami okazuje się, myślała, koncentrując się na tym fakcie, że wszystko, co się wydarzyło, ma również swoje dobre strony. Po śmierci ojca Wiktor odziedziczyłby oczywiście tytuł, ale na tym by się skończyło. Tymczasem brak majątku powodował, że fortunę należało odbudować. Wiktor był inteligentny i rozsądny, i miał zapał do pracy. O tak, nie powinna zapominać o swoich w tej kwestii zasługach. Nie powinna.

Trzy dni mijały szybko i zarazem wlokły się w nieskończoność. Gdy Anna przebywała wśród ludzi, umiała poskramiać w sobie uczucie paniki. Ale w samotności lęk dopadał ją niczym sfora diabłów. Tak dalej być nie może. Nie zniesie tego. Musi mu powiedzieć. Przy najbliższej okazji.

Była szalona, kompletnie szalona, ulegając tej pokusie. Ilekroć go widziała, zapominała o całym świecie. Zapominała, że powinna wszystko z siebie wyrzucić - by zobaczyć ją taką, jaką jest naprawdę, zanim będzie za późno. Nie mogła jednak się na to zdobyć.

To szaleństwo, wmawiała sobie. W rzeczywistości bowiem nie było ani sfory diabłów, ani maski. Jedyne, co powinna zrobić, to powiedzieć mu prawdę. Nie było jeszcze za późno i nie będzie, dopóki nie staną na ślubnym kobiercu. Idiotyzmem byłoby zrywać zaręczyny, teraz, kiedy podano ów fakt do publicznej wiadomości, kiedy otrzymali licencję, kiedy przybył jej brat; ale powiedzieć księciu powinna. Nie jest na to za późno.

Lecz z każdą chwilą to „za późno” się zbliżało.

Nie może go poślubić. Nie może. Ale jutro go poślubi. Jutro rano. Suknia ślubna jest

już gotowa. Matka chrzestną przeprowadziła z nią rozmowę, na temat tego, co się stanie podczas nocy poślubnej i jak ona powinna się zachować. Ale nie trzeba się bać, rzekła. Książę Harndon ma trzydzieści lat i na pewno wielkie doświadczenie w tej dziedzinie. Będzie wiedział, jak ukoić jej lęki i przerywając błonę dziewiczą, sprawić jej jak najmniej bólu. Lady Sterne uśmiechnęła się. Po pierwszej albo i drugiej nocy, dodała, będzie jej to sprawiało wielką przyjemność.

W ciągu nocy poprzedzającej dzień ślubu i nocy poprzedzającej noc poślubną Anna w pełni świadoma była tego, że robi coś, do czego nie wolno jej było dopuścić. Zawiera z nim małżeństwo. Po godzinach tępego wpatrywania się w baldachim nad łóżem zamknęła oczy i zaczęła rozmyślać o Luke'u tylko trochę od niej wyższym, przystojnym i pełnym wdzięku, przestrzegającym zaleceń mody na niemal kobiecy sposób, choć ani odrobiny kobiecości w nim nie było.

Był mężczyzną, jakiego pragnęła. Powiedziała to sobie wreszcie bez ogródek.

I on jej pragnął. Kochał ją.

Być może... to, o czym sądziła... że stanowi przeszkodę nie do usunięcia, nie spowoduje... Być może.

A jutrzejszej nocy... Anna przełknęła gwałtownie ślinę. A jutrzejszej nocy będzie robił z jej ciałem to wszystko, co tak szczegółowo, niemal z graficzną dokładnością, opisała jej ciotka Marjorie. Być może...

Jutrzejszej nocy stanie się kobietą zameżną i niewykluczone, że tej samej nocy jej małżeństwo się rozpadnie.

Zastanawiała się, gdzie w tej właśnie chwili może znajdować się Lovatt Blaydon. W Ameryce? W drodze powrotnej do Anglii? A może w Anglii? Nie żyje? Chciałaby, żeby nie żył. Chciałaby jeszcze czegoś więcej: mieć pewność, że on nie żyje.

Czekała na wyrzuty sumienia. Przecież życzy komuś śmierci. Ale się nie doczekała.

Chciała, by nie żył.

Lovatt Blaydon siedział samotnie do późna w nocy. Na stole stała karafka z brandy, w rękę trzymał pustą szklankę, której od przeszło godziny nie nappełnił. Wpatrywał się w żar dogasającego ognia, który już dawno rozpałił w kominku jego lokaj.

Obok karafki leżała gazeta poranna sprzed prawie dwóch dni, otwarta na dziale ogłoszeń. Znał na pamięć ten anons.

Osiągnął w Ameryce to, co zamierzał. Kupił posiadłość, zbudował dom i starannie, z gustem go umeblował. Wynajął służbę, znającą się na prowadzeniu domu w pańskim stylu. Zadomowił się wśród sąsiadów, został przez nich zaakceptowany, był lubiany i chętnie

widziany w towarzystwie. Zawsze umiał zjednywać sobie ludzi. W dzieciństwie jego matka mawiała, że potrafi z czarować ptaki, by sfrunęły doń z drzew.

Wszystko już było gotowe. Dla niej. Dla Anny. I teraz przyjechał po nią. Biedna Anna - był przekonany, że będzie na niego czekać. Nie wątpił w to ani przez chwilę. Nadszedł czas, by odeszła wreszcie od rodziny. Nie była już im potrzebna. Nie kierowała już ich życiem codziennym. Jego ukochana silna Anna, która sama dźwigała wszelkie ciężary, mając pieczę nad rodziną, gdy Royce, uzależniony od alkoholu i hazardu, kompletnie się załamał. Kochała go i troszczyła się o niego, opiekując się zarazem siostrami i bratem, robiąc wszystko, co w jej mocy, by pospłacać długi, aby rodzina nie stanęła w obliczu całkowitej ruiny i aby brat mógł choć cokolwiek odziedziczyć.

Tak, teraz miała to już za sobą. Była wolna. Teraz on może zapewnić jej przyjemne i dostatnie życie. Zasłużyła sobie na to. Nigdy nie zazna już troski. Jej trud zostanie nagrodzony. On przez resztę swego życia będzie obdarzał ją bezgraniczną miłością i oddaniem. Nawet po swojej śmierci - sporządził już odpowiedni dokument.

Jego Anna będzie szczęśliwa.

Tak właśnie uważał, zanim wrócił i nie zastał jej w domu.

Pojechał do Londynu i zobaczył to - znał na pamięć treść ogłoszenia. Anna zaręczyła się z księciem Harndonem i ślub ma się odbyć dwa dni po obwieszczeniu. Czyli jutro.

Coś w nim umarło. I zarazem poczuł, że ogarnia go wściekłość. Czyżby ona go nie rozumiała? Czyż nie utwierdził w jej świadomości, że ona jest jego, że do niego należy? Władał jej umysłem. Władał jej ciałem. Nie pozostawił jej co do tego cienia wątpliwości. Przecież gdyby nie ona, nie pojechałby do Ameryki. Nie zostawiłby jej w żałobie po ojcu, by samotnie troszczyła się o losy sióstr i brata.

Ależ tak, rozumiała to, oczywiście. Jego Annie nie brakowało inteligencji. Ani odwagi. Nie rozumiała jednak jego intencji i doszła widocznie do wniosku, że on dąży do zniszczenia jej. Nie wiedziała, jak dalekosiężne ma wobec niej plany. Chciała od niego uciec.

Jego ukochana, odważna Anna. Dziwne, ale nie potrafił dłużej się na nią złościć. Czuł tylko zabarwiony niechęcią podziw wobec jej buntu. A wraz z podziwem nadeszła refleksja i podjął decyzję. Pod wpływem pierwszego impulsu postanowił nie dopuścić do tego ślubu. Teraz zmienił zdanie. Z bardzo ważnego powodu.

Zdziwił się, że wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Wspaniale. Świetlana przyszłość stanie się jeszcze bardziej świetlana. Będzie na to czekał, i oczywiście na nią. Przywykł do czekania. Całe jego życie składało się z czekania.

Dla większego efektu może nawet poczekać trochę dłużej.

Kochana Anna. Wsparł głowę o fotel i zamknął oczy. Ciekawe, myślał, czy ona wie, że on ją kocha, że jest jedyną duchową i cielesną miłością jego życia, że każdego dnia myśli o jej szczęściu i troszczy się o nią. Nie wie, orzekł w duchu. Bywał wobec niej okrutny. Zdawał sobie z tego sprawę. Ale teraz nie będzie.

Zezwalając jej na małżeństwo z księciem, był pewien, że potem uczyni ją jeszcze bardziej szczęśliwą, niż to sobie uprzednio zaplanował. Nawet po jego śmierci będzie szczęśliwa - bo nie zazna bólu samotności.

Ale czekanie nie przyjdzie mu łatwo. Och, Anno. To będzie istna tortura!

Ciekawy i godny uwagi jest fakt, że gdy Luke stał wraz z narzeczoną w niemal pustym i chłodnym kościele, przysłuchując się słowom, które łączyły ich na całe życie, nie doznawał żadnych przykrych uczuć.

Przed paroma minutami, gdy brat Anny przyprowadził ją do niego, stojącego przy ołtarzu, narzeczona obdarzyła go tym samym promiennym uśmiechem, a gdy uśmiech zniknął z jej twarzy, pozostał błysk w oczach i rumieńce na policzkach. Wyglądała uroczo, był zachwycony jej białą atlasową haftowaną beżem spódnicą i usztywnionym stanikiem tak gęsto ozdobionym złotą nicią, że wyglądał, jakby cały był ze złota.

Lecz nie tylko uroda i żywiołowość dziewczyny sprawiały, że był prawie rad temu małżeństwu. Miał w swoim życiu wiele pięknych niewiast i z żadną z nich nie zamierzał wiązać się na stałe. Lady Anna Marlowe, nie była kokietką ani kobietą ograniczoną, jak sądził uprzednio. Cechowała ją lojalność, uczuciowość i zdolność do poświęceń.

Jej brat opowiedział mu wszystko. Przez całe lata opiekowała się chorą na gruźlicę matką, prowadziła dom i troszczyła się o młodsze rodzeństwo. Po śmierci matki też się nimi zajmowała, bo ich ojciec zupełnie się załamał i na skutek błędów popełnionych w zarządzaniu majątkiem stanął w obliczu ruiny. Anna w ogóle nie myślała o sobie, mówił Royce, wołała w wieku dwudziestu jeden lat odrzucić godną uwagi propozycję małżeństwa, niż zostawić rodzinę na łasce losu. Ojciec zmarł przed przeszło rokiem - Anna miała wtedy dwadzieścia cztery lata.

Luke domyślił się, choć Royce o tym nie wspomniał, że ich ojciec był pijakiem i hazardzistą, a psychiczne, fizyczne i finansowe załamanie wzięło się właśnie stąd.

Jednak mimo tych wszystkich przeżyć, a musiały to być ciężkie, trudne lata, Anna sprawiła, że rodzina się nie rozpadła, a jej młodsze rodzeństwo, nie wyłączając jego, wzrastało w poczuciu względnego bezpieczeństwa. Wskutek tego straciła jednak szansę na ułożenie sobie życia. Odrzuciła propozycję małżeństwa, które mogło uwolnić ją od trudów, jakie ponosiła.

Tak, myślał, patrząc na nią, gdy kapłan wygłaszał do nich mowę, mógł przecież trafić fatalnie. Obowiązki księżnej Anna na pewno będzie pełnić bez zarzutu. Poza tym jest piękna i godna pożądania. Być może - przyszło mu na myśl w ciszy kościoła i w chwili tak uroczystej - los ofiarowuje człowiekowi szansę, nawet jeśli przez dziesięć lat nie zrobił nic, by sobie na nią zasłużyć. Być może znów będzie zdolny do miłości. Miłość, lojalność, wiara, ufność - przede wszystkim ufność. Uświadomił sobie z niejakim zdziwieniem, gdy wkładał obrączkę

na palec Anny, że jednak jest w niej trochę zakochany.

Potem nastąpiły słowa, które odbiły się echem w jego umyśle: byli małżeństwem. Anna jest jego żoną, jego księżną.

Ujął obie jej dłonie, pochylił się nad nimi i z czcią i uniósł je do ust. Spojrzał w jej oczy, duże, zielone, i zanim się uśmiechnęła, coś w nich rozbłysło. Lęk? Tak, na pewno lęk. Ale on dzisiejszej nocy ukoi wszystkie jej lęki.

Matka na krótką chwilę dotknęła policzkiem jego policzka. Doris za to przytuliła się do niego i ucałowała serdecznie. Ashley uściśnął mu dłoń z lekkim uśmiechem; wiedział już zapewne, że wszystkie jego długi zostały spłacone, łącznie z tymi dość szczególnymi, dotyczącymi strojów, klejnotów dam oraz wynajęcia domu i służby w celu dość oczywistym. Teo potrząsnął jego ręką i poklepał serdecznie po ramieniu. Lady Sterne, odwołując się do matczynych przywilejów, pocałowała go w obydwa policzki. Z Royce'em wymienił przyjazny uścisk dłoni. Lady Agnes Marlowe spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami, dygnęła, a gdy ujął jej dłoń do pocałunku, wyglądała na szczerze przerażoną.

Jego małżonkę ściskano i całowano bez przerwy. Była zarumieniona bardziej niż zwykle, śmiała się. Promieniała szczęściem. Zasługuje na nie, pomyślał. I zastanowił się, czy potrafi dać jej to szczęście jako księżnej, pani domu, matce jego dzieci. Nie miał pewności, czy potrafi ofiarować jej miłość, nawet jeżeli był na tyle nieostrożny, by się w niej zakochać. Jakaż ona pogodna i radosna, pomyślał.

Cofnął się wspomnieniem do wieczoru, gdy po raz pierwszy zobaczył ją na balu u lady Diddering. Nie zapamiętał, jaki to był dzień tygodnia. Dzisiaj jest poniedziałek. Nie do wiary, stwierdził w duchu, dwukrotnie obliczając w myślach, ale jednak musiało się to wydarzyć we wtorek. Ubiegły wtorek. Przed tygodniem nie wiedział nawet o istnieniu lady Anny Marlowe, obecnie księżnej Harndon. Aż nie mieści się w głowie. Co oni o sobie wiedzieli? Właściwie nic. A teraz są małżeństwem.

Wyprowadził ją z kościoła na światło dzienne, w promienie słońca. Powóz już na nich czekał.

Wokół placu przed kościołem kłębił się, jak zazwyczaj przy takiej okazji, tłum ciekawskich. Miasto obiegra bowiem wieść, że oto odbywa się ślub kogoś z wielkiego świata. Ciekawscy wywodzili się bowiem z niższej warstwy społecznej i wielu spośród nich wyrażało głośno swój podziw dla państwa młodych. Jakiś męski głos poinformował falsetem Luke'a i całą szanowną widownię, że książe nie ustępuje urodzie pannie młodej. Inny - kobiecy - oznajmił wszem wobec, że za dziewięć miesięcy panna młoda gorzko pożałuje igraszek nocy poślubnej.

Luke i jego żona nie zwracali uwagi na te okrzyki. Kątem oka dojrzał jednak kogoś, kto nie wywodził się z pospólstwa. Obserwował ich, stojąc za starym dębem pośrodku placu. Miał na sobie długą ciemną pelerynę, trójgraniasty kapelusz naciągnął na czoło - był to wysoki, raczej szczupły i przystojny mężczyzna w średnim wieku.

Luke spojrział na niego przelotnie, a jednak, zajmując miejsce w powozie obok żony, zmarszczył nieznacznie brwi. Coś mignęło mu w pamięci i szybko znikło. Nie wracał do tego myślenia, uznał to za błahostkę. Zapomniał o tym, zanim dobrze naoliwione koła powozu zaczęły się obracać. Nikt spośród orszaku ślubnego, kto mógłby rozpoznać Lovatta Blaydona, nie spojrział w stronę starego dębu.

Anna nie wiedziała, że księżę Harndon nie mieszka w Harndon House, swojej londyńskiej rezydencji. Nawet gdy przybyli tu na herbatę do księżnej matki, nie przypuszczała, że księżę nie mieszka razem z rodziną. Nie wiedziała o tym nawet teraz, gdy przyjechali tu na śniadanie weselne. Późnym popołudniem księżę wstał i zasugerował, że pora udać się do domu.

Przez moment sądziła, że małżonek chce ją odwiedzić z powrotem do chrzestnej matki. I przez chwilę ta głupia myśl szczerze ją uradowała.

Wydawało jej się dziwne, że Luke nie mieszka we własnej londyńskiej rezydencji, tylko - ponosząc znaczne koszty - wynajmuje dom. Tym bardziej że, jak się przekonała, był to dom bardzo okazały. Zastanawiała się, jakie stosunki panują między nim a jego rodziną, i raptem dotarło do jej świadomości, że o swoim mężu nie wie prawie nic. Rozmawiali ze sobą podczas tych nielicznych spotkań, czarował ją, zabawiał, lecz nigdy nie powiedział nic o sobie.

Podczas weselnego wieczoru czuła się skrepowana obecnością jego rodziny. Teraz owo skrepowanie minęło, brakowało jej natomiast towarzystwa innych ludzi. Była z nim sama, z mężczyzną, którego poślubiła, i bała się tak bardzo, że brakło jej tchu w piersi.

Jedli razem późny obiad, tylko we dwoje, mimo to jej mąż ubrał się jak na kolejny bal - królewski błękit i srebro zamienił na brązowy aksamit, złoty haft i koronki. Prowadził z nią rozmowę w lekki i czarujący sposób, stwarzając jak zwykle miłą atmosferę. Anna sprawiała wrażenie szczęśliwej i odprężonej. Stwierdziła przy tym, ku własnemu zdumieniu, że po trosze to i jej zasługa, śmiała się i rozmawiała z nim wesoło, jak gdyby była jakąś inną panną młodą przy jakimś innym weselnym obiedzie.

Zresztą prawie każda panna młoda jest spięta i zdenerwowana, pomyślała. Gdyby przestała się śmiać i uśmiechać - byłoby z nią całkiem kiepsko. Zaprowadził ją potem do salonu, gdzie kontynuowali rozmowę. Nie piję, powiedział, gdy zapytała, czy życzy sobie

zostać w jadalni, by wypić kieliszek porto. Zrobił wyjątek, wznosząc kilka toastów podczas weselnego śniadania. Znowu dowiedziała się o nim czegoś, co ją zaskoczyło. Nie знаła mężczyzny, który by nie lubił alkoholu.

Zegarek na gzymsie kominka wskazywał, że minęła już dziesiąta. Luke wstał i podał jej ramię.

- Idziemy, madame - rzekł, spoglądając na nią spod półprzymkniętych powiek. - Zaprowadzę cię do twojej garderoby. Czeka nas noc poślubna.

Czułaby się chyba lepiej, gdyby ją uderzył, pomyślała. Przeraziły ją te słowa bardziej niż ów przypuszczalny cios. Ujął jej rękę, wstała i uśmiechnęła się do niego, choć w jej głowie rozpełtała się gonitwa myśli. Czepiała się gorączkowo jakichś idiotycznych pretekstów - może ból głowy, może zmęczenie po tak intensywnym dniu, może słabość miesięczna...

- Tak, oczywiście, księżę - rzekła.

Otworzył przed nią drzwi jej garderoby. Za pół godziny, powiedział, będzie miał zaszczyt odwiedzić ją w jej sypialni.

Pół godziny minęło niepostrzeżenie. Wpadła w popłoch, ponieważ wolałaby mieć już za sobą tę straszną chwilę. Skazanych na śmierć zbrodniarzy nie cieszą ostatnie chwile życia. Na pewno z utęsknieniem oczekują szubienicy, marząc o tym, by jak najszybciej to się stało, aby czekanie na tę chwilę nie ciągnęło się w nieskończoność. Była wręcz nieprzytomna z przerażenia. Z trudem chwyciła powietrze.

Miał na sobie atlasowy jasnoniebieski szlafrok. Stwierdziła w duchu, że w pantoflach bez obcasów był zaledwie trzy lub cztery centymetry wyższy od niej. Bez ciężkiej od haftu kamizelki i długiego surduta wyglądał szczupło i tylko szerokość barów i klatki piersiowej świadczyły o jego sile fizycznej. Na twarzy nie miał już różu, włosy wyszczotkowane, bez pudru. Ze zdumieniem stwierdziła, że są ciemnobrązowe. Związał je luźno z tyłu czarną wstążką; były gęste, układające się w fale, sięgały mu niemal pasa.

Anna bez emocji odnotowywała w myślach wszystkie te szczegóły a także fakt, że bardzo ją pociągał. Rozpaczliwie usiłowała się skupić. Zaczęła zastanawiać się nawet, czy nie powinna związać włosów, by nie opadały luźno na ramiona.

Próbowała się uśmiechnąć, ale nie była w stanie. Maską opadła. Patrzyła na niego w milczeniu.

Zbliżył się do niej, ujął obie jej dłonie.

- Tak jak przypuszczałem - rzekł - dwa sople lodu. I przerażenie na twarzy. Anno, gdzie się podział twój uśmiech? Czyżbym był taki straszny? Czy akt małżeński wzbudza w tobie aż taki lęk?

Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Pomyślała ze zdziwieniem, jak ciepło i przyjemnie brzmi w jego ustach jej imię. Zaraz jednak oczyma duszy zobaczyła siebie, powaloną na łóżko z rękami nad głową i nadgarstkami przywiązanymi do wezglowia.

- Milczysz? - zapytał, ujmując dłonią twarz Anny. Palce głąskały lekko jej policzki. - Nie jestem potworem, Anno. Na początku sprawię ci ból, wiem, niewielki, i tylko przez chwilę. Będę delikatny, kochanie, i postaram się, żeby cię w ogóle nie bolało. Połóżmy się obok siebie, dobrze?

Nie będzie bolało. O mój Boże, nie będzie bolało. To nieprawda, że boli tylko przez chwilę. To ostry, piekący ból, który na całe życie zostawia skazę na duszy.

- Dobrze, książę - wyszeptwała.

- Luke - powiedział. - Mam na imię Lucas, choć tylko matka tak się do mnie zwraca.

- Luke - szepnęła.

Gdy położyła się na łóżku, robiąc mu miejsce obok siebie, Luke zgasił świece. Po paru sekundach leżał już przy niej i jeszcze zanim jej dotknął, poczuła, że jest nagi.

Jednym ramieniem objął ją za szyję, drugim obrócił ku sobie i pocałował. Ciepłe wargi przywarły mocno do jej ust. Dłoń powędrowała niżej, przytulił się do niej łagodnie, by jej nie spłoszyć. Poczuła silne męskie ciało, ciepłe, nagie - dzielił ich tylko cienki obłok jej nocnej koszuli.

Odchylił nieco głowę.

- Jesteś spięta, Anno - rzekł. - Odpręż się, kochanie. Nie ma pośpiechu. Mamy przed sobą całą noc. Całe życie. Dam ci czas, żebyś poznała moje ciało. Nie posiadę cię, póki nie będziesz gotowa. Przekonasz się w końcu, że to nie takie straszne.

Nie zwlekaj. Zrób to teraz. Niech się stanie, niech mam to za sobą. Zrób to teraz! - wołała do niego w myślach. Jej ciało było gotowe, do jego dyspozycji.

Pocałował ją rozchylonymi ustami. Całował jej twarz, szyję. Powiódł dłonią od karku aż do bioder. Dotknął jej brzucha. Potem piersi. Pieścił je tak lekko, że prawie nie czuła jego ręki.

Gdy rozpiął guziki jej koszuli, miała zamknięte oczy, rozchylone usta, ciało tuż przy jego ciele. I czekała, aż znowu dotknie ją tam, gdzie było najprzyjemniej. Aż dotknie jej piersi.

Cudownie było czuć jego dłoń na swoim ciele; najpierw lekki dotyk, potem coraz mocniejszy. Pieścił palcami brodawkę, twardniała pod jego dotknięciem aż do bólu, który wcale nie był bólem.

Słyszała rytm przyspieszonych oddechów, na podbrzuszu poczuła jego twardość.

Przywarła do niej. Z jego ust wydobył się jęk rozkoszy.

Wsparł się na łokciu i ściągał z jej ramię koszulę.

- Pozbądźmy się tego, Anno - szepnął z twarzą tuż przy jej twarzy. - Tylko nam przeszkadza, prawda?

Uniosła posłusznie biodra, zerwał z niej koszulę i rzucił na podłogę. Nadszedł czas. Tak, nadszedł czas. Leżała na wznak. Poddana mu, rozluźniona. Wyczuł jej gotowość.

Całował ją znowu, gorąco, długo, rozwarł ustami jej usta. Sięgnął do piersi, brzucha, długo pieścił jej łono.

I wreszcie legł na niej całym ciałem. Całował ją i szeptał słowa, których sens do niej nie docierał. Rozsunął jej nogi, trzymając ją mocno za obydwa pośladki.

Wstrzymała oddech, czując, że wchodzi w nią powoli, powoli, coraz głębiej i głębiej. Nie było żadnej przeszkody, żadnego bólu.

Był głęboko w niej, sięgał dalej i z jeszcze większą mocą, niż to sobie mogła wyobrazić. Rozsadzał ją. Mężczyzna. Po raz pierwszy w życiu. On, Luke. Widziała go - wspaniałego, cudownego, w złocie i czerwieni, o uróżowionych i upudrowanych policzkach, o przysypanych pudrem włosach, wachlarz ze złota i kości słoniowej chłodził mu twarz, i nie odrywał od niej tych swoich szarych oczu. A teraz miała go przy sobie, nad sobą, dwa nagie ciała splecione wzajemnie największą z najgłębszych intymności.

Upajała się chwilą, zbliżającym się finałem. I nie miała sobie tego za złe. Nareszcie poczuła się kobietą.

Trwał w niej potem długo, w ciszy, po czym odezwał się. Mówił spokojnie, z ustami przy jej uchu, a jej się wydało, że głos jego brzmi głucho, bez wyrazu. Właściwie trudno jej było określić prawdziwe brzmienie jego głosu.

- Odpręż się - powiedział.

I wtedy właśnie uświadomiła sobie, że znowu cała jest spięta i wciąż nie może zapanować nad oddechem. Postarała się odprężyć.

Powoli wychodził z niej; serce w niej zamarło i o mało nie krzyknęła z bólu. Na sekundę zatrzymał się, ponownie w nią wszedł i znowu zaczął się poruszać. Przypomniała sobie nagle słowa matki chrzestnej, ale to, co od niej usłyszała, dalekie było od rzeczywistości. Rzeczywistość była bardziej... fizyczna. Ruchy jego były rytmiczne i miarowe, by nie za szybko pojawiała się owa rozkosz wilgoci. Ruch i dźwięk stanowiły część tańca, w czasie którego jej ciało przeżywało różne stadia rozkoszy.

Dopełniał aktu małżeńskiego, myślała, gdy ona otworzyła się przed nim, poddała się jego woli, włączyła w jego rytm.

Gdy sięgnął jej głębi i poczuła obejmującą jej wnętrze falę gorąca, z jej ust wyrwało się westchnienie. Akt małżeński dobiegł końca. Jej łono przyjęło jego nasienie.

Poczuła pod powiekami palące łzy.

Być może, myślała, czując na sobie jego ciężar, oparłszy policzek na jego wilgotnym ramieniu, być może nic nie zauważył. Być może niełatwo jest stwierdzić ów fakt z całą pewnością.

Wysunął się z niej i położył u jej boku. Przez chwilę poczuła się opuszczona. Leżała ze zwartymi udami. Chciała obrócić się na bok. Sięgnęła po kołdrę, bo zrobiło jej się chłodno. Leżała, nie wiadomo dlaczego bojąc się ruszyć. Byłoby najlepiej, gdyby wrócił do swojego pokoju. Ale ona mu o tym nie powie. Zasypiała już, gdy poczuła ciepło pościeli otulającej jej ramiona. Obróciła się na bok, spojrzała na niego; leżał odprężony, żar bił od jego ciała, choć nie dotykali się już. Zapadła w rozkoszny sen.

Luke nigdy nie sypiał z niewiastami. Z tego więc powodu wołał kochać się z nimi po południu, a ponadto lubił w trakcie stosunku na nie patrzeć. Lubił kochać się dwa, czasami trzy razy, prawie bez chwili wytchnienia, i odchodzić wówczas, gdy oboje byli już nasyceni miłością. Sen uważał za coś bardzo osobistego i dlatego zawsze sypiał sam.

Gdy zatem obudził się w środku nocy w łóżku małżonki, był trochę zaskoczony. Słyszał jej głęboki, spokojny oddech. Czuł ciepło jej ciała. Dziwił się, że zasnął. Obrócił się na plecy i przesłonił oczy ramieniem. Powinienem czuć gniew, pomyślał. A nie czuł. To byłaby głupota. W końcu miała dwadzieścia pięć lat. Rozczarowanie? Tak, stanowczo tak. Zachwycał go przecież czar jej niewinności. Myślał, że oto los dał mu jeszcze jedną szansę. Szansę radowania się z jej niewinności, szansę... spokoju.

No tak. Możliwe, że los daje taką szansę. Ale nie jemu.

Jakież byłem głupi, myślał, pozwalając sobie na miłość i zaufanie. Zacisnął zęby.

Zamierzał tej pierwszej nocy mieć ją tylko raz. Szok spowodowany zarówno tak intymnym i nieznanym jej aktem, jak i bólem wywołanym zerwaniem pieczęci dziewictwa to za dużo jak na jedną noc, myślał. Posiądzie ją znowu jutro, też tylko raz, i delikatnie.

Teraz nie ma powodu, żeby sobie odmawiać. Ciało miała piękne i kuszące - nie widział go, czuł je tylko przez dotyk i smak. Była jego żoną. Ma prawo mieć ją, gdy tylko tego zapragnie. Zapragnął jej teraz.

Znowu ogarnął go gniew. Mimo wszystko czuł się zraniony. I podświadomie czuł potrzebę zranienia jej.

Położył dłoń na jej ramieniu i obrócił ją na wznak. Nogami rozsunął jej uda i jednym ruchem legł na niej. Obudziła się z cichym jękiem, ugięła nogi w kolanach - jej stopy na

zewnątrz jego ud. Uprawianie miłości to w równej mierze branie i dawanie, doznawanie rozkoszy i zapewnianie jej swojej partnerce, stosownie do jej potrzeb. Zasłynął we Francji jako doskonały, nie kierujący się egoizmem kochanek. Lecz tym razem było inaczej. Przez dobrych kilka minut wyładowywał na niej swój gniew, upokorzenie, myśląc tylko o sobie, aż do chwili błogosławionego odprężenia. W tej samej chwili zadziwił go jej krzyk.

Poczuł się nagle winny. Nie znosił tego. Nie cierpiał żadnych silnych emocji. Uniósł twarz znad jej włosów - długich, gęstych blond włosów, które tak zachwyciły go, gdy ujrzał je po raz pierwszy. Przywarł do nich ustami, całował je czule, jakby nieświadomie prosił ją o wybaczenie. Objęła go mocno, z tkliwością. Ich nogi stykały się, czuł ich ciepło i piękny kształt.

Pozostał w jej łóżu przez całą noc. Posiadł ją jeszcze raz - w ciemności nocy, i jeszcze raz o brzasku poranka - uniósł się ma łokciach, by spojrzeć, jaka stała się za jego przyczyną.

Spała jeszcze, gdy wstał i wyszedł z pokoju, by w chłodzie i siąpiącym deszczu odbyć swoją codzienną poranną przejażdżkę.

Po przebudzeniu się Anna stwierdziła, że jest sama. Spojrzała na zegarek, było prawie południe. Nie miała zwyczaju sypiać tak długo. Nieważne. Jest to rano po dniu jej ślubu, rano po nocy poślubnej. Nie musi zrywać się wcześniej. Służba mogłaby wysnuć wniosek, że noc nie była taka jak należy. Uśmiechnęła się na tę myśl.

Przeciągnęła się z rozkoszą w ciepłe pościeli, czując pod sobą miękkie zagłębienie. Nigdy dotąd nie zdarzyło jej się spać nago. To całkiem przyjemne, pomyślała, i nagle ogarnęło ją zażenowanie: służąca musiała być w jej pokoju - obok łóżka stała przykryta spodeczkiem filiżanka czekolady - i na pewno dostrzegła rzuconą na podłogę nocną koszulę.

Nieważne. Przynajmniej wśród służby rozniesie się wieść, że księżę Harndon istotnie spał tej nocy ze swoją księżną.

Wszystkie obawy okazały się bezpodstawne, pomyślała. Przynajmniej te dotyczące chwili obecnej. O tych innych wolała nie myśleć. Lovatt Blaydon wróci przecież kiedyś do Anglii, stwierdzi, że mu się sprzeniewierzyła, że jest już mężatką, może pogodzi się z tym, a może nie. Lecz ona nie zamierza się tym przejmować. Koniec.

Jej mąż niczego nie zauważył. Posiadł ją czterokrotnie. Roześmiała się głośno. Nie miała pojęcia, że w ciągu jednej nocy można kochać się tyle razy. Pragnął jej. Kochał ją. Wiedziała już o tym przed ślubem, ale strach paraliżował ją i nie pozwalał o tym myśleć. Koniec z tym. Posiadł ją czterokrotnie, a za czwartym razem w pokoju było niemal widno. Luke uniósł się na łokciach i przypatrywał się jej z uwagą. Najpierw spieszyło ją to, ale on już był w niej. Uważał, że jest piękna, wiedziała o tym. I czuła się piękna. Dlatego wodziła za nim wzrokiem, patrzyła na jego mięśnie, na ciemne owłosienie klatki piersiowej, obserwowała jego twarz, gdy się z nią kochał.

Znów przeciągnęła się, ważąc to wszystko w myślach. Dziś rano czuła się kobietą. Nie, nie o to chodzi. Zawsze czuła się kobietą. Dziś rano czuła się jak kobieta zameżna, a przed czterema laty przestała mieć nadzieję, że zazna tego uczucia, a przed dwoma - uznała to za zupełnie niemożliwe. Pogodziła się z myślą, że zostanie starą panną. Że nigdy nie zazna mężczyzny.

I oto teraz, jak określa to Biblia, zaznała mężczyzny i on zaznał jej. Dziś rano poczuła własną cielesność. Piersi stały się wrażliwsze, brodawki twardsze. Bolały ją mięśnie nóg, które tak często i tak długo były rozchylone. W środku, tam gdzie sięgał, czuła lekki ból. No i ta cudowna świadomość - że był w niej.

Chciała kochać się z nim i następnej nocy. Na tę myśl serce zabiło jej szybciej. I jutro,

i pojutrze. Co noc, do końca życia. Obróciła się na bok. Cztery razy. Kochali się aż cztery razy. A może nosi już w sobie dziecko? Na myśl o tym coś się w niej poruszyło. Za każdym razem wypełniał ją swoim nasieniem. Była jego żoną. Na zawsze.

Przygryzła górną wargę, a potem roześmiała się, czując jednocześnie strużki łez na policzkach. Nie przypuszczała, że szczęście może graniczyć z cierpieniem. Była dziś aż do bólu szczęśliwa. Pragnęła go widzieć. Patrząc w jego oczy. Chciała znaleźć w nich potwierdzenie, że jest jego żoną i że będzie nią zawsze.

Odrzuciła pościel i sięgnęła po dzwonek.

Niestety, nie było go w pokoju porannym. Zjadł pewnie śniadanie przed paroma godzinami. Wybrał się prawdopodobnie do klubu, dokąd panowie zachodzili w ciągu dnia. Mała nadzieję, że wróci przed wieczorem. Chyba tak, bo przecież był to pierwszy dzień ich małżeństwa.

Anna wzięła talerz ze stojącej na kredensie nagrzonej tacy i zaczęła jeść; postanowiła cieszyć się tym dniem nawet w samotności.

Lecz jej samotność nie trwała długo. Luke zjawił się w progu po paru zaledwie minutach; wyglądał wspaniale w ciemnoczerwonym jedwabnym stroju porannym, który zarzucił na koszulę i spięte pod kolanami pludry. Włosy miał starannie ufryzowane i upudrowane, ściągnięte w węzeł z tyłu głowy. Luke pochylił się nad jej dłonią, uniósł ją do ust i dopiero potem usiadł do stołu; wystarczyło, by podniósł palec wskazujący, a lokaj wiedział już, że życzy sobie kawy.

Anna wpatrywała się w niego, a świadomość, co się działo tej nocy i jak wyglądał bez ubrania, sprawiała, że serce waliło jej jak oszalałe.

Uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Od dawna jesteś na nogach? - zapytała. - Gdy się obudziłam, było mi wstyd, że jest już tak późna pora.

- Zawsze wcześniej wstaję - rzekł. - Lubię poranne przejażdżki, gdy aleje nie są jeszcze zatłoczone. Ale ty, moja droga, możesz spać tak długo, jak tylko zechcesz. Dziś rano miałas po temu szczególny powód.

Czuła, że się czerwieni, ale nie przejęła się tym, iż on to zauważył. Uśmiech nie schodził jej z ust. Ona także lubiła poranne przejażdżki. Tylko o tej porze dnia mogła swobodnie dysponować czasem. Od przyjazdu do Londynu zaniechała tej rozrywki. Może podsunie mu myśl o wspólnych porannych spacerach? Miałby coś przeciwko temu? Była przecież jego żoną i kochał ją. Na pewno nie będzie temu przeciwny.

- Stygnie ci twój posiłek - powiedział, wskazując na talerz.

Zajęła się jedzeniem, a on bawił ją opowieścią o jakiejś nieszczęsnej starej pannie, która w Hyde Parku prowadziła na smyczy pięć psów. Anna chichotała, słuchając jego barwnej opowieści o reakcji psów i poczynaniach ich właścicielki. Luke musiał się cofnąć i zsiąść z konia, aby wśród psiej drużyny zapanował spokój i by stara panna nie uwięzła zaplątana w pięć smyczy.

Opowiadał swobodnie, zabawnie, póki Anna nie skończyła jeść. Potem wstał i podał jej ramię.

- Przejdźmy do biblioteki, moja droga - rzekł.

Zamierzał spędzić z nią cały dzień. Nie liczyła jednak na to, że tak będzie zawsze. Zresztą ciągle przebywanie razem nie jest wskazane. Dziś to co innego. Dziś jest dzień po nocy poślubnej. Ujęła go z uśmiechem pod ramię, zamiast zgodnie z zasadami położyć na nim dłoń.

- Czy to jest twoje sanktuarium? - zapytała.

- Nie, pokój, w którym pracuję.

Praca? Chyba pisze listy i omawia sprawy finansowe i domowe. Codzienne problemy, które zacieśniłyby ich małżeństwo. Tak, tu powinni spędzić dzisiejszy dzień.

Posadził ją na skórzanym fotelu po jednej stronie dużego dębowego biurka i zajął miejsce po stronie przeciwnej. Patrzył na nią zimno i nim zaczął mówić, Anna nagle zorientowała się, że coś jest nie w porządku.

- Przypuszczam, madame - rzekł przerażająco spokojnym głosem - że masz mi coś do powiedzenia.

Spojrzała na niego i uśmiech znikł z jej twarzy. Nie udało jej się go zwieść. Wiedział. Lovatt ostrzegł ją, że mężczyzna zawsze wie.

- Jest to rzecz ogólnie wiadoma, nie ulegająca kwestii - zaczął - że mężczyzna ma prawo do dziewictwa narzeczonej. Może to i nieładnie, że kobiecie te same prawa wobec narzeczonego nie przysługują, lecz taki jest nasz świat i nasze społeczeństwo. Nie weszłaś nietknięta do mego łóżka, madame.

Nieprawda, nieprawda!

- Może zechcesz mi to wyjaśnić? - Łagodny ton jego głosu przerażał ją bardziej, niż gdyby okazał gniew. Czowała, że wyrasta między nimi lodowata bariera.

Wyjaśnić? Jakże mogła to wyjaśnić? Wyjaśniając jedno, musiałaby wyjaśnić wszystko. Wyrwana z kontekstu prawda nic by nie dała. Gwałt - to byłoby najprostsze. Wystarczyłoby. Lecz to nie był gwałt - nie. To było coś gorszego. Czyn dokonany z zimną krwią. Nigdy nie pojęła, dlaczego po prostu jej nie zgwałcił. Nie, nie może o tym powiedzieć

- nikomu.

- Pozwól, że ułatwię ci zadanie - powiedział. - Stało się to raz czy kilka razy?

Spojrzała na niego. Raz? Ani razu.

- Z jednym mężczyzną czy z kilkoma? - I ten jego ciepły, łagodny ton!

Wolałaby, żeby na nią krzyczał. Chciała wołać, prosić, by na nią krzyczał. Gdy milczenie obojga przeciągało się, miała przemożną ochotę wybiec z pokoju, z domu, zaczerpnąć świeżego powietrza. Dusila się. I nie przestawała patrzeć mu prosto w oczy.

- Kochałaś go? - zapytał prawie szeptem. A gdy wciąż milczała, rzucił następne pytanie: - Kochasz go?

Myślała o Lovacie Blaydonie stojącym przy jej łóżku, jak przemawia do niej kojąco, przywiązując zarazem jej nadgarstki do wezglowia. Była jeszcze kobieta. Kiedy przywiązał jej kostki nóg do listwy łóżka, kobieta zadarła jej halkę. Układając ją starannie, związała na biodrach, jak gdyby nie chciała pognieść materiału. Miłość? Miłość? Czy była w jej życiu chwila bardziej przecząca miłości?

Nagle rysy twarzy Luke'a zamazały jej się przed oczami i stwierdziła z upokorzeniem, że wzrok przesłaniają jej łzy.

Wstał powoli, przeszedł przez pokój i stanął przy oknie, tyłem do niej. Przygryzła wargi, starając się z całej mocy powstrzymać łzy. Po chwili, która wydawała się wiecznością, odwrócił się. Nie usiadł za biurkiem, podszedł do fotela, na którym siedziała.

- Nie zamierzam cię potępiać - rzekł. - Przypuszczam, że potrzeby seksualne kobiety są równie silne jak mężczyzny i gdy kobieta przekroczy lat dwadzieścia, a sprawy rodzinne utrudniają jej wyjście za mąż, szuka okazji, by zaspokoić swoje potrzeby. Nie potępiam cię i nie będę nalegał, byś odpowiedziała na moje pytania. Zachowaj swoją tajemnicę. Ale musisz ci to powiedzieć, madame. Spójrz na mnie.

Siedziała z zamkniętymi oczyma. Otworzyła je teraz i utkwiała w nim wzrok. Wolałaby, żeby nie stał tak blisko, żeby cofnął się o parę kroków.

- Jesteś moją żoną - ciągnął - należysz do mnie. Nie mogę sterować twoimi uczuciami, ale mogę i będę żądał wyłącznego prawa do twego ciała. Jesteśmy razem i od tego momentu tylko ja będę je posiadał i twoje łono przyjmie tylko moje nasienie. Żeby wszystko było jasne, mada me. Nie jest moim zamiarem karanie cię za przeszłość ani osłabianie małżeńskich więzów. Lecz jeśli nie zastosujesz się do moich wymogów, grozić ci będą poważne kłopoty. Wymierzę ci karę. Twój kochanek umrze. Każdy, kto mnie zna, potwierdzi, że nie rzucam słów na wiatr.

Wyczuła w nim lodowaty chłód. Patrzyła na niego spięta i przerażona ale w jej duszy

pojawiła się iskierka buntu. Oni wszyscy są tacy sami, pomyślała z goryczą. Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Najważniejsza dla nich jest władza, potrzeba posiadania, sprawowania kontroli. Sądziła, że on jest inny. Była głupia. Nie różnił się niczym od Lovatta Blaydona. Lecz coś w jej świadomości zaprotestowało przeciwko takiemu porównaniu. To nieprawda. To nie może być prawda.

Czy nie ma na świecie mężczyzny zdolnego do prawdziwej miłości? Nie, nie można tak myśleć. Odmówiła odpowiedzi na jego pytania - nie miała na nie odpowiedzi. Miał prawo być na nią zły. Bardziej niż to okazał.

- Cały czas milczysz, madame - powiedział. - Chcę teraz od ciebie coś usłyszeć, jeśli łaska.

- Wczoraj - rzekła i zabrzmiało to zbyt głośno. Przełknęła ślinę. - Wczoraj w obliczu Boga, mojej i twojej rodziny przysięgałam waszej wysokości wierność. Nie złożyłam obietnicy, której nie mogłabym dotrzymać.

- Świetnie - powiedział po chwili. - Zatem nie wracajmy więcej do tego tematu. Trwajmy w małżeństwie, które wczoraj zostało zaprzysiężone.

Zacisnęła mocno powieki.

- Dziękuję - szepnęła.

Nie wiedziała, czy małżeństwo będzie trwało i czy będzie w stanie żyć normalnie, zapomniawszy o wszystkim. Czas pokaże, pomyślała. W końcu jej nie odrzucił, nie poniżył w oczach innych po jednym dniu małżeństwa. Trudno jej było orzec, czy jest zadowolona, czy pograżona w smutku. Dojrzała lodowaty chłód w jego oczach i wyczuła go w jego głosie. Przeraził ją, bała się człowieka, którego przed zaledwie paroma dniami darzyła taką ufnością.

Może dzisiaj w nocy to nie była miłość? Może, stwierdziwszy od razu ów fakt, brał ją jak się bierze dziwkę? Ta myśl zmroziła ją od stóp do głów.

A jednak: „Trwajmy w małżeństwie, które wczoraj zostało zaprzysiężone”. Tak powiedział.

Nie mógł pogodzić się z faktem, że poczuł się tak głęboko zraniony, dowiedziawszy się, iż kochała przedtem innego mężczyznę, który pozbawił ją dziewictwa. Zraniony? Jak to się stało? Przecież przez te lata zdołał się uodpornić na ból.

Widząc cierpienie w jej pełnych łez oczach, które lśniły zazwyczaj radością wstał i podszedł do okna.

Kochała tamtego, kimkolwiek był. Wyraz jej twarzy i łzy świadczyły o tym dobitnie. Niechaj po stokroć będzie przeklęty!

Zraniona została tylko jego duma, nie serce. Nie miał przecież serca. Przyznawał z

właściwą sobie pychą że każda spośród jego francuskich kochanek, w ogóle każda spośród licznych kobiet, jakie posiadał, na jedno jego skinienie stanęłyby z nim przed ołtarzem. Wybrał pogodną szczęśliwą niewiastę, skromną i niewinną, i wyszedł na głupca. Nie tylko nie była niewinna, ale też kochała innego mężczyznę. Tak wynikało z jej reakcji na jego pytania. Odmówiła odpowiedzi.

Mało obchodzi mnie jej uczucia, mówił sobie, stojąc przy oknie. Ale, na litość boską nikt inny nie ma prawa do jej ciała! Nikt inny od chwili, kiedy to on związał się z nią na zawsze węzłem małżeńskim.

Podszedł do niej, by jej to powiedzieć. Gdy mówił, spojrzała mu w oczy i uświadomił sobie jeszcze jedno; jej uśmiechy, rozświetlona twarz i kokieteria - to wszystko była gra. Ta niewiasta przez tydzień ich znajomości nosiła maskę.

A może nie? Może przesadza. Nie był nawet pewien, czy chce, aby okazało się to pomyłką skoro ustalił już swoje prawo własności i zaakceptował rzeczywistość.

Znowu zajął miejsce za biurkiem. Gdy po śniadaniu wyszli z pokoju porannego, czuł potrzebę zachowania pewnego dystansu między nimi, formalnego dystansu. Biurko było neutralne i symbolicznie oddzielało pana od sługi.

Ona nie jest jego sługą. Jest jego żoną.

- Anno - zaczął. Znowu bacznie się w niego wpatrywała, twarz miała bladą bez cienia dawnego uśmiechu. - Powinniśmy szczerze ze sobą porozmawiać. Jest to możliwe mimo tajemnicy, której nie chcesz przede mną ujawnić, a ja nie chcę wywierać na ciebie nacisku. Chodzi o to, byśmy nie zaczynali wspólnego życia od nieporozumień, od fałszywych nadziei. Powiedz mi, dlaczego mnie poślubiłaś, a ja powiem ci, dlaczego poślubiłem ciebie. Trzeba poznać całą prawdę, nawet jeśli okaże się bolesna. Czekam.

Sadził, że odpowie mu milczeniem. Czekał. Bardzo zależało mu na tej rozmowie. Jeśli teraz wyjdą z tego pokoju i każde pójdzie w swoją stronę, to już nigdy nie zdołają się porozumieć i wejść razem w codzienne życie.

Ale odpowiedziała bez dalszego nalegania z jego strony:

- Mam dwadzieścia pięć lat - zaczęła - od śmierci mojej matki, a nawet w pewnym stopniu i przedtem, byłam panią domu, w którym się urodziłam. Teraz rolę pana domu pełni mój brat, głowa rodziny. Pod koniec roku wprowadzi tam swoją żonę. Wolałam wyjść za mąż, niż jako niezamężna siostra mieszkać w charakterze rezydentki. Trafiła mi się szansa poślubienia ciebie, człowieka z wyższych sfer i o pokaźnej fortunie. Skorzystałam z niej.

I uważałaś, że postępujesz moralnie? - chciał zapytać. Łącznie z uwodzeniem mnie na balu u lady Didding? Lecz jakie to miało teraz znaczenie?

- To wszystko? - zapytał. Zawahała się.

- Moje siostry... Mówiłam ci o nich. Ale nie wspomniałam, że moja najmłodsza siostra... jest... Mój brat nie umie z nią postępować, choć ją lubi, jak przypuszczam. Jego narzeczoną nie była zadowolona, że Emilia będzie z nimi żyła pod jednym dachem.

- Co jest z Emilią?

- Jest głuchoniema - odparła. - Trudno się z nią porozumieć. I jest... dziwna. Nie zachowuje się jak inne dziewczęta.

- Wyszłaś za mnie między innymi dlatego, żeby zapewnić jej dom?

- Tak.

Zastanawiał się, co jeszcze przed nim zataiła ta, jak sądził wówczas, nieskomplikowana niewiasta, z którą się ożenił, ta niewiasta godna zaufania. Kochanek, którego darzyła uczuciem, z jakichś względów nie mógł się z nią ożenić - może był żonaty? Głuchoniema siostra. Czy Anna ma jeszcze jakieś inne tajemnice?

Czekał na dalsze wyznania, zastanawiając się, czy po tym wszystkim potrafi zaufać tej kobiecie.

- Byłem z dala od domu i rodziny przez dziesięć lat - powiedział Luke. - Nie miałem zamiaru wracać, nawet po śmierci mego brata przed dwoma laty, gdy obarczono mnie tytułem księcia. Lecz okazało się, że niełatwo jest uniknąć odpowiedzialności. Odpowiedzialności za każde go członka mojej rodziny i za majątek, Bowden Abbey. Prawdopodobnie prędzej czy później musiałoby to na mnie spaść. Tytuł księcia wiąże się ściśle z obowiązkami i nie mogłem dłużej folgować swoim zamiłowanym, dotyczącym nawet życia osobistego. Potrzebna mi była żona.

Chciał być uczciwy, nie brutalny. Gdy Anna opuściła na chwilę powieki, a potem znowu je uniosła, uświadomił sobie znaczenie własnych słów. Ale padły i były zgodne z prawdą. Jeśli przez chwilę wydawało mu się, że ją kocha, to obecnie owo uczucie znikło bez śladu.

- Wybór żony o odpowiedniej pozycji społecznej to rzecz bardzo istotna - powiedział.

- Jak ci już wspomniałem, fortuna nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Do swego majątku doszedłem sam, wiele też odziedziczyłem. Mój wuj zarekomendował mi ciebie jako niewiastę o odpowiednim pochodzeniu. Nie uznałem za konieczne dopytywać się o inne sprawy.

Opuściła oczy pod jego spojrzeniem.

- Sytuacja dziedziczących po sobie braci, gdy osiągnęli już pewien wiek, nie jest dobra - rzekł. - Toteż stało się dla mnie jasne, że stosownym do mojej pozycji obowiązkiem jest posiadanie synów. Jeśli ja okażę się do tego zdolny, a ty - płodna, uczynię cię matką, z

właściwymi dla twego zdrowia przerwami, przynajmniej dwóch synów. Córki też będą mile widziane, lecz ja chcę synów.

- Rozumiem. - Wciąż nie patrzyła mu w oczy, wzrok miała utkwiony w blacie biurka.

- Ja też tego pragnę, księżę.

Wstał, obszedł biurko i wyciągnął ku niej rękę. Poczł ogromną ulgę, jakby wielki kamień spadł mu z serca. Rozmawiali ze sobą otwarcie i doszli do pewnych praktycznych wniosków, które będą stanowić bazę ich małżeństwa. Nie było już ważne, że jej żywiołowość i wdzięk oczarowały go, że po latach zimnego cynizmu tak dalece zapomniał o wpajanych sobie zasadach, iż uwierzył, że może ich łączyć coś więcej niż obopólna umowa. Okazało się to mrzonką. Rzeczywistość była inna. W końcu nie taka zła. Niech sobie kocha tego swojego tajemniczego kochanka - tak czy owak, jest jego żoną, będzie mu wierna i potrafi wywiązać się ze swoich obowiązków. Zdaniem jej brata przeszła trudną szkołę życia.

- Anno - powiedział, gdy wstała z miejsca. Trzymając ją za jedną rękę, ujął drugą. - Ta rozmowa sprawiła ci przykrość, wiem. Ale była szczerą, dzięki niej lepiej się poznaliśmy, więcej o sobie wiemy. Wzięliśmy ślub w pośpiechu, prawda? Jeśli zawsze będziemy wobec siebie szczerzy i uczciwi, to na pewno wszystko się między nami dobrze ułoży. I za pomyślny uznaję fakt, że nie łączy nas głębokie uczucie, które, jak przekonałem się przed laty, prowadzi nieuchronnie do obustronnych cierpień.

Oczy jej na moment rozbłysły. Tak, pomyślał, ona zapewne też jest tego zdania; wszak nie wyszła za mąż za człowieka, którego kochała i który ją posiadał.

- Zawsze hołdowałem zasadzie - mówił dalej - że to, do czego człowiek powinien dążyć w życiu, to osiągnięcie przyjemności. I chociaż tej nocy byliśmy właściwie sobie obcy, wierzę, że oboje jej zaznaliśmy. Rozkoszowałem się twoim ciałem, a że mam spore doświadczenie w tej kwestii, wiem, że i moje ciało dało ci rozkosz. Będziemy się oboje starać wywiązywać z obowiązków dnia, a w nocy zadowalać się w pełni - co jest bardzo ważne. Nauczę cię, jak sprostać moim potrzebom, a ty nauczysz mnie, jak czynić zadość twoim.

- Dobrze - powiedziała.

Odrobinę mocniej ścisnął obie jej dłonie.

- I chcę cię widzieć znowu szczęśliwą i znowu uśmiechniętą. Twoje uśmiechy, Anno, nie były sztuczne, prawda? Lubiłem je. Chcę je znowu widzieć na twojej twarzy.

- Dobrze.

Uniósł pytająco brwi.

- Ale nie teraz - rzekła. - Później, wasza wysokość, nie teraz. Jeśli można, teraz chciałabym zostać sama.

Podniósł jej dłonie do ust i spojrzął z bliska w jej zielone, szeroko rozwarte oczy bez cienia uśmiechu. Zbliżył twarz do jej twarzy, po czym skierował się do drzwi i zamknął je za sobą.

Czy Anna żałuje, zastanawiał się w duchu, że zrezygnowała z miłości, nawet nieszczęśliwej, dla tytułu, bogactwa, obowiązków żony i rozkoszy małżeńskiej?

Jeśli tak, to jest to jej problem. Może nie poznała jeszcze sztuki uprawiania miłości, ale pozna, na pewno. Będzie też żyła w dostatku. Zapewni bezpieczeństwo swojej rodzinie, na czym tak jej zależało. On obdarzać ją będzie rozkoszą tak wielką, że zapomni o tej swojej głupiej miłości, która zasnuła smutkiem jej oczy i starła uśmiech z twarzy.

Noce będą dla niej rajem. Dla niego również.

Tak, mimo przykrej niespodzianki, jaka go spotkała, oraz faktu, że odmówiła mu wyjaśnień, nie żałował, że się z nią ożenił. Być może nawet rad był temu, iż tak szybko przekonał się, że w małżeństwie pozostał samotny. Że nie może liczyć na prawdziwą miłość, na prawdziwe obopólne zaufanie. A że stało się to tak szybko, nie miał uczucia, iż został zdradzony.

Luke zerwał się na równe nogi. Ma przecież iść do klubu, stawić czoło wszystkim sprośnym uwagom, jakich z pewnością nie oszczędzą mu jego znajomi. Potrzebne mu było coś, co rozwieje jego smutek, bo nie rozwiązała go szczerza rozmowa z żoną.

Kłaniając się nisko, kamerdyner poinformował Annę, która szybkim krokiem schodziła po schodach ku swoim apartamentom, że posłaniec przyniósł list wraz ze ścisłym zastrzeżeniem, by przekazano go do rąk własnych jej wysokości. Kamerdyner pozwolił sobie go zapewnić, że dopilnuje osobiście, by tak się stało.

Anna zabrała list ze sobą do swojego prywatnego salonu. Przeczucie nieszczęścia sprawiło, że drżącymi rękami rozkładała arkusik papieru.

*To bardzo nieładnie z Twojej strony, moja Anno - pisał. - Zasmuca mnie myśl, że prawdopodobnie dziś rano przeżyłaś ciężkie chwile. Twój książę ma opinię dumnego i bezwzględного człowieka. Dopuściłem do tego małżeństwa i na razie nie zrobiłem nic, by mu zapobiec. Wyglądałaś pięknie w bieli i zlocie, nigdy cię jeszcze takiej nie widziałem. Lecz, Anno, ja tylko wypożyczyłem Cię księciu Harndon. Popełniłabyś wielki błąd, gdybyś zakochała się w nim. Gdy nastanie odpowiednia pora, przyjadę po Ciebie i zabiorę Cię do domu. Będiesz w nim szczęśliwa do końca życia. Obiecuję Ci to. Twój uniżony sługa, Blaydon.*

Długo wpatrywała się w list, lecz nie uroniła ani jednej łzy. - Dlaczego nie dajesz mi spokoju? - szepnęła. - Dlaczego, na litość boską, nie dajesz mi spokoju?

Luke znowu dostał list od Henrietty. Chciała mieć fontannę w paradnych ogrodach - George przed śmiercią zgodził się na ten pomysł, ale nie zdążył go zrealizować.

*Pan Colby nie chce się tego podjąć bez zgody księcia. Źle to świadczy o zarządcy, który tak władczo sobie poczyna. Przekracza granice przyzwoitości, zapominając, że ja wciąż jestem księżną Harndon - pisała.*

Czytając te słowa, książę doznał nie milego wrażenia, że minione lata uczyniły z Henrietty kobietę władcą i niesympatyczną. Ton listu uległ jednak zmianie, pisała dalej:

*Prawdę mówiąc, nie zależy mi na przeprowadzaniu żadnych zmian w domu ani na budowie fontanny, i nie przejmuję się tyranią pana Colbyego. To wszystko są wymówki, by skłonić cię do powrotu. Chcę, żebyś wrócił do domu. Od naszego ostatniego spotkania wiodłam ponure życie. Nie karz mnie dłużej za błąd, jaki popełniłam przed laty, odcierpiałam już swoje.*

Henrietta, myślał Luke, siadając za biurkiem i kładąc przed sobą list, nie wiedziała widocznie o jego małżeństwie. Will odjechał przed jego oświadczeniami, toteż nie mógł przekazać jej tej wiadomości. Rzecz jasna, Henrietta będzie musiała zrzec się tej pozornej władzy. Nie wiedział, jak to przyjmie. Być może bardzo źle.

Żałowała swojej decyzji. Jej uczucia do niego przez te dziesięć lat nie umarły. Prawdopodobnie nie usiłowała ich w sobie zabić. Biedna Henrietta - utrata dziecka musiała być dla niej nad wyraz ciężkim przeżyciem. A teraz pragnie jego powrotu, choć przecież wie, że nie mogliby się pobrać. Prawo określa to jasno.

On zabił swoje do niej uczucia. Nie istniały. Dlaczegoż zatem boi się wrócić do Bowden? Dlaczego boi się spotkania z nią?

Mimo to wróci do domu, postanowił, bębniąc palcami o blat biurka. Już wkrótce. Skoro się ożenił, stało się to nieuniknione. Powrót do Paryża na stałe nie wchodził w rachubę. Nie może też wraz z żoną pozostawać bez końca w Londynie. Wynajął ten dom tylko na trzy miesiące. Skoro jest Anna i będzie dziecko, muszą wszyscy razem zamieszkać na wsi.

Tak, niebawem będzie musiał podjąć decyzję o powrocie.

Ale jeszcze nie zaraz. Chciał, wraz z Anną, nacieszyć się życiem w Londynie. Wczoraj po rozmowie z nią i po jej nagłym wyjściu z pokoju przypuszczał, że zechce cały dzień spędzić sama, w swoich apartamentach. Sądził, iż trzeba będzie zrezygnować z rautu u pani Burnside dziś wieczorem, że upłynie sporo czasu, nim znów ujrzy uśmiech na twarzy małżonki.

Pojawiła się jednak na obiedzie. Wyglądała wspaniale w ciemnoczerwonej satynowej sukni, którą widział po raz pierwszy. Włosy miała ufryzowane i upudrowane, na głowie czepeczek z koronki i wstążek zwisających z tyłu do połowy pleców. Jaśniała naturalną urodą - rad był, że nie używa kosmetyków - uśmiechała się kusząco, podniecająco, oczy błyszczały jej szczęściem.

A może istotnie jest szczęśliwa, pomyślał, obserwując ją z uznaniem, słuchając jej dowcipnej i zalotnej konwersacji podczas obiadu. Być może przemyślała to, co jej powiedział, i doszła do wniosku, że osiągnęli całkiem zadowalający konsensus. Być może ta szczerza rozmowa jej również przyniosła ulgę.

Na raucie olśniła wszystkich i radość sprawiał jej fakt, że skupiała na sobie powszechną uwagę także dlatego, że po raz pierwszy pojawiła się w towarzystwie jako księżna. Matka Luke'a królewskim gestem ujęła ramię Anny, przedstawiając ją ludziom, których on nawet nie znał. Złapał się na tym, że wpatruje się w żonę tak samo jak przed tygodniem, zafascynowany jej urodą i żywiołowością.

Za dnia, powiedział jej, zwykle obowiązki, a w nocy - rozkosz. Machinalnie odłożył na bok list Henrietty na stertę innych listów i zaproszeń i rozparł się wygodnie w fotelu.

Czekała na niego w łóżu naga. Noc była cudowna. Prawie nie spali. Obudził się późno, lecz mimo to odbył w deszczu swoją poranną przejażdżkę. Nie znała wielu miłosnych gier, w każdym razie na początku nocy nie wykazała się ich znajomością. Luke pomyślał o jej kochanku, ale tylko przez chwilę. Musi o nim zapomnieć. Anna wszelkie swoje braki nadrabiała pasją, chęcią zadowolenia go, poddaniem się jego woli, uległością. Zademontrował jej kilka pozycji, lecz postanowił być cierpliwy, zostawić inne na następną noc, by te cudowne doznania za bardzo nią nie wstrząsnęły. Ona zaś gotowa była na coraz to nową rozkosz i nie kryła się z tym.

Była to przepiękna noc, czekał na następną taką jak ta, i minęło wiele nocy, zanim poczuli potrzebę snu.

Oczywiście, myślał teraz, wspierając podbródek na obu palcach wskazujących, nie ma żadnych przeszkód, by kochali się i w godzinach popołudniowych - jasna sprawa. Uśmiechnął się pod nosem. Tak, dzisiaj rano był bardzo zadowolony ze swego małżeństwa.

Tymczasem kamerdyner zaanonsował wizytę lorda Ashleya Kendricka. Brat przemierzył szybko pokój, a na jego twarzy malowały się jednocześnie pewność siebie, nieśmiałość i czujność. Luke przypomniał sobie ze smutkiem niektóre rozmowy z ojcem, siedzącym niezmiennie za biurkiem, i uświadomił sobie, że oto teraz on zajął jego miejsce. Wciąż jeszcze nie docierał do niego fakt, że on, Luke, uosabia obecnie autorytet rodziny.

Wstał, wyszedł zza biurka i wyciągnął do brata rękę.

- Zawsze uważa się Anglię za kraj zielonej trawy, drzew obsypanych listowiem i ogrodów pełnych barwnych kwiatów - rzekł, wskazując Ashleyowi fotel. - Zapomina się o paskudnych deszczach, które tej zieleni sprzyjają.

- Pocziwa stara Anglia. - Ashley uśmiechnął się z chłopięcym wdziękiem i usiadł.

Jest zdenerwowany, zauważył Luke, wracając za biurko; sięgnął po kartkę papieru, którą przykrył list Henrietty. Mógł równie dobrze poprzestać na krótkiej rozmowie, o czym obaj dobrze wiedzieli. Zaprasza się kogoś w godzinach raczej popołudniowych, Ashleyowi zaś Luke wyznaczył ranek. I Ashley stawiał się o wyznaczonej porze.

- Mógłbyś mi to wyjaśnić? - zapytał Luke, wręczając bratu pismo. - Nadeszło wczoraj, już po zapłaceniu przeze mnie rachunków. Czy do tarło do mnie z opóźnieniem? Jak widzisz, rachunek opiewa na dość pokaźną kwotę, świadczy o twojej rozrzutności, a chodzi o... no tak, o bransoletę wysadzaną szmaragdami. Czyżby to podarunek dla naszej matki? - Rozsiadł się wygodnie, zakładając nogę na nogę.

Ashley roześmiał się:

- Coś takiego dla matki? Dobrze sobie, Luke! Tę bransoletę nabyłem dla lady, która lubuje się w błyskotkach. Dla pewnej lady, na której mi zależy.

- Dla „lady”? - Luke zmarszczył brwi. - To ta sama, dla której wynająłeś dom i zatrudniłeś służbę? To ta, którą ubierasz w najdroższe jedwabie i atłasy?

- Jest tego warta, Luke - oświadczył Ashley. - Podobno w Paryżu miałeś najurodziwsze niewiasty i najurodziwszą niewiastę w Londynie pojąłeś za żonę. Ja, jak widzisz, podtrzymuję rodzinną tradycję. Nigdy nie miałem wspanialszej kochanki.

- Jestem zmuszony poinformować cię, mój drogi, że ona jest zbyt kosztowna - rzekł Luke.

- Do licha! - wykrzyknął Ashley. Zbladł, wysunął do przodu dolną szczękę. - Niczym się nie różnisz od ojca i George'a! Mam dwadzieścia dwa lata. Mam żyć jak mnich? I nie mów do mnie „mój drogi”. Brzmi to cholernie...

- Zakładam - zaczął Luke, nie odczekawszy, aż brat dokończy zdanie - że w Londynie, podobnie jak w Paryżu, istnieją godne polecenia domy publiczne, gdzie dziewczyny czyste i znające się na rzeczy potrafią zapewnić satysfakcję będącemu w potrzebie mężczyźnie i nie ośmielają się wyłudzać od swoich co bardziej naiwnych klientów drogich jedwabi i klejnotów.

- Przestań! - powiedział ostro Ashley. - Niepotrzebne mi dziwki. Chcę mieć kochankę. Jestem bratem i dziedzicem księcia Harndon, do diaska, i chcę tak jak ty używać życia.

- Posłuchaj mnie - rzekł Luke ciepło. - Jesteś bardzo młody, mój drogi. Och, przepraszam. Zapomniałem, że jestem w Anglii, gdzie mężczyzna musi być mężczyzną i żyć w ciągłym lęku, by nie posądzono go o zniewieściałość. Ale wracając do rzeczy. Używanie życia nie polega na spełnianiu czyichś oczekiwań. Szczególnie wówczas, gdy nie ponosi się za nie żadnej odpowiedzialności. Nudzisz się? Czy masz jakieś inne plany poza chęcią używania życia, tak jak ja to dotychczas czyniłem? A poza tym nie było tak, jak ty to sobie wyobrażasz - nigdy nie utrzymywałem kochanki, alkohol pijam nader rzadko, a po raz pierwszy skosztowałem go, gdy ukończyłem dwadzieścia jeden lat.

- Nie utrzymywałeś, bo nie miałaś takiej potrzeby - rzekł Ashley z goryczą. - Podobno panie z najwyższych sfer same włączyły ci do łóża, wystarczyło, byś spojrział na którąś i uniósł z lekka brew. Podobno markiza d'Etienne przyjechała za tobą do Londynu...

- Mejsię na bacności - rzekł uprzejmie Luke. - Ta lady obraca się wśród najwyższych dworskich sfer. I jeździ tam, dokąd chce. A więc jakie masz plany na przyszłość?

- Armia nie wchodzi w grę - odparł stanowczo młodszy brat. - Choć taka była wola ojca. George odziedziczył tytuł, ty miałaś zostać pastorem, a ja wojskowym. Nie jestem tchórzem, Luke, ale nie zamierzam być mięsem armatnim, ilekroć mężowie stanu zapragną wszcząć kłótnię. Kościół też nie jest dla mnie, chociaż zarówno George, jak i mama chcieli mnie tam widzieć, gdy ty ich rozczarowałeś. Idę do kościoła kiedy muszę, i daję jałmużnę, ilekroć ktoś, działając w szlachetnym celu, zwróci się z tym do mnie. O ile pamiętam, nie nikomu nie ukradłem ani nie zamordowałem żadnego człowieka, nie wyobrażam sobie jednak, bym mógł zostać kapłanem. Nie namawiaj mnie więc do żadnej z tych rzeczy.

- Widzę, że jesteś człowiekiem pełnym energii, takim, którego irytują wszelkie ograniczenia - odparł Luke. - Nie wolno ci jednak żyć ponad stan. Chciałbyś do końca życia z czapką w ręku przychodzić do mnie albo do mego zarządcy?

- Jak możesz?! - rzekł Ashley, wstając. - Ty jesteś z nich najgorszy, Luke. Oni przynajmniej rzucali na mnie gromy i wrzeszczeli. A ty przybrałeś elegancką pozę, oczy masz zimne jak lód i zwracasz się do mnie „mój drogi”, czule, jakbym był dziewczyną. Czasem przychodzi mi do głowy, że przed dziesięcioma laty zabiłeś mego brata Luke'a. Luke, którego pamiętam, był wspaniałomyślny i pełen ciepła.

- Zostaw mi te rachunki - powiedział Luke i również wstał. - Ureguluję je. Ale przyjmij do wiadomości, że po raz ostatni będę honorował rachunki tego typu. Jeżeli musisz czynić zadość swoim potrzebom seksualnym z kochanką tak kosztowną, rób to na własne konto. Nie będzie to łatwe, uwzględnivszy nawet fakt, że zwiększę ci dotację na przyszły kwartał. Postąpiłbyś mądrzej, gdybyś posłuchał mojej rady i zerwał z nią. Jeśli zechcesz

wypłacić jej jakieś odszkodowanie, taki rachunek ureguluję.

- Do licha, straszliwie mnie upokarzasz - rzekł Ashley, nie słysząc nawet odgłosu otwieranych drzwi. - Zimne oczy i zimne serce. Szkoda, że nie zostałeś tam, skąd przybyłeś, Luke. Powiem więcej: wolałbym, żebyś poszedł sobie do wszystkich diabłów.

- Dzień dobry, moja droga - powiedział Luke do żony, która, speszona i zaskoczona, stała w progu.

Ashley obrócił się gwałtownie i podszedł do niej.

- Madame - rzekł, kłaniając się jej w pośpiechu i ujmując dłoń do pocałunku. - Pani sługa uniżony. W głębi duszy bardzo mi Ciebie żal. - Po czym, nie oglądając się na brata, wyszedł z pokoju.

- Wejdz, proszę, moja droga - powiedział Luke. Anna, zanim weszła, odprowadziła wzrokiem Ashleya.

- Przepraszam, nie wiedziałam, że jest ktoś u Ciebie. Powinnam była się zapowiedzieć albo zorientować się, czy jesteś zajęty.

Luke podszedł do drzwi i zamknął je za nią. Położył dłonie na jej ramionach i zwyczajem kontynentalnym pocałował ją najpierw w jeden, potem w drugi policzek.

- Jesteś we własnym domu, kochanie. I możesz wchodzić, gdzie chcesz, nie pytając nikogo o pozwolenie, nawet mnie. Dobrze spałaś?

- Wstałam stanowczo za późno - rzekła. - Poranek prawie już minął.

- Gdybyś wstała wcześniej, w ogóle byś nie spała. - Jej rumieniec uradował go. Niewiasty, z którymi sypiał, były zbyt zblazowane, by się rumienić. - Dzięki ci za tę noc pełną rozkoszy.

- Czy lord Ashley był zdenerwowany? - zapytała.

- Sprawy rodzinne - odparł. - Udzieliłem mu nagany za rachunki, na które nie ma pokrycia, a on oskarżył mnie o brak serca. Nie on jeden mi to zarzuca.

- Nie uregulujesz ich? Popadnie w ruinę. Może nawet trafi do więzienia za długi. Jesteś przecież bardzo bogaty, prawda?

Pamiętał, że jej ojciec, nałogowy hazardzista, zawsze tonął w długach po uszy. Musiała być na tym punkcie szczególnie przewrażliwiona.

- Niektóre rachunki już zapłaciłem, inne zapłacę wkrótce - odpowiedział. - Ale wydałem mu pewne polecenia. Jestem głową rodu, madame, i wziąłem wreszcie sprawy w swoje ręce. Ludzie zależni ode mnie muszą wiedzieć, że pewnych granic przekraczać nie wolno.

- Rozumiem - powiedziała. - Ale rodzinę spaja właśnie miłość. - Opuściła wzrok i

zniżyła głos niemal do szeptu. - Co jest nie tak między wami? Dlaczego nie mieszkasz w Harndon House? Dlaczego tak długo ich nie widziałeś? Czy nigdy nie pomyślałeś o odwiedzeniu ich, o zobaczeniu się z nimi? Wybacz mi, ale nie mów, że to nie moja sprawa. Teraz jestem członkiem twojej rodziny, a powiedziałeś mi, że musimy zawsze być ze sobą szczerzy. - Zmarszczyła czoło i zarumieniła się jednocześnie. Unikała jego wzroku.

- Byłem lekkomyślnym młodym człowiekiem - oznajmił. I tu mijał się z prawdą. Najczęstsze opinie, jakie słyszał o sobie, to: uroczy, zrównoważony. Cechowała go też żywiołowość i szczerłość. I był wręcz niewiarygodnie naiwny. Kochał swoje powołanie do kapłaństwa i chłopięcą miłością obdarzał pewną dziewczynę.

- Stoczyłem pojedynek z moim starszym bratem z powodu jakiejś utarczki... - Z powodu Henrietty, którą George uwiódł, zapłodnił i potem się jej oświadczył. - Brakowało paru centymetrów, a trafiłbym go w serce. Podobno przeleżał parę tygodni, trawiony silną gorączką. Nie było mnie wtedy. Wyjechałem. Wypędzono mnie z domu. Uznano oczywiście, że racja była po jego stronie, bo to on był bliski śmierci. Ponadto postąpił szlachetnie; umyślnie chybił, strzelił w górę ponad moją głowę. Czy to wyznanie wystarczy ci, moja droga?

Wpatrywała się w niego z pobladłą twarzą.

- A czy racja istotnie była po jego stronie? - zapytała. Była do głębi wstrząśnięta, widział to.

- Jak ci już wspomniałem - ciągnął - nastąpiło to po jakiejś kłótni, nie pamiętam, o co poszło. Wtedy niewątpliwie byłem przekonany o swojej racji. Lecz on był ode mnie szlachetniejszy. - Dlatego że dotąd Luke nie znał pojęcia „umyślnego chybienia” i dlatego że był wtedy żałośnie kiepskim strzelcem. Jego kula utkwiała daleko od zamierzonego celu, ja kim była wierzba rosnąca opodal. - Jak widzisz, moja droga - rzekł, nieświadom nuty gorzkości we własnym głosie - to, co przed paroma mi nutami powiedział mój brat, jest absolutną prawdą. Jestem człowiekiem bez serca. Dobrze się stało, że postanowiliśmy wczoraj dostarczać sobie wzajemnie rozkoszy i tylko rozkoszy, nieprawdaż?

- Twoja matka życzy sobie, bym dziś po południu towarzyszyła jej i lady Doris podczas składania paru wizyt - powiedziała Anna. - Przy słała mi kartkę w tej sprawie. Mogę, księżę? Czy masz inne plany wobec mnie?

Tylko takie, byś poszła ze mną do łóżka i ukoila moje żądze - pomyślał.

- Wyraż zgodę tą samą drogą - odparł. - Musisz lepiej je poznać, Anno. Jak sama stwierdziłaś, należysz teraz do rodziny.

- Dziękuję. - Spojrzała na niego niepewnie i skierowała się do drzwi.

Lecz on chwycił ją za ręce. Poczuł, że chce się bronić, że chce powiedzieć jej całą prawdę. O Henriecie. Jednak dał odpór temu impulsowi - żadna obrona własnej osoby nie była mu potrzebna. Nie obchodziło go przecież, co myślą o nim ludzie. Zawsze uwierzą w to, w co chcą uwierzyć, nawet jeśli wiedzą, że to nieprawda. Tylko człowiekowi słabemu - takiemu, któremu niezbędny jest szacunek otoczenia - zależy na opinii innych.

- Cieszę się, że złożysz parę wizyt - rzekł, pochylając się nad jej dłońmi. - Zobaczymy się przy obiedzie. Te godziny będą mi się dłużyć w nieskończoność.

Wypowiadane bezmyślnie konwencjonalne uprzejmości. A jednak prawdziwe, pomyślał smutno po jej wyjściu. Pragnął jej. Nawet po dwóch nieprzespanych miłosnych nocach.

Przez chwilę tęsknota do niej była tak dojmująca, że przekraczała fizyczne pożądanie. Ale tylko przez chwilę. Wiedział dziś znacznie lepiej, że takie myśli zawiodą go w pułapkę.

- Powiedz mi - rzekła lady Doris Kendrick, ujmując Annę pod ramię i pochylając się ku niej. Piły herbatę u lady River. Była to trzecia wizyta tego popołudnia, za nimi przybyło jeszcze kilka pań. Lady Doris wzięła Annę na bok i usiadły razem na małej sofie. - Czy małżeństwo to naprawdę coś cudownego? Przypuszczam, że tak. Luke jest wspaniały, prawda? Lubię obserwować, jak na balach damy wodzą za nim wzrokiem. Małżeństwo z kimś takim jak Luke musi być nie lada szczęściem. Niewiasty szepczą sobie coś do ucha ile to każda z nich musi się w nocy nacierpieć za cenę godnej pozycji mężatki. Ale ja nie wierzę, że to takie straszne. Tęsknię do małżeństwa i mam odwagę się do tego przyznać. Powiedz mi. Czy to podniecające?

Annie przyszyły na myśl wysoce niewłaściwe wspomnienia o długich, wrażliwych męskich palcach, dotykających najczulszych miejsc.

- Przyjemne - odparła tylko.

- Coś takiego! Przyjemne! - Doris tłumiała chichot i spojrzała na matkę, lecz ta nie zwracała na nią uwagi. - Jaka jesteś subtelna, Anno! Bardzo jesteś w nim zakochana? Podobno połowa dam w Paryżu szalała za nim, kiedy był tylko zwyczajnym lordem Kendrickiem, a trzy czwarte - gdy został księciem. Jesteś w nim zakochana?

Tak. O, tak, była zafascynowana człowiekiem, co do którego miała coraz więcej i coraz poważniejszych wątpliwości. Ale na wątpliwości było już za późno. Został jej mężem. W jednej kwestii miał chyba rację. Może rozkosz, jaką jej dawał w nocy, liczyła się najbardziej? Może to więcej niż miłość? Jej miłość do rodziny sprawiła, że miała ciężkie życie. Może to i dobrze, że nie kochał swojej rodziny. Ani nawet swojej żony. Ciekawe, pomyślała, czy będzie kochał własne dzieci.

- Darzę uczuciem jego wysokość, Doris - odparła.

- Uczuciem - powtórzyła Doris - jego wysokość! Kiedy ja wyjdę za mąż, będę kochała swego męża, a nie „darzyła go uczuciem”, i będę mówiła do niego i o nim po imieniu - albo jakoś inaczej, pieszczotliwie. Choć przecież kiedy jesteście sami... - znowu zachichotała.

Doris jest rok starsza od Agnes, myślała Anna, ale mimo to bardziej dziecinna. Prawdopodobnie niepewność sytuacji, w jakiej Agnes żyła przez ostatnie lata, przyspieszyła jej dojrzewanie, choć Anna robiła, co mogła, aby chronić młodszą siostrę przed zmartwieniami.

Ja tylko wypożyczyłem cię księciu Harndon. Zadrzała, mimo woli. Nie. Nie. Postanowiła nie myśleć o tym więcej. Spaliła list.

Uśmiechnęła się ciepło do Doris.

- Spotkałeś już kogoś, kto cię zainteresował? - zapytała. - Nie narzekasz chyba na brak adoratorów? Jesteś taka ładna.

- I jestem córką i siostrą księcia - dopowiedziała z westchnieniem. - I panną z ogromnym posagiem. Tak, Anno, spotkałam mężczyznę swoich marzeń i zamierzam go poślubić i żyć z nim długo i szczęśliwie.

- Opowiedz mi o nim. - Anna domyśliła się, że właśnie dlatego Doris chciała porozmawiać z nią w cztery oczy. Była chyba jedyną młodą kobietą, której dziewczyna mogła się zwierzyć.

- Mama nie pochwała tej znajomości - zaczęła Doris. - Mówiąc szczerze, zabroniła mi widywać się z nim, bo jest biedny. Czy wyobrażasz sobie, Anno, śmieszniejszy powód? Parę miesięcy temu mama zatrudniła go, żeby namalował mój portret. Jest dobrym malarzem, choć nie zdobył jeszcze sławy ani fortuny. Ale zdobędzie. Pewnego dnia stanie się najmodniejszym i najbardziej poszukiwanym portrecistą w całej Anglii. I w całej Europie. Kochamy się i chcemy się pobrać. Gwałtowność moich uczuć nie pozwoli mi go porzucić.

O Boże. Anna, mimo iż przywykła do zwierzeń swoich sióstr, nigdy się nie zetknęła z taką determinacją. Przyszło jej nagle na myśl, że powinna być wdzięczna losowi, iż Charlotte ulokowała swe uczucia w odpowiednim, choć może niezbyt błyskotliwym człowieku. Agnes, jak na razie, nie była nikim zainteresowana.

- Mama pragnie twojego szczęścia - rzekła.

- Nie, wcale nie pragnie - powiedziała dziewczyna z emfazą. - Chodzi jej tylko o honor rodziny. Do czego to podobne, by córka księcia Harndon poślubiła malarza bez grosza przy duszy.

- Niełatwo jest żyć w biedzie - oświadczyła Anna ze spokojem. - Szczególnie komuś,

kto do niej nie przywykł. Nie ma w niej krzty romantyzmu.

- Daj spokój, Anno. Zanim Daniel zdobędzie fortunę, będziemy żyć z mojego posagu. A ja nie boję się biedy. Luke na pewno pozwoli mi za niego wyjść.

Anna przypomniała sobie scenę w bibliotece, której była świadkiem dzisiejszego ranka. Widziała upokorzenie i rozpacz na twarzy witającego się z nią lorda Ashleya. I wszystko dlatego, że zaciągnął jakieś głupie długi. Nie chodzi o to, że zaciąganie długów nie ma znaczenia. Luke miał rację, że udzielił mu nagany.

- Rozmawiałś z nim? - zapytała.

- Nie miałam sposobności - odparła Doris. Roześmiała się. - Od przyjazdu do Anglii był zajęty tylko tobą. Tym lepiej. Może zrozumie, co ja i Daniel czujemy do siebie. Porozmawiam z nim, a on oświadczy mamie, że zezwolił mi na spotkanie się z Danielem i zawarcie z nim ślubu, nim rok dobiegnie końca. Nie możemy dłużej czekać. Och, Anno, będziemy najszczęśliwszą parą na świecie.

Anna nie była tego taka pewna. Doris znowu pochyliła się ku niej.

- Luke się zgodzi - rzekła. - Zawsze jego kochałam najbardziej. Kiedy odjechał, myślałam, że serce mi pęknie. Mogłabyś i ty z nim o tym porozmawiać. Wy tłumacz mu, że jestem pewna uczuć Daniela że z nikim innym nie byłabym szczęśliwa, że pozycja i majątek nie mają dla mnie żadnego znaczenia. Wyjaśnisz mu to? Pomożesz mi?

- Doris - Anna dotknęła jej ręki - do twojej matki należy udzielanie ci rad, a do jego wysokości podjęcie decyzji. Z nimi musisz porozmawiać. Ja, choć jestem twoją bratową, nie mogę się absolutnie do niczego wtrącać. Zresztą wyszłam za twego brata za ledwie przed dwoma dniami.

- I o to właśnie chodzi; jest tak w tobie zakochany, że zrobi wszystko, o co go poprosisz. Porozmawiaj z nim, Anno, bardzo cię proszę.

- Zobaczę, co da się zrobić - odrzekła niepewnie. - Ale nie mogę się mieszać w wasze sprawy rodzinne.

Dziewczyna nie sprawiała wrażenia zawiedzionej. Uśmiechała się radośnie. Nie było już czasu na dalszą rozmowę; księżna matka uniosła się z miejsca, dając do zrozumienia, że wizyta dobiegła końca.

Luke z całą bezwzględnością rozwieje wszelkie złudzenia dziewczyny, pomyślała Anna. Powiedział jej przecież otwarcie, że jest człowiekiem bez serca. Zresztą sama miała okazję się o tym przekonać. Nie wyrazi zgody na to, by jego siostra poślubiła mężczyznę bez pieniędzy. I ona, Anna, przyzna mu rację.

Nie było w nim miłości. Tym bardziej nie okaże jej wobec rodziny, która - nie bez

powodu, jak jej powiedział - odtrąciła go przed dziesięcioma laty.

Przez miesiąc udawało się Luke'owi trzymać w miarę możliwości z dala od rodzinnych problemów. Wmawiał sobie, że nie istnieją. Przez miesiąc udawało mu się, o co zabiegał i do czego przekonywał Annę, uczynić z ich małżeństwa rzecz całkiem przyjemną. Przez miesiąc udawało mu się nie pojechać do Bowden Abbey.

Napisał do Henrietty, powiadamiając ją o swoim ślubie, choć prawdopodobnie już dowiedziała się o tym z innych źródeł. Ograniczył się do spraw majątkowych, bacząc pilnie, by ton jego listu nie zawierał żadnej osobistej nuty. W tej sytuacji, pisał, wszelkie zmiany dotyczące domu i parku winny być na jakiś czas odłożone. W ten taktowny sposób dał jej do zrozumienia, że teraz jego żona jest panią na Bowden Abbey. Tak jak się tego spodziewał, Henrietta nie odpisała mu. Miał również nadzieję, że jakimś cudem uniknie spotkania z nią. Wyczuwał niemal namacalnie przepaść, jaka ich dzieli. Była większa niż kiedykolwiek, choć i przedtem była nie do pokonania.

Napisał do Colby'ego, polecając mu zwiększyć o pokaźną kwotę kwartalną wypłatę dla Ashleya oraz przekazać mu pewną sumę, która wsparłaby jego budżet w tym kwartale. W ciągu tego miesiąca rzadko widywał się z bratem, a gdy już do tego doszło, Ashley był nadzwyczaj uprzejmy wobec niego i pełen galanterii wobec Anny. Na podstawie opiewającego na pokaźną kwotę rachunku, jaki znalazł się na jego biurku bez żadnych wyjaśnień, Luke wywnioskował, że Ashley zerwał ze swą kosztowną kochanką.

Przez dziesięć lat Luke żył w oderwaniu od rodziny, nie żywiąc do nikogo żadnych uczuć, może z wyjątkiem wuja. I oto na widok Ashleya coś w nim drgnęło. Poczuł na sercu dziwny ciężar. Jakiś... żal. Pamiętał żywego, psotnego małego chłopaka, dla którego on, Luke, był wzorem. Teraz ujrzał przystojnego, energicznego, ale raczej zagubionego młodego mężczyznę, którym należy pokierować. Luke nie miał pewności, czy się do tego nadaje, a jeśli tak, to czy wystarczy mu dobrej woli. Ale jeśli nie on, to kto?

W ciągu tego miesiąca nie zadawał bratu żadnych pytań i miał nadzieję, że jego nieodpowiedzialne ekstrawagancje już się skończyły. Wzbraniał się przed emocjonalnym zaangażowaniem, nawet w stosunku do brata.

Na większy wysiłek zdobył się wobec Doris. Parę dni po ślubie złożył wizytę matce - chciał dowiedzieć się czegoś więcej o niewłaściwym związku siostry. Otóż zaangażowano pewnego młodego malarza, który w ich londyńskiej rezydencji miał wykonać portret Doris. Odbyło się kilka długich seansów, na których była obecna albo księżna, albo pokojówka córki. Tak przynajmniej sądziła księżna matka. Później, kiedy Doris oświadczyła, że ona i

malarz są w sobie zakochani i zamierzają się pobrać, wyszło na jaw, że pokojówki skutecznie się pozbywano.

- To syn właściciela gospody - powiedziała z pogardą księżna. - Odnosił niewielki sukces jako portrecista i jest przekonany, że za rok, dwa stanie się modnym i bogatym malarzem. Teraz żyje, jak przypuszczam, w skrajnym ubóstwie.

- Rozmawiałś z nim? - zapytał Luke.

- W tej sprawie? - zapytała matka wyniośle. - Lucas, na miłość boską, jakiego ty jesteś o mnie zdania? Oczywiście, że nie. Zabroniłam jej tylko się z nim kontaktować. O żadnym związku między nimi nie może być mowy.

- A jednak, madame, wprawia cię to w zatroskanie. Czy oni wciąż się widują?

Księżna matka przygryzła wargi.

- Obawiam się, że są w kontakcie. Doris jest sprytna i upartą a przez przeszło dwa lata pozbawiona była opieki ojca bądź starszego brata.

- Spotkam się z nim - rzekł Luke. - Jak on się nazywa?

- Daniel Frawley - odparła, krzywiąc się, jakby dotknęła robaka.

Daniel Frawley, jak ocenił Luke, odwiedzwszy jego studio i obejrzawszy parę prac, był raczej miernym malarzem. Zarobiłby prawdopodobnie na życie malowaniem portretów, które schlebiałyby jego modelom, lecz nie byłyby to dzieła wybitne. Jeśli sądził, że będzie drugim Joshua Reynoldsem, to się grubo mylił.

Młodzieniec nie wspominał ani słowem o łączących go z Doris stosunkach, lecz Luke z właściwą sobie przenikliwością nie ustawał w wysiłkach wydobywania z niego prawdy. Tak, są w sobie zakochani, przyznał wreszcie malarz. I zamierzają się pobrać. On pracą swoich rąk zdoła ją utrzymać. Ma już zamówienia od wpływowych osób, na przykład od księżnej Harndon. Wkrótce stanie się modnym portrecistą i będzie się obracać w wyższych sferach, jakby sam był urodzonym arystokratą. Poza tym lady Doris otrzyma posag.

- Lady Doris Kendrick jest impulsywną niedojrzałą młodą damą której ten romans zawrócił w głowie - rzekł Luke, siadając bez zaproszenia na twardej zniszczonej kanapie. Wyciągnął z kieszeni pudełko i zażył szczyptę tabaki. - Wegetowanie na poddaszu z ubogim artystą ma dla niej na pewno nieodparty urok. Lecz ona przywykła do innego życia, Frawley. Nie potrafiłaby się przystosować do takich warunków, nawet gdybym zezwolił jej na taką próbę. Po paru miesiącach byłaby kompletnie załamana.

- Hmm - mruknął artysta, patrząc wrogo na swego gościa i nie tając pogardy dla jego paryskiego szyku.

- A ja, wasza wysokość, nie potrafiłbym się przystosować do życia bez niej.

- Rozumiem - rzekł Luke ciepłym tonem. Zmarszczył czoło i patrzył na artystę spod półprzymkniętych powiek. - Ile?

Frawley przygryzł wargę. Oczy miał rozbiegane, przebijał z nich niepokój.

- Pięć tysięcy funtów - oświadczył. Luke wstrzymał się chwilę z odpowiedzią.

- Posag lady Doris jest znacznie większy - rzekł wreszcie. - Mógłby pan prosić o więcej, Frawley. Dziesięć tysięcy, może nawet dwadzieścia. Malarz usiłował bezskutecznie nie okazać po sobie uczucia upokorzenia.

- Nie jestem zachłanny - oznajmił oschłym tonem. - Ale nie będzie mi łatwo z niej zrezygnować. Kocham ją.

- Wobec tego proszę wyznaczyć wyższą cenę za pańską miłość - powiedział Luke uprzejmie, wstając i zмирzając powoli ku wyższemu od siebie i silniejszemu mężczyźnie. - Czy poprosi pan o pięć, dziesięć czy pięćdziesiąt tysięcy, moja odpowiedź będzie taka sama. Oto ona.

W tym samym momencie Frawley runął na wznak na podłogę. Twarz wykrzywił mu ból, uniósł rękę obronnym gestem.

Luke zacisnął prawą dłoń i spoglądał ponuro, jak czerwienieje mu skóra na kostkach.

- No i rzecz jasna - ciągnął równie uprzejmie, jak przedtem - od tej chwili będzie się pan trzymał z dala od lady Kendrick.

Artysta ciągle leżał na podłogę, gdy jego gość opuszczał progi studia. Potem Luke odwiedził Doris, a gdy matka chciała się do nich przyłączyć, poprosił, by zostawiła ich samych.

- Coś ty powiedział? - Doris stała na środku pokoju z szeroko otwartymi oczami.

- Zabroniłem mu widywać się z tobą - powtórzył.

- Naprawdę? - Głos miała spokojny, ale pierś jej falowała gniewem. - Naprawdę? Bo jest wybijającym się artystą bo jego ojciec nie jest dżentelmenem? Bo nie zdobył jeszcze sławy ani fortuny? Mam wyjść za kogoś, kto jest bogaty i utytułowany bez względu na to, czy go kocham i czy będę z nim szczęśliwa? O to ci chodzi, Luke?

- Moja droga - zaczął z chłodną uprzejmością - dzięki Bogu, że masz starszego i mądrzejszego od siebie brata, a także mądrą matkę. Dzięki Bogu, że my wiemy lepiej niż ty, kto nie może dać ci szczęścia. A tym kimś jest Daniel Frawley.

Doris była wzburzona. Oczy jej rzucały gniewne błyski. Luke, przygotował się na wybuch hysterii. Nie cierpiał tego i, znając niewiasty i ich niecną grę, za wszelką cenę starał się tego unikać.

Lecz wbrew jego przypuszczeniom wybuch hysterii nie nastąpił. Oczy Doris napełniły

się łzami.

- Ty także, Luke? - zapytała prawie szeptem. - Ty także uważasz, że nie mam prawa do własnych uczuć i marzeń, ponieważ jestem córką księcia i siostrą księcia? Stoisz na straży pozycji i honoru rodziny i dla tego decydujesz o mojej przyszłości? Moje zdanie w ogóle się nie liczy? Dysponujesz moim życiem, jakbym była przedmiotem, a nie osobą czującą i myślącą?

Natychmiast uświadomił sobie własny błąd. Powinien był porozmawiać z siostrą przed wizytą u Frawleya. Powinien był doprowadzić do tego, by sama przekonała się, iż ów związek jest absolutnie niewłaściwy i że mało prawdopodobne, by zaznała w nim szczęścia. Powinien inaczej przeprowadzić tę rozmowę; nie oszczędzać jej uczuć. Trzeba było powiedzieć jej całą prawdę. Stało się. Za późno na zmianę taktyki. Doris i tak mu już nie uwierzy. Nigdy dotąd nie rozmawiał ze swoją siostrą, jako głowa rodziny. Nie sądził, że będzie to takie trudne.

- Czy Anna rozmawiała z tobą? - zapytała.

- Tak - odparł. - Rozmawiała.

Anna powiedziała mu, że Doris jest szalenie zakochaną a obiektem jej pierwszej młodszej miłości jest osoba nieodpowiednia. Uczucia młodych ludzi okazują się czasem pomyłką niemniej jednak są bardzo intensywne. Młodzi cierpią tak samo jak starsi - a niekiedy bardziej. Poprosiła go, by potraktował siostrę wielkodusznie.

Nie znał się na wielkoduszności. Poza tym, co by to dało? Życie to ostra walka i trzeba się tej ostrej walki nauczyć. On się nauczył i nie był w tym najgorszy.

- Współczuję Annie - powiedziała Doris - że została twoją żoną. Ashley też to powiedział - tyle że Annie, nie jemu.

- Pewnego dnia - zaczął Luke - zrozumiesz, że chciałem dla ciebie jak najlepiej.

- Zastanawiam się - rzekła - czy rodzice i starsi bracia naprawdę wierzą w to, co mówią. Nie przypuszczałam, że właśnie od ciebie usłyszę te słowa. Właśnie od ciebie, Luke.

- Chcę, żebyś mi obiecała - mówił dalej - że nie będziesz się już widywać z Frawleyem.

- Bo co? Co mi zrobisz, jeśli ci tego nie obiecuję? Albo jeśli obiecuję i nie dotrzymam słowa? Położysz mnie na kolanie i zbijesz?

- Nie szafuję groźbami, Doris. Lepiej jednak, żebyś zrozumiała, że jeśli nie okażesz mi posłuszeństwa w tej kwestii, gorzko tego pożałujesz.

- I to ma nie być groźba? - Opuściła wzrok, lecz po chwili spojrzała mu prosto w oczy.

- Co oni z ciebie zrobili w tej Francji, Luke? Jeśli j rozepnę ci surdut, kamizelkę i koszulę, to

dostrzegę bliznę po lewej stronie twojej piersi, bliznę po wyrwanym sercu.

Nie czekała na odpowiedź. Obróciła się na pięcie i wypadła z pokoju, nie złożwszy żadnej obietnicy.

Luke westchnął ciężko. Nie myślał już o tym, że gdyby George żył lub chociaż zostawił po sobie synów, wszystko inaczej by się potoczyło. Nie myślał też o tym, że wolałby zostać w Paryżu i niechby członkowie jego rodziny obierali swą własną drogę do nieba lub piekła. Ogarnął go jedynie gniew, bezradna wściekłość, że los obarczył go odpowiedzialnością o którą nigdy nie zabiegał. Westchnął na myśl o tym, jaki był szczęśliwy, gdy wiódł takie życie, jakie sobie wywalczył.

Przez następne tygodnie wszystko układało się pomyślnie - matka uwierzyła, że między Doris a Frawleyem wszystko się skończyło. Doris, gdy malował jej portret, nigdy na niego nie patrzyła i - jeśli nie było to niezbędne - nie rozmawiała z nim. Nie sprawiała wrażenia, że przeżywa to, co się stało. Na balach nie opuszczała ani jednego tańca, na rautach i koncertach rozmawiała z różnymi dżentelmenami. Miała mnóstwo wielbicieli, kilku z nich było dobrą partią wystarczyło, by dokonała wyboru.

Być może przed nadejściem lata, nim wróci do domu, Doris zakocha się w kimś innym. Była młoda, a młodzi szybko i łatwo zapominają. Mimo woli Luke pomyślał o kimś - o sobie - kto ani szybko, ani łatwo nie zapomni. Przeżył swego czasu rok prawdziwego piekła.

Co do małżeństwa, to po upływie miesiąca Luke stwierdził, że coraz mniej żałuje swego kroku. Anna była interesującą i dowcipną towarzyszką życia. Na salonach zachwyciała urodą i inteligencją w łóżu - namiętnością i oddaniem. Zdarzało się, że kochali się po południu, zatem noc mogli przeznaczyć na sen. Za pierwszym razem była trochę spięta i zawstydzona - bo nie było ani ciemno, ani nawet mroczno, i wstydziła się swej nagości. Lecz szybko zdołał ją przekonać - raczej dłońmi i ustami niż słowami - żeby zaakceptowała swą urodę i seksualność i żeby wiedziała, że on zawsze jej pożąda.

Najdziwniejsze było to, że jeśli danej nocy się nie kochali, spał z nią aż do rana. Jej oddech, ciepło jej ciała i zapach działały na niego kojąco. Z nią spało mu się znacznie lepiej. Zaskakujące i przyjemne odkrycie - niewątpliwa zaleta małżeństwa.

Dawała mu rozkosz, a on jej, w co nie wątpił. Przyjemność w życiu seksualnym, przyjemność w życiu towarzyskim. Brali udział w prawie wszystkich ważnych spotkaniach sezonu wiosennego i bawili się doskonale. Często jadali obiady z bliskimi znajomymi i zdarzało się, że na jeden wieczór otrzymywali dwa zaproszenia. Anna, tak jak na jej pierwszym balu, czarowała wszystkich urodą i promieniała radością. Luke wiedział, że mężczyźni

mu zazdrosczą. Przyłapał się na tym, że w towarzystwie wodzi wzrokiem za żoną a czyni to znacznie częściej niż inni mężowie. Sprawiało mu to przyjemność - tym bardziej, że i Anna często nań spoglądała. Ciekawe, myślał, czy i ona zachwyca się jego wyglądem tak jak on jej.

Przyjemność, rozkosz, myślał, tworzą silniejsze więzy niż miłość. Był rad, że między nim a jego żoną nie istnieje miłość. Był rad, że odkrycie, jakiego dokonał podczas nocy poślubnej, oraz odmowa udzielenia mu odpowiedzi nazajutrz rano sprawiły, że zniknęło zadurzenie, w jakim trwał. Był rad, że nie łączy ich żadne głębsze uczucie. Tylko rozkosz.

W ciągu pierwszego miesiąca pobytu w Anglii tryb jego życia uległ zmianie, z czego był nawet zadowolony. Jeśli tak dalej pójdzie, myślał czasem, to będzie mi tu równie dobrze, jak w Paryżu.

I wówczas nadszedł wieczór balu maskowego w ogrodach Ranelagh. Po tym balu, nazajutrz rano, doszedł do przekonania, że nie może już dłużej odkładać swego powrotu do Bowden Abbey. I że jego życie znowu ulegnie zmianie.

Nie była to przyjemna perspektywa.

\* \* \*

Ogrody Ranelagh w Chelsea otwarto zaledwie przed paroma laty i od tej pory stały się ulubionym miejscem całego eleganckiego świata. Znajdowała się tam wielka rotunda, gdzie można było spacerować i przy dźwiękach muzyki napić się herbaty lub kawy. Poza terenami spacerowymi było tam sztuczne jezioro i kanał z łódkami do wynajęcia oraz malownicza chińska pagoda. Wysadzone drzewami aleje po obu stronach kanału upodobali sobie zakochani, szczególnie wieczorową porą, gdy w ogrodach świeciły setki złotych lampionów.

Anna nigdy tam nie była. Nie brała też dotąd udziału w żadnym balu maskowym. Była ogromnie rozemocjonowana, co miała sobie za złe - była przecież dwudziestopięcioletnią zamężną lady. Odnosiła czasem wrażenie, że pozbawiona takich uciech w młodości, żadna jest ich właśnie teraz. A Luke nie miał nic przeciwko temu. Była podekscytowana tym, że obserwuje ją na balach i przy innych okazjach towarzyskich, tak jak to było przed ślubem - wachlując od niechcienia twarz.

Flirtowali ze sobą na oczach innych, choć od miesiąca byli małżonkami i kochankami.

Na balu maskowym wystąpiła jako turecka księżniczka - a właściwie jako dziewczyna z haremu, tak orzekł Luke na jej widok. Oznajmił też, że drzwi jego haremu zawsze pozostaną dla niej otwarte. Roześmiała się, zamrugła powiekami znad ciężkiego złotego kwefu i spłonęła rumieńcem, widząc błysk pożądania w oczach męża.

Czuła się wspaniale, cudownie i bardzo kobieco w luźnych, czerwonych adamaszkowych szarawarach, haftowanych w złote kwiaty, i w pięknej bluzie z cienkiego

jedwabiu, obramowanej złotym adamaszkiem. Czuła się prawie naga mimo czerwonego kaftana ze złotym pasem, narzuconego na cały strój. Dziwne uczucie - nie mieć na sobie obręczy, choć oczywiście gorset mocno ścisnął jej kibić. Na nieupudrowanych włosach miała mały czerwony welwetowy czepeczek ozdobiony perłami.

Luke nie chciał przebrać się za sułtana, mimo iż go o to prosiła. Tłumaczył, że gdyby wdział strój sułtana, nie mógłby jej towarzyszyć na balu. Trzymałby ją pod kluczem, a olbrzymi muskularni eunuchowie pełniliby przy niej straż. Nikt więc nie mógłby jej widzieć i podziwiać.

Książę miał na sobie domino, a na twarzy maskę. Domino było czerwone, obramowane złotem, kamizelka i maska też złote, wyglądał więc wystarczająco wspaniale, aby być jej sułtanem.

Agnes przebrana była za pasterkę. Przybyli tam także lady Sterne i lord Quinn, oraz Doris, jako Diana, wraz z matką. Anna lubiła ich wszystkich i w przerwach między tańcami w rotundzie gawędziła z nimi przyjemnie. Odgadywanie, kto jest kim, było zabawne i nie nastroczało zbytnich trudności. Niektórzy dżentelmeni, przeważnie w ciemnych dominach i maskach, trzymali się z dala, stali nawet na zewnątrz. Być może byli to ludzie niemile widziani w towarzystwie, pomyślała Anna, choć przecież opłacili należność za wejście.

Nie cały wieczór balowicze spędzali w rotundzie. Anna przeszło godzinę spacerowała z Lukiem wzdłuż kanału i chciałyby spacerować jeszcze dłużej, zamiast czynić zadość towarzyskim powinnościom. Wszystko było zachwycające - przechadzka sam na sam w czarownym otoczeniu, napawanie się romantyczną atmosferą miejsca, świadomość, że należą do siebie, są kochankami, oraz to. Zachowała dla siebie tę tajemnicę, ekscytującą nadzieję, którą od kilku dni nosiła w sercu.

Podczas spaceru niewiele rozmawiali. Anna była temu rada - patrzyła na migające w wodzie odbicia lampionów. Przypuszczała, że on podziela jej romantyczny zachwyt, że może nadchodzi czas, że łączyć ich będzie coś więcej niż obowiązki domowe i rozkosz. Przykrył jej dłoń swoją, gdy wspierała się o jego ramię. Był to gest bardzo intymny.

Po powrocie do rotundy usiadła przy Doris. Muzycy mieli właśnie przerwę. Po dawnemu darzyła dziewczynę przyjaźnią mimo rozdźwięku między nią a bratem. Luke nie podszedł do matki i siostry. Widocznie bardzo dotknęła go sprawa romansu Doris.

Anna starała się nie myśleć o roli Luke'a w całej tej historii, choć opowiedział jej o niej szczegółowo. Uważała, że wykazał całkowity brak szacunku dla uczuć dziewczyny, zanegował jej punkt widzenia. Jego postępek był w pewnym sensie uzasadniony, lecz istniał przecież inny sposób wpłynięcia na Doris, by zrezygnowała z tego rokującego jak najgorzej

małżeństwa.

Mężczyźni nie uznają uprzejmej perswazji. Jakby ufali tylko sile.

Z relacji Luke'a wynikało, że ów młody człowiek nie przyjął do wiadomości jego ostrzeżeń. Że przynajmniej jeszcze raz kochankowie się spotkali. Anna pomyślała z niepokojem, iż nieustępliwość żądań Luke'a może doprowadzić ich do jakiegoś desperackiego kroku. Pragnęła zwierzyć się Luke'owi ze swoich obaw, ale nie uczyniła tego. Nie chciała pogarszać sytuacji.

Przez cały wieczór Doris sprawiała wrażenie, że ze wszelkich sił stara się zapanować nad emocjami.

- Piękna zabawa, nie uważasz? - zapytała Anna, siadając obok niej. - Tyle kostiumów, taka imponująca budowla i cudowne ogrody. Za dnia muszą wyglądać uroczo. W nocy są jak zaczarowane.

Oczy Doris błędziły po wnętrzu rotundy, spoglądała też niespokojnie przez otwarte drzwi.

- Nic mnie to wszystko nie obchodzi - rzekła. Spostrzegła kogoś w ciemnym domino i pochyliła się gwałtownie do przodu. - Nic mnie nie obchodzi życie bogaczy i te ich nieustające, bezsensowne rozrywki. Dla mnie ci ludzie się nie liczą. Wyrzekam się ich. Chcę być szczęśliwa.

Być może Doris nie zamierzała powiedzieć tak wiele, lecz słowa padły. Anna nagle zrozumiała, że zakochani umówili się tutaj. Ogrody Ranelagh w nocy, podczas balu maskowego, to wymarzone miejsce na takie spotkanie. Ale co zamierza Doris? Zobaczyć się z Danielem choćby przez parę minut czy...

- Doris - Anna położyła dłoń na jej ramieniu - co ty chcesz zrobić? Doris spojrzała na nią.

- Im mniej słów, tym lepiej - powiedziała. - Lubię cię, Anno, i żał mi cię, że jesteś żoną Luke'a. Stał się potworem bez serca - szkoda że nie poznałaś go wiele, wiele lat temu. Kochałam go jak nikogo na świecie. Lubię cię, ale jesteś jego żoną i może uznasz, że powinnaś powiedzieć mu to, z czego ci się zwierzyłam. Lepiej, żebyś o niczym nie wiedziała.

Och, co za głupia dziewczyna! Jej zamiary były tak oczywiste, jakby ubrała je w słowa.

- Doris, nie zrób czegoś - rzekła Anna - czego będziesz potem gorzko żałować.

- Nie ma obawy - odparła, przysuwając się do Anny. W jej głosie brzmiała determinacja. - Nigdy nie będę żałować tego, co stanie się dziś w nocy. - Nagle roześmiała się. - A stanie się to, że będę tańczyć ze wszystkimi najprzystojniejszymi dżentelmenami na

tym balu.

W tym momencie lord Quinn pochylił się nad ręką Anny, prosząc o zaszczyt zatańczenia z nią tańca ludowego. Wstała z uśmiechem.

- Na Boga nie mogę oprzeć się chęci poprowadzenia w tańcu dziewczyny, która właśnie uciekła z haremu. Mój siostrzeniec to prawdziwy szczęściarz.

Anna roześmiała się i, tak jak miała to w zwyczaju, poszukała wzrokiem męża. Stał, rozmawiając z dwoma dżentelmenami; wyłowił ją spojrzeniem wśród złotych masek, wsparłszy podbródek na złożonym wachlarzu z kości słoniowej. Kwef przesłaniał jej usta, nie mógł zatem dostrzec jej uśmiechu. Uśmiechała się doń oczami.

Co zamierzała Doris? Trwać w związku z Danielem, dopóki Luke nie wyrazi zgody na ich ślub? Uciec do niego? Anna bardzo chciała porozmawiać z mężem, ale wciąż się wahała. A jeśli chcieli się tylko spotkać? Co w tym złego, że młoda dziewczyna uroiła sobie, iż jest zakochana? Anna przewidywała jednak, że nie chodzi tu tylko o niewinne spotkanie. A jeśli młody człowiek w ogóle się nie pojawi? Wtedy ona, Anna, nie potrzebnie narazi Doris na kłopoty. Jeżeli rzeczywiście on dziś nie przyjdzie, to czy zaplanują sobie inny termin?

Najgorsze w tym wszystkim jest to, myślała, że w ciągu miesiąca ich małżeństwa zbliżyli się do siebie fizycznie i na tym oparli swój związek, nie doszło natomiast do kontaktu duchowego, wzajemnego zrozumienia. Czułaby się nieswojo, byłaby wręcz zażenowana, gdyby musiała rozmawiać z mężem na jakiś poważny temat.

Tańczyła, gawędziła ze swoimi partnerami, oczy jej błyszczały... i przez cały czas rozmyślała o Doris. Co powinna zrobić? Doszła w końcu do wniosku, że może jedynie śledzić bacznie dziewczynę i pilnować, by nie popełniła jakiegoś nieodwracalnego głupstwa.

W trakcie menueta do stojącej w pobliżu drzwi Doris podszedł wysoki mężczyzna w szarym stroju. Nie poprosił jej do tańca. Wyszli z rotundy tak szybko, że choć Anna nie spuszczała z nich wzroku, przeoczyła moment ich nagłego zniknięcia.

Rozejrzała się błyskawicznie, szukając wzrokiem teściowej. Księżna matka, stojąc tyłem do drzwi, zajęta była rozmową z jakąś parą. Następnie Anna spojrzała tam, gdzie przed paroma minutami widziała swego męża. Stał w tym samym miejscu, obserwując ją. Nagle jakby zorientował się, że coś się stało. Anna przerwała taniec, odwróciła się od swego partnera. Luke podszedł do niej szybko.

- Moja żona źle się poczuła - rzekł z niskim ukłonem w jego stronę. - Proszę o wybaczenie.

- Czy coś się stało, moja droga? - zapytał Luke. Ujął ją pod ramię i klucząc między tańczącymi, skierował się ku drzwiom.

- Chodzi o Doris, Luke - powiedziała Anna. - Obawiam się, że dziś w nocy ma się spotkać z tym młodym człowiekiem. Właśnie wyszła pospiesznie z mężczyzną w ciemnoszarym domino i w masce. Nie wiem, czy to on. Ale tak czy owak, nie powinna być z nikim sam na sam.

Wyszli oboje w chłodną ciemność oświetloną lampionami. Ujął jej ramię i ścisnął mocno.

- Zostań tutaj - rzekł. Zadrżała, słysząc lodowaty ton jego głosu. - Wróć. - Ruszył w kierunku bramy. Wolał nie tracić czasu na dociekania, którędy wyszła Doris i ten jej fircyk.

Po chwili wahania Anna podążyła za nim.

- Luke - poprosiła - nie potraktuj jej zbyt ostro. Jest taka młoda.

Luke milczał, ale nie kazał jej wracać. Rozglądał się uważnie i widać było, że jest wściekły. Annę przeniknął dreszcz, nie była pewna, czy postąpiła słusznie.

Kochankowie nie zdążyli uciec daleko. Byli już przy bramie, gdy Luke zawołał siostrę. Obrócili się, trzymając się za ręce. Doris wydała krótki okrzyk. Okrągłymi z przerażenia oczami z wyrzutem spoglądała to na Luke'a, to na Annę - Anna opuściła wzrok.

- Wybierasz się dokądś? - zapytał Luke lodowato uprzejmym tonem.

- Tak - odparła buntowniczo - odjeżdżamy stąd. Zamierzamy się pobrać.

- Za parę minut, moja droga - zaczął Luke - odjedziesz stąd z matką do domu. - Zwrócił się teraz do wysokiego młodzieńca, który dotąd się nie odezwał: - Jest pan masochistą, Frawley?

- Takie jest życzenie pańskiej siostry - odparł głosem nabrzmiałym gniewem. - Moje również.

- Oczywiście, nie wątpię w to - rzekł Luke. - Poinformowałem przecież pana, że posag mojej siostry przekracza pięć tysięcy, których zażądał pan ode mnie w zamian za zerwanie z nią kontaktów.

- To kłamstwo! - wykrzyknęła Doris. - To ty zaproponowałeś mi pieniądze, dwadzieścia tysięcy funtów, a Daniel odmówił!

- Ach, ten szczegół wyleciał mi z pamięci - powiedział Luke, nie odrywając wzroku od Frawleya.

Anna, słysząc tę nazbyt sympatyczną nutę w głosie męża, znowu zadrżała.

I nagle młody człowiek wyciągnął z pochwy szpadę, kierując ostrze w pierś Luke'a.

- Nie powstrzyma pan nas - oświadczył. - Nie ruszaj się z miejsca, Harndon, jeśli chcesz uniknąć ciosu. My z Doris odchodzimy stąd.

Luke nie poruszył się ani nie zmienił tonu.

- Postępujesz bardzo niemądrze, mój drogi - powiedział spokojnie. - Przemyśl jeszcze raz moją propozycję.

Daniel uśmiechnął się szyderczo, i to był jego błąd. Annie wydało się, że widzi szpadę w ręku męża, zanim jeszcze usłyszała dźwięk wyciągania jej z pochwy. Nagle szpada Frawleya zatoczyła łuk w powietrzu i z brzękiem upadła na ścieżkę kilkanaście kroków dalej; w tym samym czasie szpada Luke'a przywarła do gardła Frawleya. Anna zamarła z przerażenia, widząc ciemną strużkę krwi spływającą po jego szyi.

- Jedyne, co ci pozostało, Frawley - rzekł Luke lodowato - to czym prędzej się stąd wynieść. Ujść z życiem, chłopcze, i nie tracić więcej krwi. Sporo ci jej ubędzie, jeśli odważysz się zbliżyć do lady Kendrick choćby na odległość głosu. Gdybyś nie okazał się w równym stopniu gotów do przyjęcia moich pieniędzy, jak i do poślubienia Doris, pozwoliłbym wam na spotkania pod ścisłym nadzorem przyzwoitki. Pozwoliłbym na to, żeby moja siostra sama przekonała się, iż taka zmiana stylu życia nie da jej szczęścia, jakiego oczekuje. Teraz natomiast widywanie się z nią naraża na szwank twoje bezpieczeństwo. - Powiedziawszy to, bez pośpiechu wsunął szpadę do pochwy.

Daniel Frawley zrobił, co mu kazano.

Doris, która stała bez ruchu, z rękami na ustach, opuściła je, gdy kochanek zniknął jej z oczu.

- Nienawidzę cię - rzekła do Luke'a bezbarwnym głosem - i zrobię wszystko, żeby postawić na swoim. Ucieknę z nim przy najbliższej okazji.

- Anno, bądź tak dobra - zaczął Luke, nie spuszczać wzroku z siostry - i zapytaj moją matkę, czy zechce tu przyjść. Wy tłumacz jej, jeśli łaska, że powinna zabrać Doris do domu. A ty zostań z lady Sterne, póki nie wrócę.

Anna odeszła szybkim krokiem. Po raz pierwszy w życiu zrozumiała, co musiał czuć Judasz z Iszariotu, opuszczając Ogrójec. Zdrajczyni. Chyba że dzięki temu uchroniła Doris przed nieszczęściem, jeśli prawdą jest to, co Luke powiedział o pieniądzech.

Skłonna była jednak uwierzyć Luke'owi, nie Doris, ponieważ wersja dziewczyny pochodziła od Frawleya.

Po pięciu minutach księżna matka szła w kierunku bramy. Po krótkich wyjaśnieniach Anny zrozumiała, co się wydarzyło.

Gdy odjechali, Anna stała chwilę przed rotundą, rada ciemności, chładowi i temu, że jest sama. Zamierzała wrócić do środka i przyłączyć się do swojej chrzestnej matki, gdy ujrzała nagle ciemny zarys postaci.

- Nareszcie sama - usłyszała mrozący krew w żyłach, dobrze znany głos. - Cieszę się,

że cię widzę, moja Anno.

Czuła się tak, jakby pogasły nagle wszystkie światła, jakby w powietrzu zabrakło tlenu. Panika, potworna panika sprawiła, że stała jak przygwożdżona do ziemi.

- Twój małżonek jest teraz zajęty innymi sprawami - powiedział. - Toteż, Anno, z przyjemnością ofiarowuję ci swoje towarzystwo. Przejdźmy się wzdłuż kanału. - Wyciągnął ku niej ramię, przesuwając się z lekka, tak że światło lampionu padło na jego plecy.

- Czego chcesz? - zapytała.

- Chcę odbyć z moją Anną krótką przechadzkę - odparł. - Służę ramieniem.

Na samą myśl, że go dotknie, zrobiło jej się niedobrze.

- Proszę cię. - Usłyszała w swoim głosie błagalną nutę. - Proszę cię, daj mi spokój. Jestem mężatką. To, co było, należy do przeszłości. - Bezsensowne, nieprawdziwe słowa.

- Wesprzyj się na moim ramieniu, Anno.

Uczyli to, zacisnąwszy mocno powieki. Uświadomiła sobie nagle, dlaczego podoba jej się wzrost Luke'a. Ten człowiek był wysoki, sięgała mu trochę powyżej ramienia. Czuła się przez niego zdominowana, stłamszona, pozbawiona własnej woli.

Szli w kierunku kanału, w stronę wysadzanej drzewami alei. Mijali ich inni balowicze w maskach, rozgadani, roześmiani. Paru pozdrowiło Annę. Przeszła obok nich w ciemności, pod ramię z wysokim mężczyzną w czarnej pelerynie i czarnej masce. Nie mogła uwierzyć, że niedawno przemierzała tę czarowną aleję razem z Lukiem.

- Czego chcesz? - powtórzyła.

- Właśnie tego, moja Anno - odparł, wskazując piękno dokoła i dotykając jej ręki. Nie śmiała jej cofnąć. - Tęskniłem do domu, do naszego domu. I byłem gorzko rozczarowany, gdy nie zastałem cię po powrocie. Uznałem, że niezwłocznie muszę jechać po ciebie do Londynu. A kiedy przyjechałem, pojawiły się inne komplikacje. Postanowiłem zezwolić ci na to niecne małżeństwo. Postanowiłem stać na uboczu i dać ci trochę czasu na pożycie z księciem. Nie jest to łatwe. Te parę chwil złagodzi moją bolesną pustkę.

- Co zamierzasz mu powiedzieć? - zapytała.

- Nic, dosłownie nic - rzekł, spoglądając na nią z góry. Pod maską widać było błysk jego oczu. - To nie będzie potrzebne. We właściwym czasie wrócisz do mnie, moja Anno, a jemu powiesz po prostu, że ci się znudził. Nie dowie się, że jesteś oszustką, złodziejką, morderczynią i... dziwką, o ile nie będziesz sprawiała mi trudności.

- Splacę wszystkie długi mego ojca - oświadczyła. - I nie będziesz już miał powodów do terroryzowania mnie.

- Terroryzowania? - powtórzył. - Czy wciąż nie wierzysz, że cię Kocham, Anno? We właściwym czasie zabiorę cię stąd i dam ci szczęście, o jakim nawet nie marzyłaś. Długi nie mają dla mnie znaczenia. Wziąłem je na siebie, by zdjąć ciężar z serca mojej ukochanej Anny.

- Wszystko spłacę - rzekła. - W gotówce. Nawet tych najdrobniejszych nie będę traktować jako łaskawego podarunku. Niedługo spłacę cały dług.

Pogładził jej rękę.

- Nie mówmy o takich rzeczach - powiedział. - Rozkoszujmy się spacerem. Ach, co za wspaniałe uczucie widzieć cię i czuć cię u swego boku.

Pamiętała, jak bardzo była mu wdzięczna, gdy po śmierci mamy osiedlił się w sąsiedztwie. Był człowiekiem spokojnym, uprzejmym, solidnym, w przeciwieństwie do ojca, który zatracił się w pijaństwie, a po śmierci mamy kompletnie się załamał. Lovatt Blaydon często ich odwiedzał, nie dając najmniejszego powodu do przypuszczeń, iż wkrada się w jej łaski. Zaufała mu. Pamięta, jak pewnego popołudnia spacerowali w ogrodzie, trzymała go pod ramię, tak jak teraz, i była zadowolona, że ten solidny mężczyzna darzy ją sympatią. Opowiedziała mu o długach ojca i o tym, że stoją w obliczu ruiny. Nie wiedziała, co się stanie z dziećmi - Wiktor, mimo swoich dziewiętnastu lat, wciąż był dla niej dzieckiem. I jaki los czeka głuchoniemą Emilię.

Podzielenie się z kimś życzliwym swoimi troskami sprawiło jej ulgę. Zadawała sobie potem pytanie, dlaczego uczyniła to wobec całkiem obcego człowieka. Nie uważała go jednak za obcego. Był dla niej kimś więcej niż ojciec - niż jej biedny uzależniony ojciec.

Wykupił dług ojca. Pamięta, że gdy jej to powiedział, brakło jej słów wdzięczności, mało że kamień spadł jej z serca. Pamięta, jak wyciągnęła ku niemu ramiona, ucisnęła mocno jego dłonie i przyłożyła je do swoich policzków. Pamięta, że przygryzła wargi, tamując łzy, i potem roześmiała się, bo i tak spływały jej po twarzy. Nie była nawet zdolna wypowiedzieć słowa „dziękuję”.

Myślała, że zrobił to z miłości do niej, że nazajutrz przyjdzie, by się jej oświadczyć. Wyobraziła sobie, że wykupienie długów ojca to prezent ślubny - najcenniejszy z cennych. Lubiała go tak bardzo, że właściwie można by to nazwać miłością. Nie uważała, iż to małżeństwo byłoby z jej strony poświęceniem. Chciała za niego wyjść. Chciała do końca życia okazywać mu swoją wdzięczność.

Lecz jemu nie chodziło o małżeństwo. Chodziło mu o to, by nad nią zapanować, uzależnić od siebie. I wtedy zaczął mówić do niej „moja Anno”, opowiadać o ich wspólnej przyszłości, rościć sobie prawo do jej uczuć. Im głębiej wciągał ją w zasadzkę, opłatał swoją

siecią, tym jego miłosne wyznania stawały się coraz bardziej natarczywe.

Zastanawiała się czasem, dlaczego właśnie z niej uczynił swoją ofiarę. Dlatego że była pod ręką? Dlatego że tak śmiesznie łatwo poddała się jego woli? Prawdopodobnie nigdy nie dowie się prawdy.

- Ach, rzeczywiście - powiedział, gdy wracali tą wstrętną teraz dla niej aleją. - Czeka na ciebie twój małżonek.

Luke obserwował ich, stojąc u wejścia do rotundy. Czy dojdzie do ich spotkania? - myślała. Co się wtedy stanie? Od dawna już nie odczuwała lęku, zdała się na łaskę losu. I tak nie miała na nie wpływu.

Lovatt Blaydon zatrzymał się w niewielkiej odległości od Luke'a, ujął obie jej dłonie i uklonił się nisko. Anna zamknęła oczy, ale nic się nie stało, nie pocałował jej w rękę.

- Naciesz się nim jeszcze, moja Anno - rzekł. - Od czasu do czasu będę się z tobą kontaktował, by przypomnieć ci, że tylko wypożyczyłem ci księcia. I nie obawiaj się o swoją reputację. Kocham cię ponad wszystko na świecie.

Cofnęła dłonie i wdychając powoli powietrze, odwróciła się od niego. Skierowała kroki w stronę Luke'a, który wciąż stał w tym samym miejscu. Starła się iść wolno, choć czuła, jak szpony diabła wpijają jej się w kark. Uśmiechnęła się i przywołała blask oczu nad kwefem, lecz zaraz zdała sobie sprawę, że z co najmniej jednego powodu uśmiech jej jest wysoce niewłaściwy. Przestała się uśmiechać.

Luke obserwował ją bacznie. Poczuł się nieswojo, a nawet - ku swemu zdziwieniu - zaniepokoił się, gdy po powrocie nie zastał jej ani przed rotundą, ani w środku. Przez moment przyszło mu do głowy, że ona także uciekła. Ale oczywiście była w ogrodzie, spacerowała, jak przynajmniej połowa balowiczów.

Nie rozpoznał mężczyzny, który jej towarzyszył. Czarna peleryna z podniesionym kołnierzem oraz maska skutecznie utrudniały identyfikację. Prawdopodobnie był to ktoś z ich znajomych.

Nie widział nic zdrożnego w tym, że jego żona udała się na przechadzkę z innym mężczyzną. Powinienem wrócić do rotundy, myślał, żeby ani ona, ani nikt z towarzystwa nie pomyślał, że ją szpieguje. Na balach i w salonach nie spuszczał jej z oczu, co ludzie na pewno zauważyli. Wolał, aby nie uznawano go za małżonka, który poza żoną nie widzi świata.

Mimo to nie ruszył się z miejsca. Przyglądał się im obojgu z niejasnym uczuciem, że może okazać się potrzebny. Ujrzeni go i mężczyzna w czerni zaczął żegnać się, pochylając się nad obiema jej dłońmi. Przez krótką chwilę Luke odniósł wrażenie, że zna tego człowieka, lecz nie mógł przypomnieć sobie skąd.

Anna, gdy szła ku niemu, oczy miała roześmiane, ale po sekundzie jej twarz spoważniała.

- Czy to ktoś, kogo znam? - zapytał.

- Nie. Mieszkał w naszej okolicy, to daleki sąsiad. Znałam dobrze jego córkę. Zdziwiłam się, że mnie poznał. Odwiozłeś Doris do domu?

- Tak. Odprowadziłem obie panie. Przykro mi, Anno, że byłaś świadkiem takiej sceny.

- To nie twoja wina. - Popatrzyła na niego uważnie. - Gdzie się nauczyłeś tak władać szpadą?

- W Paryżu. Nauczyłem się tam wielu rzeczy.

Zadrżała nagle i pochyliła się ku niemu, aż musiał ją podtrzymać.

- Chcę już wracać... proszę cię, Luke.

- Miałem ci to właśnie zaproponować - rzekł. - Po tym wszystkim nie mam już ochoty na zabawę.

Pożegnali się z lady Sterne, siostrą Anny i wujem Teo i po pięciu minutach jechali powozem do domu. Luke wsparł głowę o fotel i zamknął oczy, rad, że jego żona nie ma ochoty na rozmowę. Ruina finansowa, myślał, bardziej dotyka niewiastę niż mężczyznę. Był zaledwie rok starszy od Doris, gdy jego życie legło w gruzach. A że był mężczyzną, mógł zacząć wszystko od nowa. Dla Doris byłoby to nieporównywalnie trudniejsze.

Gdy czekał z Doris na matkę, by zawieźć je obie do domu, gniew powoli mijał; wiedział, że podjął słuszną decyzję. Jutro odprawi Doris do Bowden Abbey, gdzie będzie pilnie strzeżona. Matka uda się tam wraz z nią. Powiadomił je o tym i zapowiedział, że rano przyjedzie do ich rezydencji, by się z nimi pożegnać.

- I zbić mnie przed wyjazdem? - zapytała z goryczą niepokorna Doris. - Biciem chcesz mnie powstrzymać przed ucieczką, prawda?

- Uspokój się, dziewczyno - powiedziała matka lodowatym tonem. - Nie wyrażę słowa sprzeciwu, jeśli Lucas w taki sposób nauczy cię posłuszeństwa. Już dawno temu powinnam była użyć tej metody.

Luke powstrzymał się od komentarza. Słowa matki kazały mu się zastanowić, czy Doris w dzieciństwie i wczesnej młodości brakowało lania czy też... miłości. Być może, gdyby matka częściej ją przytulała...

Ale on nie wierzył w miłość. Miłość zrujnowałaby życie Doris, tak samo jak jej brak w dzieciństwie rujnuje obecne jego życie. Nie oskarżał matki o kompletny brak uczuć. Problem tkwi w tym, że najważniejsze dla niej były obowiązki i przestrzeganie zasad, a okazywanie uczuć traktowała jako przejaw głupoty i słabości.

Być może Doris potrzebowała teraz miłości, której nie dawała jej ani matka - ani on. Pamiętał, jakim wrażliwym była dzieckiem.

Odchrząknął. Nagle ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że mocno ściska rękę siedzącej obok żony. To tak, jakby zwracał się do Anny o pomoc. Nie, nie - nie była mu potrzebna ani ona, ani nikt inny. Nauczył się samowystarczalności. Nie wolno mu dopuścić do tego, by potrzebował czegoś więcej, niż tylko jej ciała. Cofnął dłoń.

Przez jakiś czas Anna siedziała nieruchomo, po czym pochyliła się ku niemu i wsparła policzek o jego ramię. Zaskoczony chciał ją podtrzymać, a wtedy ona wstała chwiejąc się lekko, zrobiła krok i usiadła mu na kolanach. Opuściła kwef, objęła go mocno za szyję, przywarła doń piersiami, jej usta w ciemności szukały jego ust.

O Boże! Otoczył ją ramionami, rozchylił wargi i wsunął język w ciepło jej ust. Jęknęła, a on poczuł narastające podniecenie.

- Dlaczego - odchyliła głowę i roześmiała się - mielibyśmy tak marnować czas w czasie jazdy powozem?

Luke znał jej skłonność do niewinnych flirtów. Lecz Anna jako prowokująca uwodzicielka to było coś nowego, coś co sprawiło mu radość. Pokrył pocałunkami jej twarz.

- Pragnę cię - szepnęła. - Pragnę cię.

Przez cienką materię szarawarów czuł ciepło jej ud. Piersi miała uniesione wysoko fiszbinami gorsetu.

- Tu, w powozie? - zapytał. - Ja jestem gotów, madame, jeśli godzisz się na pewną niewygodę.

- Tu i teraz. - Głos miała niski, gardłowy. - Nie zwlekaj. Daj mi to teraz.

Zerwał z niej szarawary, by rozpocząć grę miłosną. Posadził ją sobie na kolanach. Płonęła, oszalała z pożądania. Dobrze, że teraz, myślał. Czekanie na powrót do domu byłoby ponad jego siły.

- Według twojej woli - rzekł.

Była gorąca, wilgotna i tak spragniona rozkoszy, że po chwili miała orgazm. Krzyknęła. Pozwolił jej na chwilę odprężenia, a potem sam czerpał rozkosz, słuchając radosnych pomrukiwań swojej partnerki.

Nie rozłączali się aż do momentu, gdy Luke spostrzegł, że są już blisko domu. Co za wspaniałe przeżycie, pomyślał. Jeszcze nigdy nie uprawiał miłości w powozie. Jeszcze jeden stopień w jego edukacji seksualnej. Rad był z tego doświadczenia. Bardzo rad. Pocałował Annę w policzek.

- Gdyby mój stangret otworzył przed nami drzwi i zobaczył, co się tu dzieje, dostałby

ataku serca - powiedział. - Zachowajmy przyzwoitość, a na nieprzyzwoitość pozwólmy sobie później, w naszych apartamentach. - Czuł, że znowu jej pragnie. To, co się stało tutaj, zaostrzyło mu tylko apetyt.

Roześmiała się - jej śmiech, co zauważył już przedtem, miał niskie, gardłowe brzmienie - i westchnęła głęboko, gdy się rozłączali. Schyliła się po szarawary i wciągnęła je szybko. Kiedy powóz zatrzymał się i stangret otworzył drzwi, siedzieli obok siebie jak gdyby nigdy nic.

Luke odprowadził ją do garderoby i cofnął się za drzwi.

- Szybko będziesz gotowa, madame? - zapytał. Uśmiechnęła się.

- Jak najszybciej, książę - rzekła i wpłynęła do swego pokoju, cała w lśniących haftem batystach, fascynująca kobiecością.

Szybko. O tak. Jak najszybciej. Luke pomknął do swojej garderoby.

Uczucie bezradności zamieniło się w panikę, nad którą w powozie usiłowała zapanować. Nagle on tak po prostu ujął jej dłoń, i Anna myślała tylko o jednym: być blisko niego, odzyskać spokój dzięki dotknięciu jego ręki. Gdy ją cofnął, spokój prysnął i wtedy przywarła do niego, powodowana gwałtowną potrzebą bliskości. Chciałaby ukryć się w nim, stać się jego częścią, by nikt nigdy nie mógł jej odnaleźć.

Świadomość, że w nią wchodzi, że w niej jest, była wspaniała, kojąca, dodawała jej otuchy, odpędzała lęk. Tak, tego właśnie chciała. Zatraciła się w nim. Chciała, żeby w niej trwał, dając poczucie bezpieczeństwa - jego ciało częścią jej ciała.

Kiedy jednak znalazła się w bezpiecznym schronieniu swego domu, swoich pokoi, lęk wrócił. Była przerażona. Czekając na męża, walczyła z napływem hysterii. Przyszedł znacznie wcześniej niż zazwyczaj, choć wydawało się jej, że minęły godziny. Leżąc w łóżku, uśmiechnęła się do niego i ściągnęła pościel z nagiego ciała. On w tym czasie zrzucił z siebie szlafrok.

Bądź we mnie. Uratuj mnie.

Wyciągnęła ku niemu ramiona.

- Kochaj mnie - szepnęła.

- Odpowiada to w pełni moim zamiarom, madame - rzekł. - I za raz się o tym przekonasz. - Pochylił się i zdmuchnął świece.

Nagła ciemność wzmogła w niej uczucie lęku, ale oto znów był przy niej, sięgał po nią i rozpoczynał znany już jej, ale ciągle inny rytuał miłosny.

- Anno. - Lubił działać powoli, każdy jego dotyk, każdy ruch dawał bolesną rozkosz, przenikającą każdy nerw. - Czy jesteś bardzo spragniona?

- Bardzo - odparła. - Pragnę cię, Luke. Napelnij mnie.

- Nie mogę nie spełnić twojej prośby - rzekł.

Rozłożyła nogi, gdy miała go już nad sobą, oszalała z pożądania, rozpalona, bez tchu. Ale najpierw poczuła dotyk jego palców, cudownie zręcznych palców, których pieśczość i wrażliwość doprowadzały ją niemal do obłędu. Pieścił i całował jej piersi, a ruchy dłoni wzmagały jej żądzę aż do bólu.

Usłyszała własny błagalny krzyk; szarpnęła za wstążkę z tyłu głowy Luke'a i jego rozpuszczone włosy przykryły jej piersi.

Jego usta znalazły się tam, gdzie przedtem były ręce - szokujące, nieoczekiwane doznanie - jego język był czulszy niż palce, bardziej niż palce wyrafinowany. Dłonie pieściły jej piersi. Ścisnęły stwardniałe sutki.

- Mocniej! - usłyszała swój głos i jego palce zwiększyły ucisk, a ona krzyczała z bólu i rozkoszy.

Wszedł w nią, jęczała z pożądania, ale wielokrotny orgazm jej nie wystarczał. Odprężyła się, wdzięczna za jego siłę i twardość, gdy wdzierał się w nią powoli, coraz głębiej i głębiej, aż sięgnął niemal dna i tak się z nią zespolił, ciałem i duszą że zatraciła świadomość własnych myśli, uczuć, emocji.

Pozostał tylko bezgraniczny spokój. I miłość.

Gdy się obudziła, uświadomiła sobie, jak bardzo jest samotna. Nie, nie była sama w łóżku. On był przy niej, jak co noc. Spał. Jej poczucie samotności wywodziło się stąd, że leżeli obok siebie, lecz się nie dotykali. Nie wiedziała, jaka to pora nocy, ale przespali chyba kilka godzin. Dziwne - nie przypuszczała, że w ogóle zaśnie.

Czuła się bezpieczna. Leżała we własnym łóżku, obok męża, całkowicie odprężona. Odtwarzała w myślach to, co przeżyła - najcudowniejsza miłość w tym najcudowniejszym miesiącu miłości. Starła się uwierzyć w to, że on ją w końcu pokocha, tak jak ona pokochała jego, i będą żyć długo i szczęśliwie.

Ale po chwili wróciła panika. I koszmarna pamięć o tym, jak żyła z nią tygodnie i miesiące, cały rok po jego wyjeździe. Nagle łóżko wydało jej się nieskończenie szerokie, a Luke daleki i nieosiągalny. Poczowała wokół siebie lodowatą pustkę, lęk przed sięgającymi po nią dłońmi.

Obróciła się na drugi bok i przytuliła do ciepłego, dającego poczucie bezpieczeństwa ciała męża. Położyła głowę na jego ramieniu. Weź mnie, proszę cię, weź mnie.

Trzymając ją w ramionach, wymruczał coś przez sen. I obudził się.

- Co ci jest, Anno? - zapytał. - Czy chcesz, żebym został impotentem od tak częstego

kochania? Daj mi trochę czasu.

- Nie - jęknęła przez łzy. Nie chciała rozkoszy, chciała pocieszenia. Miłości. - Luke, zabierz mnie do domu. Chcę do domu.

Może tam poczuje się bezpieczna.

- Do Elm Court? Tęsknisz do swojej młodszej siostry? Jeżeli masz takie życzenie, odwiozę cię tam.

- Nie. Nie tam. Zabierz mnie do domu. Do Bowden Abbey. Przez chwilę milczał, przytulając ją do siebie. Anna miała jednak wrażenie, że się od niej oddała.

- Do Bowden? - zapytał. - Anno, co się z tobą dzieje? Czy coś się wydarzyło?

- Nic - powiedziała, nie unosząc głowy spod jego podbródka. - Absolutnie nic. Jestem zmęczona Londynem. Chcę do domu. Proszę cię, jedźmy do domu.

- Do domu - powtórzył. Czują, jak powoli zaczerpnął oddechu. - Tak, tam jest nasz dom, słusznie. Ale czuję, że chodzi o coś jeszcze, Anno. O co?

Przełknęła ślinę i przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

- Spodziewam się dziecka - rzekła. Nie zamierzała mówić mu o tym, jeszcze nie teraz. Nie była jeszcze tego pewna.

- Już? - Położył rękę na jej głowie, przebierał palcami włosy, gładził je delikatnie.

- Mam tydzień opóźnienia - powiedziała. - Nigdy mi się to nie zdarzało. Czuję, że jestem brzemienna. Chcę do domu.

Milczał przez chwilę, wciąż gładził ją po głowie, a ona owinęła sobie wokół dłoni pasmo jego włosów - opadły mu na ramię i przykryły jej twarz.

- Taaak - powiedział w końcu powoli - najwyższa pora. Nasze pierwsze dziecko musi przyjść na świat w Bowden. W czasie ciąży potrzebny ci będzie spokój. Pojedziemy do domu.

Wróciło poczucie bezpieczeństwa i zachciało jej się spać.

- Anno - rzekł ciepło - cieszę się, że nosisz nasze dziecko. Dziękuję ci.

Uśmiechnęła się sennie. Przez cały miesiąc namiętnej bliskości i duchowego dystansu po raz pierwszy padły słowa, które sprawiły, że dystans ów zniknął. Były niemal jak miłosne wyznanie. „Niemał” - to już było dużo. Zapadła w sen w bezpiecznych ramionach męża.

Był przerażony. Rano, gdy zażywał przejażdżki po parku, ostro poganiał konia, co nigdy dotąd mu się nie zdarzało. Stworzył nowe życie! Wraz z Anną. Wewnątrz jej ciała powstało nowe życie. Zdał sobie sprawę, że za dziecko i jego matkę będzie odpowiedzialny do końca swoich dni. Nie przypuszczał, że fakt, iż zostanie ojcem, zrobi na nim takie wrażenie. Przestraszył się odpowiedzialności, ale jeszcze bardziej bał się tego, że będzie musiał dać dziecku miłość, a przecież nie był zdolny do miłości. Przez ostatnich dziesięć lat nauczył

się unikać wszelkich duchowych więzów. Czyżby teraz musiał się zmienić? Stać się takim, jakim był kiedyś, i znowu narazić się na cierpienie?

A jeśli Anna umrze? A jeśli tworząc w jej łonie nowe życie zabił ją? Jak będzie sam zajmował się dzieckiem?

Ściągnął cugle, gdy uprzytomnił sobie, że naraża na niebezpieczeństwo konia i siebie. Teraz nie może już tak ryzykować. Losy dziecka i jego matki zależą przecież od niego. Na tę myśl aż zakręciło mu się w głowie. Czuł, że nie potrafi unieść takiej odpowiedzialności.

A co się stanie, jeśli nie pokocha swego dziecka, tak jak matka nie kochała jego?

W drodze powrotnej zaczął rozmyślać o Doris. Wiedział, że będzie cierpiała jeszcze przez jakiś czas. Sam kiedyś cierpiał tak samo. Lecz mimo ogarniających go chwilami wątpliwości był przekonany, że kroki, jakie podjął, były ze wszech miar słuszne. I równie słuszną była decyzja odesłania jej do Bowden. Dziś rano, tak jak obiecał, przyjdzie do Harndon House, by się z nią pożegnać.

Zasiadając do śniadania, spojrzął na stos listów i zaproszeń ułożonych starannie przy jego nakryciu. Znalazł wśród nich rachunek opiewający na ogromną sumę z dołączonym do niego listem, w którym domagano się natychmiastowego uregulowania długów przez księcia Harndon, albowiem jego brat, lord Ashley Kendrick, okazał się niewypłacalny.

Gdy Luke przybył do Harndon House, Ashley jeszcze spał. Przed wizytą u matki i siostry Luke, ze szklanką zimnej wody w ręku, wszedł do pokoju brata i chlusnął mu nią w twarz. Ashley obudził się, parszkając głośno. - Co, do stu tysięcy diabłów?! - wykrzyknął. Luke rzucił bratu rachunek, ten wziął go do ręki i przyglądał mu się chwilę w milczeniu.

- Daj spokój - powiedział w końcu. - Niepotrzebnie ci go przysłano. Zapłacę. Idź sobie i pozwól człowiekowi się wyspać.

- Dam ci wybór - oznajmił Luke zimno, zupełnie jakby słyszał głos własnego ojca. - Możesz zatrzymać ten rachunek i iść z nim do diabła, ale już nigdy więcej nie licz na moją pomoc. Możesz mi go zwrócić, ja go ureguluję, ale natychmiast wstaniesz z łóżka, spakujesz się i wraz z matką i Doris pojedziesz do Bowden. Pozostaniesz tam tak długo, póki nie uznam za stosowne pozwolić ci na przyjazd do miasta. Masz pięć minut na podjęcie decyzji. - Podszedł do okna, rozsunał ciężkie kotary i stał, patrząc na zalany słońcem plac. Zapomniał już, jak piękny może być świat w blasku słońca.

Luke zdawał sobie sprawę, że chłopak znalazł się między młotem a kowadłem. Albo zostanie bez środków do życia - tak jak on przed dziesięcioma laty - albo podda się upokorzony. Cekał w milczeniu. Musiał być stanowczy.

- O której one wyjeżdżają? - Po jakichś czterech minutach dotarł do niego cichy głos

brata.

- Jak tylko ty będziesz gotów - odparł Luke, nie odwracając się.

Usłyszał trzask drzwi do garderoby Ashleya. Odwrócił głowę i zobaczył leżący na łóżku rachunek. Podeszedł i z ciężkim sercem złożył go i schował do kieszeni.

A więc powrót do Bowden Abbey. Powrót do przeszłości. Poszedł odszukać matkę.

Dowden Abbey. Luke z lękiem oczekiwał tej chwili. Jako chłopak kochał ten dom i park, sąsiednie farmy i wioskę. Nie wyobrażał sobie, że mógłby stąd wyjechać. Szkoła i uniwersytet to całkiem co innego, przyjeżdżał przecież na wakacje i święta. I być może mieszkałby tam po dziś dzień, gdyby nie to, co zaszło między nim a George'em.

Pamięć o tych strasznych wydarzeniach wyparła wspomnienia szczęśliwych chwil, jakie tam przeżył. Pamięta, jak się cieszył, gdy George wrócił z podróży po Europie. Uwielbiał swego starszego brata, choć różnica czterech lat była za chłopięcych czasów niekiedy przeszkodą w ich przyjaźni. Później owa różnica się zatarła. Obaj byli młodzi, byli braćmi. Wiedli ze sobą długie rozmowy, jeździli razem konno, łowili ryby, grali w bilard, składali wizyty znajomym - zawsze i wszędzie razem. Widocznie jednak nie zawsze i nie wszędzie, w przeciwnym razie nie wydarzyłoby się to, co się wydarzyło.

Zdrada George'a sprawiła, że jakaś część Luke'a umarła. George i Henrietta. George gwałcający Henriettę. Nie, teraz Luke wiedział, że to nie mógł być gwałt. Uwiódł ją, być może, jednak Henrietta musiała tego chcieć. Pożądanie zaćmiewa czasem umysł. Lecz sam fakt uwiedzenia - nie gwałtu - wystarczył, by tępy ból wypełnił całą jego duszę.

We wspomnieniach widział George'a, gdy ten, pobladły, z zaciśniętymi ustami, odmawiał jakiegokolwiek odpowiedzi. Nie usiłował bronić siebie ani swego czynu. Nie chciał się pojedynkować. Potem strzelił w górę i patrzył tępym wzrokiem, jak Luke celuje w wierzbę opodal. Po chwili, trafiony, padł na ziemię.

Luke odetchnął głęboko. Od tamtej pory nie widział brata. Teraz też nie chciałby go widzieć. Ale dlaczego to wszystko przypomniało mu się właśnie teraz? Po sześciu miesiącach dostał od brata przesyłkę. Zawierała kartkę z podpisem George'a i pokazną sumę pieniędzy. Odesłał je bez komentarza. Gałązka oliwna czy srebrniki? Nie zastanawiał się. Wyrzucił ten fakt z pamięci.

Listy Luke'a - do matki i ojca - też wracały nierozpieczętowane. Usunęli go z rodziny, wyparli się go.

Teraz, o ironio, wszystko to należy do niego - zbliżali się właśnie do Bowden - wraca tu jako książę Harndon. Wraca do powinności, o jakie nigdy nie zabiegał. Do Henrietty, wdowy po jego bracie.

Zaczął zastanawiać się, jak będzie wyglądało jego życie w Bowden. Anna siedziała obok i z zaciekawieniem obserwowowała okolicę. Gdyby nie siedząca po drugiej stronie Agnes, wziąłby ją za rękę. Był rad, że nie są sami, dzięki czemu nie okazał słabości. Agnes, choć

Anna i lady Sterne były temu przeciwne, koniecznie chciała jechać z nimi. Dziewczyna była ładna, ale bardzo nieśmiała. Zdaniem Luke'a życie w Londynie, ciągłe bale i spotkania towarzyskie znużyły ją. Nie odpowiadał jej taki tryb życia. Posłał też po drugą siostrę Anny, tę głuchoniemą - wiedział, że żona bardzo za nią tęskni.

Poczuła na sobie jego wzrok, odwróciła ku niemu głowę i uśmiechnęła się promiennie. Mimo długiej i męczącej podróży była odprężona i radosna. Dziwiło go, że tak zniechęciła Londyn. Wydawało mu się, że bujne życie towarzyskie oraz to, że wszędzie była mile widziana, sprawiało jej radość. Jednak w ciągu ostatnich trzech dni nie myślała o niczym innym, tylko o wyjeździe. Popędzała służbę i doglądała przygotowań do przeprowadzki. Widocznie należała do tego rodzaju ludzi, myślał, którzy, gdy powezmą jakiś plan, chcą jak najszybciej go zrealizować.

- Teraz przez parę minut będziemy jechali przez wieś - powiedział. - Jesteśmy już prawie w domu.

- Naprawdę? - Jej oczy płonęły entuzjazmem, wyprostowała się, żeby mieć lepszy widok przez okno powozu.

Przejeżdżali właśnie przez wioskę. Jechali teraz wolniej ze względu na kręcących się ludzi i zwierzęta domowe. Nic się tu nie zmieniło. Wszystko wyglądało jak dawniej. A czegoż on, Luke, oczekiwał? Że po dziesięciu latach nie pozna rodzinnych stron?

Jedno uległo zmianie. Przed dziesięcioma laty był młodszym synem księcia i zaledwie przekroczył wiek chłopięcy. Gdy wówczas jeździł tą drogą nikt się nim szczególnie nie interesował. Teraz był księciem Harndon i po długiej nieobecności wracał do domu. Na powozie nie było herbu, ale po okolicy rozniosła się wieść, że lada dzień książe będzie tędy przejeżdżał. Drzwi domów były otwarte na oścież, a ludzie wylegli przed szynk i sklepiki.

Luke, zaskoczony, wychylił się przez okno i uniósł dłoń w powitalnym geście. Chłopi, uśmiechnięci radośnie, również machali na jego widok.

Anna śmiała się, na jej twarzy malował się zachwyt.

- To cudowne, Luke - rzekła. Ona również wychyliła się z okna i pozdrowiła mijanych ludzi.

Ich podróż dobiegała końca. Kiedy przejeżdżali koło kościoła, Luke cofnął się w głąb powozu. Odwrócił głowę. Nie chciał widzieć ani kościoła, ani przykościelnego cmentarza. I nagle zdał sobie sprawę, że nie tylko wspomnienia, nie tylko Henrietta powstrzymywały go od powrotu. To było coś znacznie gorszego. Świadomość, że na cmentarzu czekają na niego mogiły dwóch mężczyzn, którym po dziś dzień nie miał szansy ani chęci wybaczyć.

- No - westchnął z ulgą gdy powóz wjechał przez imponująco wielką kamienną bramę

na teren parku Bowden Abbey. - Wieśniacy wcześniej musieli się dowiedzieć, że przyjeżdża nowa i urocza księżna. Wszyscy będą się na pewno szczyścić, że cię widzieli, moja droga.

Znowu się roześmiała.

- Prawdopodobnie - rzekła - wszyscy oni chcą zobaczyć, co zrobił z ciebie Paryż. Och, te drzewa! Bardzo stare, prawda? Popatrz, Agnes, sarna. Całe stado! Boże, jak tu pięknie!

Gdy Luke po raz ostatni tędy jechał, wydawało mu się, że wokół panuje czarna noc. Minęli właśnie miejsce, w którym żegnał się z Doris.

- Ojej! - krzyknęły jednocześnie obie panie, gdy powóz wyjechał z cienia drzew i oczom ich ukazał się wspaniały widok na cały park. Ujrzały łuki kamiennego mostu spinającego brzegi rwącej rzeki, strzyżone trawniki, cztery kondygnacje tarasowych ogrodów, pielęgnowanych starannie, pełnych różnobarwnego kwiecica, oraz ogromny dom o wielodzietnych oknach i licznych wieżyczkach. Była to imponująca budowla, stanowiąca nieprawdopodobną mieszaninę architektonicznych stylów.

Luke stwierdził ze zdziwieniem, że i tutaj nic się nie zmieniło. Jakbym wczoraj stąd wyjechał, myślał. Albo przed wiekiem.

Powóz przejechał przez most, minął rozległy trawnik, potem skręcił na wyłożony kostką kamienną plac przed marmurowymi stopniami prowadzącymi do wielkich, masywnych drzwi, które rozwarły się na całą szerokość, nim powóz nadjechał i nim stangret opuścił jego stopnie.

Luke wysiadł i podał dłoń najpierw szwagierce, a potem żonie. Zauważył, że uśmiech zniknął z twarzy Anny, lecz oczy miała pełne zachwyty, a policzki zaróżowione. Ofiarował jej ramię, a ona, zgodnie z zasadami, wsparła o nie dłoń. Powinien dodać jej otuchy, lecz jemu samemu przydałoby się wsparcie. To chyba najtrudniejsza chwila w moim życiu - pomyślał. A w każdym razie jedna z najtrudniejszych.

Wprowadził małżonkę do obszernego, wyłożonego dębową boazerią holu o wysokości dwóch pięter. Wisiały tu wielkie portrety przodków, a na przeciwległych ścianach znajdowały się dwa identyczne kominki. Służący ustawili się rzędem wzdłuż obydwu ścian, by go powitać i aby księżę i jego nowa księżna mogli dokonać przeglądu swoich podwładnych.

Ciekawe, czy to z polecenia matki, zastanawiał się Luke.

Stary kamerdyner jego ojca, Cotes, przedstawił mu ze sztywnym ukłonem, jaki Luke pamiętał z dawnych czasów, gospodynię domu, panią Wynn. Luke widział ją po raz pierwszy. Księżę dokonał prezentacji księżnej i lady Agnes Marlowe, po czym wraz z małżonką przeszedł środkiem szpaleru. Jego żona, jak tego oczekiwał, stanęła na wysokości zadania. Obdarzała uśmiechem każdą osobę, a dla większości miała nawet miłe słowo. Choć na pewno

była zmęczona podróżą i objawami wczesnej ciąży, doskonale spełniła swój pierwszy obowiązek jako pani na Bowden Abbey.

Dokonałem właściwego wyboru, pomyślał. Anna będzie sumiennie i z wdziękiem wykonywać swoje obowiązki. Był z niej dumny.

- Rodzina oczekuje na górze, w salonie, wasza wysokość - rzekła już po wszystkim pani Wynn, zwracając się do Anny. - Powita ich pani czy też najpierw odpocznie w swoich apartamentach?

- Nie, najpierw pójdziemy chyba do salonu - powiedziała, patrząc pytająco na Luke'a. Skłonił głowę.

- Lecz lady Agnes wolałaby prawdopodobnie odpocząć przez chwilę - rzekła Anna. Agnes przyjęła te słowa z widoczną ulgą.

Pani Wynn poprowadziła ich długim korytarzem ku solidnym dębowym schodom.

Luke podążał za gospodynią, trzymając żonę pod ramię, i czuł, że nogi ma jak z ołowiu. To był kiedyś jego dom. I jeśli to w ogóle jest możliwe, znowu będzie jego domem. Rodzina oczekiwała ich na pierwszym piętrze. Matka, która odwróciła się od niego, kiedy najbardziej jej potrzebował. Brat, którego upokorzył i postąpił z nim prawie tak samo, jak ojciec postąpił z nim. Siostra, którą potraktował bezwzględnie i skazał na cierpienie, mimo iż swego czasu sam go doświadczył. No i Henrietta.

A na cmentarzu przykościelnym - ojciec i George.

Weszli do salonu. Choć wszyscy - z wyjątkiem jednej osoby - widzieli się w Londynie zaledwie przed paroma dniami, nastąpiła ceremonia powitania, albowiem książę wrócił do domu wraz z nową księżną. Luke pocałował matkę w policzek, wymienił sztywny ukłon z Ashleyem i skłonił głowę w odpowiedzi na dygnięcie Doris. Obserwował, jak Anną w przeciwieństwie do niego, wita się z każdym serdecznie, pyta o przebieg podróży i radosnym głosem opowiada, jakie przyjęcie zgotowali im ludzie we wsi.

Był jeszcze ktoś w tym pokoju, ktoś, kto stał przy samym oknie. Gdy tylko Luke wkroczył do salonu, serce zaczęło mu walić jak młotem. Mimo iż nie patrzył na nią, widział, że jest tak samo drobna, szczupła, filigranowa i urocza jak dawniej, gdy była młodą dziewczyną.

Matka zwróciła się do Anny, by przedstawić jej damę stojącą przy oknie:

- To jest Henrietta, księżna Harndon, wdowa po moim najstarszym synu - rzekła. Następnie zwróciła się do Henrietty: - A to, Henrietto, jest nowa księżna Harndon, Anna.

Wreszcie Luke spojrział na nią. Twarz w kształcie serduszka, duże niebieskie oczy. Prawie się nie zestarzała. Ciemne włosy miała pokryte pudrem, ubrana była modnie.

Miała niski melodyjny głos:

- Anno - rzekła z uśmiechem i wyciągnęła ku niej obie dłonie. - Jesteś urocza. Ale czegoż innego miałabym się spodziewać po żonie Luke'a? Czekałam z niecierpliwością na twój przyjazd. Jak to przyjemnie mieć nową siostrę i przyjaciółkę, jak mniemam.

Anna roześmiała się, Luke zaś obserwował dwie kobiety połączone uściskiem dłoni.

- Jesteś bardzo młoda, Henrietto. Nie wiem dlaczego, ale sądziłam, że jesteś starsza. Tak, jesteśmy siostrami. Zatem mam dwie nowe siostry i jednego nowego brata. Szczęście mi sprzyja. - Odwróciła się, by objąć spojrzeniem Doris i Ashleya, a potem - Luke'a.

Wówczas Henrietta spojrzała w jego stronę, ich oczy się spotkały i wszystko inne przestało się liczyć. O Boże! Jego pierwsza miłość. Mogła być jego żoną. Mogli mieć dzieci. Henrietta.

- Witaj, Luke. - Uśmiechnęła się do niego ciepło i wyciągnęła ku niemu rękę. - Och, jak to było dawno! Bardzo się zmieniłeś. Dobrze, że mnie o tym uprzedzono. Jesteś teraz znacznie przystojniejszy niż młodzieniec, którego znałam, gdy wychodziłam za George'a. Witaj w domu, bracie.

- Witaj, Henrietto. - Ujął jej dłonie i znowu przeżył wstrząs - ten sam dotyk, to samo ciepło. Unosząc jej rękę do pocałunku, rzekł: - Dobrze być znowu w domu.

Kłamstwo, dyktowane dobrymi manierami, łatwo przeszło mu przez usta.

- Jest już taca z herbatą - powiedziała matka, przywołując go do rzeczywistości. - Pozwolisz, Anno, że jeszcze dziś ja naleję wszystkim?

Anna. Jego żona i jego księżna. Przez chwilę o tym zapomniał. Zajął miejsce obok niej i cieszył się jej promiennym uśmiechem, podczas gdy matka nalewała herbatę.

Siedzieli w salonie przy herbacie jakieś pół godziny i udało im się prowadzić niemal rodzinną konwersację. Atmosfera jest jednak napięta, myślał Luke, Anna na pewno to wyczuła, lecz skoro przybyli, musieli przez to przejść. Anna radziła sobie dobrze, prowadząc z wdziękiem błyskotliwą rozmowę, zdołała nawet wywołać uśmiech na twarzy Doris i Ashleya. Owo powitanie w rodzinnym domu, myślał Luke, gdy odprowadzano go wraz z żoną do ich apartamentów, wypadło - tak jak przewidywał - poprawnie. No i jakoś przeżył spotkanie z Henriettą.

Jest bardziej urocza i bardziej fascynująca, niż gdy miała siedemnaście lat, pomyślał, starając się odegnać bolesne wspomnienia.

Apartamenty pana domu, jako jedne z nielicznych, znajdowały się od frontu, gdyż budynek starego opactwa był długi i raczej wąski. Z przeważającej większości pokoi rozciągał się widok na trawniki, ogrody i rosnące w oddali drzewa.

Luke, po obejrzeniu swojej sypialni, wszedł do sypialni małżonki. Przechodząc przez jej garderobę, zastał tam krzątające się pokojówki; na jego widok przerwały pracę i dygnęły nisko. Anna stała przy oknie. Spojrzała na niego przez ramię i uśmiechnęła się. Podeszedł do niej.

- Tu jest tak cudownie, że aż zapiera mi dech w piersi - rzekła. - Gdybym wiedziała, ponaglałabym cię do przyjazdu tutaj - roześmiała się.

A on poczuł nagle ogromną ulgę; najgorsze ma już za sobą i może być znowu sam na sam z żoną. Ujął ją za ramiona i obrócił ku sobie.

- Witaj w Bowden Abbey, Anno - powiedział, unosząc jej rękę do ust. - Witaj w domu, moja księżno.

- W domu - powtórzyła i w jej oczach rozbłyły nagle łzy. - Nie masz pojęcia, Luke, jak pięknie to brzmi. Nie przypuszczałam, że będę miała kiedyś własny dom. Myślałam, że jako stara panna do końca życia będę mieszkała u brata.

Z trudem powstrzymał się, by nie wziąć jej w ramiona. Opanował jednak tę chwilową słabość; życie nauczyło go, że słabość należy zwalczać.

Anna kiedyś należała do kogoś innego, tak jak i on. Ale Anna potrafiła płakać na wspomnienie swojej miłości. On - nie.

Uścisnął tylko mocniej jej dłonie.

- Nie pozwoliłbym twojemu bratu na tę przyjemność - rzekł. - Tym bardziej, że wkrótce sam założę rodzinę.

Uśmiechnęła się, odchylając nieco głowę.

- Henrietta mi się podoba - powiedziała. - Obawiałam się, że od niesie się do mnie z niechęcią, ale była wobec mnie bardzo miła. Smutne, że tak wcześnie owdowiała. Lecz może przecież ponownie wyjść za mąż. Jest taka młoda. Zaręczyła się chyba jako dziewczynka.

Pocałował żonę. Nie chciał rozmawiać o Henriecie ani nawet o niej myśleć. Anna westchnęła, objęła go za szyję i oddała pocałunek. Całowali się długo i, o dziwo, nie było w tym pożądania. Niepokojąco aseksualny pocałunek. Całowali się, nie szukając rozkoszy. Szukali czegoś zupełnie innego. Luke wzbraniał się przed nazwaniem tego, nawet jeśli domyślał się, co to jest.

Pocałunek musiał jednak prowadzić do konkretnego celu. Luke spojrzał na żonę spod półprzymkniętych powiek, po czym - wskazał na łóżko.

- Byłoby właściwe, madame - zaczął - gdybym dziś w nocy godnie cię powitał...

Zachwycał się zawsze jej kuszącym śmiechem. Był bardziej podniecający niż wyuczone chichoty, do jakich przywykł w takich okolicznościach.

- Wasza wysokość - powiedziała - nie wiem, jak zdołam doczekać nocy...

Nareszcie ulga - poczuł ulgę dlatego, że odegnał rozczulenie, jakie go przez chwilę ogarnęło. Żadnych sentymentów. Co nie oznaczało, że natychmiast uczyni zadość jej pragnieniu.

- Sądzę - rzekł, myśląc o krzątających się w garderobie pokojówkach - że skoro jesteśmy na wsi, musimy wcześniej wstawać. I wcześniej kłaść się spać.

Znowu się roześmiała.

Wrócili w bezpieczną strefę nieobowiązującej kokieterii.

W tydzień po przyjeździe do Bowden Abbey Anna stwierdziła z pewną dozą ostrożności, że jest właściwie szczęśliwa. Było tu pięknie, a promienie słoneczne wczesnego lata dodawały jeszcze uroku temu miejscu. Cudownie jest być znowu na wsi, z dala od miasta i obowiązujących tam reguł. Do czasu balu maskowego w Ranelagh cieszyła się pobytem w Londynie. Lecz po tym balu poczuła, że się dusi.

Znów była wolna. Zdawała sobie sprawę, że to uczucie wolności jest iluzoryczne. Nie ucieknie przecież od Lovatta Blaydona, ale chciała trzymać się tej iluzji. W Bowden mogła swobodnie oddychać, swobodnie się poruszać. Znalazła tu szczęście.

Być może.

Bowden nie było jednak oazą szczęścia, Anna widziała to doskonale. Ashley i Doris przybyli tu wbrew woli, oboje w niełasce, załamani i wrogo nastawieni wobec Luke'a, on zaś nie robił nic, by załagodzić sytuację. Traktował ich zimno i z dystansem i nie czynił żadnego wysiłku, by szczerze z nimi porozmawiać. Ale przecież w grę winna wchodzić miłość, która w rodzinie Anny tak wiele znaczyła, że trudno jej było sobie wyobrazić, iż w innych rodzinach jest inaczej. Miłość łagodzi zranioną duszę i pomaga przetrwać ciężkie chwile. Miłość zasypuje przepaść między ludźmi.

Wszystko świadczyło o tym, że w Luke'u nie było miłości.

Innych przyczyn zła Anna nie dostrzegała. Księżna matka, jej teściowa, była wobec niej uprzejma, a nawet więcej niż uprzejma. Poświęcała Annie wiele czasu, wyjaśniając różne sprawy, przygotowując ją do roli księżnej Harndon, pani na Bowden Abbey, pierwszej damy w sąsiedztwie. Między matką i Lukiem nie dostrzegało się żadnego uczucia, prawie nie kontaktowali się ze sobą. A przecież winna ich łączyć choćby troska o Ashleya i Doris.

Również wobec Henrietty Luke zachowywał zimny, dość sztuczny dystans. A była przecież tak urocza, serdeczna i tak przyjaźnie odnosiła się do Anny. Była przecież żoną jego brata. Czyżby tak go nienawidził, że nie mógł zdobyć się na uprzejmość wobec wdowy po nim?

Anna doszła do wniosku, że kluczem do tej zagadki był właśnie jego zmarły brat, poprzedni książę Harndon. Mało brakowało, a Luke zabiłby go w pojedynku. Nie przypominał sobie przyczyny kłótni. Po paru dniach pobytu w Bowden Anna zaczęła wątpić, czy tak jest w istocie.

Jak można zapomnieć o kłótni, której skutkiem był pojedynek, w wyniku którego jeden z nich o mało nie zginął?

Przeszłość, bez względu na to, co się wydarzyło, wisiała nad Bowden niby czarna groźna chmura. Anna nie mogła z nikim o tym porozmawiać. Gdyby zapytała kogoś z rodziny, postąpiłaby niełojalnie wobec Luke'a. Zapytanie o to jego samego nie wchodziło w ogóle w rachubę. Przeszło miesiąc byli już małżeństwem i w gruncie rzeczy rozmawiali tylko o błahostkach. Cieszyli się sobą, wymieniali wesołe i dowcipne, czasem złośliwe uwagi. Nie łączył ich jednak żaden duchowy związek. Właściwie byli sobie całkiem obcy. Ona ze swej strony podjęła pewną próbę. Teraz więc nie ponowi pytania, jakie zadała mu w pierwszych dniach małżeństwa: „Co się stało przed dziesięcioma laty? Dlaczego zaciążyło to nad całym twoim życiem?”

Zaciążyło nad całym życiem Luke'a. Kiedyś był inny. Tak mówiła Doris.

Mimo wszystko jednak Anna czuła się w Bowden wolna i szczęśliwa. Stosunki z Lukiem układały się dobrze, jeśli godziła się z ich powierzchownym charakterem. W noc po przybyciu, tak jak obiecał, powitał ją godnie w łóżu, a potem oświadczył, że teraz, skoro jej ciąża wydaje się niemal pewna, musi zażywać więcej snu.

- Jeden raz w ciągu nocy zaspokoi mój wilczy apetyt - dodał.

Dotrzymał słowa.

Anna mogłaby się czuć zawiedziona, bo miała równie wilczy apetyt jak on, lecz tak nie było. Jego decyzja świadczyła o czymś, co w ogólnych zarysach przypominało czułość. Świadczyła o trosce o jej zdrowie i pomyślny rozwój dziecka.

Zupełnie jakby mu na tym zależało. Bardzo chciała, aby tak było.

Zaczęła wstawać rano i jeździć z nim konno. Uśmieł się, kiedy go o to poprosiła, albowiem nie wierzył w jej ranne wstawanie. Potem po raz pierwszy wzbudził w niej gniew, każąc osiodłać dla niej starą chabetę. Gdy zaprotestowała, roześmiał się i wydał polecenia zgodne z jej wolą.

Wczesne poranki należały do nich. Rozmawiali, śmiali się, droczyli ze sobą. Lubił jechać za nią, by móc podziwiać jej wspaniały tyłeczek, jak powiedział, uśmiechając się lubieżnie, gdy któregoś dnia odwróciła się i spojrzała na niego pytająco.

Pewnego ranka, gdy wracali już do stajen, zaczęli się ścigać i Luke pozwolił jej

wygrać, do czego się zresztą nie przyznał. Pomagając jej zsiąść z konia, oświadczył jednak, że był to pierwszy i ostatni wyścig przed rozwiązaniem. Musi czuwać nad bezpieczeństwem syna.

- Albo córki - rzekła z uśmiechem.

- Tym bardziej, madame - powiedział. - Być może córka, w przeciwieństwie do matki, jest delikatnej konstrukcji i boi się szybkiej jazdy.

Ograniczał jej wolność; nie pozwolił jej na miłość częstszą niż raz w ciągu nocy, nie pozwolił jej galopować. Coraz bardziej przypominało to czułość. Była zachwycona.

Zaprzyjaźniła się z Henriettą. Potrzebowała przyjaźni. Przez ostatnich kilka lat nie miała na nią czasu, żyła tylko dla rodziny.

To właśnie Henrietta nazajutrz po ich przyjeździe poświęciła Annie wiele godzin, wprowadzając ją w tajniki zarządzania domem, pokazując jej miejsca o szczególnej wadze, przeglądając wraz z nią rachunki i towarzysząc jej podczas pierwszej codziennej narady z panią Wynn. Twierdziła stanowczo, i brzmiało to całkiem szczerze, że przekazanie władzy nie sprawia jej żadnej przykrości.

- Rada byłam, spełniając obowiązki księżnej - powiedziała, gdy szły ramię w ramię przez ogród - nie zaprzeczam. Ale gdy George umarł, przestało mnie to cieszyć. I popatrz, Anno, co zyskałam dzięki tej utracie władzy: Luke wrócił do domu, do którego przynależy; mam ciebie - a tak tęskniłam za przyjaciółką i siostrą. Mam też Agnes, która jest urocza i słodka, i wkrótce przyjedzie Emilia. Też będę ją kochała, czuję to. - Ucisnęła ramię Anny. - Być może znowu zaznam szczęścia. Chciała bym w to wierzyć.

Tak, myślała Anna, może i ja będę naprawdę szczęśliwa. Też chciałabym w to wierzyć.

Starła się nie myśleć o słowach, które nawiedzały ją we śnie: „Pamiętaj, że ja cię tylko łaskawie mu wypożyczyłem”. Na jawie w ogóle o nich nie myślała. Musi być szczęśliwa.

Za oknem staroświeckiego powozu ukazała się blada twarzączka. Dziewczynka spojrzała z niepokojem najpierw na dom, a potem przeniosła wzrok na oczekujących jej przybycia ludzi zgromadzonych na tarasie - Luke'a, Annę, Agnes, Doris i Henriette. Niepokój zniknął na chwilę z jej twarzy, gdy zobaczyła swoje siostry.

Uśmiecha się tak jak Anna, stwierdził Luke, radośnie i promiennie. Perspektywa przebywania pod jednym dachem z osobą głuchoniemą - a nigdy nie miał do czynienia z ludźmi ułomnymi - przejmowała go lękiem. Anna powiedziała mu, że trudno nawiązać z nią kontakt. No bo jak? Prawdopodobnie dziewczynka nie umie pisać ani czytać - to oczywiste. Nie może zatem komunikować się przez słowo pisane.

Pocieszał się myślą, że to w końcu problem Anny, nie jego. Życzyła sobie jej przyjazdu, chciała, aby dziewczynka zawsze z nimi mieszkała. Na pewno zresztą towarzyszy jej opiekunka. On, Luke, nie będzie się tym przejmował, wystarczy, że zapewni jej dom i opiekę. Oczywiście, znając termin jej przyjazdu, nigdzie nie wyjechał - a uczynił to ze względu na żonę - i gdy służba doniosła, że zbliża się do Bowden jakiś dziwny powóz, wyszedł wraz z żoną na taras. Anna z trudem ukrywała wzruszenie.

Normalnie podszedłby do powozu, by pomóc gościowi wysiąść i doprowadzić go do drzwi. Cofnął się jednak, gdy człowiek, który siedział obok stangreta, opuścił stopnie i podał dziewczynce rękę.

Lady Emilia Marlowe miała czternaście lat, była szczupła, średniego wzrostu, o kształtach jeszcze dziewczęcych, choć nabierających już cech kobiecych. Miała na sobie zapinaną od góry do dołu suknię z krynoliną, ale bez obręczy. Ładne, nieupudrowane włosy, ściągnięte były do tyłu i opadały na plecy. Nie miała czepka ani kapelusza. Przypominała Luke'owi młodego żrebaka.

Anna chwyciła ją w ramiona, śmiała się i płakała. Dziewczynka wydawała jakieś niezrozumiałe dźwięki. Agnes dołączyła do sióstr i objęła je obie. Stały tak we trzy, splecione uściskiem.

Anna wzięła w końcu dziewczynkę za rękę i powiedziała:

- Emilia, chcę cię przedstawić mojemu mężowi, księciu Harndon. - Nie mówiła ani powoli, ani głośno. Dziewczynka obróciła ku niemu zarumienioną, drobną twarz. Dużymi szarymi oczami zmierzyła go od stóp do głów - zupełnie jak jej siostra na balu u lady Diddering, pomyślał. Przypuszczał, że dostrzeże w nich przerażenie, które zazwyczaj widział w oczach Agnes - choć może przerażenie to za mocne słowo. Po powrocie do Bowden prawie

nie zmienił stylu ubierania się i zauważył, że szokował swoim wyglądem tutejsze młode dziewczyny.

Postąpił krok do przodu i wyciągnął dłonie ku Emilii. Spojrzała na nie i podała mu swoje. Małe, chłodne ręce. Zupełnie nieoczekiwanie ogarnęła go czułość. I zarazem poczuł się nieswojo. No i co dalej?

Powiedzenie czegoś do niej nie miało sensu, lecz cisza w takiej sytuacji wydała mu się nie na miejscu.

- Emilia - powiedział, tak jakby mogła go słyszeć - witam cię w twoim nowym domu. Jestem Luke, twój nowy brat.

Skupiła wzrok na jego ustach. Gdy przestał mówić, uniosła głowę i uśmiechnęła się promiennie, a Luke mocno uściśnął obie jej ręce. Dobry Boże, pomyślał, ona czyta z moich ust. Objął ją - nie protestowała - i pospieszył przedstawić dziewczynkę Doris i Henriecie. Doris uśmiechnęła się z zakłopotaniem - czuła się widocznie tak jak on przed chwilą. Henrietta oznajmiła zaś, że Emilia jest urocza i słodka i że przyniesie szczęście obu swoim siostram, i oczywiście im wszystkim. Lecz skierowała te słowa do Anny, nie do dziewczynki. Luke uświadomił sobie nagle, że Emilia z całych sił przywarła do jego ramienia.

Pogładził ją po rączce, a ona natychmiast spojrzała mu w twarz.

- Chodźmy do środka, na herbatę - powiedział. Skinęła z uśmiechem głową.

- Emilia nie garnie się na ogół do obcych - powiedziała Anna, gdy przekraczali próg domu. - Chyba cię polubiła, Luke.

Sprawiła mu tymi słowami dziwną przyjemność. Od dnia swego powrotu nie zaznał serdeczności ze strony rodziny. Prawdę mówiąc, nie zabiegał o to. Rad był jednak, że nie okazywano mu jawnej niechęci.

Matka odniosła się życzliwie do przyjazdu Emilii, jednak w ciągu całej ceremonii picia herbaty nie raczyła poświęcić dziewczynce ani odrobiny uwagi. Lady Emilia była, rzecz jasna, dzieckiem i zgodnie z surowymi zasadami księżnej matki winna przebywać w pokoju dzieciennym. Dziewczynka siedziała na kanapie, między dwiema siostrami, i patrzyła to na Agnes, to na Luke'a, ale najczęściej na Annę. Właściwie nie patrzyła, tylko obserwowała. Dla kogoś, kto nie słyszy, myślał Luke, zmysł obserwacji jest najważniejszy.

Ashley spóźnił się na herbatę. Często spóźniał się na posiłki - albo też wcale na nie przychodził. Luke nie wiedział, jak i gdzie spędza czas. Od chwili wyjazdu z Londynu prawie się nie widywali. Ashley nie zaliczał się do ludzi ponurych. Był uprzejmy wobec reszty rodziny i na ogół humor mu dopisywał. Tak było i teraz.

- Anno - rzekł, powitawszy obecnych skinieniem głowy - podobno przyjechała twoja

siostra, tak, widzę nie znaną mi osobę koło ciebie. Przedstaw mnie, jeśli łaska.

Gdy Anna dokonywała prezentacji, Ashley stał, tak jak należy, naprzeciwko nich.

- Mam przed oczami przysłą piękność - powiedział z uśmiechem, składając ukłon. - Uniżony Sługa, madame. - Uniósł jej dłoń do pocałunku.

Mówi ze zwykłym sobie niedbałym wdziękiem, odnotował w myślach Luke, a przecież wie, że najmłodsza siostra Anny jest głuchoniema. Może również wyczuwał całą niezręczność jej milczenia? Luke obserwował wyraz twarzy dziewczynki podczas prezentacji. Nie uśmiechnęła się do Ashleya tak jak do niego, ale tak samo wpatrywała się w jego usta i odprowadziła go wzrokiem, póki nie usiadł i nie przyjął z rąk Doris filiżanki herbaty. Potem jednak wpatrywała się w niego nadal, a on, uchwyciwszy jej spojrzenie, mrugnął do niej porozumiewawczo.

Ashley zrobił furorę, pomyślał Luke z rozbawieniem.

Luke poświęcał wiele czasu sprawom majątkowym, prowadził rozmowy z Laurence'em Colbym, przeglądał wraz z nim księgi, odwiedzał swoje farmy i ludzi, którzy na nich pracowali, czyli dzierżawców jego ziemi.

Najwyższy czas na zmiany, pomyślał. Colby nie miał wprawdzie poczucia humoru, ale działał sprawnie, był oszczędny i, co bardzo istotne, wołał gromadzić pieniądze, niż je wydawać. I chyba zarzut, że ostatnimi laty zachowywał się bardziej jak właściciel niż ekonom, miał racjonalne uzasadnienie. Był to jednak człowiek na wskroś uczciwy i niewątpliwie strzegł majątku Luke'a przed wszelkimi zagrożeniami. Miało to również swoją złą stronę: nie przychodził z pomocą tym, którzy znaleźli się w nagłej potrzebie, toteż na farmach Luke'a ludzie często żyli w biedzie.

Acz z niechęcią Luke postanowił sam się o tym przekonać, zainteresować się życiem swoich podwładnych. Na myśl o tym ciarki przechodziły mu po plecach. Powoli zaczął zdawać sobie sprawę, jak bardzo przez te dziesięć lat - z początku świadomie, potem nieświadomie - odciął się od ludzi i ich losów. Nie odcinał się tylko od tych, którzy sprawiali mu przyjemność.

Pewnego popołudnia, wracając z objazdu farm, zaczął rozmyślać zarówno o zmianach, jakie zaszły w jego życiu, jak i o zmianach w zarządzaniu majątkiem, które będzie musiał wprowadzić. Anna, jak mu powiedziano, odwiedziła już kilka wiejskich domów, spróbowała domowej roboty jabłecznika, obiecała dać żonom farmerów własny przepis i powiedziała, że postara się zorganizować szkołę dla młodszych dzieci. Luke pomyślał, że musi udowodnić, iż jest godny swojej księżnej.

I wówczas uwagę jego zwróciła barwna plama wśród zieleni. Przekonał się niebawem,

że na drewnianym przelazie, przy rowie dzielącym łąkę od ścieżki, którą właśnie jechał, siedzi Henrietta. Na tle krajobrazu wyglądała niewyobrażalnie pięknie, trzymała w ręku książkę. Poczul bolesne ukłucie.

Udało mu się do tej pory uniknąć przebywania z Henriettą sam na sam. Próbował nawet wmówić w siebie, że sprawa jest całkiem prosta. Pierwsze z nią spotkanie było łatwiejsze, niż przypuszczał, później odnosiła się do niego po przyjacielsku, a jeszcze bardziej przyjaźnie traktowała Annę. Widocznie to, co było między nimi, nie miało już żadnego znaczenia. Jeśli nie weźmie pod uwagę listów, jakie wysłała mu do Londynu, oraz jego lęku przed powrotem do domu. Tak więc, myślał sobie, uniknął przebywania z nią sam na sam i w miarę możliwości dalej będzie tak postępował.

Zatrzymał na chwilę konia, ale Henrietta już go dostrzegła. Powoli i niechętnie ruszył do przodu.

Zamknęła książkę i spojrzała na niego bez uśmiechu.

- Sądziłam, Luke - zaczęła niepewnie - że spędzasz popołudnie z panem Colbym.

- Nie - rzekł, zatrzymując konia tuż przy niej. Miał żywo w pamięci, jak dawno temu w tym samym miejscu chwycił ją w objęcia i stoczyli się w dół po trawie. Ukradł jej pocałunek, zanim jej stopa dotknęła ziemi. Zbeształa go, ale zaraz potem podała mu usta do następnego pocałunku. Wzrastali razem i z tej przyczyny łatwiej im było, wbrew zasadom, spędzać czas bez przyzwoitki. Nigdy nie posunął się dalej niż pocałunek, i to braterski. Owymi czasy nie miał pojęcia o miłosnej grze - muśnięcie ust to był szczyt jego marzeń. Nie znał innych sposobów wyrażania uczuć. Był niewiarygodnie wręcz niewinny.

- Luke - zaczęła, czerwieniąc się po korzonki włosów. Zapadła chwila niezręcznej ciszy. - Przepraszam za ten list, jaki do ciebie wysłałam. Przysięgłam sobie, że nigdy nie napiszę ani nie wypowiem takich słów, że zabiorę do grobu tajemnicę mego serca, tymczasem napisałam i wysłałam ten list przez Williama. Myślałam, że przekaże ci go następnego dnia. Pojechałam więc od razu do Wycherly, by go od niego odebrać, lecz William już wyjechał. Byłam wściekła. Wolałabym umrzeć.

Nie zamierzał jej odpisać. I nie odpisał. Nie miał już nic do powiedzenia. Zresztą otrzymał również drugi list, nie ten przekazany mu przez Willa, napisany w bardziej osobistym tonie. Niebezpiecznie, osądził teraz w duchu, przebywać z nią sam na sam i rozmawiać o takich sprawach. Niebezpiecznie jest patrzeć w jej niebieskie, pełne bólu oczy.

- Pozostaniesz tu jeszcze - zapytał po chwili milczenia - czy też chcesz wracać do domu? .

- Pora wracać - rzekła. - Ale ty jedź, Luke. Wrócę sama. Pomóż mi tylko zejść z

przełazu.

Pomyślał, że pojedzie inną, okrężną trasą, lecz poprosiła go o pomoc. Wolałby tego uniknąć, nie chciał jej dotykać. No i oczywiście, skoro zsiądzie z konia, nie wsiądzie nań z powrotem i nie pozwoli jej wracać samej.

Wyglądała uroczo, świeżo, niewinnie, gdy tak siedziała z książką w ręku. Boże jakżeż on ją kiedyś kochał! Ubrana była, co od razu rzuciło mu się w oczy, bardzo modnie: obcisły żakiet, usztywniony stanik, lśniący biała spódnica z krynoliną na obręczach. Słomkowy kapelusz przybrała kwieciem. I to wszystko po to, by iść na przechadzkę i czytać książkę na przełazie?

Zsiadł z konia i zbliżył się do przełazu. Nie wyciągnęła ręki, aby pomógł jej pokonać owe dwa stopnie. Wyglądała na speszoną tym, że poprosiła go o taką przysługę. Zastanawiał się, czy aby to spotkanie na pewno było dziełem przypadku. Wyciągnął ramiona, o które ona wsparła dłonie, chwycił ją za kibić i postawił na ziemi. Kibić miała smukłą jak przed laty. Była lekka jak piórko. I dotarł do niego jakże znany mu zapach.

Jego młodzieńcza, romantyczna miłość, żarliwa namiętność! Zanim ją puścił - cała przeszłość stanęła mu przed oczami. Przez chwilę czas przestał istnieć. Czuł i słyszał jej wyraźnie przyspieszony oddech. Starał się na nią nie patrzeć.

- Ty pojedź konno, ja pójde pieszo - powiedział. Zapewne wyczuwała napięcie w jego głosie. Konno? Jak miałaby jechać konno w spódnicy na obręczach?

- Nie - rzekła spokojnie, ale stanowczo. - Oboje pójdziemy na piechotę, Luke.

Poczuł nagłą i głupią potrzebę obecności Anny. Anny roześmianej, dowcipnej, wesołej. Anny, jego żony, przyszłej matki jego dziecka. Nie chciał się przyznać przed samym sobą, że odczuwa lęk. A może pokusę?

- Dokonałeś wspaniałego wyboru, Luke - powiedziała głosem, w którym wyczuwało się napięcie. - Kocham Annę. Bardzo do ciebie pasuje - piękna, pełna wdzięku. Z takim poświęceniem wykonuje swoje obowiązki. Tuszę, że da ci to, czego ja nie mogłam dać George'owi. - Wstrzymała na chwilę oddech. - Mam nadzieję, że urodzi ci synów.

A on całkiem irracjonalnie marzył o córce. O małej dziewczynce, którą będzie się chlubił. Wcale by się nie zmartwił, gdyby Anna powiła mu córkę. Aż sam się sobie dziwił. Ożenił się przecież po to, by mieć następców. To było najważniejsze w ich małżeństwie - syn, przynajmniej jeden, a najlepiej dwóch lub trzech. Tymczasem on pragnął córeczki.

- Urodziłam mu tylko martwego syna - powiedziała cicho. - Gdyby stało się inaczej...

- Współczuję ci, Henrietto - rzekł. - To musiało być dla ciebie ciężkie doświadczenie. - Łagodnie rzecz ujmując, pomyślał.

- Gdyby stało się inaczej - powtórzyła - i tak nie mogłabym za ciebie wyjść, choć namawiałeś mnie do tego, wiedząc, co zaszło między mną a twoim bratem. Gdyby chłopiec żył, byłby jego synem. Każdy by o tym wiedział. Na pewno byłeś tego świadom. Czy przez te wszystkie lata nienawidziłeś mnie? - zapytała drżącym głosem.

Pamięta, jak namówił ją, by spotkali się przy wodospadzie. Pamięta, jak chciał ją pocałować, a ona gwałtownie odwróciła się od niego. Pamięta, jak wszystko się wydało: poszła sama na spacer i spotkała Georgia. Szli razem, a George czekał, aż znajdą się w ustronnym miejscu. Wtedy wziął ją w ramiona i namawiał, by mu uległa. Wobec jej oporu stawał się coraz bardziej natarczywy, aż zgwałcił ją i zapłodnił, a ona po odkryciu, że jest w ciąży powiedziała o tym George'owi, który poczuł się zobligowany do oświadczenia się jej. Ona, nie mając innego wyboru, przyjęła oświadczenia i postanowiła, by Luke jako pierwszy dowiedział się o wszystkim.

Pamięta, jak wtuliła się w jego ramiona i szlochała, a on płakał razem z nią. Pamięta, jak błagał ją, by mimo wszystko wyszła za niego. Nie mógł pojąć tego, co do niego mówiła, jakie wysuwała argumenty. Myślał tylko o jednym, że ją traci, traci swą wielką miłość, traci sens życia. W tym momencie nie zastanawiał się nawet nad tym, że George...

Cierpiał okrutnie, nie chciałby po raz drugi zaznać takiego bólu. I od tamtej pory zaczął uodparniać się na wszelkie uczucia.

- Nie żywiłem do ciebie nienawiści, Henrietto - oznajmił. - Rozpocząłem w Paryżu nowe życie, zacząłem żyć dla siebie, dla własnej przyjemności. Jestem zupełnie innym człowiekiem. Mam żonę. Tamte sprawy dotyczą jakby kogoś innego, kogoś żyjącego w innej epoce. Przykro mi, moja droga, że cierpiałaś dłużej niż ja.

- Cierpiałam za życia George'a i cierpię po dziś dzień - powiedziała tak cicho, że ledwo rozróżnił słowa.

Słyszał, jak przełyka łzy, ale oczy miał utkwione w ścieżce, którą szli. Gdyby zobaczył jej łzy, zrobiłby to, co zrobiłby na jego miejscu każdy dżentelmen. Nie ufał jednak sobie na tyle, by ją przytulić. Zwątpił w niewrażliwość własnego serca. Chciał jak najszybciej dotrzeć do domu. A dzielił ich od niego więcej niż kilometr.

- Rada jestem, że ożeniłeś się przed powrotem tutaj - powiedziała w końcu i jej głos brzmiał już prawie normalnie. - I rada jestem, że wy brałeś Annę, niewiastę godną ciebie. Postąpiłeś słusznie, nawet jeśli uczyniłeś to ze względu na mnie. Tak czy nie?

Czyżby? Czy to był jego główny motyw? Na pewno jeden z wielu. Ale nie jedyny.

- Ożeniłem się - rzekł - bo był już najwyższy czas po temu i spotkałem kogoś, kogo chciałem poślubić. - Tak. Przypomniawszy sobie Annę podczas balu u lady Diddering, jak

czarowała go i uwodziła. Tak. Nie był to jedyny powód. Nagle rozpaczliwie zapragnął mieć pewność, że ożenił się z Anną, bo chciał się z nią ożenić. Tak też i było, pomyślał z odcieniem goryczy. Pozwolił sobie zakochać się w niej - przelotnie.

- Wybacz mi - powiedziała - wybacz mi, że ośmieliłam się wysnuć takie przypuszczenie. Nic dziwnego, że mężczyzna zakochuje się w Annie i po tygodniu bierze z nią ślub. Jak to dobrze, że ją kocham. Gdyby tak nie było, przebywanie z tobą pod jednym dachem mogłoby się okazać niebezpieczne dla nas obojga. Teraz nic nam już nie grozi. Szkoda, że nie wiedziałam, iż nie będzie cię w domu przez całe popołudnie. Nie włączyłabym się samotnie po okolicy i nie czytałabym książki na przełazie. A ty niepotrzebnie zatrzymałeś się na mój widok. Trzeba było jechać dalej.

Wiedziała. Zaplanowała to spotkanie. Czy nawet jej nie może ufać?

- Jesteś moją bratową - powiedział stanowczym tonem. - To, co dawno temu było między nami, dotyczy dwojga dzieci, które już nie istnieją. - Istnieją, pomyślał. Gdzieś w głębi jego duszy skrywał się chłopiec mimo wieloletnich wysiłków, by go w sobie unicestwić. I gdzieś w głębi jego duszy trwała Henrietta. I George.

- Tak - potwierdziła. - Taka jest prawda. Taka musi być prawda. Tymczasem ścieżka skończyła się i wyszli spomiędzy drzew od wschodniej strony domu. Byli teraz na samej górze długiego trawnika, ciągnącego się zboczem przylegającym do ogrodów paradnych, gdzie trzy panie zażywały właśnie przechadzki - Anna, Doris i Emilia.

- O Boże - jęknęła Henrietta i pomachała im ręką. - Przysięgam, że nigdy już nie porwę ci męża - zaszczebotała wesoło, gdy zbliżyli się na odległość głosu. - Spotkaliśmy się, jak schodziłam z przełazu przy rowie, i od tej pory Luke wyśpiewuje hymny na twoją cześć, Anno. Opowiada, że kocha cię do szaleństwa. Nawet nie skomplementował moje go nowego słomkowego kapelusza.

Anna spojrzała przelotnie na męża, po czym, idąc wzdłuż niskiego żywopłotu oddzielającego ogrody od trawnika, uśmiechnęła się do Henrietty.

- Do twarzy ci w tym kapeluszu - rzekła. - Zamiast Luke'a ja wyrażam swój podziw. - Roześmiała się radośnie.

Luke uczynił to pod wpływem impulsu: pochylił się nad żywopłotem, ujął kibić żony i wbrew okrzykom protestu przeniósł ją na drugą stronę. Śmiała się, gdy stawiał ją na ziemi.

- Za parę miesięcy, wasza wysokość, nie pójdzie ci tak łatwo - powiedziała, zarumieniła się i przygryzła dolną wargę.

- Och, Anno! - wykrzyknęła Henrietta, uderzając się w piersi z całych sił. - Czy to oznacza to, co mam na myśli?

Jak zauważył Luke, Emilia schyliła się, by powąchać kwiatek, natomiast Doris zdawała się być zainteresowana tym tematem.

- Anna jest przy nadziei - powiedział Luke, podając jej ramię i rozkoszując się jej widokiem. Czuł ogromną ulgę - może na nią patrzeć, dotykać jej, powiedzieć wszem wobec o swoim głębokim do niej uczuciu. Wyrzekł się przeszłości. Jego koń zarżał niecierpliwie.

Henrietta pierwsza uścisnęła i ucałowała Annę, potem uczyniła to Doris - przez żywopłot. Wszystkie trzy śmiały się, gadały jedna przez drugą. Luke podążył za spojrzeniem Emilii. Obserwowała tę scenę, nie rozumiejąc widocznie, jaki jest powód tego ożywienia. Luke uniósł w górę brwi, wzruszając ramionami, a dziewczynka uśmiechnęła się do niego.

- Na pewno będzie syn - oznajmiła Henrietta. - Gotowam przysiąc, Anno. Musi być syn. Cieszę się twoim szczęściem i szczęściem Luke'a oczywiście, choć nie zachwyił się moim kapeluszem. Ale chyba mu wybaczę. - Roześmiała się i przez bramkę w żywopłocie weszła do ogrodu. - Wracam do domu i zabieram Emilię i Doris. Na moje wy czucie jest tu o trzy osoby za dużo.

Luke obserwował odchodzące panie i raptem ogarnęło go przygnębienie. Przez parę minut czuł, że znowu pragnie Henrietty. Nie tyle fizycznie, ile duchowo. Chciał być znowu tamtym chłopcem i żeby ona była tamtą dziewczyną. Chciał cofnąć czas. Miał rację, że bał się powrotu do domu.

Skierowali się do stajen - Anna wsparta o ramię Luke'a.

- Tak mi przykro - rzekła. - To ty powinieneś powiadomić domowników o moim stanie. Zrobiłbyś to na pewno w sposób bardziej uroczysty, zgodnie z obyczajem.

- Tak uważasz? Wydaje mi się, madame, że mój udział w poczęciu dziecka nie dorównuje twemu. A więc za parę miesięcy nie będę cię mógł podnieść? Czy to wyzwanie, czy wątpisz w moją siłę?

Roześmiała się. W śmiechu tym brzmiały szczęście i radość życia. Pomyślał nagle, że wolałby nie iść do salonu na herbatę w gronie rodziny.

Wolałby napić się jej w swoim salonie, tylko z żoną. Nie musiał kochać się z nią, choć taka perspektywa zawsze była nęcąca, ale pragnął po prostu pobyc z nią sam na sam, móc patrzeć na nią do woli, nie łamiąc dobrych manier, że oto rozmawia tylko z nią i słucha tylko jej.

Był wstrząśnięty, gdy uprzytomnił sobie, do czego doszło: uzależnił się od Anny. Odczuwał to szczególnie dobitnie tu, w Bowden. Wątpił nawet, czy bez Anny smakowałoby mu życie w Paryżu.

A niby dlaczego miałbym się nie uzależnić? - myślał. Była jego żoną. I mimo jej

przeszłości i tajemnicy, której mu nie wyjawiała - przecież on też miał przeszłość i sekrety, jakie przed nią zataił - od dnia ślubu nie dała mu najmniejszych powodów do podejrzeń.

- A za ile miesięcy, madame, mam się poddać tej próbie siły? - zapytał.

Znowu śmiech.

- Zanim stanę się gruba i brzydka. Myślę, że za niecałe dwa miesiące.

- Gruba i co? - Zmarszczył brwi i spojrzał na nią z ukosa. - I brzydka? Z moim dzieckiem pod sercem? Dla kogo brzydka, jeśli łaska?

Lubił się z nią przekomarzać. Rozśmieszać ją. Oboje nauczyli się sztuki ironii i stosowali ją wzajemnie wobec siebie. Swego czasu - wcale nie tak dawno temu - gdy ktoś odważyłby się na ironiczną wypowiedź pod jego adresem, wyciągnąłby szpadę z pochwy, a gdyby tym kimś była niewiasta, potraktowałby ją chłodno i wyniośle.

- Dopominam się o komplement - rzekła. - Skoro poskapiłeś go Henriecie, bardzo nieładnie z twojej strony, wasza wysokość, to może masz w zanadrzu jakiś dla mnie? Nie będę brzydka?

- Madame. - Zamilkł na chwilę, pochylając się i składając pocałunek na jej dłoni, podczas gdy ona spoglądała na niego figlarnie. - Mogę sobie tylko wyobrazić, że dla mnie będziesz znacznie piękniejsza niż teraz. Nawet gdy zbliży się czas rozwiązania.

Figlarne błyski zgasty w jej oczach, ustąpiły miejsca czemuś, co można by nazwać rozmarzeniem.

- Mówisz prawdę, wasza wysokość? Czy to po prostu taka paryska galanteria?

- Madame. - Znowu niski ukłon. - Przysięgam, że nie zwykłem mówić takich słów niewiastom. Nie lubię dostawać po twarzy.

Roześmiała się z odchyloną do tyłu głową.

- Pora na herbatę - rzekł. - Będą patrzeć na nas z wyrzutem, jeśli się spóźnimy.

- Tak, istotnie. Poza tym jestem głodna. Muszę pamiętać, że winnam jeść za dwie osoby. Ja mogę sobie czegoś odmówić, ale byłoby nieładnie z mojej strony, gdybym odmówiła jemu, bo nie potrafi jeszcze upomnieć się o swoje prawa.

- Albo jej - dopowiedział.

- Albo jej - zgodziła się z nim.

Luke uświadomił sobie nagle, że Anna umie być szczęśliwa i to poczucie szczęścia udziela się innym. Świetnego dokonał wyboru, naprawdę.

- Anno - Henrietta dopadła ją na schodach, gdy skończono pić herbatę - chcę zamienić z tobą parę słów, możliwie jak najszybciej.

Anna spojrzała na nią pytająco.

- Nie wyciągaj błędnych wniosków z tego, co zobaczyłaś - ciągnęła Henrietta. - Nie wolno ci. To było naprawdę niewinne spotkanie.

Oczy Anny wyrażały zdziwienie.

- Ojej! - jęknęła Henrietta - oczywiście, źle to zinterpretowałaś i udajesz, że nic się nie stało. Uwierz mi, byłam pewna, że Luke jest w domu, więc wzięłam książkę, by pobyć chwilę w samotności, i wtedy nadjechał. Powiedziałam mu, żeby się nie zatrzymywał, że wrócę pieszo. Nie chciałam, żeby ktoś nas zobaczył i pomyślał sobie coś złego. Ale Luke jest zawsze taki szarmancki. Oświadczył, że wobec tego pójdziemy razem. I to wszystko, Anno, przysięgam. Proszę, uwierz mi.

Anna obrzuciła ją zdumionym wzrokiem.

- Opowiadasz niedorzeczności, Henrietto. Nic złego sobie nie po myślałam.

Henrietta westchnęła z ulgą.

- Jesteś szlachetna, Anno. To oczywiste, że jesteś pewna miłości Luke'a i darzysz go zaufaniem. I mam nadzieję, że pewna jesteś również mojej przyjaźni i mnie także ufasz. Rozumiesz, że przeszłość jest przeszłością, i na tym koniec. Luke powiedział, gdy wracaliśmy razem do domu, że byliśmy prawie dziećmi, ponadto wydarzyło się to przeszło dziesięć lat temu.

Zimny dreszcz przebiegł Annie po plecach.

- Co wydarzyło się dziesięć lat temu? - zapytała. Henrietta zakryła ręką usta i z niepokojem spojrzała na Annę.

- Ty nic nie wiesz - szepnęła. - On ci nic nie powiedział? O Boże! - przymknęła oczy. - Gdybym wiedziała... Gdybym wiedziała...

Annie zrobiło się jej żal, a zarazem wkradła się w jej serce nieufność. Nie była całkiem pewna, czy chce się czegokolwiek dowiedzieć. Z uśmiechem otworzyła drzwi do swego salonu.

- Wejdz i usiądź, Henrietto - powiedziała. - I opowiedz mi, co takiego wówczas się wydarzyło.

Henrietta opadła na fotel i wsparła twarz obiema dłońmi.

- Och, jaka jestem głupia - rzekła. - Oczywiście, że ci nie powie dział. Dlaczego przypuszczałam, że jest inaczej? - Zmierzyła Annę ostrym spojrzeniem. - To naprawdę nie było nic wielkiego. Wyrastaliśmy razem z Lukiem i gdy byliśmy już trochę starsi, wydało się nam, że jesteśmy w sobie zakochani. Mieliśmy się pobrać.

Luke i Henrietta. Młodzi i piękni. Oczywiście.

- Co się wydarzyło? - powtórzyła Anna. Prawdę mówiąc, nie chciała nic wiedzieć.

Kiedyś bardzo pragnęła poznać przeszłość Luke'a, teraz - nie. Lepiej by było, gdyby puszką Pandory pozostała zamknięta. Lecz otworzono ją. Luke i Henrietta.

Przez dłuższy czas Henrietta siedziała z zamkniętymi oczami, dłonią przykrywając usta.

- Jak mam ci to powiedzieć? - rzekła wreszcie. - Ale jak miała bym ci tego nie powiedzieć? Mogłabyś wyobrazić sobie coś znacznie gorszego - jeśli w ogóle coś gorszego niż to może istnieć. George zgwałcił mnie i uczynił brzemienną. Mimo to Luke błagał mnie, bym go poślubiła - płakał w moich ramionach, Anno - ale ja nie mogłam. Nosiłam dziecko jego brata. Wyszłam za męża za George'a po tym, jak Luke wyzwiał go na pojedynek i omal nie zabił. Rodzina się go wyrzekła. George był bliski śmierci, a ja wiedziałam, że zabiłam również Luke'a. Docierały do nas wieści, że przez dłuższy czas zachowywał się jak szaleniec, mówiono, że zabiłam w nim serce. Nie wierz w to, Anno. On ma serce. Kocha cię. Mówił ci na pewno, że cię kocha. To wydarzyło się tak dawno temu...

Nie. Nie mówił. Wręcz przeciwnie. Powiedział jej, że miłość nie istnieje. Ożenił się z nią, by urodziła mu synów. Wiedziała o tym od samego początku. Usłyszała teraz tylko potwierdzenie tego faktu, bezzasadny zatem był ów zimny dreszcz...

Ale kiedyś kochał. Tak bardzo, że nawet chciał zabić własnego brata. Tak bardzo, że po tej tragedii zabił w sobie miłość.

- Dobrze uczyniłaś, Henrietto, opowiadając mi tę historię. Chciałam poznać przeszłość Luke'a, byłam jej ciekawa. O pojedyńku wiedziałam. - Uśmiechnęła się. - Nie rób sobie wyrzutów, że powiedziałaś za dużo.

- Przykro mi, Anno - rzekła z powagą. - Ale z drugiej strony to by nas zawsze dzieliło, a ja tak sobie cenię naszą przyjaźń.

Anna podeszła do niej, by ją uściskać.

- Ja też - powiedziała. - Nic nie może stanąć między nami, głuptasku. Jesteś moją siostrą i przyjaciółką. - Pragnęła rozpaczliwie uwierzyć w szczerą Henrietty.

Szwagierka odwzajemniła jej uścisk.

- Przysięgam, Anno - zaczęła - że to, co było, to już zamierzchną przeszłość. Zarówno dla mnie, jak i dla Luke'a. Pamiętaj. Gdyby nawet Luke nie ożenił się z tobą to i tak nie mógłby mnie poślubić. Nie masz się zatem czego obawiać. A dziś po południu nie padło między nami żadne niewłaściwe słowo.

- Głuptasku - powtórzyła Anna. A jednak, pomyślała mimo woli, te zapewnienia Henrietty są trochę zbyt gwałtowne.

Ashley był okrutnie znudzony. Przebywał w domu już od dwóch miesięcy i jeszcze nigdy w życiu tak się nie nudził. Czytał i jeździł konno, odwiedzał sąsiadów i flirtował z ich córkami, przespał się z córką jednego z gospodarzy - ładna i namiętna - i zaraz potem ją rzucił. Nie zamierzał wikłać się w kłopoty, gdyby na świat przyszedł bękart.

Trzymał się z dala od Luke'a. W ciągu tych dwóch miesięcy prawie ze sobą nie rozmawiali. A najgorsze było to, że Ashley wiedział, iż racja jest po stronie brata. Żył w Londynie ponad stan, nie liczył się z pieniędzmi, choć przecież otrzymywał należną młodszemu synowi kwotę, którą Luke, zgodnie z obietnicą, poważnie powiększył. Ojciec umarł, gdy Ashley był jeszcze uczniem, a kiedy wstąpił na uniwersytet, odszedł George. Lecz wówczas, za ich życia, wiedział, co mu grozi, gdyby tak lekkomyślnie trwonił pieniądze. Potraktowaliby go może jeszcze gorzej niż brat teraz. Nie miał pojęcia, że po pojedynku rodzina przestała finansować Luke'a. Sądził, że brat przez cały czas otrzymywał należne mu pieniądze.

Sęk w tym, myślał Ashley, że nie było łatwo przyznać się publicznie do winy. Godziłoby to w jego dumę. I nie było łatwo lubić człowieka, który to poczucie winy wywołał. Nie lubił Luke'a.

Nie mógł się pogodzić ze zmianami, jakie w nim zaszły. Pamiętał go jako łagodnego, uśmiechniętego, wyrozumiałego i pobłażliwego starszego brata. Z George'em, z racji różnicy wieku, nie miał bliższego kontaktu, a potem, w latach późniejszych, rozdzielił ich jego nieszczęsny los. A Luke zawsze był przy nim, chętny do zabawy, do pomocy w nauce, zawsze mu współczuł, gdy młodszy brat został za coś ukarany. Do Luke'a zwracał się, gdy czuł potrzebę aprobaty bądź miłości - teraz to sobie uprzytomnił. Nigdy dotąd nie myślał o nim w ten sposób.

Wiedział, że tam, w Paryżu, Luke się zmienił. Przez całe lata wczesnej młodości i wieku młodzieńczego wsłuchiwał się gorliwie w wiadomości o bracie, które docierały do niego głównie przez wujka Teo. Stworzył sobie obraz eleganckiego, atrakcyjnego, beztraskiego brata. Kiedy dowiedział się, że wraca do Anglii, liczył na to, że znów będzie miał w nim przyjaciela. Że będą razem pić, hulać, grać w karty i uwodzić niewiasty. Ze wszyscy będą mu zazdrościć, że ma tak wspaniałego brata.

Lecz Luke powrócił zupełnie odmieniony i zupełnie nie taki, jakim Ashley go sobie wyobrażał. Owszem, nosił się modnie aż do przesady i niewątpliwie był bardzo atrakcyjny dla niewiast. Była w nim jednak jakaś dziwna wstrzemięźliwość, chłód, co najpierw go zdumiało,

a potem zraziło. Odnosiło się wrażenie, że Luke bardziej dba o majątek i wypełnia swoje obowiązki gorliwiej niż jego ojciec, a potem brat. Nie było w nim miłości, nie potrafił wczuć się w sytuację innych.

Luke powiedział, że Ashley będzie mógł wyjechać, kiedy poda mu racjonalny po temu powód. On, Ashley, miał świadomość, że jest to niemądre z jego strony, ale uparł się, postanowił, iż już nigdy o nic go nie poprosi. I jakież mógłby mu podać racjonalny powód? Sam zresztą nie wiedział, czego oczekuje od życia. Siedział więc beczynn timer w domu, znudzony i nieszczęśliwy.

Któregoś popołudnia wędrował bez celu brzegiem rzeki, która wśród drzew skręcała ku zachodowi, nurt jej stawał się coraz szybszy i szybszy, aż przemieniała się w stromy wodospad. W dole woda pieniała się i bulgotała. Widok spadającej w dół wody, a przede wszystkim szum, jaki temu towarzyszył, działały niezwykle kojąco. Usiądę na skałach obok wodospadu, pomyślał, i nie przyjdę na herbatę. Nie jestem głodny.

Tymczasem coś zupełnie innego przykuło jego uwagę. Stała na płaskiej skale zwisającej nad wodospadem. Była boso, dół sukni bez obręczy wsunęła za pasek, tak że widać było jej kostki u nóg i połowę łydek. Niczym nie spięte falujące włosy opadały jej na ramiona i przesłaniały twarz. Wzrost miała średni, lecz z powodu szczupłości sylwetki wyglądała na znacznie wyższą, niż była w istocie. Kształty już nie dziewczęce, ale jeszcze nie w pełni kobiece. Przytrzymując suknię, sięgnęła nogą wody.

- Proszę uważać, bo wpadnie pani do wody! - zawołał. Nie sądził, by w tym miejscu można się było utopić się, chyba że ktoś uderzyłby głową o skałę. Wiedział jednak z własnego doświadczenia, że woda jest bardzo zimna. Kontakt z nią nie należał do przyjemności.

Nie było odpowiedzi, ale przypomniał sobie, że dziewczyna nie słyszy. Podeszedł do niej wolno, by jej nie przestraszyć. W końcu dostrzegła go, cofnęła nogę i uśmiechnęła się promiennym uśmiechem, podobnym do uśmiechu Anny. Zeszła ze skały, przeszła po kamieniach i spojrzała na niego. Sięgała mu za ledwie do podbródka.

- Czy ty też uciekłaś, mała sarenko? - zapytał. Mówienie do niej nie miało sensu, ale milczenie też było niezręczne. Uśmiechnął się głupio.

Za parę lat, pomyślał, mężczyźni będą zabiegać o nią tuzinami, bez względu na jej głuchotę.

Gdy zadawał jej to pytanie, patrzyła na jego usta, po czym uśmiechnęła się i skinęła głową. Czyżby go zrozumiała?

- Jesteś sama? Gdzie twoja opiekunka? Uśmiechnęła się przekornie i wskazała na dom

za drzewami.

- Lubisz być sama? Spojrzała na wodospad i rosnące wokół drzewa. Przyłożyła rękę do serca, a potem zatoczyła łuk ramionami i popatrzyła na niego.

- Kochasz przyrodę? - Któżby nie kochał tego piękna wokół i samotnego wśród niej przebywania? Ale jak to jest, kiedy nie słyszy się szumu wody? - I wolisz tu być sama?

Głuchota sprawia, jak przypuszczał, że człowiek zamyka się w sobie, tworzy swój własny świat. Ciekawe, myślał, czy ta dziewczyna czuje się samotna. Ma taki radosny uśmiech.

- Przeszkodziłem ci - powiedział - Zaraz sobie pójdę. Ale bądź ostrożna. - Wskazał na skałę, na której stała, i odwrócił się z zamiarem odejścia.

Lecz ona obiema dłońmi chwyciła go za rękę i potrząsnęła głową. A więc jest komuś potrzebny, pomyślał ze zdziwieniem, choćby tej dziewczynce.

- O co chodzi, mała sarenko? - zapytał.

W odpowiedzi poprowadziła go ku skałom. Przeskakiwała z jednej na drugą i dotarła do tej zwisającej nad wodą. Ashley z niejakim wysiłkiem podążał za nią. Usiadła, wskazała mu gestem, by usiadł obok, i machając nogą, sięgnęła wody. Obróciła się ku niemu z uroczym uśmiechem.

- Czy to wyzwanie? - zapytał.

Przechyliła się i nabrała wody w obie dłonie. Myślał, że chce go ochlapać, i spiął się, czekając na atak, ale ona uniosła dłonie do twarzy, zamknęła oczy i przywarła do wody najpierw jednym policzkiem, potem drugim. Twarz jej wyrażała zachwyt, niemal ekstazę.

Zastanawiał się, czy wobec braku dwóch zmysłów inne stają się bardziej wyczulone.

Ogarnęła go przemożna pokusa, której nie mógł się oprzeć. Zdjął buty, postawił je za sobą, ściągnął pończochy, rozluźniwszy uprzednio taśmę pludrów, opuścił ostrożnie nogi do wody, nie mogąc się nadziwić, co też on wyprawia.

- Rany Chrystusa! - wykrzyknął niemal.

Emilia patrzyła na niego, śmiała się, a dźwięki, jakie wydawała, były dziwne i brzmiały raczej nieprzyjemnie.

Wyciągnął nogi z wody i oparł się piętami o skałę. Otoczył ramionami kolana. Ona uczyniła podobnie, z tym że wsparła o kolano policzek. Wpatrywała się w niego badawczo.

- Dlaczego mi się przyglądasz, mała sarenko? - zapytał. - Woda jest piekielnie zimna.

Uśmiechnęła się z rozmarzeniem. Urocze dziecko. Ile może mieć lat? Aha, czternaście, tak mówiła Anna. Czternaście, a on dwadzieścia dwa. Osiem lat różnicy. Tak jak między nim a Lukiem. Czy on, Ashley, także był w jego oczach dzieckiem? Luke nie okazał

mu nigdy zniecierpliwienia, nigdy nie dał po sobie poznać, że woli inaczej spędzać czas niż na rozmowie z młodszym bratem.

Spojrzał dziewczynce prosto w twarz.

- Rozumiesz mnie - rzekł. - Ale nie możesz nic powiedzieć. To ci sprawia ból, prawda, mała sarenko?

W jej oczach - tych cudownie wyrazistych oczach - pojawił się smutek. Zastanawiał się, czy nabyła jakąś umiejętność komunikowania się z ludźmi. Parę gestów rąk, co zauważył już przedtem. Czy ktokolwiek - na przykład Anna - troszczy się o to, by nauczyć ją posługiwania się rękami, co stanowiłoby jakąś namiastką języka? A jeśliby nawet przyswoiła sobie tę sztukę, czy potrafiłaby dłońmi wyrazić swoje uczucia?

Uśmiechnął się do niej.

- Odpowiedz na moje pytanie - rzekł ciepło.

Skinęła wspartą o kolano głową, a w oczach wciąż miała smutek.

Pogładził delikatnie lok włosów przesłaniających jej twarz. Uniosła z uśmiechem dłoń do góry. Wskazała na niego, po czym czterema palcami uczyniła kilka gestów w stronę kciuka i wskazała na siebie. Widząc, że nie zrozumiał, powtórzyła tę czynność.

- Chcesz, żebym coś mówił? - zapytał.

Skinęła głową.

Więc mówił. Opowiedział jej o swoim dzieciństwie, jak to kiedyś przyjechał ze szkoły do domu na wakacje i nie zastał Luke'a, opowiedział, jak głupi, bezsensowny tryb życia prowadził w Londynie. Nie wspomniał jednak o rozrutnej kochance, na którą nie było go stać - o nudzie, na jaką był skazany w domu. Opowiedział o zawodzie, jaki go spotkał, i o własnym poczuciu winy.

Poczuł ulgę, zrzucając z serca ten ciężar, nawet jeśli powiernikiem był ktoś, kto być może nie rozumiał wszystkiego, a jeśli rozumiał, to i tak w niczym nie mógł mu pomóc. Lecz sympatią jaką wyczuwał, uspokoiła go, ukoiliła jego samotność.

- Jestem nieszczęsną, podłą istotą, mała sarenko - powiedział na zakończenie, uśmiechając się do niej.

Powoli potrząsnęła przecząco głową.

- A ty umiesz słuchać - rzekł, świadom paradoksu, a zarazem prawdy, jaką zawarł w tych słowach.

Uśmiechnęła się.

Mileczał, wsłuchany w szum wody i wpatrzony w iskrzącą się głębię wodospadu. A kiedy poczuł w swojej dłoni jej małą rączkę, uściśnął ją mocno, sprawiając tym radość i jej, i

sobie. Dziecko potrzebowało miłości, a on, dorosły mężczyzna, potrzebował kogoś bliskiego.

- Ashley! Co się dzieje, do diabła?! - Głos zimny i wyniosły prze ciął powietrze jak nóż.

Ashley odwrócił się błyskawicznie i nieopodał drzew, w odległości kilku stóp, zobaczył swego brata. Luke zbliżył się do nich.

- Nie przyszło ci do głowy - zaczął - że Anna szaleje z niepokoju? Czy ty ją tu przyprowadziłeś? To jest dziecko i powinno być ze swoją opiekunką!

Emilia wyczuła, że coś się dzieje za jej plecami, i obejrzała się. Wstała i przeskoczywszy z wdziękiem przez skały niby dzikie leśne zwierzątko, wyciągnęła ręce w stronę Luke'a. Ashley zdał sobie nagle sprawę, że po raz pierwszy od dziesięciu lat widzi uśmiech na twarzy brata.

- Anna martwi się o ciebie, moja droga - powiedział. Zatem i on wiedział, że dziewczynka umie czytać z ust.

- Przyjdiesz na herbatę? - zapytał Luke.

Wzięła go pod ramię i obróciła się do Ashleya, by chwycić się i jego ramienia. Potrząsnął głową.

- Lepiej będzie, jak dołączysz do rodziny - rzekł oschle Luke.

Ashley sięgnął po pończochy i buty i podniósł się niespiesznie. Emilia wciąż stała z wyciągniętą ku niemu ręką - radosna i uśmiechnięta. Zastanawiał się w duchu, ujawszy jej dłoń i idąc w stronę domu razem z bratem i głuchoniemą dziewczynką, ile ona zrozumiała z tego, co jej opowiedział.

- Do stu diabłów, Luke! - wyrzucił z siebie wreszcie po paru minutach milczenia. - Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? Dobrze, jestem hazardzistą, pijakiem i kobieciarzem. Racja. Ale, na Boga, nie należę do tych, którzy molestują dzieci!

Spojrzał ponad głowę Emilii na brata który był tak jak zawsze zimny, opanowany, niewzruszony. Włosy miał przysypane pudrem, a na herbatę ubrał się w zielony jedwabny surdut i kamizelkę o jaśniejszym odcieniu.

- Luke, do diaska! - rzekł Ashley. - Powiedz coś!

- Wiem, że nie - odparł, nie patrząc na brata. - Ale dziewczynka jest pod moją opieką. I jest bliska sercu mojej żony. Nie słyszy, jak się ją woła, i nie może wzywać pomocy. Zmierzcha się już, a w miarę zbliżania się jesieni wieczory będą coraz ciemniejsze. Zaniepokoiło mnie to, rozzłościło, że nie bierzesz pod uwagę tych okoliczności, jak również troski Anny. Może zbyt wiele od ciebie wymagam. Emilia nie jest pod twoją opieką. I ufam, że będziesz się zachowywał wobec tego niewinnego dziecka tak, jak przystało na mego brata i

dżentelmena.

Czy to było coś w rodzaju przeprosin? Mało prawdopodobne. Wyglądało raczej na to, że Luke przypisał mu rolę brata, po którym trudno się spodziewać poczucia odpowiedzialności. Zirykowało to Ashleya, czuł się urażony, a zarazem przyznawał bratu rację. Powinien był wiedzieć, że ktoś inny poza opiekunką sprawuje pieczę nad dziewczynką.

- Przykro mi - usłyszał własne słowa. I zabrzmiały tak, jak gdyby wcale nie było mu przykro. Ale je wypowiedział.

Luke milczał przez chwilę.

- Wierzę ci, Ashley - rzekł. - Nic złego nie miałem na myśli, kiedy zobaczyłem was razem.

Mimo że on, Ashley, trzymał w swoich dłoniach rękę Emilii? Niech to lichy, na pewno jednak to miał na myśli. A jemu nawet nie przyszło do głowy, że może to wyglądać podejrzanie, tak jak nie przyszło mu do głowy, że z ust brata usłyszy takie słowa.

Emilia szła spokojnie, trzymając ich obu pod ramię, i uśmiechała się radośnie do każdego z nich.

Ciekawe, czy wyczuwa, jaka rozmowa toczy się ponad jej głową, pomyślał Ashley. Miał dziwne wrażenie, że tak. Nieprawdopodobne. Była przecież głuchoniema.

Luke doszedł do wniosku, że niełatwo jest wieść życie rodzinne. Nie był do tego przyzwyczajony. Nade wszystko cenił sobie niezależność, a stał się głową rodziny. Czasami tęsknił do Paryża, z nostalgią myślał o swym dawnym życiu.

Któregoś ranka podczas porannej przejażdżki Anna zaczęła mówić o Doris. Luke nie lubił o tej porze dnia poruszać poważnych tematów, bo przyzwyczał się do myśli, że ranki należą tylko do nich. Lubił jechać za żoną, podziwiał, jak siedzi w siodle. Marzył o tym, aby byli zupełnie sami, może w Paryżu, gdzie o nikogo, poza sobą wzajemnie, nie musieliby się troszczyć.

Szczerze lubił te poranki. Gdy ciąża będzie bardziej zaawansowana, wspólne przejażdżki się skończą. Będzie jeździł sam. I, o dziwo, ta perspektywa wcale go nie cieszyła.

Nie lubił rozmawiać z nią na poważne tematy. Anna była tu po to, by rozświetlać mu życie.

Luke - powiedziała zniecka - Doris jest nieszczęśliwa. Jakby sam tego nie zauważył. Jakby nie było mu z tego powodu przykro, choć nie miał sobie nic do zarzucenia.

- Dąsa się jak niesforne dziecko, które chce zwrócić na siebie uwagę - powiedział tonem ostrzejszym, niż zamierzał.

- Dokładnie to samo mówi twoja matka - rzekła cicho Anna.

Zatem matka też chłodno traktuje Doris? To do niej podobne. Czyżby on był taki jak matka? Po latach stał się jej odbiciem? Pamiętał, że ongiś brał małą Doris na swego konia, mimo iż rodzice go za to łajali - tylko małe dziecko, mówili, może jeździć z bratem w jednym siodle. Zachęcał dziewczynkę do wspólnej jazdy, bo lubił jej paplaninę. Dopiero teraz uświadomił sobie fakt, że był chłopcem bardzo samotnym, czerpiącym ciepło z miłości, jaką obdarzało go młodsze rodzeństwo. Pamiętał, jak kiedyś Doris powiedziała mu, tuląc się do jego piersi, że kiedy będzie duża, to wyjdzie za niego za męża. Miała wtedy pięć lat.

- Nie wiem, jak mogę jej pomóc, madame - powiedział. - Jedyne, co mogłem zrobić, by przerwać ów związek, uniemożliwić potajemne spotkania i ewentualną kolejną ucieczkę, to sprowadzić ją do domu. Co też uczyniłem i nie mam o to do siebie pretensji.

- Słusznie - zaczęła Anna - uratowałeś ją przed nią samą, ale...

- Ale co? - Nie życzył sobie, żeby Anna stała się jego sumieniem.

- Ona chyba jest zdania, że nie chodzi ci o nią, że tylko stoisz na straży honoru rodziny. I że jej nie kochasz, Luke.

„Nie możesz wyjść za mnie za męża, Dor - rzekł ze śmiechem do swej pięcioletniej siostrzyczki - jestem twoim bratem. - Ale ja kocham cię bardziej niż kogokolwiek na świecie - powiedziała i spojrzała na niego z oddaniem. - Bardziej niż mamę, tatę i George'a. Trochę bardziej niż Ashleya. - Przytulił do siebie drobne ciało dziewczynki. - Ja też cię kocham - rzekł. - Bardziej niż kogokolwiek, z wyjątkiem Asha - dodał, choć George'a wręcz uwielbiał. - Kocham was dwoje jednakowo. Zawsze będziemy się kochać, lecz tak, jak kocha się rodzeństwo. - Poproszę króla - rzekła - i on da nam zezwolenie na ślub”.

Między Lukiem i jego żoną zapadła dłuższa chwila ciszy.

- Powiedz - nalegała - czy ty ją kochasz?

- Nie znam uczucia miłości, Anno - odparł. - Powiedziałem ci to nazajutrz rano po naszym ślubie. Potrafię tylko najlepiej jak mogę spełniać swe obowiązki wobec rodziny. Powinnaś raz na zawsze zapamiętać, że odwoływanie się do uczuć, których nie znam, nie ma najmniejszego sensu.

Pominęła milczeniem jego wypowiedź, po czym spięła konia, najpierw do kłusu, potem do galopu. Dotrzymywał jej kroku, a gdy wrócili do stajen, pomógł jej, nie mówiąc ani słowa, zsiąść z konia. Nie wiedział, czy ten jej galop był wyrazem buntu, ale zachował milczenie. Bo nie do niej winien czuć żal, choć wykazała mu, że postępuje niewłaściwie. A on nie cierpiał poczucia winy.

Był urażony faktem, że Anna usiłuje obudzić w nim sumienie. Doris to jego siostra, należała do jego rodziny. Nie byłoby problemu, gdyby odpowiednio się zachowywała. Anna

nie będzie mu dyktować, co ma robić; potrzebna mu jest tylko do... Zmarszczył brwi. Nie, to nie w porządku. Potrzebna mu jest nie tylko do tego. Potrzebna? Znowu zmarszczył czoło, bo nie spodobało mu się to określenie.

Usiłował porozmawiać z Doris. Popęłnił jednak błąd, wzywając ją do swego gabinetu i rozmawiając z nią zza biurka. Odmówiła zajęcia miejsca po jego drugiej stronie, czym oczywiście pogorszyła sprawę. Woli stać, powiedziała mu, i tym samym postawiła się w sytuacji gromionego przez rodzica dziecka, zanim jeszcze cokolwiek zostało powiedziane.

- Czujesz się nieszczęśliwa - rzekł. Roześmiała się.

- Doris - ciągnął - nie mogłem tego tolerować. Nawet jeśli przy stosowałabyś się do życia w biedzie, zrezygnowałabyś ze swej pozycji i luksusu, jaki cię otacza od urodzenia, nie byłabyś szczęśliwa z Frawleyem. On bardziej niż ciebie pragnął twojego majątku.

- Mimo to zależało mu na mnie, a rodzinie nie zależy - oświadczyła chłodnym tonem.

- Należysz do tego domu - powiedział - do naszej rodziny. Jesteś moją siostrą. Czy nie wierzysz mi, że w zamian za pięć tysięcy funtów gotów był z ciebie zrezygnować?

- Być może - odparła. - Ty nigdy nie zaznałeś takiej biedy, że pięć tysięcy funtów stanowiłoby dla ciebie ogromną pokusę. Dla ciebie taka kwota to drobiazg.

- Na Boga, Doris, czy ty go jeszcze bronisz?

- Nienawidzę go - rzekła ze spokojem - bo ci wierzę. Ale jeszcze bardziej nienawidzę ciebie za to, że próbowałeś go przekupić i obnażyłeś jego słabość.

Bębnił palcami o blat biurka.

- Nienawidzisz mnie, bo uchroniłem cię przed straszną przyszłością.

- Tak - powiedziała bez dalszych wyjaśnień.

„Nienawidzę cię” - powiedziała kiedyś: miała może wtedy osiem lat. Stary pies, do którego była ogromnie przywiązana, zachorował i bardzo cierpiał; Luke wyszedł z nią gdzieś, a psa w tym czasie zastrzelono i zakopano. Płakała i rozpaczała i całą złość przelała na niego za to, że wiedział, co się stanie, i specjalnie zabrał ją na spacer. „Nienawidzę cię. Nigdy nie będę już cię kochać”.

Jak on wybrnął z tej sytuacji? Chwycił ją i tulił do siebie, a ona broniła się przed tym, kopała go i krzyczała wniebogłosy. Nie puszczał jej, póki w końcu nie wybuchła płaczem. Wtedy kołysał ją czule w ramionach i sam się rozplakał mimo swoich dziewiętnastu lat. Potem zaniósł ją do jej pokoju, usiadł i wziął na kolana, a gdy zasnęła, położył delikatnie na łóżku.

Tak właśnie wtedy postąpił. Teraz tylko bębnił palcami w blat biurka i patrzył na nią spod półprzymkniętych powiek.

- Zostaniesz tu przez zimę - oświadczył. - Być może w przyszłym roku pozwolę ci na powrót do miasta. Do tej pory zapomnisz o Frawleyu i będziesz mogła wybrać kogoś bardziej dla siebie odpowiedniego. - Usiłował nadać tym słowom pojednawcze brzmienie.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Mogę już sobie pójść? - zapytała. Skinął głową.

Ruszyła ku drzwiom, ale obejrzała się w połowie drogi.

- Myślałam zawsze - powiedziała - że najgorsze na świecie było by dla mnie to, gdybym cię więcej nie zobaczyła. Myliłam się. Najgorszą dla mnie rzeczą był twój powrót do domu. Mam nadzieję, że Anna urodzi ci syna. Wielu synów. Bo gdyby Ashley został księciem, jego straciłabym również.

No i jeszcze Henrietta.

- Luke - powiedziała Anna następnego dnia, gdy leżała już w łóżku. Zauważył, że jest zmęczona popołudniową wizytą i nalegał, by po szła do siebie i odpoczęła. - Henrietta chciałyby w niektórych pokojach zmienić meble i draperie. Jest zdania, że wygląd domu powinien odpowiadać wymogom osiemnastego wieku. Prosiła, żebym porozmawiała z tobą o tym.

Usiadł obok niej na brzegu łóżka.

- A jakiego ty jesteś zdania? - zapytał. Zawahała się.

- Ja osobiście lubię atmosferę staroświeckiej elegancji, jaka tutaj panuje - odrzekła. - Nie chciałabym niczego zmieniać. Ale rozumiem jej punkt widzenia.

- Będzie tak, jak ty zechcesz - stwierdził.

- Ale ona i jej mąż takie właśnie mieli plany - powiedziała z zatroskaną miną. - Ona chyba uważa, że jest w trudnej sytuacji, choć zawsze bardzo miło mnie traktuje i przysięga, że jest szczęśliwa z powodu mojej tu obecności. Może powinniśmy...

Luke pochylił się nad nią.

- Może powinniśmy pamiętać, że to ty jesteś moją księżną, nie Henrietta. Nie będzie tu żadnych zmian - ani dotyczących umeblowania, ani draperii. Ja za twoją poradą podejmuję taką decyzję.

Spojrzała na niego niepewnie.

- Jest moją przyjaciółką - rzekła. - Nie chcę, Luke, by czuła się nieszczęśliwa. Opowiedziała mi, co się wydarzyło. - Chwila milczenia. - Dlaczego poślubiła twojego brata zamiast ciebie.

Wyprostował się.

- Prędzej czy później dowiedziałabyś się o tym. To było dawno temu. Stara historia.

Anna uśmiechnęła się blado.

I zamiast omówić tę sprawę do końca, wstał i bez słowa wyszedł z pokoju. Właściwie to nie miał nic do powiedzenia na ten temat, wolał zresztą z Anną o tym nie rozmawiać. Anna była jego teraźniejszością i przyszłością. Nie chciał jej wplątywać w swoją przeszłość.

Ale problem Henrietty istniał. Na każdym kroku Henrietta. Wybrał się na samotną przejażdżkę, spotkał ją. Na spacer - spotkał ją. Jeśli znalazł się sam w bibliotece albo w jakimś innym pokoju - ona już tam była. Zawsze przypadkowo i zawsze speszona.

Wiedział, że czyniła to z rozmysłem, jak wówczas przy rowie. W Henriecie serce nie umarło, tak jak w nim. Cierpiała codziennie w czasie trwania jej małżeństwa i cierpiała codziennie jako wdowa, co mu wyznała. Nawet teraz, kiedy jest żonaty, nie potrafi się go wyrzec. Jest nieszczęśliwa - on jest tak blisko, a ona nie potrafi o nim zapomnieć.

A co czuje on? Czy wciąż jest pod jej urokiem? Tak, na pewno. To bardzo piękna i atrakcyjna niewiasta. Nawet ktoś nieczuły na kobiece wdzięki, musiałby to przyznać. Może w głębi duszy wciąż ją kocha? A czy w ogóle zdolny jest do miłości?

Nie znał odpowiedzi na żadne z tych pytań. Lecz żył w lęku, że ją pozna. I żył w lęku przed tymi zaaranżowanymi przez nią spotkaniami, bał się, co mogłoby się wydarzyć, gdyby choć przez chwilę nie był czujny. Mimo to nie zdradzał się przed nią ze swoimi uczuciami. Dość już w życiu wycierpiała.

Henrietta pojechała do Wycherly, by odwiedzić swego brata. Przywykła wszędzie jeździć sama, sama składać wizyty. Ciągły niepokój stał się częścią jej życia - od czasu gdy przed laty dokonała tak fatalnego wyboru.

Powiedziała właśnie Williamowi, że obecność Luke'a w domu jest dla niej nie do zniesienia. Kiedyś należał do niej i tylko do niej. Pamięta, jak płakał w jej ramionach, gdy powiedziała mu, że musi poślubić Georges. Zastanawiała się często, co by było, gdyby zabił brata. Czy wyszłaby wtedy za niego?

Nie mogła znieść jego obecności. Wiedziała, że nigdy się nie pobiorą, ale wyobrażała sobie, że żyją razem, w Bowden, książę i księżna, choć sobie nie poślubieni. Wyobrażała sobie siebie jako panią domu, która robi to, co jej się podoba, mimo iż George nigdy nie dawał jej takiej swobody. Wyobrażała sobie Luke'a, wielkodusznego i zakochanego w niej. Nigdy nie uwierzyła w to, co opowiadali o nim ludzie.

Tymczasem on przywiózł do domu żonę. Trudno powiedzieć, czy kochał Annę, czy nie. Ale uczynił ją panią domu. I zapłodnił ją.

Henrietta jechała ciemnym, krętym podjazdem. Nigdy nie zapomni pełnego gorczy bólu, kiedy powiła martwego syna, i brutalnych słów George'a, a zawsze był brutalny wobec

niej, że bardzo się z tego cieszy, że to najszczęśliwszy dzień w jego życiu. Że jest przekonany, iż ona nigdy nie urodzi mu syna.

Luke będzie jego spadkobiercą, powiedział, wykrzywiając usta w szyderczym uśmiechu.

No i teraz Luke jest prawowitym księciem.

Uniosła nagle głowę, przykre wspomnienia przysły. Na podjeździe stał koń. Dosiadał go wysoki szczupły mężczyzna w długiej czarnej pelerynie, połowę twarzy zakrywała mu maska. Kapelusz sięgał brwi.

- Przestraszyłem panią, madame - rzekł.

Rozbójnik na terenie posiadłości Williama? - pomyślała z oburzeniem. Spojrzała na niego. Prędzej skona, niż okaże lęk.

- Czego pan chce? - zapytała. - Nie mam przy sobie nic cennego poza pierścionkami i paroma monetami. Mój brat każe pana powiesić.

Uśmiechnął się i Henrietta stwierdziła, że jest nawet przystojny.

- Nie chcę od pani niczego, księżno Harndon. - Na te słowa Henrietta uniosła ze zdziwieniem brwi. - A może chciałbym, aby odzyskała pani to, co jej się słusznie należy?

- Co takiego? - Henrietta była w równej mierze oburzona i zaintrygowana. - Idź precz, człowieku - powiedziała ostro. - Nic ode mnie nie dostaniesz.

Pochylił się do przodu.

- Nic dziwnego - rzekł z uśmiechem - że księżę jest w pani zakochany, madame.

- Pomylił pan księżnę, człowieku - powiedziała. - Proszę mnie przepuścić.

Lecz on nie oddalił się, tylko zawrócił. Jechał teraz blisko niej, koń przy koniu, niemalże jej dotykał. Obserwował ją bacznie przez maskę.

- Jedyne, czego od pani oczekuję, madame, to swego rodzaju po mocy - oświadczył.

Ten mężczyzna, myślała Henrietta, roztacza wokół siebie przedziwną aurę męskości. Patrzył na nią z nieskrywanym podziwem. A ona od tak dawna pozbawiona była męskiej adoracji i dojmująco odczuwała jej brak. Tutejsi właściciele ziemscy nie zasługiwali na jej uwagę.

- Księżę ma żonę - ciągnął rozbójnik - która poślubiła go w niecznych zamiarach.

- Anna?

- Tak, Anna - potwierdził. - Prędzej czy później opuści go, wasza wysokość.

Henrietta zmarszczyła brwi i uczucie pogardy do przybysza zniknęło.

- Ona jest pańską... - nie dokończyła.

- Ależ nie. - Pożądliwym wzrokiem obejmował jej postać, szczególnie głęboki dekolt

jej jeździeckiego stroju. - Mnie i tej pani nie łączy żaden romantyczny związek. Pragnę tylko, w imię sprawiedliwości, uchronić księcia przed kłopotami. A pani, madame, może mi w tym pomóc.

- Ja? - Zwykle Henrietta przysłaniała dekolt chustą, tak jak przystało wdowie. Dziś jednak była rada że zostawiła chustę w domu. - W jaki sposób?

- Proszę pozwolić mi wyjaśnić sytuację - rzekł. Ale zanim przystąpił do wyjaśnień, ujął obiema dłońmi jej prawą rękę, ściągnął rękawiczkę i przywarł ustami do jej nadgarstka - najpierw ucałował zewnętrzną jego stronę, potem wewnętrzną. Poczula koniuszek jego języka.

Przebiegł ją dreszcz rozkoszy.

- Kim pan jest? - zapytała. Uśmiechnął się.

- O jedno pytanie za dużo, madame. Wróćmy do pierwszego, dobrze?

Anna uległa pokusie i tego ranka nie wstała razem z mężem. Kiedy Luke wstał, by udać się na poranną przejażdżkę, obudziła się i zamruczała coś sennie.

- Śpij dalej - powiedział, co zdarzało mu się teraz dość często.

Zwinęła się w kłębek w ciepłe, jakie po sobie pozostawił, i zapadła w sen. Tym samym ominęła ją wspólna poranna przejażdżka, która była dla niej najmiłszą częścią dnia.

Stała potem przy oknie sypialni, patrząc nieobecny wzrokiem na ogrody, które nagle straciły swą barwę, i na drzewa w oddali przypominające o końcu lata. Ktoś tu był, myślała, bo rozpalił ogień w kominku. Musiała mocno spać - nic nie słyszała. Spała za dwoje, stwierdziła usprawiedliwiając tym swoje lenistwo.

Położyła dłoń na brzuchu. Przez cienką tkaninę koszuli wyczuła przyjemną wypukłość. Tej nocy Luke dotykał jej brzucha, co ostatnio czynił dość często, dodawał przy tym, że wkrótce Anna straci talię.

Była zadowolona ze swego małżeństwa. Dziecko, które nosiła pod sercem, było czymś realnym i miało wpływ nie tylko na stan jej ducha, ale również na ciało. Częste uczucie zmęczenia, głodu, ruchy dziecka, powiększający się brzuch. Cieszyła się przyszłym macierzyństwem, czuła głęboką wdzięczność wobec losu, wdzięczność kobiety, która do końca życia miała być skazana na samotność i staropanieństwo.

Był to już prawie czwarty miesiąc. W domu są od przeszło dwóch. Zaczęła wierzyć w swoją wolność. Zaczęła wierzyć w szczęście.

Z poświęceniem wypełniała obowiązki pani domu i księżnej - przypuszczała, nie bez podstaw, że służba darzy ją sympatią. Zaprzyjaźniła się z sąsiadami. Organizowała prośzone obiady, wieczory gry w karty i tańce dla młodzieży. Chętnie korzystała z zaproszeń, jakie do nich napływały. Luke, do którego sąsiedzi odnosili się z początku nieufnie, zyskał ponownie ich sympatię.

Emilia wyglądała na znacznie szczęśliwszą niż w domu rodzinnym. Luke był dla niej zaskakująco uprzejmy i Emilka polubiła go. Natomiast Ashley stał się jej najlepszym przyjacielem, przy każdej nadarzającej się okazji towarzyszyła mu w jego wędrówkach. Anna przepraszała go, mówiąc, że nie powinien pozwalać, by Emilia mu przeszkadzała, sprawiała kłopot, a on odpowiedział, że lubi dziewczynkę i cieszy się z jej towarzystwa. Za wiedzą opiekunki i przyzwoleniem Anny zabierał ją często na konne przejażdżki i spacer. Wzruszająca to była para - głuchoniema dziewczynka i samotny, nieszczęśliwy młody człowiek. Sprawiali jednak wrażenie, że lubią być razem.

Anna nie dostrzegła niczego, co mogłoby świadczyć, że Ashley i Agnes mają się ku sobie, choć czyniła pewne subtelne próby, aby nawiązała się między nimi nie przyjaźni. Agnes, choć tak ładna, była nieśmiała wobec przystojnych mężczyzn - a Ashley odznaczał się wyjątkową urodą. W sąsiedztwie nie brakło młodzieńców, niektórzy z nich przejawiali zainteresowanie siostrą Anny, lecz Agnes wołała przeciętnego, dość otyłego i nudnego lorda Severidge'a, brata Henrietty. Tenże lord potrafił mówić tylko o swoich farmach, koniach i psach, Agnes zaś podczas obiadów siedziała przy nim i słuchała jego wywodów z wyraźną przyjemnością.

Mogłoby to być całkiem udane małżeństwo, myślała Anna, jeśli w ogóle dojdzie do oświadczeń. Ale, o Boże, to taki nudziarz! Uśmiechnęła się do własnych myśli. Za kogokolwiek Agnes wyjdzie, uczyni to z własnego wyboru. Jeśli wybierze nudziarza - jej sprawa. Lecz jak można przedkładać Williama nad Ashleya? Inna sprawa, że i Ashley nie poświęcał Agnes szczególnej uwagi. Ashley, zdaniem Anny, był za młody, by myśleć o kimś poważnie. Nieszczęśliwy, trawiony nudą żyjący z dnia na dzień. Biedny chłopak.

Doris także była nieszczęśliwa, lecz w innym niż Ashley sensie. Nie miała z Lukiem żadnego kontaktu. Któregoś dnia Anna przekonywała męża, że Doris czuje się odrzucona, niekochana, zbędna w tym domu, lecz zareagował tak, iż wołała o tym więcej nie wspominać. Bardzo to wszystko smutne, myślała. Pocieszający był fakt, że między nią a Doris znów zawiązała się przyjaźń.

Doris podjęła nawet temat Ranelagh i przyznała, że to, co się tam wydarzyło, nie było winą Anny.

Po owej rozmowie o przeszłości stosunki między nią a Henriettą nie ochłodziły się, wbrew przypuszczeniom tej ostatniej. Anna starała się wykreślić wszystko z pamięci, jednak raz wspomniała o tym Luke'owi. Przeszłość nie miała nic wspólnego z chwilą obecną.

Starała się również nie myśleć o własnej przeszłości. Nowy dom, coraz bardziej zaawansowana ciąża - wszystko to dobrze wpływało na jej samopoczucie. Czasami czuła się jak rekonwalescentka - blada, osłabiona długą chorobą ale z każdym dniem wracająca do zdrowia. Fizycznie czuła się dobrze, a psychicznie - lepiej z każdym dniem.

Nie trwało to jednak długo.

Stała właśnie przy oknie, gdy do garderoby weszła nie wezwana przez nią pokojówka.

- List do pani, madame - powiedziała, wyciągając kopertę ku Annie. - Przyniósł go specjalny posłaniec z zastrzeżeniem, że do rąk własnych.

Anna uświadomiła sobie, że gdy wyglądała przez okno, do drzwi frontowych podjechał jakiś jeździec i po paru minutach już go nie było. Nie zwróciła na niego uwagi.

Teraz zapewne zniknął wśród drzew.

Wiedziała. Nie musiała brać listu do ręki, by wiedzieć, kto go napisał.

- Dziękuję ci, Penny - rzekła. - Będę się wkrótce ubierać. Przyjdź za pół godziny, dobrze?

- Tak, madame - odparła dziewczyna, dygając. Zamknęła za sobą drzwi.

*Wiele czasu minęło, moja Anno. - pisał. - Czasem żałuję, że pozwoliłem Ci na to małżeństwo. Ale cierpliwość będzie nam obojgu szczerze nagrodzona. Podobnonosisz w swym łonie dziedzica Harndona.*

Anna rozpostarła dłoń na brzuchu i na chwilę zamknęła oczy. Zakreśliło jej się w głowie i poczuła wszechogarniający chłód.

*Lecz jesteś piękna, nawet w tym stanie - pisał dalej. - Gdy przed dwoma dniami spacerowałaś rankiem w ogrodzie, Twój zielony poranny strój, atlasowy, we wzory o ciemniejszym odcieniu, zespolił Cię jak gdyby z krajobrazem. A młody Collins na raucie, wydany przedwczoraj przez jego mamę, adorował Cię niemal do granic przyzwoitości - wyglądałaś pięknie w niebieskiej sukni a l'anglaise. Jak widzisz, zawsze jestem w pobliżu, moja Anno.*

Była bliska zemdenia. Lecz zeszywniałe mięśnie utrzymały ją w pionie. Z tej też przyczyny nie mogła się ruszyć, odejść od okna. Czowała, że on patrzy na nią zza każdego drzewa. Czowała jego wzrok na plecach, jakby stał w tym pokoju. Ale nie mogła się odwrócić.

*Musisz pamiętać - pisał - że ja cię tylko wypożyczyłem. Taka mała próba, moja Anno - wybacz mi. W grę wchodzi także pewna drobna sprawa, dług, który musi być uregulowany. Dwieście funtów, niewielka kwota, jak widzisz. Sto metrów na zachód od bramy znajduje się stary myśliwski domek. Przed drzwiami leży duży kamień. Pod nim będzie leżał rachunek. Zamień go na pieniądze. Uznam wtedy, że dług jest spłacony. Przed zmrokiem, jeśli laska. Uniżony sługa - Blaydon.*

Po paru minutach Anna drżącymi rękami zmięła papier. Przywykła już do takich listów. W ten sposób spłacała liczne długi ojca, mając świadomość, że zostawił ich tyle, iż do końca życia będzie nimi obarczona. Nie chodziło jednak tylko o długi. W takim wypadku zwróciłaby się z tym do Luke'a. Spłaciłby je, mimo iż miała dorosłego brata, który po śmierci ojca powinien wziąć na siebie cały ten ciężar.

Tak, gdyby to była tylko kwestia pieniędzy, poprosiłaby o nie Luke'a. Strzegąc własnej godności, wymogłaby na nim obietnicę, że pozwoli jej rodzinie na zwrot wyłożonej przez niego sumy. Powiedziałyby Wiktorowi, który nie miał dotąd pojęcia o ojcowskich długach i był przekonany, że ojciec jakimś cudem uregulował wszystkie należności. Wiktor

spłaciłby z czasem jej męża.

Luke'a byłoby stać na wykupienie nawet tak dużych długów. Powiedział jej kiedyś, że ma dwie fortuny. Nie odmówiłby jej z całą pewnością.

Ale nie była to tylko kwestia długów. Nie tylko długów. Spłaciła już ich sporo, choć nie wszystkie pieniędzmi. Spłaciła je, robiąc to, co on jej kazał. Błyszczała w towarzystwie elokwencją skupiała na sobie całą uwagę na przyjęciach w sąsiedztwie, podczas gdy on kradł drogocenne drobiazgi i klejnoty gości. Uwodziła dżentelmenów, z którymi on grał w karty, prowokowała ich, niby przypadkowo rozchyłała dekolt, wabiła ich oczyma, a on podstępem, korzystając z ich roztargnienia, wyłuskiwał pieniądze z ich kieszeni. Raz pojechała z nim nawet do miasta, gdzie jej nie znano, i targowała się z jubilerem, sprzedając mu niektóre klejnoty - te, które on ukradł sąsiadom i przyjaciołom.

Nazajutrz oddawał jej jeden lub dwa rachunki ojca, traktując to niekiedy jako hojny podarunek.

Tajemnica ginących w sąsiedztwie cennych rzeczy nigdy nie wyszła na jaw. Lecz Lovatt Blaydon miał wielu „świadków” na to, że kradzieży dokonywała Anna. Poza tym miał jeszcze dwóch „świadków”, którzy gotowi byli zeznawać w sądzie, że była morderczynią, że spowodowała śmierć ojca, spychając go z dachu ich domu. Wszystko wskazywało na to, że miała motyw. Wiadomo było powszechnie, że jej ojciec stoi w obliczu ruiny, i uwierzono by, że kradła, chcąc tej ruinie zapobiec. W końcu, aby położyć kres zaciąganiu przez niego coraz to większych długów, zabiła go.

Wszyscy wiedzieli, jak bardzo była oddana swemu rodzeństwu.

Zatem nie mogła w żadnym razie zwrócić się z tym do Luke'a. Naraziłaby się na ogromne ryzyko. Lovatt wpadłby we wściekłość i spełniłby wszystkie swoje groźby. Luke dowiedziałby się, że poślubił kobietę, której można udowodnić kradzież i morderstwo - w istocie bowiem była współwinna wielu tych przestępstw. Wówczas ani pozycja Luke'a, ani jego bogactwo nie uchroniłyby jej przed szubienicą.

Weszła do swego salonu. W szufladzie sekretarzyka były pieniądze, spora suma. Luke nalegał na to, by miała je do swojej dyspozycji, choć przekonywała go, że tu, w Bowden, nie ma ich na co wydawać. Usiadła i odliczyła dwieście funtów.

Oparła czoło o blat sekretarzyka, zamknęła oczy i zrobiła kilka głębokich wdechów, walcząc ze słabością i nudnościami. Jej zielony poranny strój. Mała go na sobie, spacerując w ogrodzie z Henriettą i Emilką. I miała na sobie niebieską suknię na przyjęciu u Collinsów, na którym młody Cecil Collins swoją admiracją wprowadził ją w zażenowanie, co szczerze ubawiło Luke'a. Skąd on o tym wiedział? Pospieszyła do swojej garderoby i zadzwoniła po

pokojówkę. Po co zwlekać aż pół godziny?

Tego dnia dało się odczuć pierwsze tchnienie jesieni. Emilia była poza domem, lubiła przebywać na powietrzu. Zawsze udawało jej się jakoś uciec od opiekunki, tym bardziej, że miała już czternaście lat, była prawie dorosła. Tego ranka spacerowała samotnie - Ashley pojechał z wizytą do przyjaciół. Emilia przepadała za nim, ale lubiła też być sama. Przez większość swego życia była sama, choć nie samotna. Zawsze wiedziała, że jest kochana, szczególnie przez Annę.

Ujrzała Annę w oddali - wychodziła z domu. Buzię rozjaśnił jej uśmiech i pospieszyła w kierunku siostry. Rzadko jej się teraz zdarzało mieć siostrę tylko dla siebie. Anna była zazwyczaj w towarzystwie Henrietty, kogoś z rodziny albo samego Luke'a. Emilia również go kochała, choć raziała ją jego pryncypialność. Cieszyła się, że jej najdroższa siostra wyszła za mąż za takiego przystojnego, wspaniałego i uprzejmego mężczyznę. Zdaniem Ashleya nie był uprzejmy, ale ona miała na ten temat własną opinię.

Nagle zatrzymała się. Wyczuła na odległość, że siostra chce być sama. Stojąca na górnym tarasie Anna rozejrzała się ukradkiem dokoła, po czym, ze spuszczoną głową, ruszyła szybko alejką. Zmierzała do jakiegoś określonego celu, sama, na piechotę, nie korzystając z powozu.

Na twarzy dziewczynki znać było zatroskanie. Dostrzegła w postawie siostry coś, co przypominało jej... Prawie o tym zapomniała. Widziała, że Anna jest szczęśliwa. Kochała Luke'a i spodziewała się dziecka. Zapomniała o dramacie siostry, a właściwie wyrzuciła wszystko z pamięci, wierząc, że to, co złe, już się skończyło. Lecz teraz wyczuła coś...

Podążyła za siostrą bacząc pilnie, by ta jej nie dostrzegła. Nie było to łatwe na długim, dzielącym ogrody trawniku, ale Anna szła, nie oglądając się, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Gdy obie znalazły się wśród drzew, Emilia już bezpiecznie przyspieszyła kroku.

Dokąd zmierzała Anna? Widać było wyraźnie, że szła w jakimś celu, lecz była już za daleko od podjazdu i bramy, by celem tym była wieś. Nieopodal stał stary domek myśliwski. Emilia w czasie swoich wędrówek natknęła się na niego i pomyślała, że może to być całkiem przyjemna kryjówka, gdzie podczas chłodnych deszczowych dni mogłaby sobie posiedzieć i porozmyślać. Drzwi jednak były zamknięte, a przez okno bała się wejść.

Ku jej zdziwieniu Anna skierowała kroki właśnie ku temu domkowi. Emilia schowała się za drzewo, a jej siostra w tym czasie podeszła z wahaniem do drzwi, rozejrzała się dokoła z lękiem, jakby bojąc się, że ktoś z okna lub z drzewa będzie do niej strzelał, nachyliła się szybko i odsunęła duży kamień leżący u wejścia.

Emilia dostrzegła pod kamieniem kartkę papieru. Anna wzięła ją do ręki, rzuciła na

nią okiem i rozchyliwszy fałdy sukni, wsunęła do przymocowanego do paska woreczka. Ale przyniosła też coś w zamian. Znowu się pochyliła i wcisnęła to coś pod kamień. Wyprostowała się, obróciła i prawie pobiegła w stronę domu. Emilia przywarła do drzewa, aby Anna jej nie dostrzegła, i zobaczyła twarz siostry, bladą i przerażoną.

Serce w niej zamarło, zamknęła oczy, oparła czoło o pień. Tak, wszystko zaczyna się od nowa. Czowała to.

Pod wpływem impulsu chciała podbiec do kamienia i zobaczyć, co Anna tam położyła. Ale zawahała się i przezornie nie ruszyła się z miejsca. Całe szczęście, bo po paru minutach z lasu wyłonił się jakiś mężczyzna - ktoś całkiem obcy - i szybkim krokiem podszedł do drzwi domku.

Przykucnął, odsunął kamień, wziął to, co było pod nim. Emilia widziała, jak liczył pieniądze, które wyjął z małego płóciennego woreczka. Potem włożył woreczek do kieszeni, rozejrzał się szybko i zniknął wśród drzew.

Dziewczynka znowu wsparła głowę o pień i zamknęła oczy. Zrobiło jej się niedobrze. Chciało jej się płakać. Była tu taka szczęśliwa. I Anna była tu taka szczęśliwa. Ale znowu się zaczęło. I choć nigdy przedtem nie widziała tego człowieka, czuła, była przekonana, że za tym wszystkim krył się „on” i że „on” był przyczyną nieszczęść Anny. Zawsze zdawała sobie z tego sprawę, nawet jeśli nie rozumiała, dlaczego tak się działo, nawet jeśli wiedziała, że „on” był przez wszystkich lubiany.

Zapragnęła nagle, żeby Ashley był tu przy niej. Zapragnęła, by jego silne ramiona objęły ją, by czuła go obok siebie, by ją chronił. Jak mu o tym powiedzieć? On wiedziałby, co zrobić. On albo Luke. Luke dla Anny zrobiłby wszystko.

Ale jak im o tym powiedzieć?

Nie tylko Ashley przychodził czasem nad wodospad w poszukiwaniu spokoju, ciszy lasu i kojącego szumu spadającej wody. Luke też lubił tu zaglądać. Tego właśnie ranka wracał do domu po godzinnej rozmowie z jednym ze swoich dzierżawców - przystanął na moście, popatrzył na wodę i pomyślał, że należy mu się godzina odpoczynku. Skierował konia ku brzegowi rzeki. W tym czasie Anna wychodziła z domu.

Przywiązał cugle do drzewa i stał, patrząc na wodospad, z nogą wspartą o skałę, z ręką wspartą o udo. Wdychał chłodne jesienne powietrze i zapach wilgotnych liści, który budził w nim wspomnienia lat chłopięcych. Musi przyprowadzić tu Annę, zanim wszystkie liście opadną z drzew. Spodobałoby jej się tutaj. Przez parę chwil byłiby sami. O co w domu, poza ich apartamentami, wcale nie było łatwo.

Obejrzał się - trzask gałązek świadczył o tym, że ktoś się zbliża. Może i ona lubi ten

zakątek i właśnie nadchodzi? Wyszedł z sypialni, gdy leżała jeszcze w łóżku, ale to było przeszło dwie godziny temu.

Tymczasem zamiast Anny ujrzał Henriette.

- Och, Luke - rzekła, zatrzymując się i przykładając rękę do serca. - Przestraszyłeś mnie. Sądziłam, że pojechałeś do wsi. Widzę, że ty też lubisz tu przychodzić.

Znowu. Za często to się zdarza. Stanowczo za dużo tych „przypadkowych spotkań”. W ciągu ubiegłego miesiąca dokonał jednego z najsmutniejszych, a zarazem przynoszących mu ulgę odkryć. Już jej nie kocha. Odczuwa jedynie coś w rodzaju nostalgii za tym, co było i co mogłoby być. I współczucie dla niej, że tyle w życiu przecierpiała i wciąż cierpi.

Przed dziesięcioma laty odrzucił wszelkie silne emocje - z dobrym skutkiem, jak mu się wydawało. Był zadowolony ze swego obecnego życia, aż dziw - bardzo zadowolony.

Wyprostował się i obrócił ku niej.

- Nie, Henrietto - rzekł. - Nie sądziłaś, że pojechałem do wsi. Zobaczyłaś mnie i przysłałaś tu za mną.

Zbladła i przygryzła dolną wargę.

- Luke - szepnęła i łzy podeszły jej do oczu.

- Tak nie można - powiedział. - Odprowadzę cię do domu.

Zamknęła oczy. W cieniu drzew twarz jej wydawała się jeszcze bledsza. Wyglądała młodzieńczo, świeżo i pięknie, jednak nie czuł do niej nic poza litością.

- Ale ty też... - zaczęła. - Wiem o tym, Luke. Udajesz, że nie masz serca, aby nie przyznać się nawet przed samym sobą, że przeszłość nie minęła. Ty także to czujesz.

- Nie, Henrietto. I musisz sobie to uświadomić. I te „przypadkowe” spotkania muszą się skończyć. To, co się zdarzyło, przeżyliśmy oboje bardzo ciężko. Oboje padliśmy ofiarą... losu. Lecz należy to już do przeszłości.

- Przysięgałeś, że zawsze będziesz mnie kochał - powiedziała przez łzy.

- Tak - westchnął. - Ale stało się inaczej, Henrietto.

- Kochasz Annę - mówiła, a łzy spływały jej po policzkach - i nie mogę mieć o to do ciebie żalu. Jest urocza i bez skazy. Na pewno nie zrobiła nigdy nic, za co mógłbyś ją potępić. Ja też ją kocham. Czy powiedziałeś jej, że będziesz ją kochał zawsze?

- Moje małżeństwo to wyłącznie moja sprawa - powiedział, jak mógł najuprzejmiej.

Przykryła dłońmi twarz, a on nie ruszył się z miejsca, stał z rękami założonymi do tyłu. Nie podszedł do niej - mogłaby to źle zrozumieć.

- Byłeś silniejszy ode mnie - rzekła. - I mądrzejszy. Wniosek z tego, Luke, że muszę gdzie indziej szukać współczucia i miłości. Jak wiesz, cały czas byłam samotna.

- Wiem. Na pewno znajdziesz godnych dżentelmenów, którzy gotowi będą cię pokochać.

Uniosła głowę.

- Jest taki jeden... - urwała.

- Doprawdy? - zapytał z uśmiechem.

- Ale to nigdy nie będziesz ty. - Popatrzyła na niego tęsknym wzrokiem. - Zastanawiam się czasem, czy gdybyś nie ożenił się z Anną...

- Nie - odparł stanowczo.

- Nie - powtórzyła. - Bo nigdy byś nie zapomniał, że byłam żoną George'a, prawda?

Pominał milczeniem jej pytanie. Podał jej ramię i ruszyli wśród drzew w stronę domu. Drugą ręką prowadził konia.

Gdy wyłonili się z lasu, dostrzegł Annę; szła sama przez trawnik ku domowi, z głową opuszczoną, szybkim krokiem, jak gdyby ktoś ją ścigał. Zobaczyła ich dopiero wtedy, gdy weszła na teren ogrodów, ale nie zwolniła kroku, a głowę opuściła jeszcze niżej.

Luke był zaniepokojony i zmieszany.

- Przepraszam cię - rzekła Henrietta - lecz spieszno mi do Anny, napiję się z nią herbaty. Przykro mi, Luke, że w przeciwieństwie do ciebie wykazałam brak opanowania. Przebaczysz mi?

Nie czekała na odpowiedź. Pospieszyła trawnikiem w stronę domu, a on zawrócił i udał się do stajen.

Ciekawe, gdzie też Anna była, myślał. Dlaczego tak się spieszyła? I dlaczego nie podeszła do nich ze zwykłym sobie uśmiechem?

Czuł się zawiedziony. Tym bardziej, że nie odbyli razem porannej przejażdżki.

Cała rodzina: Luke, Anna, księżna matka, Doris, Henrietta i Agnes, otrzymała zaproszenie na herbatę do Wilkesów. Nie było to oficjalne przyjęcie. U Wilkesów gościli kuzyni z Londynu.

Matka Luke'a wyraziła niezadowolenie, gdy Anna nie zeszła jeszcze na dół, mimo iż od dziesięciu minut powinni już być w drodze. Księżna matka uważała punktualność za jeden z ważnych atrybutów dobrego wychowania.

- Nie lubię czekać, Lucas - rzekła. - Twoja żona musi się nauczyć, że w tej części świata nie zwykliśmy się spóźniać choćby dlatego, aby ludzie nie mieli wątpliwości, że należymy do wyższych sfer. Może tam, skąd ona się wywodzi...

- Świat się nie zawali, madame, jeśli spóźnimy się parę minut - oznajmił Luke. - Pójdę zobaczyć, co ją zatrzymało.

On sam zresztą spóźnił się pięć minut. W Paryżu bowiem przychodzenie o czasie nie należało do dobrego tonu. Zaś zjawianie się przed czasem świadczyło o nadgorliwości, której w żadnym wypadku nie wolno było okazywać.

Anna nie miała zwyczaju się spóźniać.

Luke stwierdził ze zdziwieniem, że w garderobie i w salonie nie ma nikogo. Zapukał do drzwi sypialni, otworzył. Anna stała przy oknie. Mała na sobie jedwabny poranny strój przepasany szarfą. Włosy, nieupudrowane i nieufryzowane, opadały jej luźno na plecy.

- Anno? - Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. - Zapomniałaś o zaproszeniu do Wilkesów?

- Nie. - Głos jej brzmiał cicho, bezbarwnie. Nie odwróciła się od okna. Podszedł do niej.

- Idźcie beze mnie - powiedziała. - Chcę być sama. Nie poznawał jej. Głos bezdźwięczny. Ramiona skulone.

- Co się stało? - zapytał z troską.

- Nic - odparła. - Nie chce mi się nigdzie iść.

- Źle się czujesz? - Rzut oka na jej kibić upewnił go, że jest bez gorsetu. Całkiem zauważalnie straciła smukłość.

- Nie. Zmarszczył czoło.

- Z niewiadomego powodu nie chcesz jechać na herbatę, mimo że przyjęliśmy zaproszenie? To trochę niegrzecznie, madame, nie uważasz? Równie niegrzecznie jest, że pozwalasz czekać na siebie mojej matce i siostrze, nie powiadamiając nikogo o swojej

decyzji.

- Wyjdź stąd - powiedziała.

Przez chwilę w jego oczach pojawił się groźny błysk. Wiedział jednak, że brzemiennie niewiasty miewają różne przypadłości i humory. Anna czuła się zawsze tak dobrze, że zapominał czasami, iż jej ciało i umysł borykają się ze zmianami, jakie w niej zachodzą. Pochamował gniew.

- Połóż się - rzekł, dotykając delikatnie jej ramion. - Potrzebny ci wypoczynek, Anno. Każę pokojówce przynieść ci coś gorącego do picia. Przepraszę w twoim imieniu panią Wilkes. Sąsiedzi wiedzą jak przy puszczam, że jesteś przy nadziei.

Poruszyła ramionami, odpychając jego dłonie.

- Idź stąd - powtórzyła. Po czym podniosła głos aż do krzyku: - Zostaw mnie! To mój pokój! Czy nie mam prawa do prywatności?!

Nigdy nie widział Anny w takim nastroju. Patrzył na nią przez chwilę ze zdumieniem, z uniesionymi wysoko brwiami. Nigdy nie tolerował u niewiast napadów złości. Niektórym zdarzało się to, ale po czymś takim rzucał je nieodwołalnie. Teraz obrócił się na pięcie i ruszył ku drzwiom.

- Luke. - Zatrzymał się z ręką na klamce. To nie była złość, w jej głosie brzmiał lęk, paniczny lęk. Obejrzał się, popatrzył na nią wyniośle, zimno. - Nie opuszczaj mnie - wyszeptała. Powieki miała zaciśnięte.

Podszedł do niej, otworzyła oczy i spojrzała na niego. Działo się z nią coś złego.

- Co ci jest? - zapytał. - Powiedz mi, Anno, co się stało. Potrząsnęła głową i wyciągnęła do niego obie ręce.

- Nic - odrzekła, gdy przytulił ją do siebie. - Nic. Po prostu źle się czuję. Jestem zmęczona, nie mam siły, brak mi energii.

Wiedział, że nie o to chodziło, ale wyraźnie nie miała zamiaru o niczym mu powiedzieć.

- Połóż się i wypocznij - poradził jej. - Ja muszę iść. Czekają na mnie na dole, a moja matka nie jest zachwycona tą zwłoką. Pomogę ci się rozebrać.

Chwyciła go mocno za rękę.

- Nie odchodź. - Przywarła do jego piersi. - Nie odchodź - szeptała w kółko. Objęła go za szyję i z zamkniętymi oczami szukała jego ust.

Pocałował ją i przytulił do siebie. Znał ją taką. Była jak wtedy w powozie, gdy wracali z Ranelagh. Namiętna, szalona rzuciła się na niego; zachował się wtedy z wręcz niewiarygodną beztróską, kochając się z nią w powozie, na ulicach Londynu. A gdy znaleźli

się w domu, wciąż była nienasycona i wciąż obłudnie namiętna. Tej właśnie nocy oznajmiła mu, że jest w odmiennym stanie, tej właśnie nocy poprosiła go, by zawiózł ją do domu, do Bowden.

Całował ją gwałtownie; zerwała wstążkę ściąającą do tyłu jego włosy, które na karku tworzyły osłonięty jedwabną siatką kok. Włosy Luke'a opadły mu na ramiona, przykryły jej twarz. Nawet gdy miał już erekcję, myślał o czekającej na dole matce.

- Kochaj mnie! - Usta miała czerwone i nabrzmiałe, oczy płonące. - Kochaj mnie, Luke. Proszę cię, błagam, kochaj mnie! - Ciało naprężone z pożądania, z desperacji.

- Chodź. - Zaprowadził ją do łóżka, rozwiązał szarfę szlafroka i zsunął go z jej ramion. Pod spodem miała tylko koszulę. Uniosła ręce, pomagając mu ją zdjąć. Luke ściągnął narzutę z łóżka i położył na nim Annę. Ale nie od razu w nią wszedł. Najpierw zamknął drzwi - na korytarz i do garderoby. Zrzucił płaszcz i pantofle, rozpiął pludry i legł w jej ramionach.

Rozumiał potrzeby jej ciała. Przed laty nauczył się sztuki zaspokajania niewiast. Znał ciało Anny, z którym przez trzy miesiące obcował intymnie prawie co noc. Wiedział, że niepotrzebna jej już teraz gra miłosna.

Chciała mieć go w sobie. Pozbył się przeszkadzających mu pludrów i posiadał ją z całej mocy, jak najgłębiej. Westchnęła z ulgą, czując nad sobą jego ciężar.

Pragnęła mieć go w sobie jak najdłużej. Wyczuwał to. Co dziwniejsze, nie była podniecona i nie dążyła do orgazmu. Potrzebowała jego ciała, jego bliskości. Wyczuł to instynktownie i chciał uczynić zadość tej jej potrzebie. Wszedł w nią głęboko - ostatnio, z racji jej ciąży, unikał tego. Dziś jednak potrzebowała mocnych wrażeń. Za każdym jego ruchem z jej ust wydobywał się jęk.

Wydawało się, że nie słyszy, iż ktoś wszedł do garderoby i zastukał delikatnie do drzwi. Nie docierało do niej chyba, że Henrietta szeptem wypowiedziała jej imię, po czym nacisnęła lekko klamkę. Luke przykrył ustami usta Anny, tłumiąc jej jęki, póki nie usłyszał, że Henrietta wyszła z garderoby, zamykając za sobą drzwi.

Był w niej długo, aż do momentu, gdy przestał nad sobą panować i z westchnieniem rozkoszy przeżył orgazm. Nadal trzymał ją mocno w ramionach, obrócił ją tylko na bok i odchylił kołdrę, która zakrywała prawie całą jej głowę. Przytuliła twarz do jedwabiu jego kamizelki i objęła go mocno. On zaś gładził czule jej włosy i czuł, jak Anna powoli zapada w sen.

Spojrzał w okno ponad jej głową.

Coś się stało. Tak jak coś stało się wtedy w Ranelagh. Wówczas sądził, że na tę jej pasję złożyło się wiele czynników - niepokój o Doris, gwałtowne zajście z Frawleyem,

przypuszczenie, że jest w ciąży.

Czy może był jeszcze jakiś inny powód tego jej wybuchu namiętności? A dziś, teraz? Zmarszczył brwi i sięgnął pamięcią do tamtego wieczoru. Poza owym spacerem aleją ogrodów nie poświęcał jej za wiele czasu. Nie było w zwyczaju, by w licznym towarzystwie trzymać się wyłącznie żony. Lecz obserwował ją, gdy tańczyła z innymi mężczyznami. Wesoła, promienna, jak zawsze pełna żywiołowej energii; czy to ta jej żywiołowość przyciągała jego wzrok, nawet gdy otaczały go inne piękne niewiasty? Nie spuszczał jej z oczu - z wyjątkiem paru minut, gdy Anna pospieszyła do pawilonu po matkę, podczas gdy on stał wraz z Doris u wejścia do rotundy. Nic wówczas nie mogło się wydarzyć.

Chyba że... przypomniał sobie teraz ten moment. Chyba że coś wydarzyło się wtedy, gdy towarzyszył wracającym do domu matce i Doris. Kiedy wrócił, Anna spacerowała aleją z ubranym na czarno mężczyzną, sąsiadem z jej okolic. Ów mężczyzna nie podszedł do niego, a ona nie zadała sobie trudu, by ich sobie przedstawić. Czy to nie dziwne, skoro był jej sąsiadem i ojcem jednej z jej przyjaciółek? Wtedy go to nie uderzyło. Dopiero teraz przyszło mu to do głowy, gdy szukał w myślach jakiegoś niezwykłego wydarzenia owego wieczoru.

W tym mężczyźnie było coś, co przejmowało trwogą. Ale przecież to był bal maskowy. Wszyscy byli przebrani i wszyscy mieli maski. Gdy wróciła do niego, nie przejawiała żadnego niepokoju, zdenerwowania. Chyba że weźmie się pod uwagę fakt, że właśnie wtedy, tak, właśnie wtedy poprosiła go, by wrócili już do domu. Był przekonany, że to zajście z Frawleyem i Doris zepsuło jej humor, podobnie jak i jemu.

Być może o to właśnie chodziło.

Tylko że on miał przeczucie, że chodziło o coś jeszcze.

Ale dzisiaj? Co tak ją przygnębiło, pobudziło zmysły, co sprawiło, że poczuła taką potrzebę bliskości, rozpaczliwą potrzebę połączenia się z nim? To do niej niepodobne, nie w jej stylu. Owszem, była namiętną i niepohamowaną kochanką. Nie istniała pozycja, przed którą by się wzbraniała, którą nie byłaby zachwycona. Ale tak jak i on lubiła dawkować rozkosz. I nigdy nie była inicjatorką, choć z całą świadomością wychodziła naprzeciw jego woli. Z wyjątkiem tych dwóch przypadków.

Co się takiego stało? Henrietta? Widziała ich razem? Wyobraziła sobie, że to potajemne spotkanie kochanków? Nie, to nie to. Coś musiało wydarzyć się przedtem. Wracała do domu z takim pośpiechem. Zdziwiło go, że nie poczekała na nich. Jak również to, że była sama, podczas gdy tyle osób w domu zawsze zabiegało o jej towarzystwo. Nie była to przechadzka dla przyjemności. Tego był pewien.

Czy miało to coś wspólnego z listem, jaki otrzymała przez specjalnego posłańca?

Przed bramą, gdy jechał do swego dzierżawcy, spotkał tego człowieka i podjął się przekazać list adresatce, ale tamten oznajmił, że otrzymał ścisłe polecenie, żeby dostarczyć księżnej list do rąk własnych. Luke uniósł brwi ze zdziwieniem i odjechał bez komentarza.

Czy istnieje jakiś związek między listem, pośpiechem wracającej skądś do domu Anny i jej obecnym stanem ducha?

A kiedy po lunchu zapytał Annę o ten list - zanim udała się na górę, by, jak przypuszczał, przebrać się przed wizytą u Wilkesów - uśmiechnęła się promiennie i rzekła, że lady Sterne podzieliła się z nią w tym liście różnymi ploteczkami. List od lady Sterne nadszedł pocztą - był tego świadkiem. Anna nie wspomniała o innym liście, a on do tego nie nawiązał. Wówczas nie miało to znaczenia. Pomyślał sobie, że pewno to list od jednej z jej nowych przyjaciółek. Mała ich kilka w sąsiedztwie. Gdziekolwiek się pokazała, zaskarbiała sobie ludzką sympatię.

Luke jeszcze mocniej przytulił ją do siebie, a ona, z głową na jego ramieniu, westchnęła cicho. On, Luke, musi koniecznie dowiedzieć się, co za siła wywołuje w niej takie emocje. Zła siła. Nie lubił, gdy pogoda ducha opuszczała Annę. Coś w nim gasło, gdy widział ją pograżoną w smutku, nieszczęśliwą.

Przyszła mu do głowy pewna myśl, która go zaniepokoiła.

Nie, to nie może być prawda. To wręcz niemożliwe, by udzielał mu się nastrój żony. Oznaczałoby to, że ma nad nim moc, że sprawuje nad nim kontrolę, że jest od niej zależny.

Wykluczone! Nigdy w życiu na to nie przystanie. Przy Annie miał ten komfort, że nie rościła sobie prawa do jego uczuć. W przeciwieństwie do Henrietty.

Poruszyła się w jego ramionach, mruknęła coś, wtuliła się w niego i zapadła w drzemkę. Ukołysał ją do snu.

Nie orientowała się, jak długo już śpi, ale minęło chyba sporo czasu, lecz on był wciąż przy niej. Ubrany, trzymał ją w objęciach. Odnosiła wrażenie, że w ogóle nie zasnął. Jak spojrzę mu w twarz, myślała, gdy uniosła głowę z ciepłego zagłębienia między jego szyją a ramieniem, i co mu powiem?

Pomyślała z przerażeniem o swoim zachowaniu. Mała w uszach własne słowa, jęki, gdy uczynił to, o co go prosiła. Zawsze wiedział, czego od niego oczekuje. Był jednak przygotowany do wizyty, ubrany w królewski błękit i srebro. Zniszczyła mu fryzurę, chciała mieć na twarzy jego włosy. Jego długie włosy niezmiennie ją podniecały. Była głęboko zawstydzona.

Odchyliła głowę i spojrzała na niego z lękiem, mając nadzieję, że śpi. Ale on, spod półprzymkniętych powiek, przyglądał się jej uważnie. Leżał przy niej godzinę albo dłużej. Z

jej winy nie zszedł do czekających na dole matki i rodzeństwa, z jej winy nawet ich nie przeprosił. Zawiódł sąsiadów, którzy zaprosili ich na herbatę, choć zwykł poważnie traktować wszelkie, nawet towarzyskie obowiązki. Uległ jej prośbom i kochał się z nią.

Cóż mu mogła powiedzieć? „Źle się czuję. Wpadłam w depresję, bo robię się gruba i ciężka? Zabrakło mi energii, by przygotować się do wizyty? Przepraszam cię?” Już otworzyła usta, ale wciąż nie wiedziała, co powiedzieć. Przyglądał się jej w milczeniu, aż w końcu ukryła twarz; przytulając się do jego ramienia.

- Czy ty się czegoś boisz, Anno? - zapytał cicho. - Czy jest coś lub ktoś, przed kim odczuwasz lęk?

Źe cię stracę. Lovatt Blaydon. Cela więzienna. Powiesz mi. Źe cię stracę.

- Nie - odparła.

Coś się dzisiaj wydarzyło. Coś, co poruszyło cię do głębi. Ktoś wie, jak byłam ubrana na spacerze i co działo się na przyjęciu - ktoś, kogo tam nie było. On mnie śledzi. A ja nic o tym nie wiem.

- Nie - powtórzyła.

Trzymał ją w objęciach jeszcze chwilę, po czym wstał z łóżka. Odwrócony do niej plecami zapiął płudry, włożył buty i schylił się po płaszcz. Jego kamizelka była pognieciona. Obejrzał się na Annę.

- Będę bronił wszystkiego, co do mnie należy - powiedział. - Na wet ryzykując życie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Zdobyłem sławę jako świetny strzelec i szermierz. To nie są ciche przechwałki. A ty należysz do mnie, Anno. Nie musisz się lękać o swoje bezpieczeństwo. Chyba że przedmiotem twego lęku jest poród. Jedynie przed takim zagrożeniem nie mogę cię uchronić. Boisz się porodu?

Ani bólu. Ani śmierci. Tylko utraty dziecka. Bała się, że je utraci.

- Tylko tego, że powiję martwe dziecko - odparła. - Wolałabym... wolałabym sama umrzeć.

Skinął głową, nie spuszczać z niej wzroku.

- Postaraj się zasnąć - powiedział. - Za mało wypoczywasz. Będę musiał tego dopilnować. - Spojrzał na nią przenikliwie.

- Postaram się - rzekła. - Dziękuję ci, Luke. Ciągły uśmiech pojawił się na jego ustach.

- Cała przyjemność po mojej stronie - oświadczył. - Z radością spełniam twoje życzenia. - Wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Tak, w Elm Court, gdy była sama, lepiej to znosiła. Nie użalała się nad sobą. Leżąc teraz na wznak, nieruchomo, dawała upust łzom, które spływały jej po policzkach i kapały na

poduszkę.

„Należysz do mnie, Anno. Należysz do mnie”. Nie miał na myśli tego, co chciała. Miał na myśli posiadanie - dokładnie to. Jakżeż ona tęskniła do jego miłości, jak ciężko i boleśnie przeżywała jej brak.

Leżała z zamkniętymi oczami. Bez niego znowu ogarnął ją lęk. Czuła na sobie czyjś wzrok. Przecież to niemożliwe. W jej pokoju nie miałby gdzie się ukryć. A jeśli podniesie się z łóżka i stanie przy oknie, tak jak przedtem, za każdym drzewem dopatrywać się będzie śledzącego ją człowieka.

Bała się wstać z łóżka.

Zastanawiała się, ile też czasu upłynie, zanim znowu otrzyma list z żądaniem pieniędzy albo czegoś jeszcze. Na jak długo „wypożyczył”

ją Luke'owi? Do czasu narodzin dziecka? Czy potem pójdzie za nim potulnie? Czy może będzie walczyć?

„Będę bronił wszystkiego, co do mnie należy... nawet ryzykując życie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Należysz do mnie, Anno”.

Co by się stało, gdyby zwierzyła się Luke'owi? Gdyby wyznała mu całą prawdę? Lecz nie była tak naiwna, by wierzyć, że namiętność, jaką Luke do niej żywił, czy ochrona, którą jej, jako swojej własności, zapewniał, świadczą o tym, że darzy ją miłością. Musiałby ją szczerze kochać, by jej nie potępić. Bo nawet w takim wypadku...

Lecz Luke nie był zdolny do miłości. Przed laty zabił całą miłość, jaką miał w sercu.

Ponadto nie byłby w stanie jej ochronić.

„Będę bronił wszystkiego, co do mnie należy... nawet ryzykując życie, jeśli zajdzie taka potrzeba”.

Wizyta u Wilkesów odbyła się jednak. Panie z Bowden Abbey spóźniły się pół godziny. Poczekano na nie z herbatą. Księżna matka po stokroć przeproszała za nieobecność księcia i księżnej, którzy, co całkiem zrozumiale, mieli być honorowymi gośćmi. Tłumaczyła, że jej synowa była niedysponowana, rzecz oczywista w jej stanie. Ale jak tu wytłumaczyć nieobecność syna? Że doglądał chorej żony? Takie usprawiedliwienie stanowiłoby powód do obrazy.

Luke, zacisnąwszy usta, wysłuchiwał tyrady matki. Był to pierwszy konflikt od jego powrotu do domu.

- Zatem pominęłam tę sprawę milczeniem - rzekła lodowatym tonem, gdy rodzina przed kolacją zebrała się w salonie. Brakowało tylko Anny, która znowu się spóźniała.

- Pomyślałam - ciągnęła - że lepiej niech każdy sam wyciągnie z tego wnioski. Byłam

i jestem tym urażona, Lucas. Bardzo.

Niechaj sobie mówi, myślał Luke. Czuł jednak, że narasta w nim już nie rozdrażnienie, ale zimna wściekłość. Jak ona śmie?! Jak ona śmie potępiać Annę? Lecz dawno minęły już czasy, gdy nie potrafił nad sobą zapanować i przy lada okazji wybuchał gniewem.

- Madame. - Obdarzył matkę jednym ze swoich najzimniejszych spojrzeń. - Dzisiejszego popołudnia moja żona potrzebowała mnie. Oto jedyny argument, jaki przedstawiam tobie i innym. Posługując się nim, wysłałem przed godziną list do Wilkesów.

Paryscy znajomi Luke'a wyczytaliby wiele z jego twarzy i głosu. Kierując się rozsądkiem, zachowaliby umiar w dalszych słowach.

- Anna jest w poważnym stanie - ciągnęła księżna matka z wielce surową miną - i niewątpliwie w ciągu następnego dziesięciu lat ów stan będzie się powtarzał. To zwykła rzecz. Potrafi się nią zaopiekować pokojówka, a w razie potrzeby - lekarz. Musisz zrozumieć, Lucas, że twoja pozycja wymaga od ciebie poczucia odpowiedzialności i wypełniania obowiązków, a problemy osobiste i wyimaginowane potrzeby słabej niewiasty winieneś odsunąć na dalszy plan. I twoją żonę należałoby tego nauczyć. Przykre, że zaniedbano tego w jej wychowaniu.

Reszta rodziny trwała w milczeniu - z mieszanymi uczuciami zaciekawienia i trwogi przysłuchiwała się owej wymianie zdań. Agnes z przerażeniem w oczach i rumieńcem oburzenia na policzkach wpatrywała się w Luke'a.

- Proszę o wybaczenie, madame - Luke mówił cicho, lodowatym tonem - ale zachowanie mojej żony podlega tylko mojej ocenie. Wyłącznie mojej. A jeśli o mnie chodzi, to zawsze na pierwszym miejscu stawiał będę sprawy osobiste i tak rozumiem dbanie o jej potrzeby, bezpieczeństwo i samopoczucie. Nie wolno mi zapominać, że powinienem szczególnie troszczyć się o jej zdrowie.

- Lucas! - Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem. - Pamiętaj, jeśli łaska, że mówisz w obecności dwóch niezamężnych dam. Lecz niczego innego nie spodziewałam się po tobie. Zawsze sobie folgowałeś i w tym objawia się słabość twojego charakteru.

- Madame - powiedział spokojnie - wróciłem do domu wbrew woli, aby wypełniać swoje obowiązki. Wróciłem, bo namówił mnie do tego wuj, który twierdził, że jestem tu potrzebny, a mój pobyt wraz z wami w Londynie upewnił mnie o tym. Poślubiłem Annę, bo potrzebna jest tu również księżna i potrzebni mi są synowie. Chcę, żeby było jasne, że w moim życiu ona zawsze będzie na pierwszym miejscu, przed członkami mojej lub jej rodziny i przed wszelkimi obowiązkami, jakie na mnie spoczywają. Nie będę tolerował krytyki pod jej

adresem, nawet z twoich, madame, ust. Proszę to sobie zapamiętać.

Przysłuchiwał się swoim słowom, jak gdyby wypowiadał je ktoś inny. Zaskoczyła go ich prawdziwość. Nie chciał opuszczać Paryża. Nie chciał zmieniać trybu życia. A jeśli ktoś uczynił znośnym jego obecne życie, to tym kimś była Anna.

Matka patrzyła nań z niedowierzaniem - podobnie jak on dumna i wyniosła.

- Stawiam sprawę bardzo jasno - ciągnął. - Czy się to komu podoba, czy nie, ja jestem księciem Harndon, Anna zaś moją księżną. Panią na Bowden Abbey. I z wyjątkiem mnie nikt nie ma prawa oceniać jej zachowania. Panią każdego domu może być tylko jedna osoba i wierzę, iż nie dojdzie tu do żadnych sprzeczek czy konfliktów. Panią jest tu Anna.

Matka milczała. W ciągu kilku pełnych napięcia minut panowała martwa cisza. Luke nie miał do siebie żalu za tę wypowiedź. Wrócił do domu wbrew swojej woli, bo był tu potrzebny. Oni wszyscy - matka, Doris, Ashley i nawet Henrietta - chcieli dzięki niemu wieść wygodne i dostatnie życie. Tak więc cała rodzina, choć w różnym stopniu, ponosiła odpowiedzialność za jego powrót do domu. W porządku, wrócił, ale na swoich warunkach. I oto zaprezentował te warunki - nie tylko matce, ale całej rodzinie.

Zanim ktokolwiek wyrzekł słowo, do pokoju weszła Anna. Wciąż blada, ale ubrana bez zarzutu - w gorsecie - i uśmiechała się promiennie, jak zwykle.

- Czy bardzo jestem spóźniona? - zapytała. - Przepraszam. Spałam dłużej, niż zamierałam. I bardzo mi przykro, mamo, z powodu dzisiejszej wizyty. Czy Luke powiedział, że źle się czułam? Mam nadzieję, że pani Wilkes nie poczuła się dotknięta naszą nieobecnością. Jutro ją odwiedzę.

Luke podszedł do Anny i podniósł jej dłoń do ust.

- Wcale nie jesteś spóźniona, moja droga. A jeśli nawet, to i tak poczekalibyśmy na ciebie. Czujesz się już lepiej?

- Tak, dziękuję - odparła. - Znacznie lepiej. - Uśmiechnęła się najpierw do niego, a potem do wszystkich zgromadzonych w pokoju. - Musicie nam opowiedzieć, jak było u Wilkesów. Czy kuzyni z Londynu są sympatyczni? A ty, Ashley, też zawiodłeś tak jak my? To nieładnie. Powiedz nam, jak spędziłeś popołudnie?

Napięcie minęło, jak ręką odjął. Ciekawe, czy Anna coś wyczuła, pomyślał Luke. Wraz z nią słońce wkroczyło do pokoju, jej pogodny nastrój udzielał się wszystkim. Jedynie jego matka siedziała z zaciśniętymi ustami.

Anna, z pobladłą twarzą i tajemnicą w sercu.

O, nie, musi pamiętać, że nie wolno mu stawiać jej na piedestale. Że nie wolno mu zakładać, że jest bez skazy. Nie wolno mu coraz bardziej jej lubić. Nie wolno mu uzależniać

się od niej i darzyć zbyt wielkim zaufaniem.

Ma przed nim tajemnice. I to nie błahej natury, jak przypuszczał.

Henrietta była rozgoryczona. Nic jej się w życiu nie udawało. Jak każdy człowiek na świecie chciała być szczęśliwa. I chyba nigdy nie zaznała szczęścia.

A teraz Luke ją odrzucił. Mała nadzieję, że zostaną kochankami. Liczyła na to, nawet gdy dotarła do niej poruszająca ją do głębi wiadomość o jego ślubie. W końcu małżeństwa wśród arystokracji niewiele na ogół mają wspólnego z uczuciem. Mała nadzieję, nawet gdy zobaczyła Annę, tak piękną i pełną życia, pamiętała bowiem wielką miłość Luke'a oraz jego rozpacz i gniew, gdy musieli się rozstać.

A teraz jej nie chce. Przynajmniej na razie. Być może z czasem... Henrietta miewała kochanków. Jak mogłoby być inaczej, skoro mąż po ślubie ani razu jej nie posiadał, a ona miała swoje potrzeby? Byłoby wręcz nie do pomyślenia, gdyby przez te wszystkie lata żyła w celibacie. George zabierał ją często do Londynu i tam spotykała się z innymi mężczyznami. Musiał o tym wiedzieć, ale mało go to obchodziło. Taki właśnie był George.

Tu na wsi nie miała nikogo. Zwykła uprawiać miłość tylko w komfortowym łóżu i komfortowym buduarze, a jej wybranek musiał wyglądać odpowiednio i zyskać jej aprobatę. Do wyglądu zewnętrznego przywiązywała ogromną wagę.

Zamaskowany rozbójnik kochał się z nią - podczas ich trzeciego spotkania - na niezbyt czystej przemie słomy w przewiewnej stodole. Panował nieprzyjemny chłód. On był w ubraniu, tylko we właściwym miejscu rozpiął pludry. Nie zdjął nawet butów i maski. Ona też się nie rozebrała. Podwinęła tylko spódnice.

Kochał się z nią bez gry miłosnej, bez finezji, szybko, przygniatając ją całym ciężarem swego ciała.

Nie wiedziała doprawdy, dlaczego sprawia jej to taką rozkosz i dlaczego co tydzień tak skwapliwie udaje się na spotkanie. Nie powiedział jej, jak się nazywa. Nigdy nie zdjął maski ani nie zrzucił peleryny. Wiedziała tylko, że jest od niej znacznie starszy - o jakieś dziesięć lub piętnaście lat - i że umie czarować pochlebstwami i lubi szybkie i gwałtowne kontakty seksualne.

Wiedziała oczywiście od samego początku, że tajemniczość owego mężczyzny stanowi dla niej największą atrakcję. Być może gdyby go zobaczyła, gdyby znała jego nazwisko, gdyby dowiedziała się o nim czegoś więcej, przestałby ją fascynować.

Spróbowała:

- Skąd znasz Annę? Dlaczego się nią interesujesz?

- To nie ma z tobą nic wspólnego, Henrietto - odparł. - Jeśli będziesz ze mną

współpracować, to w swoim czasie odzyskasz pozycję, na której ci tak zależy.

A ta współpraca polegała na tym, że dostarczała mu różnych banalnych, pozornie nie znaczących informacji, dotyczących wyglądu Anny i jej codziennych zajęć. A może miały jakieś znaczenie? Zauważyła zachodzące w Armie zmiany. Rzadziej się uśmiechała, była coraz bledsza. Niechętnie wychodziła z domu, nie lubiła nawet opuszczać swoich apartamentów. Często rozglądała się dokoła, jakby czuła na sobie czyjś wzrok.

- Powiadasz - rzekła Henrietta - że osobiście nie jesteś nią zainteresowany?

Roześmiał się.

- Nie masz powodów do zazdrości, madame.

- Zazdrość? - prychnęła wzgardliwie. - Nie zniżyłabym się, mój panie, do zazdrości o kogoś takiego jak Anna. Dlaczego ją śledzisz?

- To nie twoja sprawa, jak rzekłem. Wiedz jedno, pomogę ci uwolnić się od mej. Chciałabyś się jej pozbyć, nieprawdaż? Zatem do rzeczy. Chcę, żeby Harndon się jej pozbył. Usunę ją, a on wróci do ciebie i znów zostaniesz księżną. Jak sądzę, pragniesz tego bardziej niż jego. A tymczasem, ku twojemu zadowoleniu, będziemy się jak dotąd co tydzień spotykać.

- Też coś! - burknęła. - Łatwo się bez tego obejść, mój panie. Przycisnął ją do pnia starego dębu, uniósł jej spódnice, sam rozpiął pludry i zaczął jej udowadniać, że nie ma racji. Roześmiał się na jej gotowość.

Zaspokoił zatem jej apetyt oraz pochlebił dumie. Nie zaspokoił jednak jej ciekawości. I ta niezaspokojona ciekawość w połączeniu z narastającą żądzą powodowała, że co tydzień spotykała się z nim w miejscu, które wyznaczał.

Podjęła swoistą grę z Anną. Starła się, by Anna zobaczyła ją w towarzystwie Luke'a, po czym żarliwie tłumaczyła się i przepraszała swoją szwagierkę.

- To dlatego - wyjaśniała przy którejś z takich okazji - że wzrastaliśmy razem i dlatego lubimy swoje towarzystwo. Tylko z tej przyczyny, Anno, daję słowo. Nie masz nic przeciwko temu? Jeśli masz, to będę się trzymała z dala od Luke'a, nawet kosztem dobrych manier.

- Jesteś głupiutka - rzekła Anna, obejmując Henriettę. - Chodźmy do mojego salonu, napijemy się razem herbaty.

- Nie myśl, Anno, że coś przed tobą ukrywam - powiedziała przy innej okazji. - Przecież wiesz, że Luke cię kocha. Zawsze mówi o swojej miłości do ciebie. Kiedyś kochał mnie, ale to już przeszłość.

- Nie czuj się winna, Henrietto - odparła Anna. - Może pójdziemy do Emilki?

Henrietta notowała sobie w pamięci różne drobiazgi w jej salonie oraz sposób, w jaki

obie siostry porozumiewają się ze sobą.

W oczach Anny coraz częściej pojawiał się wyraz udręki.

Kiedyż ten rozbójnik zabierze ją stąd? - zastanawiała się Henrietta. Czasem jednak nie była pewna, czy chce, by stało się to tak szybko. Był jej potrzebny, podniecał ją.

A listy wciąż nadchodziły. I nie przestaną nadchodzić, myślała Anna. Niekiedy Lovatt ograniczał się do wspomnień z dawnych lat, zapewnień o ich przyszłym szczęściu. Niekiedy żądał zapłaty kolejnego rachunku. Czasem treść tych listów napawała ją przerażeniem - osiągnął swój cel. Znał wnętrze jej domu, nawet szczegóły salonu Anny. Jej stroje i bibeloty. Wiedział, co mówiła i czym się zajmowała. Wiedział, co inni mówili do niej.

Pozostawanie w domu nie miało sensu, mimo to unikała wychodzenia gdziekolwiek. On był z nią również w domu, w każdym pokoju, zawsze stał za jej plecami. Czasami, gdy kochali się z Lukiem, rozglądała się ukradkiem po sypialni. Myślała z przerażeniem - czuła to - że on wszystko widzi. Wszystko.

Wolała już listy, w których żądał pieniędzy, choć nie zawsze je miała. Raz musiała poprosić Luke'a o zaliczkę.

- Oczywiście - rzekł, przemierzając pokój, aby otworzyć szufladę. Wręczył jej pełną sumę za następny kwartał. - Ale to nie zaliczka, Anno. Podarunek. Mogę wiedzieć, na co ci są potrzebne?

Przygotowała sobie opowiadanie o prezencie ślubnym dla Wiktora i potrzebie zakupu nowej odzieży dla Agnes i Emilii. Lecz kłamstwo nie przeszło jej przez gardło. Wpatrywała się w pieniądze, które jej wręczał.

- Tajemnice? - zapytał ostro. - Znowu, Anno? Spojrzała mu w oczy.

- Nie ma żadnych tajemnic. - Jednak skłamała. Popatrzył na nią chłodno, z odcieniem cynizmu.

- Tajemnice to jedna sprawa, madame - rzekł - a kłamstwo druga, całkiem różna. Proszę, oto pieniądze. I zjedź mi z oczu. Jestem zajęty.

Czuła się tak, jakby uderzył ją w twarz. Dygnęła, wzięła pieniądze i skierowała się ku wyjściu. Była już przy drzwiach, gdy powiedział:

- Jesteś moją żoną, Anno. Dla mojej żony zawsze będę miał czas. Usiądź, każę podać herbatę. Był dziś u mnie William. Zdaje się, że upodobał sobie twoją siostrę. Czerwienił się i jękał za dziesięciu wielbicielami. Gdy Agnes przyjmie jego oświadczenia, musi mu wyperswadować tę koszmarną perukę, namówić go na kupno nowej, modnej. Chce mi się śmiać, gdy na niego patrzę. Paryżanie zemdleliby z wrażenia na jego widok.

Usiadła, ściskając pieniądze w dłoniach, podczas gdy on podsunął jej pod nogi

stołeczek, wziął z jej dłoni woreczek z monetami i położył na biurku. Gdybyż mogła cofnąć czas i wyznać mu prawdę. Mogłaby powiedzieć: Spłacam jeden z długów karcianych mego ojca. Czy to by mu wystarczyło? Czy chciałby dowiedzieć się czegoś więcej?

Pragnęła powiedzieć mu „coś więcej”. Wszystko. Ale nie mogła. Nie mogła ryzykować. Nosila w łonie dziecko, niewinne dziecko, które odrzucił by razem z nią. I...

- Według mnie - zaczęła - Agnes lubi go takim, jakim jest. Wpatruje się w niego jak w księcia z bajki. Przyznam, że mnie to zdumiewa. Ja zawsze szukałam...

- Słucham, madame? - Nie odrywał od niej wzroku. Przypomniało jej się, że tak właśnie patrzył na nią na balu u lady Diddering.

- Ładnej twarzy - dokończyła, stając w pąsach.

- Doprawdy? - Uniósł brwi. - I znalazłaś?

- Tak. - Twarz jej płonęła.

- Co do mnie, to szukałem zawsze twarzy pięknej. I muszę przyznać, że znalazłem.

Rozmawiali w zwykły sobie sposób - lekki flirt, przekomarzanie się. Usiłowała nie patrzeć na leżące na biurku pieniądze.

Przez tygodnie i miesiące po otrzymaniu pierwszego listu Anna nauczyła się zamykać w sobie. Nie zaniedbywała swoich obowiązków, lecz gdy nadchodziła chwila panicznego lęku, wycofywała się, chroniła się w swoim własnym intymnym świecie.

Luke wiedział o listach. Zawsze wiedział, że nadchodzą, choć nigdy ich nie widział. Znał Annę znacznie lepiej, niż myślała, znacznie lepiej niż jakąkolwiek niewiastę w swoim życiu.

Wiedział także, iż były to listy bardzo osobiste i wprawiały ją w ogromny niepokój. Możliwe, że nawiązywały do jej przeszłości. Listy od byłego kochanka. Choć znając Annę tak dobrze, nie podejrzewał, by prowadziła potajemną korespondencję. Podejrzewał natomiast, że kryje się za tym szantaż. Zdarzyło się raz, że poprosiła go o bardzo znaczną kwotę.

Z czym musiała się tak kryć? Cóż za poważna sprawa zmuszała ją do płacenia za coś, co trzymała w głębokiej tajemnicy? Może istotnie miało to jakiś związek z jej dawnym kochankiem? Czy ktoś jej groził, że ujawni Luke'owi jakieś drastyczne szczegóły kompromitujące Annę?

Postanowił w końcu porozmawiać z nią na ten temat. Było to w dniu nadejścia listu, mimo iż nie widział ani listu, ani posłańca. Siedział w swoim gabinecie, przeglądając korespondencję, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Nie zareagował, sądząc, że to Henrietta. Lecz ktoś wszedł, nie proszony. Luke nie uniósł głowy znad papierów.

- Jestem zajęty - rzekł szorstko. - Proszę przyjść później. Wtedy poczuł czyjaś dłoń na ramieniu i szybko spojrzął w górę.

- Emilia - powiedział ze zdziwieniem. - Czego sobie życzysz, moja droga?

Zatroskana popatrzyła mu prosto w twarz.

- Co się stało? - Ujął obiema dłońmi jej rękę. Bardzo polubił tę dziewczynkę, co jego samego niepomnie zaskoczyło, wiedział, że za jej milczeniem kryje się bogata osobowość, przezierająca przez okna jej oczu i uśmiech. Teraz jednak się nie uśmiechała.

Wskazała palcem na sufit - spojrzął tam.

- Na górze? - zapytał. - Coś się tam dzieje, moja droga? Ktoś tam jest? Wpatrywała się w niego.

- Anna? - zapytał. Skinęła głową.

Dziś Anna dostała list. Wyczytał to z twarzy żony.

- Jest nieszczęśliwa? - spytał. - Potrzebuje mnie? Emilia potwierdziła ruchem głowy.

Nie zareagował od razu. Utkwił wzrok w jej oczach, jak gdyby oczekiwał, że znajdzie w nich odpowiedź na swoje pytania. I prawie tak się stało.

- Czy może wiesz... - zaczął. - Czy może wiesz, co jest przyczyną jej nieszczęścia?

Oczy jej rozblęły.

- Ma to związek z przeszłością?

Ani nie potwierdziła, ani nie zaprzeczyła. Znowu wskazała palcem sufit.

- Pójdę do niej - rzekł. Obiema dłońmi uściskał jej rękę i pocałował. - Dziękuję ci, Emilio. Jesteś dobrą siostrą. Bardzo ją kochasz, prawda?

Odwróciła się i pobiegła do drzwi. Otworzyła je, zanim on zdążył to zrobić. Biegła przed nim po schodach i oglądała się co chwila, jakby upewniając się, czy za nią podąża. Zatrzymała się przed drzwiami salonu Anny, zaczekała na niego i odeszła. Obserwował ją, jak lekkim krokiem wchodzi na piętro, gdzie mieścił się jej pokój.

Tak, pomyślał, pukając do drzwi, najwyższy czas na rozmowę.

Anna siedziała przy kominku i otwierała właśnie książkę, po którą sięgnęła, usłyszawszy pukanie. Tak mu się przynajmniej wydawało. Nie poprosiła, by usiadł - uśmiechnęła się i zamknęła książkę.

- Ojej, zaczytałam się. Czy zapomniałam o czymś? Czy już pora na herbatę?

- Nie - odparł, siadając. Przyglądał się jej badawczo.

Kontrast między uśmiechem a bladą twarzą i sińcami pod oczyma był szokujący. Mała na sobie luźny poranny strój i wyglądała tak, jakby jej brzemiennosc trwała znacznie dłużej niż sześć miesięcy. Nawet w luźnych sukniach we francuskim stylu, jakie nosiła, gdy zabronił

jej wkładać gorset, ciąża była wyraźnie widoczna. Matka na wieść, że Anna nie chodzi w gorsecie, ogromnie się zgorszyła i zasugerowała, by przed rozwiązaniem nie pokazywała się publicznie. Synowa oznajmiła jej uprzejmie, ale stanowczo, jak to ona tylko potrafiła że mąż zabronił jej ścisnąć się gorsetem, ona zaś spełniać będzie swe towarzyskie obowiązki tak długo, jak uzna to za stosowne. Przynajmniej w takiej formie przekazała mu to Henrietta. Dodała również, że odbyła z Anną poufną rozmowę i poradziła jej, by wobec księżnej matki zachowywała się w sposób bardziej odpowiedni. Jak gdyby odmienny stan był sprzeczny z zasadami dobrego tonu.

- Co się stało? - zapytała Anna z gasnącym uśmiechem. - Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Emilia przyszła do mego gabinetu i powiedziała mi, że jesteś bardzo nieszczęśliwa.

Spojrzała na niego bez wyrazu, po czym roześmiała się.

- Powiedziała ci Emilia. Przecież ona nie umie mówić.

- Owszem, umie - odparł. - Jej oczy mówią więcej niż język innych.

- I powiedziała ci o tym oczami?

- Tak. - Czekał, pilnie ją obserwując.

Parokrotnie nabierała powietrza, jakby już, już chciała coś powiedzieć, ale wciąż milczała. Patrzył, jak przetyka nerwowo ślinę. Patrzył na jej dłonie na poręczach fotela. W czasie ćwiczeń z szermierki i strzelania do celu nauczył się odczytywania ludzkich emocji z ruchów rąk. Palce Anny skubały tapicerkę.

- Byłam przygnębiona - rzekła wreszcie - i niezbyt dobrze czułam się fizycznie. Niestety, należę do tych niewiast, których ciąża jest bardzo wydatna. - Roześmiała się. - A przede mną są jeszcze trzy miesiące. Przestraszyłam się, że jestem nieatrakcyjna. To głupota, wiem.

- Czy to ja przyczyniam się do tego, że czujesz się nieatrakcyjna? - zapytał, mrużąc oczy.

- Nie - wyszeptała. - Nie, Luke.

- Chodź tutaj - rzekł.

Przez chwilę patrzyła na niego niepewnie, po czym uniosła się z miejsca i stanęła posłusznie przy jego fotelu. Rozwiązał szarfę jej porannego stroju i rozchylił poły jedwabiu. Koszula opinała jej brzuch. Luke lekko oparł na nim obie dłonie i spojrzał na nią.

- Pamiętasz, co ci powiedziałem? Że jaki będę dla ciebie, gdy nosząc dziecko, staniesz się gruba?

- Pamiętam.

- Mówiłem prawdę. Stale przychodzę do twojego łóżka, Anno. Dwa albo trzy razy w tygodniu wypełniam swoje małżeńskie obowiązki, starając się przy tym, by nie obciążać cię wagą swego ciała. Musisz wiedzieć, i chyba wiesz, że wciąż jesteś godna pożądania.

- Wiem. - Opuściła oczy na jego dłonie.

- A może, madame - zaczął cicho - chcesz być także atrakcyjna dla innych mężczyzn? Potrzęsnęła przecząco głową.

- Dajmy sobie zatem spokój z tymi nonsensami dotyczącymi złego samopoczucia i braku atrakcyjności - powiedział. - Ustaliliśmy swego czasu, że szczerłość jest podstawą dobrego małżeństwa. Pozwoliłem ci na tę twoją tajemnicę. Wychodziłem z założenia, że należy wyłącznie do przeszłości. Tymczasem wkracza ona w teraźniejszość. Na to się nie godzę. Masz jeszcze inne sekrety, Anno?

Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczyma. Nie mogła się cofnąć, bo trzymał ją mocno za biodra.

- Nie mam - szepnęła.

- Masz. Jesteś moja, Anno. Duszą i ciałem. Należysz do mnie teraz i do końca życia. - Sam był zdziwiony ostrym brzmieniem swego głosu, gwałtownością własnych emocji. Nie zamierzał mówić do niej takim tonem. - Koniec z sekretami.

- Och! - Przykryła twarz dłońmi i dostrzegł, że były białe jak kreda. - Nie wymawiaj takich słów, Luke. Nie duszą i ciałem. Nie jestem ptakiem w klatce, którego pozbawiono wolności. Nie duszą i ciałem.

Narastał w nim gniew. Już kiedy mówił, zdał sobie sprawę, że władcze jej duszą jest niemożliwe, łącznie on wcale tego nie pragnie. Lecz mimo to poczuł się całkowicie wyłączony z jej świata wewnętrznego, nie dopuszczała go do niego. Uświadomił sobie nagle, że po sześciu miesiącach małżeństwa prawie jej nie zna. Do pewnej sfery jej życia nie ma dostępu i wszystko wskazuje na to, że tak będzie nadal.

Ogarnęła go wściekłość. Nigdy nie żądał od niej wyznań dotyczących jej przeszłości. Co się zmieniło? Wstał.

- Kim on był? Chcę znać jego nazwisko, madame!

Tępy wyraz jej oczu nagle znikł, jakby kurtyna poszła w górę. Wpatrywała się w niego z jeszcze bardziej pobladłą twarzą.

- Twój kochanek - rzekł. - Mężczyzna, który miał cię przed naszym ślubem. Kim on był? Kim on jest?

- Nie - wyszeptała - powiedziałeś...

- On jest powodem twego nieszczęścia, o ile dobrze rozumiem sytuację. Od niego są te

listy, tak? Albo od kogoś, kto pisze je w jego imieniu.

- Listy...? - W oczach miała przerażenie.

- Chyba uważasz mnie za głupca, madame! Potrząsnęła głową.

- Cza - czasami dostaję listy od pa - pani Hendon - powiedziała. - Potrzebuje pomocy ze - ze względu na jej ojca. To starszy człowiek, niedołężny. Czasami jej pomagam.

Patrzył na nią uważnie, bez słowa - spuściła wzrok i przygryzła dolną wargę.

- Nazwisko, Anno. Odebrał ci wszak dziewictwo, do czego ja miałem prawo. Niczego więcej nie będzie od ciebie żądał. W przeciwnym razie umrze.

Uniosła powieki.

- Nie odebrał - rzekła. - Nie odebrał. Zawsze byłam tylko twoja. Nie kochałam się z nikim oprócz ciebie. Byłeś tylko ty.

- Och, pardon - powiedział. - Widocznie zabrakło mi doświadczenia i nie odróżniłem dziewicy od niewiasty z seksualną przeszłością. Zatem niesprawiedliwie cię oceniłem, madame.

Zacisnęła usta. Zrobiła głęboki wdech.

- A ty? - zapytała podniesionym z lekka głosem. - Przecież miałeś przede mną tajemnicę. Powiedziałeś mi, że nie pamiętasz, o co pokłóciłeś się ze swoim bratem, jakby to w ogóle było możliwe. Słowem nie wspomniałeś o Henriecie. I nie wspomniałeś mi o licznych z nią spotkaniach już po naszym przyjeździe do Bowden. Nie mogłeś się z nią ożenić, prawda? Bo była wdową po twoim bracie. I nie mogłeś wrócić tu bez żony, bo nie wypadałoby ci wówczas przebywać tak często w jej towarzystwie. A tak wszystko jest w porządku, ku wygodzie was obojga.

Dlatego ożeniłeś się ze mną, Luke? Nie po to, by mieć synów, ale po to, by nie stracić ludzkiego poważania z powodu powrotu do dawnej, a wobec jej wdowieństwa - zakazanej miłości.

- Dobry Boże, madame - rzekł zimnym tonem. - Ty oszalałaś!

- Czyżby? No tak, oczywiście. Żyjemy w okrutnym świecie, prawda? I w tym okrutnym świecie obowiązują różne zasady - inne dla mężczyzn, inne dla niewiast. Ja jestem godna potępienia, bo, jak wszystko na to wskazuje, nie byłam dziewicą podczas nocy poślubnej. Ty natomiast przyznajesz się jawnie do wielkiego doświadczenia w tej dziedzinie i twierdzisz autorytatywnie, że mam grzeszną przeszłość. Mnie nie wolno mieć wspomnień, bo należę do ciebie duszą i ciałem, podczas gdy ty folgujesz sobie nie tylko we wspomnieniach, ale również w czynach. Śpisz z nią, Luke? A może żonie nie wolno zadawać mężowi takich pytań?

Chwycił ją za nadgarstek i pociągnął ku drzwiom. Nie był w pełni świadom, dokąd i w jakim celu ją prowadzi. Gdy znaleźli się w sypialni, zerwał z niej ubranie i pchnął na łóżko. Rozbierając się, patrzył na nią z uczuciem gniewu i frustracji. Anna zaś obserwowała go bez uśmiechu, surowym wzrokiem.

Ukląkł między jej udami, uniósł jej kibić i powoli, ale z całych sił wszedł w nią. Pochylił się i nie rozłączając się z jej ciałem, obiema dłońmi ujął jej głowę i przywarł ustami do jej ust - pieścił językiem jej język. Odsunął się na moment i spojrzał Annie prosto w oczy.

- Jesteś moja, Anno - rzekł. - Przeżywasz te chwile tylko ze mną i tylko ze mną do końca życia będziesz je przeżywała. Ja też do końca życia będę przeżywał te chwile tylko z tobą i od naszego ślubu nie przeżywałem takich chwil z nikim innym. Czy odpowiedziałem ci na pytanie?

Leżała pod nim z zamkniętymi oczami, uległa, bezwolna.

- Jesteś moją żoną, a ja jestem twoim mężem - powiedział. - Jeśli ów fakt powoduje, że czujesz się jak ptak w klatce, zniewolona i pozbawiona prywatności, trudno. Poślubiłaś mnie z własnego wyboru.

Obserwował ją przez cały czas. I po raz pierwszy nie wykazał całej swej maestrii. Działał jak mężczyzna myślący bardziej o sobie niż o kobiecie, bez względu na to, czy jej ciało jest gotowe do miłości. Tylko raz dotknął jej czulego miejsca. Lecz nie wywołało to żadnego efektu. Nie był nawet pewien, czy sam tego chciał. Gdy czuł się już bliski orgazmu, uświadomił sobie, że właściwie nie kochał się z nią, on po prostu przypieczętowywał tym stosunkiem swoją własność, przypominając jej, że wszystko, co jest nią, należy do niego.

Osiągnął orgazm i wtedy po raz pierwszy zrozumiał, że fizyczna satysfakcja i satysfakcja emocjonalna to dwa całkiem różne przeżycia i nie zawsze splatają się w jedno. Zastanawiał się nawet, czy nie zgwałcił swojej żony - choć to raczej nie odpowiadało sytuacji. Odsunął się od niej i wstał z łoża. Zebrał z podłogi części swojej garderoby.

- Jeśli chodzi o wolność i prywatność, o jakie zabiegasz, Anno - sam wyczuł chłód we własnym głosie - to w pewnym stopniu je masz. Na przykład swój prywatny salon. Nie wejdziesz tam bez zaproszenia. A do twego łoża przyjdę dopiero po rozwiązaniu, aż nastanie czas na powtórny ciężę. Powiedzmy, sześć miesięcy po urodzeniu dziecka, które nosisz. Być może cztery, jeśli to będzie dziewczynka.

Oczy wciąż miała zamknięte. Gdy wstał z łóżka, nie przykrył jej kołdrą. Znowu schylił się po jakąś część ubrania.

- Gdybyś chciała porozmawiać ze mną o tych listach, będę do twojej dyspozycji, chętnie cię wysłucham. Trudno mi sobie wyobrazić, że popełniłaś jakiś ohydny czyn i czujesz

się z tego powodu winna. Musisz jednak pamiętać, że jesteś moja. To jest fakt nie podlegający dyskusji.

Leżała nieruchomo. Luke przeszedł przez garderobę do swego pokoju, w którym nigdy jeszcze nie spał. Oparł się o drzwi i zamknął oczy. Przyszedł do niej, bo była nieszczęśliwa. Przyszedł, by ją pocieszyć, pomóc jej.

O Boże!

Powinien był zdawać sobie sprawę, że nie potrafi nikogo pocieszyć. Przez długie lata był przekonany, że nie jest zdolny do miłości. Nie wiedział jednak, że jest zdolny do okrucieństwa. Gdy potrzebowała słów pociechy i zrozumienia, potraktował ją okrutnie.

Gdy odmówiła mu zwierzeń, okazał jej niezadowolenie, a kiedy oskarżyła go o zdradę z Henriettą, wpadł w złość. Nie tak powinien się zachować. Pozwolił Henriecie czerpać radość z jego towarzystwa unikając rozmowy na osobiste tematy. Lecz Anna stała się podejrzliwa. Czy mógł mieć jej to za złe? Musi wziąć to pod uwagę. Zranił ją, a przecież nie chciałby, żeby cierpiała. Spojrzał na łóżko. Jeszcze nie tak dawno temu strzegł prywatności swego snu; nigdy nie spał z niewiastą, z którą się kochał. A teraz zastanawia się, czy potrafi spać sam. Jak długo ma to trwać? Sześć miesięcy, powiedział, cztery, jeśli urodzi się dziewczynka. Plus trzy, jakie zostały jej do rozwiązania. Dziewięć miesięcy. No, może siedem. Dziewięć miesięcy samotności.

To ostatnie słowo wywołało w nim dreszcz lęku. Samotność? Czyżby przywiązał się do Anny, uzależnił od niej? Czy bał się samotności, czy też braku seksualnych podnieć? Samotności.

O ironio, po rozmowie, w której Luke powiedział Annie, że wie o listach, listy przestały przychodzić. Dostała tylko jeden. Nadszedł parę dni po poprzednim - napisał w nim, że aż do rozwiązania nie będzie żądał od niej spłat długów ojca. *W trakcie tych paru miesięcy przed pologiem nie będę Cię niepokoił, moja Anno* - tak właśnie napisał.

Anna zapewniła męża, że czuje się dobrze i dobrze zniesie podróż - pojechała przed Bożym Narodzeniem wraz z Lukiem, Agnes i Emiliana wesele Wiktora. U rodziców Konstancji dzieliła z nim nawet łóżko. Spali razem, ale przez trzy noce pobytu tam w ogóle się nie dotknęli. Anna patrzyła z zachwytem na brata i jego narzeczoną, byli tacy młodzi i tacy szczęśliwi. Wiedząc, że są wolni od trosk, że mają przed sobą spokojną przyszłość, nie żałowała, że przed laty wzięła na swoje barki cały ciężar opieki nad rodziną.

Nie, nie żałowała.

W to właśnie Boże Narodzenie, gdy w Bowden Abbey zgromadziło się wielu ludzi, lord William Severidge poprosił o rękę Agnes i jego oświadczyzny zostały przyjęte, zarówno

przez hrabiego Royce'a, jak i przez nią samą.

Agnes, zarumieniona, nie odrywała od niego wzroku.

Ponadto, ciągnął William wśród okrzyków radości, uścisków i pocałunków, co nie pozwalało mu przez parę minut dojść do głosu, zamierza na wiosnę udać się z żoną w podróż. Będą przez cały rok zwiedzać Europę. Poznał pewnego dżentelmena, który chętnie weźmie w dzierżawę Wycherly Park.

Temu obwieszczeniu towarzyszyły jeszcze głośniejsze okrzyki radości. Przywiązanie lorda Severidge'a do własnego domostwa było często przedmiotem żartów w sąsiedztwie, a zamilowanie Agnes do spokojnego trybu życia dobrze znane jej rodzinie. Wszystko wskazywało jednak na to, że decyzję podjęli wspólnie i niezmiernie cieszyła ich ta perspektywa.

Anna wpadła w popłoch i z trudem potrafiła zapanować nad swoimi uczuciami.

- Wyzierzawi pan Wycherly Park? - zapytała Williama.

- Miłemu człowiekowi - odparł - pułkownikowi Lomaksowi. Przebywał w Ameryce ze swoim pułkiem i przeszedł właśnie w stan spoczynku. Na pewno zyska sobie tutaj ogólną sympatię.

Odetchnęła z ulgą. Ktoś nieznany.

Starannie przygotowywała się do porodu. Całą swoją energię i całą miłość skupiła na dziecku, jakie nosiła pod sercem. Żyła zamknięta w sobie, osamotniona, tak jak w ciągu dwóch lat przed zawarciem małżeństwa.

Tęskniła za bliskością Luke'a coraz bardziej boleśnie.

Księżna matka przebywała w swoich apartamentach, jak zwykle pochłonięta haftowaniem. Doris i Agnes wyszły na spacer, a po powrocie zasiadły w jednym z salonów na dole i rozmawiały rozemocjonowane, jak to jest z tym małżeństwem. Agnes, rzekła Doris, już wkrótce się o tym przekona! Emilia uciekła spod oka opiekunki i usiadła skulona w kącie werandy. Ashley odnalazł ją tam i usiadł z uśmiechem obok niej. Wziął ją za rękę, a ona po chwili oparła policzek o jego ramię. Henrietta poszła za Lukiem do biblioteki, ale widząc, że on wcale nie zwraca na nią uwagi, wycofała się do swoich pokoi. Luke chodził tam i z powrotem.

Anna leżała w łóżku w swojej sypialni. Ubiegłej nocy zaczęła rodzić. Pamięta, że zamiast zadzwonić po pokojówkę, weszła do pokoju Luke'a. Wyskoczył z łóżka jak oparzony i wbrew jej protestom zaniósł ją z powrotem do łóżka.

Niebawem pokojówka, pani Wynn oraz lekarz, po którego posłano, byli w jej sypialni. Anna nie chciała niepokoić nikogo z domowników. Miała nadzieję, że nazajutrz rano obudzi ich wiadomość, że następca rodu przyszedł pomyślnie na świat.

Lecz nastał ranek, a poród wciąż trwał i wydawało się jej, że to się nigdy nie skończy. Słyszała w swoim głosie nutę rozdrażnienia, gdy prosiła, by otwarto okna, by przyłożono jej do twarzy wilgotne płótno, by ktoś podrapał ją po plecach. Nie mogła zmusić się do zmiany tonu, jak gdyby jej głos należał do kogoś innego. Zamknęła się sobie, uciekając przed bólem, lękiem, przed własną niecierpliwością, strachem przed śmiercią i przed obawą o życie dziecka.

Około południa - Anna nie była świadoma upływu czasu - rodzaj bólu uległ zmianie i głosem, który już zupełnie nie należał do niej, wzywała w panice lekarza. Potem wszystko stało się bólem; doprowadzające do szaleństwa parcie i głębokie wdechy w chwilach wytchnienia. Gdzieś z dala słyszała uspokajające ją głosy i wskazówki, którym była ślepo posłuszna.

Potem końcowy atak bólu - i jeszcze parcie, uczucie ciepła i pełen zniecierpliwienia krzyk dziecka.

Anna płakała i śmiała się na przemian. Wyciągnęła ramiona po swoje zakrwawione, krzyczące, brzydkie i piękne dziecko.

Luke zatrzymał się, gdy drzwi biblioteki otworzyły się i dygając, stanęła w progu pani Wynn. Wpatrywał się w nią z pobladłą twarzą.

- Jej wysokość urodziła szczęśliwie - powiedziała z uśmiechem. - Matka i dziecko

czekają na waszą wysokość.

Stał przez chwilę nieruchomo, zastanawiając się, czy taki szum w głowie czuje człowiek przed zemdleniem. Wyminął ją bez słowa i wbiegł po schodach tak szybko, jak jego wysokości nie zdarzyło się to od piętnastu lat. Cotes podzielił się tą uwagą z panią Wynn, gdy oboje obserwowali, jak przeskakuje po dwa stopnie naraz.

W sypialni panowała cisza, jeśli nie liczyć dziwnych odgłosów, jakie wydawał noworodek. Luke nie zauważył pokojówki, która, dygnawszy, wyszła z sypialni. Stał tuż przy drzwiach, wpatrując się w łóżko, na którym leżała jego żona i spoglądała nań szeroko rozwartymi oczami, trzymając w ramionach małe zawiniątko.

- Luke - zaczęła drżącym głosem, uciekając przed jego spojrzeniem - masz córkę.

Córka. Znowu szum w głowie i chłód w całym ciele. Córka. Nie odrywał oczu od żony.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Dobrze. Jestem tylko zmęczona - odparła słabym głosem.

Córka. Zbliżył się ostrożnie do łóżka, spojrział na zawiniątko. Zobaczył małą tłuściutką buzię w czerwone plamki i oczka jak szparki. Ciemne mokre włoski, mała rączka; drobniotka, o prawidłowym kształcie, pięć małych paluszków i pięć paznokietków. Też w czerwone plamki, jak buzia.

Jego córka. Jego i Anny. Został ojcem. Nie jest już panem samego siebie. Nawet nie jest już tylko małżonkiem odpowiedzialnym za niewiastę, którą pojął za żonę. Został ojcem. Głową rodziny. Ma córkę - krew z jego krwi, ciało z jego ciała.

Jak we śnie pochylił się, jedną ręką podtrzymał małą główkę, drugą wsunął pod zawiniątko i unióś je. Prawie nic nie ważyło. Pomyślał, że to tylko ciężar tego, czym dziecko było otulone. Ale to, co trzymał w rękach, było ciepłe, miękkie i wydawało dziwne odgłosy, a oczka w wąskich szparkach powiek patrzyły z ciekawością na świat.

Boże! Dobry Boże! Trzyma w ręku życie. Ludzkie życie. Którego był współtwórcą. Za które będzie odpowiedzialny przez długie lata.

Jego dziecko.

Jego córka.

Miłość, myślał Luke, choć nie był całkiem świadom tej myśli, wróciła doń ze zdwojoną mocą, chwyciła w kleszcze jego serce i nie chciała puścić. Miłość, to najbardziej intensywne i najbardziej wzniosłe uczucie, jakie los podarował człowiekowi, jest zarazem czymś przerażającym. Lęk i miłosne uniesienie łączą się ze sobą, są nierozdzielne. Miłość nadaje życiu sens. Nie pogoń za rozkoszą, tylko właśnie miłość. Miłość - najwyższa forma

ludzkich doznań.

Miłość wróciła do niego w postaci małego zawiniątka. Może niezbyt pięknego, ale należącego do niego i Anny. Ich córka. Bezcenny skarb. Po paru minutach, odwróciwszy się od łóżka, przestał widzieć, co trzyma w ręku, oczy zasłży mu mgłą. Czuł jedynie ciepło i lekkość trzymanej na rękach córeczki i słyszał jej kwilenie.

- Luke - dobiegł go drżący i smutny głos żony - bardzo mi przykro.

- Przykro? - zamrugał powiekami i spojrzał na nią przez ramię.

- Może w przyszłym roku będzie syn.

Zrozumiał jej smutek. Był całkowicie uzasadniony. Dlatego się z nią ożenił. Był tak głupi, że wcale się z tym nie krył. Czy zawsze był tak beznadziejnie głupi?

- Anno. - Obrócił się ku niej. Mówił prawie szeptem. - Nie myślę, co będzie za rok. Ważny jest dzień dzisiejszy, ta właśnie chwila. Mamy córkę. Jest piękna. Spójrz na nią. Jest piękna.

- Nie jesteś zawiedziony? - Spojrzała mu w oczy błagalnie, z nadzieją.

- Zawiedziony? - Oddał jej ostrożnie dziecko, usiadł na łóżku i dotknął jednym palcem tłuściutkiego policzka niemowlęcia. - Ja pragnąłem córki, Anno. Powinienem chcieć syna, wiem. Ale w skrytości ducha marzyłem o dziewczynce. Takiej właśnie.

Anna rozplakała się, przykryła dłonią twarz, czyniąc daremne wysiłki, by powstrzymać szlochanie.

- Czy ty naprawdę sądziłaś - zapytał - że będę zawiedziony i może nawet odrzucę ją, bo jest niewłaściwej płci?

W tym momencie Anna przestała wierzyć, że Luke nie będzie kochał swoich dzieci, choć tyle razy jej powtarzał, iż nie jest zdolny do miłości.

Skąd mógł wiedzieć, że jednak jest do niej zdolny? Że pokocha własne dziecko niemal w chwili jego urodzenia? Skąd mógł wiedzieć, że znowu zazna tego cudownego i zarazem groźnego uczucia?

- Byłam taka szczęśliwa - mówiła przez łzy. - Byłam tak bardzo szczęśliwa, kiedy ją urodziłam, kiedy ją zobaczyłam i przytuliłam do siebie. Nic nie było ważne, tylko żeby była żywa i cała. Chciałam, żebyś przyszedł i zobaczył ją, i wtedy przypomniałam sobie...

- Potrzebujesz snu, Anno - rzekł. - Jesteś wyczerpana. Wiedz jednak, że cieszę się z córki, nie ucieszyłbym się bardziej z trójki synów. - Zupełnie nieoczekiwanie roześmiała się cicho. - Przyjdzie czas na synów, moja droga, a jeśli nie, to i tak świat się nie zawali. Jakie mamy jej imię?

- Nie zastanawiałam się nad żeńskimi imionami - odparła. - Byłam przekonana, że

urodzą syna. Catherine? Elisabeth? Isabelle?

- A może Joy? - zapytał. - Lady Joy Kendrick z paroma drugimi imionami, by przydać jej godności. Jak ci się podoba?

- Joy? - Po raz pierwszy uśmiechnęła się do niego. Ten uśmiech Anny, choć trochę łzawy i trochę zalekniony, lecz mimo to promienny. - Dobrze, Joy.

Zanim wstał, znowu dotknął policzka córki, a potem pochylił się i pocałował żonę w usta.

- Dziękuję ci, Anno - powiedział - że dałaś mi Joy. To bezcenny podarunek. Teraz śpij. Przyślę ci pokojówkę.

Jestem wyczerpana, pomyślała po jego wyjściu. Ale chyba nie potrafię teraz zasnąć.

Doznała tylu wzruszeń, tylu emocji, które wciąż przeżywała w głębi duszy. Popatrzyła na dziecko. Na swoją córkę.

Joy. Dał jej na imię Joy. Powiedział, że to bezcenny podarunek. Powiedział, że chciał córki. Nie był ani rozczarowany, ani zmartwiony.

Patrzył na swoją córkę, na Joy, i oczy jaśniały mu takim blaskiem, jakiego nigdy u niego nie widziała. Nie kłamał, żeby sprawić jej przyjemność. Mówił, co czuł.

Pokochał swoją córkę.

Być może, ośmieliła się myśleć, być może w tym tkwi nadzieja na przyszłość. Przyszłość z Lukiem, z synami i z córkami, choć w tym momencie nie wyobrażała sobie powtórzenia tej porannej męki.

Ale zniesie ją - i jeszcze raz, i jeszcze raz, byle tylko mogła odzyskać Luke'a. Od trzech miesięcy panował między nimi chłód. Dziś po raz pierwszy ją pocałował. Może teraz wróci do niej. Może zniknie między nimi ten mur. Była jego żoną i matką jego dziecka. Może już nigdy jej nie opuści.

Taką miała nadzieję.

- O Boże Najświętszy, madame! - powiedziała pokojówka, pod chodząc na palcach do łóżka Anny. - Niech pani nie płacze. Czy jego wysokość surowo się do pani odniósł? W przyszłym roku będzie syn, gotowam przysiąc. A to jest takie maleństwo, taka kruszynka. Za wcześnie bidulka przyszła na świat. Powinna dać pierwszeństwo bratu.

Anna uśmiechnęła się przez łzy do tego swojego małego zawiniątka radości.

- Jeśli ktoś poważy się bić w kościelne dzwony dzisiejszego popołudnia, będzie surowo ukarany - oznajmiła podczas obiadu księżna matka. - Mam nadzieję, że będziesz nad tym czuwał, Lucas.

Zmierzył ją ostrym spojrzeniem.

- Zaleciłem właśnie bicie w dzwony, madame - rzekł - na cześć mojej pierworodnej córki.

- Najpierw powinieneś być przedyskutować to ze mną - powiedziała. - W Bowden Abbey dzwony biją, kiedy narodzi się syn. Wydałeś niewłaściwe polecenie.

- Jak najbardziej właściwe - odparł. - Będą zwiastować, że księżna Harndon powiła dziecko. Ty, madame, ograniczyłaś się tylko do zapytania o zdrowie Anny. Ashley uściskał mi dłoń, Doris pocałowała, Agnes dygnęła wdzięcznie, ale wszyscy spoglądali na mnie jak gdyby w obawie, że okażę zbyt dużą radość. Henrietta wyraźnie mi współczuła. Służba miała grobowe miny, jakby w domu ktoś umarł. Tylko Emilia uściskała mnie serdecznie, pocałowała i była roześmiana. Powiedziała oczami, że cieszy się razem ze mną.

- Emilia nie rozumie - powiedziała Henrietta słodkim głosem - jak ważne jest dla mężczyzny z twoją pozycją, Luke, posiadanie następcy. Biedna Anna, wyobrażam sobie, jak jest zasmucona. Postaram się ją pocieszyć.

- Mam nadzieję - wtrąciła księżna matka - że za rok wypełni swój obowiązek.

- Czy wobec tego - zaczęła Doris - dzwony dzwoniły w kościele, kiedy urodzili się George, Luke i Ashley, a nie dzwoniły, gdy ja przyszedłam na świat?

- Zadzwoń na twoim ślubie, Dor - powiedział Luke, a ona spojrzała nań zdumiona, że nazwał ją zdrobnionym imieniem, jakim zwracał się do niej, gdy była małą dziewczynką. - I będą dzwonić, gdy urodzą mi się kolejne dzieci, bez względu na ich płeć. Na górze jest Anna z dzieckiem. Z naszą córką, której nie zamieniłbym na tuzin synów. Wyślę listy do Tea i lady Sterne, i Royce'a, i trzeciej siostry Anny, zawiadamiając ich o narodzinach córki i wyrażając nadzieję, że przyjadą na uroczystość chrzcina.

- W końcu, Luke - odezwał się Ashley z uśmiechem - ty masz już następcę. Choć zapewniam cię po stokroć, że nigdy nie aspirowałem do twego tytułu.

- Nie mam na razie żadnych małżeńskich planów - oświadczyła Doris, patrząc podejrzliwie na Luke'a.

- Ale będziesz miała - odrzekł, spoglądając na siostrę. - Nie ulega dla mnie kwestii, że najbardziej uroczą i najbardziej godną miłości pannę w okolicy prędzej czy później dosięgnie strzała Kupidyna.

Zaczerwieniła się z zadowolenia i spuściła wzrok.

- A ty, Cotes - zwrócił się do kamerdynera, stojącego wraz z lokajem przy kredensie - podczas obiadu dla służby otworzysz trzy butelki wina i wzniesiesz toast za zdrowie lady Joy Kendrick. Poinformujesz ludzi, że uczczą w ten sposób urodzenie się mojej córki. Jeśli jutro rano ujrzę u kogoś ze służby ponurą minę, zwolnię tego kogoś wraz z jego przełożonym.

Zrozumiano?

- Tak jest, wasza wysokość - mruknął kamerdyner i godnie skłonił głowę.

Co powiedziawszy, Luke wstał od stołu, a za nim reszta rodziny. Nie pozwalał damom opuszczać miejsca wcześniej, wyjąwszy spotkania towarzyskie. Oświadczył wszem i wobec, że obowiązki nie rządzą jego życiem i nie przedkłada ich nad radość - tak, to najwłaściwsze słowo. Radość wyraża więcej niż przyjemność. Sama przyjemność stwarza pustkę, jest to uciecha bez emocji. Radość natomiast... jest wszystkim. Radość daje początek miłości, szczęściu, towarzyszą jej czułość i wrażliwość, a także lęk i ból.

Uświadomił sobie jasno, że miłość pokonała wszystkie bariery, jakie wznosił konsekwentnie i z samozaparciem w ciągu ostatnich dziesięciu lat. W tej jednej chwili - gdy po raz pierwszy spojrzął na swoją córkę - coś w nim pękło i poczuł, że kocha tę swoją małą Joy tak bardzo, tak gorąco, że było to bolesne.

Przeraziło go to, ponieważ poczuł nieznaną dotąd potrzebę dzielenia się tym uczuciem. Poleciał, by rozdzwoniły się dzwony kościelne, mimo iż od swego powrotu do Bowden nie był nawet w pobliżu świątyni. Miał też pretensję do rodziny, że tak chłodno przyjęli radosną nowinę i że ich gratulacje były tak zdawkowe. I poczuł przyływ czułości wobec Ashleya i Doris, pragnął zakopać przepaść, jaka ich dzieliła. Uświadomił sobie, że w ciągu ubiegłych ośmiu miesięcy rozmawiał z nimi zaledwie parę razy.

I Anna... Przez trzy miesiące trzymał się od niej z daleka. Tyle tylko, że byli wobec siebie uprzejmi. Obowiązek pozostał - przyjemność znikła. Chciał, żeby było jak dawniej i może jeszcze... Na pewno winno łączyć ich coś więcej niż poczucie obowiązku i przyjemność fizycznego obcowania.

Narodziny dziecka uczyniły wyłom w murze, jakim się otoczył, i sprawiły, że mur ten runął. Luke czuł się teraz bezbronny, osaczony i przerażony. Nie był jeszcze pewien, czy odkryte na nowo pokłady uczucia w jego sercu nie są przeznaczone jedynie dla dziecka.

Po wypiciu herbaty w salonie przeprosił rodzinę i poszedł na górę do żony. Pod listwą drzwi widoczna była linia światła. Zapukał delikatnie i poczekał, aż pokojówka wpuści go do środka.

- Możesz już iść, Penny, i zjeść obiad razem ze służbą - powiedział. Dygnęła i wyszła, on zaś przekroczył po cichu próg, obawiając się, że może obie jego niewiasty pogrążone są we śnie. Anna siedziała jednak wsparta o poduszki, z córką przy piersi. Zarumieniła się i uśmiechnęła na jego widok, podczas gdy on przysiadł ostrożnie na brzegu łóżka. Patrzył na nią chwilę, a potem spojrzął na dziecko. I znowu to wszechogarniające uczucie miłości.

- Marudziła - rzekła Anna. - Sądziłam, że jest głodna, ale chyba nie. Małe usteczka

obejmowały sutek matki, lecz dziewczynka nie ssała.

- Jest taka spokojna - powiedział Luke.

- Odpowiada jej taka pozycja... Przykro mi, Luke, że przyszedłeś w takim momencie.

Wyglądasz tak wspaniale. Masz na sobie strój, w ja kim cię poznałam.

Podczas obiadu nikt nie skomentował jego wyglądu, ale kilkoro spośród rodziny patrzyło na niego pytająco: tak wykwintnie przyodziany spożywa zwykły, codzienny obiad. Być może nie rozumieli, dlaczego czuł potrzebę ubrania się tak uroczyście. Nie użył jednak kosmetyków - musiał, niestety, zrobić ustępstwo na rzecz wiejskich obyczajów.

- A ja przecież... sam widzisz - rzekła z zażenowanym uśmiechem.

- W tej zielonożłotej sukni, madame, wyglądałaś bardzo pięknie - powiedział. - Ale stokroć piękniej wyglądasz dziś.

- Ojej... - roześmiała się uszczęśliwiona - co za galanteria, wasza wysokość! Słyszysz, Joy, jak twój tatuś komplementuje mamę?

Dziewczynka nie sprawiała wrażenia zainteresowanej odpowiedzią. Dobrze jej było przy piersi matki.

- Dziś po południu dzwoniły dzwony w wiejskim kościele - rzekł. - Służba piła wino do obiadu. Jutro wyślę do wszystkich członków rodziny i do twojej chrzestnej matki zaproszenia na uroczystość chrztu.

Sam przywdzieję na tę okazję szkarłatny surdut i złotą kamizelkę. Nie codziennie zostaje się po raz pierwszy ojcem. Oparła głowę o poduszki i uśmiechnęła się.

- Luke... - zaczęła. Nabrała oddechu, by powiedzieć coś więcej, ale potrząsnęła tylko głową.

- Mogę? - wyciągnął drżące z lekka ręce i wziął dziecko w ramiona. Z uśmiechem spoglądał na córkę.

- Te czerwone plamki już zaczęły znikać - rzekła Anna.

- Plamki? Dla mnie nawet z plamkami była piękna.

Anna patrzyła na męża zdumionymi i rozmarzonymi oczyma.

Powrót Luke'a do Bowden Abbey położył kres złotej wolności Laurence'a Colby'ego. Przez pięć lat rządził majątkiem, jak chciał. Poprzedni książę Harndon był człowiekiem nieszczęśliwym i przejawiał nikłe zainteresowanie swoją posiadłością; a przez ostatnie dwa lata Lucas książę Harndon mieszkał w Paryżu i nie obchodziły go ani rodzina, ani jego włości.

Trudno było Colby'emu przystosować się do sytuacji, w jakiej zna laż się po powrocie księcia, który, ku jego zdumieniu, zabrał się z ogromną energią do rozwiązywania problemów

majątku i miał własne, dość szokujące pomysły na temat zarządzania nim. Pomysły wymagające sporych pieniędzy, których on, Colby, tak pilnie strzegł. Pomysły, które przy nosiły korzyść dzierżawcom, a nie majątkowi.

Był człowiekiem na wskroś uczciwym i trudno mu było postępować wbrew sobie. Gdy więc zaoferowano mu pracę gdzie indziej, w majątku oddalonym o osiemdziesiąt kilometrów, podjął ją, mimo iż nie łączyło się to z wyższymi zyskami. Pieniądze nie były dla niego najważniejsze, był ambitny i nie lubił, by ktoś mówił mu, co ma robić. Tak więc w połowie marca złożył wypowiedzenie. Była to pora najmniej stosowna, gdyż na farmach zaczynały się właśnie najcięższe prace wiosenne.

Luke znalazł się w trudnej sytuacji. Choć włączył się czynnie w sprawy dotyczące majątku, jednak, prawdę mówiąc, niewiele się na tym znał. Któregoś ranka wszedł do swego gabinetu i aż ciarki przeszły mu po plecach. Obok jego biurka leżała na podłodze cała sarta różnych pism i ksiąg rachunkowych. Nie wiedział, co ma z tym wszystkim robić. Miał tylko jedno wyjście - znaleźć nowego, doświadczonego zarządcę. Musi pojechać do Wycherly, może Will będzie miał kogoś na podorędziu; był wszak człowiekiem, który wiedział wszystko na temat gospodarowania.

Wejście żony przerwało te rozmyślenia.

- Śpi? - zapytała.

- Co takiego? - Spojrzał na córkę, którą kołysał w ramionach. Fakt, że często nosił ją na rękach, wprawiał w zakłopotanie zarówno rodzinę, jak i służbę. Ojcom wręcz nie wypada przebywać z dzieckiem dłużej niż parę minut dziennie, wyjaśniła mu jego matka, gdy któregoś popołudnia przyjął gości, trzymając na ręku Joy. - No proszę, zasnęła z nudów, gdy przestałem z nią rozmawiać. Widziałaś kiedyś taki bałagan, Anno? - Wskazał oczami biurko i stos ksiąg na podłodze.

Anna wzięła od niego dziewczynkę.

- Zniosę Joy do jej pokoju - rzekła. - Wiesz przecież, co matka sądzi o rozpieszczaniu dzieci częstym noszeniem ich na ręku? - Uśmiechnęła się do męża. - Biedny Luke. Bardzo nieładnie ze strony pana Colby'ego, że tak nagle nas opuścił. Pomyślałeś może o Ashleyu?

- O Ashleyu? - Spojrzał na nią, zmarszczywszy brwi.

- Doris mówiła mi, że po twoim wyjeździe, gdy pan Colby był na urlopie, Ashley zajmował się majątkiem. Ostatnio, jak wiesz, wiele czasu spędza z Williamem, a to chyba o czymś świadczy.

Nie wiedział. I dlaczego, do diabła, jego żona rozmawiała na ten temat z Doris?

- Sugerujesz, że powinienem zwrócić się o pomoc do mego brata? - zapytał.

- A od czego ma się rodzinę?

Ale jego rodzina nie była normalna. Jak mógłby prosić o pomoc właśnie Ashleya? A może byłaby to dobra okazja do porzucenia rodzinnych waśni? Od trzech tygodni, czyli od narodzin Joy, bracia krążyli wokół siebie ostrożnie, wymieniając zdawkowe uwagi. Luke miał żal do Ashleya, że tegoż wieczoru zwrócił się do niego z uśmiechem, mówiąc, że przecież on, Luke, ma następcę w jego osobie. Lecz nazajutrz młodszy brat ciepło uściskał mu dłoń i powiedział, że cieszy się szczerze jego szczęściem.

- Nie ruszy palcem, by mi pomóc - rzekł Luke do Anny.

- Skąd wiesz? - zapytała. - I nie dowiesz się, póki go nie zapytasz. Zapytaj go, Luke, proszę cię.

Wiedział, że Anna ma na względzie jego dobro, ale pragnie także poruszyć jego sumienie, nakłaniając go do czegoś, do czego on sam nie ma przekonania. Wypisz wymaluj Teo.

Dostrzegł Ashleya, gdy wraz z Emilią wyłonili się spośród drzew i szli przez trawnik. Trzymał ją za rękę. W drugiej ręce dziewczyna niosła bukiet zonkili. Śmiali się, a śmiech Emilii brzmiał dziwnie, trochę nieporadnie.

- Chciałbym z tobą porozmawiać, Ashley - powiedział Luke, gdy byli już na tyle blisko, że Emilia mogła wyczytać słowa z jego ust. - Jeżeli masz ochotę, Emilio, to idź na górę popatrzeć na Joy, póki Anna jest przy niej.

Uśmiechnęła się do niego uszczęśliwiona i pobiegła w stronę domu. Ashley spoglądał na Luke'a podejrzliwie.

- Co takiego zrobiłem? - zapytał. - Mną masz groźną. Może wolałbyś rozmawiać ze mną zza biurka?

- Nie widziałbym ciebie zza stosu książek Colby'ego. Potrzebna mi twoja pomoc, Ash.

Brat uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Na Boga - rzekł - od lat nie używałeś wobec mnie tego zdrobnienia. - Zachmurzył się. - Na czym ta pomoc miałaby polegać?

- Czy widziałbyś siebie w charakterze zarządcy?

- Chcesz, żebym zajął miejsce Colby'ego? - zapytał Ashley, wyraźnie zaskoczony.

- Jeśli uważasz, że dasz sobie radę. I jeśli zechcesz. Nic cię do tego nie obliguje.

- Oto cały problem mojego cholernego życia - powiedział. - Nic ani nikt do niczego mnie nie obliguje. Każdy natomiast czuje się zobligowany do opieki nade mną. Mam czasem ochotę strzelić sobie w łeb.

- Przestań! - rzekł ostro Luke.

- Przypuszczam - ciągnął Ashley - że gdyby teraz ktoś mi to zasugerował, zostałbym nawet pastorem albo wstąpił do armii.

- Nikt cię do niczego nie zmusza - powiedział Luke. - Porozmawiamy jeszcze o tym, co by ci naprawdę odpowiadało i co nadałoby sens twojemu życiu. A na razie mógłbyś mi pomóc, póki nie znajdę kogoś na miejsce Colby'ego. Co ty na to?

Ashley skinął powoli głową.

- Prawdę mówiąc - rzekł - zawsze ciekawiło mnie prowadzenie interesów. Wspomniałem kiedyś ojcu o Kampanii Wschodnioindyjskiej, a on się wściekł. Żaden z jego synów... Reszty możesz się domyślić. Marzyłem o wyjeździe do Indii.

Luke spojrzał na niego przenikliwie.

- Mówisz w czasie przeszłym? Ashley wzruszył ramionami.

- Musimy się nad tym poważnie zastanowić - rzekł Luke. - A czy na razie zgodzisz się mi pomóc? - Uniósł pytająco brwi.

Na twarzy Ashleya pojawił się uśmiech.

- Czy masz tutaj wszystkie księgi i rachunki? - zapytał. - Przejrzę to. Colby, na moją prośbę, wiele rzeczy mi wyjaśnił. Zgodą pomogę ci, Luke.

Luke wyciągnął do niego rękę i po chwili wahania brat podał mu swoją. Był to mocny i serdeczny uścisk dłoni.

- Od mojego powrotu, Ash - zaczął Luke - zachowywałem się idiotycznie. Dasz mi jeszcze jedną szansę?

Ashley roześmiał się.

- Gdyby ojciec był na twoim miejscu, albo nawet George, dostało by mi się od nich. I przyjąłbym to z pokorą, bo zasłużyłem sobie na naganę. Twoja pogarda była czymś znacznie gorszym, tym bardziej że się tego po tobie nie spodziewałem. Ale odniosła skutek. Czy ty dasz mi jeszcze jedną szansę?

Luke poklepał go po ramieniu.

- Tak, od zaraz - odparł. - W moim gabinecie, mój drogi. Och, przepraszam, mój bracie.

Przez dwa miesiące po urodzeniu dziecka Anna żyła jakby z zapartym tchem. Były to bardzo pracowite i bardzo szczęśliwe miesiące.

Listy nie nadchodziły.

Może zmęczył się tym ciągłym nękaniami jej osoby, myślała. A może, kiedy urodziło się dziecko, zdał sobie wreszcie sprawę, że ją stracił.

Nie wierzyła w to jednak ani przez chwilę.

Lecz próbowała udawać, że wierzy. I czasami jej się to udawało.

Ślub Agnes miał się odbyć tydzień po chrzcinach Joy, aby zaproszeni na chrzciny goście, którzy przyjadą z daleka, mogli uczestniczyć również w drugiej uroczystości. Anna cieszyła się, że zobaczy Wiktora i Konstancję, Charlotte i jej męża, ciotkę Marjorie i lorda Quinna.

Lecz nie przygotowania do ich przyjazdu ani nawet fakt, że listy przestały nadchodzić, były powodem jej szczęścia. Czuła, że długa i jakże ciężka do zniesienia separacja z Lukiem skończy się lada dzień. Połączyło ich dziecko. Nierzadko, gdy przychodziła do pokoju dzieciennego, by nakarmić Joy - Luke bawił się z małą a gdy była głodna, starał się ją pocieszyć. Raz - ku wyraźnej konsternacji niańki - przewinął dziewczynkę. I prawie zawsze obserwował, gdy Anna ją karmiła.

Kochał córkę. Anna szalała ze szczęścia, ale zarazem czuła coś w rodzaju zazdrości. Gdybyż patrzył na nią tak, jak patrzy na Joy!

Lecz była szczęśliwa. Luke rozmawiał z nią częściej niż zazwyczaj, i to nie tylko o błahostkach. Zastanawiała się niekiedy, czy on zdaje sobie sprawę z tego, że teraz nareszcie traktuje ją jak żonę.

Rozmawiał z nią o tym, że po chrzcinach księżna matka i Doris pojedą do Londynu, o staraniach, jakie poczynił, by znaleźć nowego zarządcę, by Ashley mógł rozpocząć działalność w Kampanii Wschodnioindyjskiej. No i to cudowne popołudnie, kiedy poszli wraz z Joy na spacer do wodospadu, a Luke opowiadał Annie o swoim dzieciństwie.

- Byliśmy zawsze skorzy do psot - mówił. - Zabroniono nam oczywiście zbliżać się do wody, więc brodziliśmy w niej, by się przekonać, czy wodospad nie zwali nas z nóg. Gdy podrosłem i wiedziałem już, że Ashleyowi nic się nie stanie, zachęcałem go nawet do tego.

- A George zachęcał cię? - zapytała. Chwila ciszy.

- Chyba tak... To były szczęśliwe dni - ciągnął. - Chciałbym, Anno, żeby nasze dzieci też zaznały takiego szczęścia.

Wyrzucił z siebie te słowa, jakby były wyznaniem miłości, jak gdyby tymi słowami gwarantował jej bezpieczną przyszłość. Potem wstał, oddał dziecko żonie i odszedł, by narwać żonkili.

- Madame. - Złożył jej oficjalny ukłon, choć ubiór miał nieoficjalny. - Te kwiaty pasują do twego promiennego uśmiechu. - Położył je na ramieniu Anny, biorąc ponownie Joy na rękę.

- Wasza wysokość. - Przyłożyła dłoń do serca. - Pochlebiasz mi. - Uśmiechnęła się lekko, a w duchu rozpieła ją radość.

Pragnęła, aby to popołudnie nigdy się nie skończyło.

Luke przed chrzcinami córki i ślubem swojej szwagierki przeżywał radosne i gorączkowe dni. Brat Anny z żoną i siostra Anny z mężem przyjechali tego samego wieczoru. Lady Sterne i wuj lord Quinn - dnia następnego. Dom nagle wypełnił się śmiechem i gwarem.

Luke był zaskoczony, że sprawia mu to taką przyjemność. Co prawda w Paryżu zwykł przebywać w licznych towarzystwach, lecz cieszył się tym powierzchownie. W głębi duszy było mu obojętne, z kim się spotyka i co robi.

A teraz, otoczony liczną rodziną, cieszył się, że nie jest mu to obojętne. Radowała go świadomość, że jest członkiem tej rodziny.

- Brawo, chłopcze - powiedział wuj, klepiąc go po ramieniu. - Jestem z ciebie dumny. Zawsze wiedziałem, że wystarczy lekka zachęta z mojej strony i wrócisz tu, by spełniać swoje obowiązki.

- Nie brak mi ich, mój drogi - rzekł Luke, zażywając odrobinę ta baki. - Niech nikt nie waży się powiedzieć, że nie spełniam, skoro splodziłem swoją pierworodną.

Lord Quinn roześmiał się serdecznie.

- Owszem, ale musisz dalej ćwiczyć. Najpierw dziewczynka, potem chłopiec. Nie zwlekaj.

W tym rozgardiaszu Luke czuł się tak, jakby pozbawiono go córki. Przechodziła z jednych kobiecych rąk w drugie, podczas gdy następne czekały już na swoją kolej. Lecz jedynie on - i oczywiście Anna - potrafili wywołać uśmiech na jej buzi. Ona się po prostu krzywi, powiedziała księżna matka, gdy Luke był na tyle niemądry, by pochwalić się tym przed nią. Nie miał jednak wątpliwości - podobnie jak Anna - że ich córeczka uśmiecha się tylko do mamy i taty.

Czasami Luke sięgał myślą do przeszłości i zastanawiał się, czy on w Paryżu i on teraz, tutaj, to jedna i ta sama osoba.

Obecnie spędzał czas, jak czyniłaby to większość tatusiów, gdy w domu pełno jest

ciotek i babć gotowych zabawić dziecko - pracował albo cieszył się towarzystwem brata, szwagrow i wuja. No i Willa, który wyglądał tak, jakby miał na szyi za mocno zaciśniętą chustę.

Parę dni przed chrzcinami spotkał Henriettę. Stała na moście, a on nadjeżdżał od strony wsi. Patrzyła na wodę - i był to dość malowniczy, acz przesycony melancholią widok. Czuł się w obowiązku zsiąść z konia i porozmawiać z nią. Od pewnego czasu sprawiała wrażenie osoby pogrążonej w depresji. Luke przypuszczał, że narodziny Joy przypomniały jej o własnej tragedii.

Było mu przykro z tego powodu i poniekąd czuł się winny, że jego powrót uczynił ją jeszcze bardziej nieszczęśliwą. Rozmawiali przez parę minut i nim odjechał, zerwał dla niej rosnącego na skarpie żonkila.

W drodze powrotnej zastanawiał się, czy gdyby nie historia z George'em kochałby ją do tej pory. Możliwe, że tak.

Henrietta odprowadziła go wzrokiem. Zmięła kwiat, nawet na niego nie spojrzawszy. W jej obecnym życiu był tylko jeden jasny punkt. Choć niewielka była to pociecha, odczuwała radość z tego, że dziecko okazało się dziewczynką. Anna tym razem zawiodła. I może następnego razu nie będzie. Być może przedtem ona, Henrietta, okaże się brzemienna.

Rozbójnik Henrietty przed paroma miesiącami zniknął równie nagle i tajemniczo, jak się pojawił. Raz w tygodniu spotykali się i kochali, ale nadszedł tydzień, gdy rozbójnik się nie pojawił. Od tej pory wszelki słuch o nim zaginął.

A Anna wciąż była panią na Bowden.

Luke zaś wciąż trzymał się od Henrietty z daleka, uprzejmy i obojętny.

Nie chciała wyjechać do Londynu na otwarcie sezonu, choć Luke namawiał ją do tego. Czyżby nie miał za złe, gdybym powtórnie wyszła za mąż? - pomyślała z goryczą. Nie, należą przecież do Bowden. Tak było i będzie.

Luke po raz pierwszy przestąpił progi kościoła z okazji chrztu córki. Kroczył wijącą się brukowaną ścieżką, wpatrzony w Joy, spoczywającą w ramionach żony. Dopiero wewnątrz świątyni uniósł głowę i rozejrzał się dokoła.

Otoczony rodziną, z żoną i córką przy boku, przypomniawszy sobie, jak wielką niechęć żywił do małżeństwa, żyjąc w Paryżu, i z jaką niechęcią już w Londynie myślał o ewentualnych zaręczynach. Ujrzał jednak Annę i stracił kontrolę nad własnymi postępami.

Nie żałował. Zastanawiał się nad tym prawie przez cały czas trwania nabożeństwa. Nie, nie popełnił błędu. Niczego nie żałował.

Jeszcze jedna myśl towarzyszyła mu w tej doniosłej chwili, choć starał się ją odpędzić.

Jego rodzina nie była pełna. Brakowało ojca i George'a. Leżeli na przykościelnym cmentarzu.

George. Jak mogłeś tak postąpić, George? Kochałem cię. Byłeś dla mnie wzorem.

Joy zaprotestowała głośno, gdy polano wodą jej główkę. Jej ojciec patrzył na nią z uśmiechem, a serce, niemal aż do bólu, przepęłniała mu miłość.

Luke przestąpił progi kościoła również w następnym tygodniu, z okazji ślubu swojej szwagierki. Tym razem zniósł to lepiej. Ceremonia nie dotyczyła jego rodziny, tylko rodziny Anny i Henrietty.

Śniadanie poślubne odbyło się w Bowden Abbey; było bardzo wesoło i uroczyście. Agnes - spokojna, nieśmiała, mała Agnes, której przez rok jej pobytu w Bowden Luke prawie nie zauważał, promieniała szczęściem, a na swojego nowo poślubionego małżonka patrzyła z nietajonym uwielbieniem. Will, elegancki i wyraźnie skrupowany w galowym surducie, haftowanej kamizelce, pantoflach ze sprzączką i peruce ujętej z tyłu w węzeł - nabył to wszystko za poradą Luke'a - odwzajemniał się żonie tym samym spojrzeniem, pełnym zachwyty, i miłości.

Po nocy poślubnej i dniu spędzonym w Wycherly nowożeńcy wybierali się w wielką podróż. Nowy dzierżawca Wycherly, pułkownik Henry Lomax, miał w ciągu tygodnia sprowadzić się do rezydencji. Wieczorem w dniu wesela w Bowden Abbey miał odbyć się bal. Goście z sąsiedztwa udali się przedtem do domów, by przebrać się w stroje balowe, rodzina zaś i przyjaciele mieli parę godzin na odpoczynek.

Luke i Anna spędzili ten czas w pokoju dzieciennym, lecz Anna wyszła od córki wcześniej i udała się do sali balowej, aby sprawdzić, czy wszystko zostało należycie przygotowane. Luke uprzytomnił sobie, że będzie to ich pierwszy wielki bal od przyjazdu z Londynu. Tamte bale miały w sobie magię. Ciekawe, myślał, czy coś z tej magii przeniesie się na dzisiejszą noc.

Luke ubrany był w ciemną czerwień i złoto, nowy strój, zamówiony w Paryżu. Choć czynił ustępstwa na rzecz angielskiej wiejskiej mody, nie miał jednak zaufania do angielskich krawców i ubolewał nad kreacjami noszonymi przez tutejszych znajomych. Gdy był już ubrany, jego wzrok powędrował na najwyższą półkę. Czy powinien? Jego sąsiedzi będą wstrząśnięci, gdy ujrzą róż i puder na jego twarzy. Ale od kiedy to obchodzi go, co mówią inni? Czas spędzony w Paryżu wydał mu się nagle odległą epoką...

Gdy miał już wejść do garderoby Anny, by poprowadzić ją na dół, przystanął chwilę z ręką na klamce. Uśmiechnął się. No cóż. Jeśli jego goście padną ofiarą zbiorowej apopleksji, to ich problem. Przynajmniej Teo szczerze się tym ubawi. Anna również.

Zawrócił po swój wachlarz z kości słoniowej i wsunął go do kieszeni. Anna miała na

sobie ciemnoróżową suknię z dużym dekoltem, haftowany srebrem szal i usztywniony w talii stanik. Włosy - starannie ufryzowane i upudrowane. Wstała, gdy wszedł, i uśmiechnęła się radośnie.

- Madame. - Ujął jej rękę w obie dłonie i nisko się nad nią pochylił. - Twoja uroda mnie oszałamia.

- A ty, wasza wysokość - rzekła z błyskiem w oczach - znowu zamówiłeś strój w Paryżu. To nieładnie wobec innych dżentelmenów, którzy będą obecni na balu. Oni ubierają się według angielskiej, wiejskiej mody.

- Ale ja, madame, nigdy do żadnej mody się nie stosuję. Mój krawiec zaręczył mi słowem, że to, co mam na sobie, wyprzedza modę o trzy miesiące. Nawet paryżanie tak się jeszcze nie ubierają.

- Zapomniałeś wachlarza. - Uśmiechnęła się.

- Nie, madame. - Wyciągnął go z kieszeni i dotknął nim delikatnie końca jej nosa. - Przyłączamy się do naszych gości? - Wykonał głęboki ukłon i ofiarował żonie ramię.

Nie jest zakochany, mówił sobie w duchu, gdy schodzili ze schodów. Był zaskoczony tym, jakie wrażenie zrobił na nim jej wygląd. Była po prostu świetnie ubrana, dzięki czemu wyglądała piękniej niż zwykle. Ciekawe, myślał, czy tego wieczoru będzie go uwodzić, jak zwykła to czynić w Londynie. Miał nadzieję, że tak będzie. I zastanawiał się, czy po balu owo uwodzenie będzie miało finał w sypialni.

Gdy byli już na dole, spojrzał na nią ukradkiem. Usta miała z lekka rozchylone, oczy jej błyszczały. Wyglądała jak panienska udająca się na swój pierwszy bal.

Była to jedna z tych czarownych nocy, którą Anna wspominała później z pełną goryczy nostalgią. Od ich powrotu zarówno w Bowden, jak i u sąsiadów odbywały się wieczorki tańcujące, ale ten bal był jedyny w swoim rodzaju. Kandelabry jaśniały setkami świec, w sali balowej pełno było kwiatów - ogrodowych i tych z cieplarni. Ich zapach roznosił się w sali niczym w oranżerii. Na galerii grała orkiestra.

W balu uczestniczyła cała rodzina. Wszyscy byli bardzo szczęśliwi. Agnes, obecnie lady Severidge, jaśniała wewnętrznym blaskiem, na poły ze szczęścia, na poły z przepełniających ją emocji. Była też Emilia, siedziała koło Charlotte, której mąż zabronił tańczyć, gdyż spodziewała się dziecka. Dziewczynka rozglądała się wokół z zaciekawieniem, błyszczącymi oczyma, które rozbłysły jeszcze bardziej, gdy podszedł do niej Ashley, by chwilę pogawędzić.

Ale najbardziej cudowne było dla Anny to, że Luke flirtował z nią, tak jak to czynił na balach londyńskich. Wprawdzie zaprosił ją do pierwszego tańca lecz jako gospodarzom nie

wypadało im spędzać razem zbyt wiele czasu. Anna nie była jednak zawiedziona. Obydwoje tańczyli cały wieczór z różnymi partnerami, bawili gości rozmową, a w przerwach między tańcami zabiegali o to, by wszyscy czuli się dobrze. Lecz niemal przez cały czas patrzyli na siebie, Anna roześmianymi oczyma, Luke - uwodzicielsko.

Anna bez żenady pomagała sobie wachlarzem - chłodziła się nim, gdy pochwyciła spojrzenie Luke'a, unosila go powyżej ust, gdy nie odrywał od niej wzroku. On też używał swego; powoli wachlował twarz, a jego oczy bezwstydnie błędziły po jej ciele.

Zabawne, pomyślała, gdyby ktoś ich obserwował - a wspaniały strój Luke'a przyciągał spojrzenia - pomyślałby, że są niespełna rozumu. Byli małżeństwem prawie od roku, na górze w pokoju dziecinnym spało ich dwumiesięczne dziecko, a uwodzili się wzajemnie, jak gdyby dziś wieczór spotkali się po raz pierwszy. To było niewyobrażalnie cudowne.

- Uwierz mi, moje dziecko - zaczęła lady Sterne, obejmując Annę, która właśnie do niej podeszła - że gdybym zapytała osobę postronną czyje to jest wesele, odpowiedziałaby mi, daję za to głowę, że twoje i Luke'a.

Anna spłonęła rumieńcem. Zatem ktoś zauważył ich spojrzenia.

- Ależ, ciociu Marjorie...

Chrzestna matka ścisnęła ją za ramię, nie dając jej dokończyć.

- Serce we mnie rośnie, moje dziecko - powiedziała. - Bo ja wymyśliłam to małżeństwo. Razem z Teodorem. A był to problem nie lada. Ty byłaś w ogóle przeciwna małżeństwu. Tak samo Harndon. Serce we mnie rośnie. Gotowam przysiąc, że jesteście zakochani w sobie po uszy.

Wcale tak nie jest, pomyślała Anna z żalem. Z jej strony miłość, a z jego - pewnie tylko flirt. Chociaż ostatnio... Nie pozwoliła jednak, by smutne rozmyślenia zepsuły jej humor, i w dalszym ciągu bawiła się znakomicie.

Po kolacji, a przed kolejną rundą tańców, państwo młodzi udali się do Wycherly powozem przystrojonym serpentynami wstążek, o co postarał się Ashley i paru młodzieńców z sąsiedztwa. Wszyscy balowicze wyszli przed dom, by pomachać państwu młodym na pożegnanie.

Anna uściskała bliską płaczu i rozemocjonowaną Agnes i zaczerwienionego po korzonki włosów i nie mniej rozemocjonowanego Williama. Nie takiego małżonka wybrałaby dla siostry Anna, jednak najwyraźniej było to małżeństwo z miłości. Jej druga siostra zrobiła dobrą partię i z radością oczekuje teraz dziecka. Annie mignęła jej sylwetką gdy młody małżonek pomagał Agnes wsiąść do powozu. Poczula wtedy w swojej dłoni szczupłą rączkę Emilii, a w tym samym momencie na jej ramieniu spoczęła ciepła, duża dłoń Luke'a.

Nikt spośród rodziny nie zdawał sobie w pełni sprawy z tego, jak wiele znaczy dla Anny fakt, że jej brat i obie siostry ułożyli sobie pomyślnie życie. Wszyscy chyba sądzili, że jej łyzy są tylko wynikiem wzruszenia. Ścisnęła rękę Emilii i uśmiechnęła się do męża.

Gdy zaczęły się tańce, Anna wymknęła się na górę, by nakarmić Joy.

Dwa ostatnie tańce zatańczyła najpierw z Ashleyem, potem z Quinnem.

- Na Boga - rzekł lord - nigdy nie zapomnę tej nocy, gdy mając tylko dwa ramiona, prowadziłem trzy urocze damy. A teraz dwie z nich wyszły już za mąż i opuściły mnie.

- Ale nie opuściła cię za to ciotka Marjorie - odparła Anna z uśmiechem.

- Boże broń - powiedział, chichocząc. - Masz absolutną rację, dziewczyno.

Anna od dawna podejrzewała, że jej chrzestną matkę i wuja Luke'a łączą nie tylko przyjacielskie stosunki.

Bal się skończył, według Anny o wiele za wcześnie, choć przeciągnął się znacznie dłużej, niż nakazywał wiejski obyczaj. Luke i Anna odprowadzili gości na podjazd, a tym, którzy zatrzymali się u nich w domu, życzyli dobrej nocy. Wrócili potem do sali balowej, aby pochwalić służbę za dobrze wykonaną pracę i zalecić im, by szli spać, a sprzątanie zostawili na jutro.

Wszyscy już byli w łóżkach, gdy Anna, wsparta o ramię Luke'a, wchodziła po schodach na górę. Oboje byli spięci. Oboje pragnęli, aby ta noc jeszcze się nie skończyła.

U drzwi garderoby Luke pochylił się nad dłonią Anny, tak jak to uczynił przed balem.

- Jesteś zmęczona? - zapytał. Owszem, była zmęczona.

- Trochę - rzekła z uśmiechem.

- Obiecałem ci wolność i uznałem twoje prawo do prywatności - powiedział. - Jeszcze przez dwa miesiące.

- Tak. - Ledwo słyszała swój własny głos.

- Życzysz sobie, żebym dotrzymał obietnicy? - Spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie.

Uniósł jej dłoń do pocałunku.

- Mogę za chwilę do ciebie przyjść?

Skinęła głową i weszła do garderoby. Penny już na nią czekała. Anna nie powiedziała słowa ani się nie obejrzała. Z wysiłkiem nabrała powietrza w płuca.

Z wyjątkiem nocy poślubnej Anna zawsze oczekiwała męża nago. Dziś była jednak w koszuli i czuła się jak panna młoda. Pomyślała przez chwilę o Agnes, która na pewno jest już teraz żoną. Kochała tego swojego Williama, a on ją. Będzie z nich dobre małżeństwo.

Stała przy oknie, a gdy skrzypnęły drzwi garderoby, obejrzała się - Luke wchodził

właśnie do jej sypialni. Miał na sobie niebieski jedwabny szlafrok. Włosy, starannie uczesane, bez pudru, opadały mu na ramiona. Cieszyła się, że jej mąż nie uległ modzie i nie zgolił głowy pod perukę. Lubiła jego włosy.

- Anno. - Uściskał mocno jej rękę. - Uważasz mnie chyba za głupca, że tak długo trzymałem się z dala od ciebie. - Patrzył na nią z uwodzicielskim błyskiem źrenic.

- Nie - odparła. Nie próbowała nawet ukryć miłości i pożądania, jakie płonęły w jej oczach.

Przyciągnął ku sobie jej ramiona, tak że musiała postąpić krok do przodu. Dotykała jego piersi, bioder, ud. Czowała, że jest gotów. Pocałował ją, rozchylił językiem jej wargi. Był to bardzo długi pocałunek.

- Tęskniłem za tobą - rzekł.

- A ja za tobą.

Jego język wywołał w niej dreszcz pożądania.

- Nasze małżeństwo miało się zasadzać na rozkoszy i pełnionych przez nas obowiązkach - powiedział - a ostatnio, Anno, mieliśmy zbyt dużo obowiązków i zbyt mało rozkoszy.

- To prawda. - Chciała usłyszeć jeszcze jedno słowo. Pragnęła, by powiedział o miłości. Ale on oczekiwał od niej tylko rozkoszy, to mu wystarczało. Przez ostatnie miesiące bała się, że nawet tego nie będzie się od niej domagał.

- Czy sprawi ci przyjemność, jeśli tej nocy w ogóle nie zaśniemy? - zapytał, patrząc jej w oczy. - Czy też ta przyjemność będzie tylko moim udziałem?

Wyraźnie się do niej zalecał. Musiał przecież znać jej odpowiedź. Lecz słowa mogą być równie pełne erotyzmu, jak usta i ręce. Poczowała, że drży.

- Spraw - odparła. - Nigdy nie sądziłam, że naprawdę opuścisz mnie na tak długo. Nigdy. Moje łóżko było takie zimne!

Pocałował ją znowu - i przez chwilę jego język pieścił usta Anny.

- A może, madame, położymy się i przekonamy, że łóżko nie jest już zimne?

- Dobrze, wasza wysokość - uśmiechnęła się.

Łóżko nie było zimne - było cudowne. Stwierdzili to oboje po pierwszym pospiesznym, ale pełnym rozkoszy stosunku. Już nigdy nie będzie puste, wyznała mu po drugim razie, boleśnie powolnym, ale dającym najwyższą satysfakcję. Łóżko Anny było stanowczo wygodniejsze niż jego, powiedział po trzecim razie, jeszcze rozkoszniej łączącym ich ciała. Ciepłejsze i bardziej miękkie, dokończył.

- Mogłabyś mnie namówić, bym przez najbliższe pięćdziesiąt lat spędzał w tym łóżku

wszystkie noce - powiedział. Poczula na uchu jego ciepły oddech. - I niektóre popołudnia - dodał.

Westchnęła sennie.

- Jak mam cię namówić?

- Obiecując chociażby, że przez wszystkie te noce i popołudnia będziesz przy mnie - odparł.

- Zatem chodzi ci nie tylko o łóżko, również o leżącą w nim niewiastę?

- Wyłącznie o niewiastę, madame - potwierdził, i znowu poczula ciepło przy uchu. - Mógłbym tu spać na słomie, byleby niewiasta była ta sama.

Roześmiała się. Brzmiało to prawie jak wyznanie miłości i chyba niczego więcej nie mogła się po nim spodziewać. Dobrze i to. Kochali się przez całą noc, obdarzając się wzajemnie rozkoszą. Byłaby rada choć godzinie snu, zanim nadejdzie pora karmienia Joy. Ale szkoda jej było każdej minuty.

Kochała i była niemal pewna, że jest kochana. Czula się bezpiecznie w ramionach męża, było jej dobrze. Być może Luke nie całkiem oderwał się od przeszłości, ale to ona teraz dawała mu rozkosz. Bała się o przyszłość, lecz kochała i miała, być może złudne, poczucie bezpieczeństwa. To dużo. Przynajmniej na razie.

- Dobranoc i dzień dobry, moja księżno - wymruczał.

- Ja już śpię - odmruknęła.

- Oho - rzekł i ugryzł ją w ucho. Poruszyła się sennie, uciekając przed jego atakiem.

Zapadła w sen, nie słysząc już chichotu Luke'a.

Życie na wsi często bywa monotonne, nawet jeśli sąsiedzi są nastawieni towarzysko. Problem tkwi w tym, że widzi się ciągle te same twarze.

Powrót księcia Harndon, wraz z żoną i Szwagierka nadały blasku letnim i jesiennym miesiącom. Potem jeszcze chrzciny ich córki i ślub lady Agnes Marlowe z lordem Severidge'em ściągnęły do Bowden interesujących i modnie ubranych gości, co ogromnie urozmaiciło życie okolicy.

Gdy już wydawało się, że wróci nudna codzienność, do Wycherly przybył nowy dzierżawca. Pułkownik Henry Lomax był dżentelmenem wolnego stanu - stał się zatem obiektem zainteresowania niezamężnych dam w sąsiedztwie oraz ich rodziców. Był emerytowanym pułkownikiem, spodziewano się więc po nim ciekawych opowieści o jego walecznych dokonaniach. Po zaledwie dniu pobytu w rezydencji Wycherly zaczął doń napływać strumień gości, którzy pragnęli serdecznie powitać go w nowym miejscu zamieszkania.

Luke i Anna, księżna matka oraz Henrietta byli jednymi z pierwszych składających wizytę sąsiadowi. Dziwne uczucie, zauważyła Henrietta, wysiadając z powozu i spoglądając na rezydencję, gdy do swego rodzinnego domu przyjeżdża się w charakterze gościa.

W salonie wraz z gospodarzem siedzieli już inni sąsiedzi. Pułkownik wstał, by powitać nowych gości. Był to mężczyzna szczupły, wysoki, około pięćdziesiątki, ale wciąż urodziwy. Ubrany był modnie, w beż i brąz, węzeł z tyłu głowy miał starannie upudrowany.

- Jestem doprawdy wielce zaszczycony - powiedział po prezentacji, składając niski ukłon. - Ale co widzę, księżę? Większość moich utytułowanych znajomych ma tylko jedną księżnę. A pan ma trzy, wszystkie równie urocze. - Uśmiech ujawnił interesujące zmarszczki po zewnętrznej stronie oczu oraz rząd białych i równych zębów. Wszyscy w salonie roześmiali się z jego dowcipu.

Księżnej matce nie przypadł on do gustu, czemu dała wyraz, mierząc jego autora wyniosłym spojrzeniem; usiadła obok pani Persall i niezwłocznie podjęła z nią rozmowę.

Henrietta wyciągnęła z uśmiechem dłoń, którą pułkownik podniósł do ust.

- A propos, sir, ja jestem tylko wdową po księciu, mój zmarły mąż był starszym bratem obecnego księcia.

- A zatem księżna wdowa - rzekł. Poprosił ją, by usiadła na kanapie, wskazawszy uprzednio fotele Annie i Luke'owi. - Pani młodość i uroda nie pasują do tego tytułu, madame.  
- Puścił jej rękę.

Uśmiech nie schodził z ust Henrietty. Następnie pan domu zwrócił się do Anny:

- Słyszałem, wasza wysokość, że niedawno obdarowała pani małżonka dzieckiem. Synem, mam nadzieję?

- Córką - odparła.

- Aha - rzekł z uprzejmym uśmiechem. - To prawdziwy skarb dla pani, madame, i dla jego wysokości. - Skłonił głowę w stronę Luke'a. - Pani małżonek ma już, zdaje się, następcę, lorda Ashleya Kendricka?

- Tak - powiedziała.

W dalszej rozmowie brali już udział wszyscy i niebawem wniesiono tacę z herbatą. Goście z Bowden opuścili towarzystwo po półgodzinie, gdy tymczasem nadjeżdżali inni.

- Widzę - zaczął ze śmiechem pułkownik Lomax, wychodząc z ni mi na taras - że miałem szczęście wydzierżawić rezydencję w nader gościnnej części tego świata. Bardzo sobie cenię przyjazne sąsiedztwo. - Luke pomógł matce wsiąść do powozu, Henriecie zaś podał dłoń gospodarz. - Z radością będę oczekiwał ponownego spotkania, skoro byli państwo tak mili i złożyli mi wizytę. - Uśmiechnął się do Henrietty, po czym wyciągnął rękę ku Annie. Lecz Luke był pierwszy - weszła z jego pomocą po stopniach powozu, gdzie szybko zajęła swoje miejsce. - Z równą radością będę oczekiwał poznania pani córeczki, wasza wysokość. Przepadam wprost za dziećmi.

Anna w milczeniu skłoniła głowę. Luke usiadł obok żony, stangret zamknął drzwi, siadł na przedzie i powóz ruszył. Pułkownik Lomax machał im ręką na pożegnanie.

- Ho, ho! - powiedziała z uśmiechem Henrietta. - Nie powiem, że mam żal do Willa, iż pojechał z Agnes w podróż poślubną. Pułkownik jest naprawdę uroczym mężczyzną. Zgodzisz się ze mną mamó?

- Ma zbyt swobodne maniery - orzekła księżna matka. - Ale stara się być uprzejmy. Gdy nas zrewizytuje, Lucas, musisz zaprosić go na obiad.

- Możesz być pewną madame, że postąpię, jak należy - odparł Luke.

- Co za piękny dzień - powiedziała Anna. - Szkoda, że spędziliśmy go w salonie i w powozie.

- Trzeba wypełniać obowiązki towarzyskie, Anno, niezależnie od pogody i własnych upodobań - upomniała ją teściowa.

- Oczywiście, mamó. Dlatego tu jestem. Ciekawe - mówiła dalej - gdzie są teraz Agnes i William. Czy najpierw udali się do Paryża? Dałeś im listy polecające, Luke? Nie zdziwiłabym się jednak, gdyby nikomu z twoich znajomych nie złożyli wizyty.

- Słucham, madame? - Uniósł pytająco brwi.

- Myślę, że mogliby przestraszyć się twoich znajomych z wielkiego świata. I wcale bym się im nie dziwiła. - Roześmiała się, widząc jego zdziwioną minę. Przez całą drogę była niezwykle rozmowna.

Na początku Henrietta nie była pewna. Wydawało jej się to zbyt nieprawdopodobne. Ale ten skupiony wyraz oczu, piękny uśmiech i zapach wody kolońskiej - nie mogła się mylić. I znaczący uścisk dłoni - nikt obcy by sobie na to nie pozwolił.

Cała płonęła z emocji. Jakiż to przystojny i czarujący mężczyzna, myślała. Wszystkie panie wodziły za nim wzrokiem. A on patrzył tylko na nią na Henriettę.

Anna go знаła. O tak, na pewno, choć przy jej sprycie nie dała tego po sobie poznać.

Henrietta wyczuła, że starała się ukryć lęk.

Tajemnica Anny w końcu musi wyjść na jaw.

Wrócił. I z niewiadomego dla Henrietty powodu zamierzał zniszczyć Annę. Może również Luke'a.

Nagle ujrzała świat w jasnych barwach.

Anna po powrocie z wizyty zwykle spieszyła od razu do pokoju dziecinnego. Joy budziła się zazwyczaj o tej porze, choć dopiero za godzinę przypadał czas karmienia. Dziewczynka zaczynała się już uśmiechać, lecz chętniej uśmiechała się do ojca niż do matki. Była dzieckiem spokojnym i wesołym.

Dziś Anna przeprosiła rodzinę i wbiegła na górę, nie poszła jednak do pokoju dziecinnego, tylko do swego salonu. Szybko zamknęła za sobą drzwi. Oparła się o nie, żałując, że nie może ich zamknąć na klucz. Nieważne. Luke nie przychodził tu do niej. Wszyscy pomyślą że Anna jest u Joy.

Ręce miała zimne i wilgotne. Wyciągnęła je przed siebie i spostrzegła, że drżą. Nie mogła złapać oddechu i złękła się, że straci przytomność. Nie mogła zebrać myśli. Kolana się pod nią uginały, jakby lada chwila miała upaść. Usiadła wreszcie na najbliższym fotelu.

Powinna była się tego spodziewać. Dlaczego ją to zaskoczyło, dlaczego nie przygotowała się na to psychicznie? Pomyślała o tym oczywiście, gdy podczas Bożego Narodzenia William napomknął, że zamierza wydzierżawić dom, lecz zwiódło ją nazwisko potencjalnego dzierżawcy. Dziś, jadąc do Wycherly, niczego nie podejrzewała. Weszła do salonu z uśmiechem na ustach.

O Boże, dobry Boże! Ukryła twarz w lodowatych drżących dłoniach i opuściła głowę aż na obręcz sukni. Dobry Boże. Ale Bóg nie okazał jej szczególnej dobroci. Nie pomógł jej przez ostatnie trzy lata, jeśli nie liczyć tego, że obdarował ją Lukiem i Joy. Był to jednak dar okrutny - dar złudnego szczęścia i złudnego poczucia bezpieczeństwa. Dar, który może w

każdej chwili być jej odebrany.

Zachowywał się dokładnie tak samo jak w Elm Court. Był miły, serdeczny, umiał zjednywać sobie ludzi, a oni zapraszali go do siebie i przyjmowali do swojego grona. Wyglądał dokładnie tak samo jak przedtem, przystojny, modnie ubrany, atrakcyjny mężczyzna. Henrietta była najwyraźniej pod jego urokiem. Nawet matka zmiękła i wybaczyła mu ten pierwszy i jedyny nietakt, jakiego dopuścił się wobec niej swoim niefortunnym pochlebstwem.

Wyprostowała się i wsparła głowę o poduszki na oparciu fotela. Sprawa znowu staje się poważna. Tak jak w Elm Court. Zacznie przychodzić i domagać się spłaty długów ojca, jak do niedawna czynił to listownie. I być może zażąda od niej innego rodzaju pomocy - w oszustwach i okradaniu sąsiadów i przyjaciół. Nie. Zaciśnęła mocno dłonie na poręczach fotela. Tylko nie to. Nigdy w życiu. Nie da się już w to wciągnąć.

Co ma począć? Instynkt nakazywał jej iść natychmiast do Luke'a i wyznać mu wszystko, nie pomijając żadnego drastycznego szczegółu. Pomyślała, jaką poczułaby ulgę, gdyby zrzuciła z siebie ten potworny ciężar, gdyby Luke pomógł jej go dźwigać. Jej mąż, którego kochała ponad życie. Starła się to sobie wyobrazić, ale pierwsze, co ujrzała, to twarz Luke'a, najpierw pełna niedowierzania, potem pogardy, a jeszcze potem - lodowate spojrzenie i zaciśnięte usta. Oczami wyobraźni zobaczyła, jak odbiera jej dziecko i wynajmuje mamkę. A ją oddaje w ręce sądu, gdzieś daleko stąd, by zatuszować skandal.

Serce waliło jej jak oszalałe, nie mogła oddychać. Tak. Nigdy więcej ich nie zobaczy. Nigdy.

To śmieszne, pomyślała. Luke nigdy by tak nie postąpił. Była jego żoną. Ostatnio również przyjaciółką. Czuł... na pewno żywił do niej jakieś uczucie. Na pewno wysłucha jej ze zrozumieniem. Na pewno jej pomoże.

Przypomniała sobie jednak jego reakcję, kiedy ktoś obraził go i zadał mu ból. Jego brat, George. Nie tylko nigdy mu tego nie wybaczył, ale nawet nie zbliżył się do jego mogiły.

Nie, nie mogła ryzykować. Nie mogła ryzykować utraty wszystkiego, co ma. Stawka była teraz wyższa. Była Joy - i Luke.

Lecz tak czy owak, zbliża się finał całej tej historii. Już niedługo Lovatt ją sobie odbierze. Wywiezie z Anglii, daleko od Luke'a i Joy. Czy ma potulnie zgodzić się na to? Czy ma walczyć? Ale jak? Wyznać wszystko Luke'owi? Jeśli i tak się o tym dowie, to czemu nie powiedzieć mu teraz?

Dlaczego nie powiedziała mu o tym w dniu, w którym poprosił ją o rękę? Albo - co byłoby znacznie mądrzejsze - nie odrzuciła jego oświadczyn? Teraz będzie musiała pójść za

Lovattem i zrobić, czego od niej zażąda. Przeczuwała, jakie ma wobec niej zamysły. Nie, ona na nie może się na to zgodzić. Nigdy.

Była przerażona i nie mogła zebrać myśli. Czowała, że zbiera jej się na wymioty.

Luke siedział w bibliotece i przerzucał stronicę książki, ale nie widział liter. Również on o tej porze dnia zwykł przebywać w pokoju dzieciennym i bawić się z córeczką. W innych okolicznościach zaproponowałby Annie, by razem z dzieckiem udali się na spacer. Dzień był naprawdę uroczy.

Zamiast tego poszedł do biblioteki, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

Pułkownik Henry Lomax był wykwiintnym dżentelmenem. Przystojny, elokwentny i jak na Anglika - modnie ubrany. Okazywał uprzejmość panom i oczarowywał panie. Będzie atrakcją tego lata, póki oczywiście sąsiedzi się nim nie znudzą. Niewątpliwie wywarł wrażenie na Henriecie. To dobry znak, stwierdził Luke.

Zmarszczył czoło i zamknął książkę. Ale po kiego licha ten człowiek stał na placu przed kościołem, ukryty za drzewem, gdy on i Anna brali ślub? Czy tylko przez przypadek znalazł się w pobliżu i z prostej ciekawości obserwował państwa młodych? Jeśli tak, to dlaczego dziś po południu nie wspomniał o tym, że widział księcia i księżnę w dniu ich ślubu? Gdy ujrzali ich wchodzących do salonu, nawet nie drgnęła mu powieka.

Luke oczywiście też nie nawiązał do tego epizodu. A może pułkownik wstydził się przyznać, że stał tam przez nikogo nie zaproszony, w tłumie ciekawskich niższego stanu?

Wsunął książkę na miejsce i wziął machinalnie inną. Nie był to jedyny, myślał, dość osobliwy fakt. Żywił bowiem głębokie przekonanie - mógł, rzecz jasna, się mylić - że mężczyzną, który spacerował z Anną w Ranelagh, był właśnie pułkownik Lomax. Miał wtedy na sobie pelerynę z kapturem, a na twarzy maskę. W oczy nie rzucało się nic innego poza nieprzeciętnym wzrostem i smukłością jego postaci. W Anglii jednak wysocy i szczupli mężczyźni nie należeli do rzadkości. Podejrzewanie, że nowy sąsiad był tamtym człowiekiem z balu, było istną głupotą. Poza tym ani Lomax, ani Anna nie dali żadnej podstawy do przypuszczeń, że się znają.

Jednakże przy obydwu okazjach - w kościele i w Ranelagh - doświadczał dziwnego uczucia, że mężczyzna ów jest mu znany, choć między tymi dwoma incydentami nie dostrzegał wówczas żadnego związku. Dziś po południu też miał to uczucie. Lomax, Lomax... to nazwisko nic mu nie mówiło. A co do podobieństwa... Mógł się mylić.

Idiotyzm, pomyślał, wsuwając pospiesznie na miejsce drugą książkę. Jeśli to Lomax stał wtedy w pobliżu kościoła - czego Luke był prawie pewien - było to niechybnie dziełem przypadku i nie miało żadnego znaczenia. Na pewno to nie Lomax spacerował z Anną w

Ranelagh. Jeśli Luke spotkał go już przedtem - możliwe, że we Francji - to na pewno była to jedynie przelotna znajomość.

Usiadł za biurkiem i nieobecny duchem bębnił palcami o blat. Uświadomił sobie nagle, że nie przyszło mu do głowy zapytać Annę, czy zna Lomaksa. Zdał sobie jednocześnie sprawę, że nigdy by się na to nie zdobył.

Czyżby lękał się odpowiedzi? Albo jej braku?

Z ponurą miną przemierzał pokój tam i z powrotem. Dlaczego, do diaska, od samego początku nie postawił sprawy jasno? Dlaczego pozwolił jej na jakieś tajemnice, rezygnując tym samym z jednego ze swoich małżeńskich praw? Dlaczego nie zmusił jej do szczerości?

Mars na jego czole pogłębiał się z każdą chwilą. I dlaczego, do diaska, wbił sobie do głowy, że te jej tajemnice mają jakiś związek z pojawieniem się nowego, bardzo sympatycznego sąsiada, którego zauważył przypadkowo w dniu swego ślubu i którego Anna dziś po południu widziała po raz pierwszy w życiu?

Wraz z nastaniem wiosny dokonano w Bowden Abbey pewnych zmian. Luke znalazł nowego zarządcę, z dobrymi referencjami, niejakiego pana Howarda Foksa. W ciągu dwóch tygodni, gdy tylko zwolni się u poprzedniego chlebobdawcy, przystąpi do pracy w Bowden. Ashley, jak tylko otrzyma powiadomienie, rozpocznie działalność w Kampanii Wschodnioindyjskiej. Z entuzjazmem myślał o swojej przyszłości i Luke cieszył się razem z nim. Ułożył sobie życie po swojej myśli, tak jak to uczynił Luke. Sytuacja Ashleya była oczywiście inna. Miał wsparcie w rodzinie - mimo iż zdaniem matki, wdając się w interesy, okrył hańbą swoje rodowe nazwisko. Wiedział ponadto, że w każdej chwili może wrócić do domu.

Wraz z nastaniem wiosny Doris pojechała do Londynu na otwarcie sezonu. Gdyby nie chrzciny i ślub w rodzinie, udałaby się tam z matką znacznie wcześniej, lecz w takiej sytuacji jej obecność w domu była konieczna.

Luke'owi nie udało się zawrzeć pokoju z Doris, ale przynajmniej od paru miesięcy dobrze się do siebie odnosili.

Chciał, żeby była szczęśliwa. Miał nadzieję, że wkrótce zapomni o gorzkich doświadczeniach ubiegłego roku. Byłby rad, gdyby Anna nie wspomniała, że przed wyjazdem Doris powinien z nią porozmawiać.

- Doris pojutrze wyjeżdża - powiedziała mu, gdy od wizyty u nowego sąsiada dzieliły ich już dwie noce.

Odchrząknął. Jeszcze się dobrze nie obudził, gdy po tym, jak się kochali, zapadł w sen.

- Zamierzasz z nią porozmawiać? - zapytała. Musiał wrócić do rzeczywistości.

- Masz na myśli ojcowskie zalecenia, by dobrze się zachowywała i nie powtórzyła błędu z minionego roku? - zapytał. - Raczej nie.

- Taką mam nadzieję - rzekła. - A czy powiedziałeś jej kiedyś, że ją kochasz?

- Owszem, Anno, nim skończyłem dwadzieścia lat. Doris chyba wyrosła już z wieku, kiedy to oczekuje się od brata wyznań miłosnych.

- Mylisz się, Luke - powiedziała. - Przecież wiem, że ją kochasz. I nie przypominaj mi ciągle, że nie znasz uczucia miłości, co zamierzałeś właśnie uczynić. Ona chciałaby usłyszeć od ciebie, że jej ufasz, że pragniesz jej szczęścia, że ją kochasz. Czeka na to od lat.

Rozwagał słowa żony. Czy dla Doris istotnie jest to tak ważne? Przez cały ubiegły rok dobrze sobie bez niego radziła. Z wyjątkiem pierwszych paru tygodni nie była, wbrew jego przewidywaniom, ani ponura, ani płaczliwa. Tak, Anna ma rację. Oddalił się od siostry. I przez chwilę, tylko przez krótką chwilę, pomyślał z dawną niechęcią o ponoszeniu odpowiedzialności, o wypełnianiu zobowiązań, o tym wszystkim, co spadło na jego barki w ciągu ostatniego roku.

- Słusznie, madame - powiedział z umyślnie ciężkim westchnieniem. - Czy pozwolisz mi jeszcze przysnąć na parę chwil?

- Jak najbardziej - rzekła, przytulając się do niego. Wydało mu się, iż w jej głosie wyczuł nutę rozczarowania. Podobnie jak wyczuwał desperację, gdy po jakimś ciężkim przeżyciu pragnęła się z nim kochać. Ten sam rodzaj desperacji, nad którą teraz może bardziej panowała, przejawiała ostatnio często, lecz nie chciało mu się teraz roztrząsać jej powodów.

- Jutro rano porozmawiam z nią - obiecał - a przy pierwszej okazji zrobię awanturę wujowi Teo, że namówił mnie do małżeństwa z tobą.

No, tak już lepiej, pomyślał, słysząc, jak chichocze przy jego ramieniu. A jednak dowiedział się czegoś o sobie. Nigdy dotąd nie podejrzewał się o tchórzostwo; żartował, zamiast jasno postawić nękające go pytania.

Odechciało mu się spać.

Niech to wszyscy diabli!

Gdy nazajutrz rano wkroczył do pokoju śniadaniowego i poprosił Doris o chwilę rozmowy, siostra spojrzała na niego ze zdziwieniem. Gdy weszła do gabinetu z podejrzliwą i przekorną miną wstał zza biurka i zbliżył się do siostry.

- Trochę dziś pochmurno - zaczął - ale nie zimno. Może przejdzie my się po ogrodzie, co ty na to?

Zrobiła minę jeszcze bardziej nieufną.

- Wiem, co chcesz mi powiedzieć - rzekła już na zewnątrz i wsunęła mu rękę pod ramię. - Nie zamierzam pisać do niego ani się z nim spotykać. Powiedziałam ci już, Luke, że go nienawidzę, i taka jest prawda. Jestem teraz o rok starsza i o rok mądrzejsza. Nie musisz odgrywać roli surowego ojca.

- Ani zatroskanego i czulego brata? - zapytał.

- Czulego? - Spojrzała mu w oczy i roześmiała się głośno.

- Czy pamiętasz, o co chciałaś prosić króla? Zmarszczyła brwi.

- Prosić króla?

- Chciałaś prosić, by udzielił ci zezwolenia na nasz ślub - rzekł. - Ponieważ kochałaś mnie najbardziej ze wszystkich. Bardziej niż tatę, George'a i tylko trochę bardziej niż Ashleya. Pamiętasz?

Przez chwilę patrzyła na niego z niedowierzaniem, po czym roześmiała się szczerze.

- Nie pamiętam. Naprawdę tak było?

- Miałaś wtedy pięć lat - rzekł. - Ale jak dorośniesz, mówiłaś, poprosisz go o to. Zawiodłem cię, Dor.

- Dlatego, że nie zaprowadziłeś mnie do króla? - Oczy jej posmutniały.

- Dlatego, że w ubiegłym roku postępowałem wobec ciebie zbyt surowo - odparł. - Ta historia z Frawleyem...

- Jeśli o to chodzi - zarumieniła się - to miałaś rację, Luke. Byłabym z nim bardzo nieszczęśliwa. Wydaje mi się teraz, że specjalnie w Ranelagh napomknęłam Annie o swoich planach, żeby ktoś mnie przed tym powstrzymał. Choć wówczas sama przed sobą nie chciałam się do tego przyznać.

- Powinienem był przytulić cię mocno do piersi i nie pozwolić ci odejść, dopóki nie obiecałabyś mi, że ty, moja ukochana siostra, nie dasz się złapać w sidła tego łobuza - powiedział.

- Ja jestem tylko twoją siostrą Luke.

- Otóż to. Siostrą, z którą przez całe lata byłem rozdzielony. Nie rób tego więcej, Dor, albo zabiję takiego drania, kimkolwiek on by był. Poślubisz mężczyznę, którego zechcesz poślubić, z moim błogosławieństwem - w granicach zdrowego rozsądku, rzecz jasna - pod warunkiem, że będzie kochał cię bardziej niż pięć tysięcy czy nawet pięćdziesiąt tysięcy funtów.

- W granicach zdrowego rozsądku? - Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Tak, niepotrzebnie to powiedziałem - rzekł smętnie. - Przepraszam. Ciężar

odpowiedzialności czasem za bardzo mnie przytłacza. Martwię się o ciebie. Ale ufam ci, Dor. Masz teraz dwadzieścia lat i jesteś mądrzejsza niż przed rokiem. Wierzę, że dokonasz wyboru, który zapewni ci szczęście.

- Takiego wyboru jak ty?

To pytanie wzbudziło jego czujność.

- Tak, takiego jak ja - powiedział i zaraz uświadomił sobie, że tylko częściowo pokrywa się to z prawdą. Szczęście? Pomyślał o desperacji, jaką wyczuł w zachowaniu żony ubiegłej nocy.

Doris zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go, najpierw w jeden policzek, potem w drugi, i delikatnie cmoknęła go w usta. Oczy miała pełne łez.

- Tak mi przykro - rzekła - że to ty pierwszy zacząłeś tę rozmowę. Przez cały czas chciałam ci powiedzieć, jak się wstydzę, że tak dziecinnie i nieodpowiedzialnie się zachowałam, i jak jestem ci wdzięczna, że uchroniłeś mnie przed żalosną sytuacją, w jakiej bym się znalazła.

Skwitował jej słowa uśmiechem.

- Za rzadko się uśmiechasz - powiedziała. - Kiedy się uśmiechasz, przypominasz mi tego brata, jakiego mam w pamięci. Wierzę już teraz, Luke, że naprawdę jesteś moim bratem.

Roześmiał się, objął ją i ruszyli ścieżką przez ogrody, oddalając się od domu.

- Ogromnie się cieszę - zaczęła - że nie ożeniłeś się z Henriettą. Szkoda, że uczynił to George.

Luke zaskoczony spojrzał na Doris.

- George nie miał chyba wyboru - powiedział. - Jeśli nie zaznał z nią szczęścia, to sam sobie był winien.

- Nie wierzysz chyba w to, co mówisz, Luke.

- Wolałbym nie poruszać tego tematu.

- To nonsens. Przecież nie wierzysz, że George zgwałcił Henriettę, prawda?

Nie życzył sobie z nikim o tym rozmawiać. Tym bardziej z siostrą. W głębi duszy czuł się wciąż boleśnie zraniony i choć rana zabiłiźniła się, łatwo było ją rozjątrzyć. Stracił Henriettę i stracił jeszcze kogoś, co było może nawet bardziej bolesne. Stracił George'a, ukochanego brata.

- Henrietta była w odmiennym stanie, Dor - rzekł oschle - i George ją poślubił. Nie przypuszczasz chyba, że to było moje dziecko?

Uśmiechnęła się sarkastycznie.

- Dzieci widzą więcej, niż dorośli je o to posądzają, Luke. Ja widziałam bardzo dużo.

Odkąd George wrócił z podróży, ona miała na niego oko - był taki przystojny, pełen fantazji. I oczywiście jako następca ojca miał tytuł markiza. Uwodziła go za twoimi plecami. Chciała być i markizą i księżną.

- Doris! - przybrał lodowaty ton. - Przypominam ci, że mówisz o swojej bratowej. Przestań. Zmieńmy temat.

Nie dała się zbić z tropu.

- Mówię również o moim bracie - syknęła - i o twoim. Nie możesz dłużej myśleć o nim z taką wrogością. Nie możesz, Luke. Mieli romans, to prawda. Lecz przysięgam ci, że to Henrietta go uwiodła. George uległ jej w chwili słabości i przez resztę życia cierpiał z tego powodu jak potępioniec. Biedny George!

Luke czuł, jak krew w nim tężeje.

- Skończmy tę rozmowę - rzekł. - Nie wszczynajmy kłótni tuż po zawarciu ugody.

- Luke, słuchaj! - Patrzyła na niego pełnymi łez oczami. - To przez Henriettę tyle lat po śmierci George'a nie pokazałeś się w domu. Wciąż ją kochałeś? Wciąż ją kochasz? Och, biedna Anna!

- Nie, nie kocham Henrietty, ale, jak powiedziałem, zmieńmy temat - rzekł cicho, a w jego oczach pojawiły się groźne iskierki. Poddawała się.

Nie wiedział, czy mówiła prawdę. Nie wiedział nawet, czy chciał, żeby to była prawda. Dziwił się jednak, że do tej pory taka wersja wydarzeń nie przyszła mu do głowy. Przez te dziesięć spędzonych we Francji lat zamknął się w twardej skorupie cynizmu. A jednak cynizm ten nie dotyczył Henrietty. Była jedynym jasnym elementem jego przeszłości. Wierzył jej, choć uczucie do niej nie przetrwało.

A wierząc jej, wierzył w okrutną zdradę George'a i rana, jaką mu zadał, wciąż była otwarta. Najwyższy czas pozbyć się tej rany, która zabiła w nim zdolność do miłości.

- Chcesz wiedzieć, jakiego rodzaju męża będę szukała tej wiosny w Londynie? - zapytała Doris po chwili ciszy.

- Oczywiście - odparł, kładąc rękę na jej dłoni.

Tego popołudnia pułkownik Henry Lomax złożył w Bowden Abbey kurtuazyjną wizytę. Wymienił ciepły uścisk dłoni z Ashleyem, wyraził zadowolenie z poznania lady Doris oraz żal, że nazajutrz rano wyjeżdża z matką do Londynu. Zaznaczył, iż czyni to również w imieniu licznych znajomych z sąsiedztwa. Stwierdził jednocześnie, że dla dżentelmenów w mieście przyjazd dwóch tak uroczych pań będzie z pewnością szczęśliwym darem losu. Doris roześmiała się i stanęła w pąsach - gość ujął ją swoją niezwykłą galanterią. Henrietta była wyraźnie zainteresowana tym przystojnym i atrakcyjnym nowym sąsiadem.

- Aż trudno uwierzyć - zaczęła, gdy wszyscy zasiedli do herbaty - że przez rok ktoś obcy będzie zamieszkiwał dom mojego dzieciństwa.

- Obcy, madame? - powtórzył. - Ufam, że niebawem określenie sąsiad i przyjaciel zastąpi słowo „obcy”.

Henrietta zarumieniła się.

- Powiedziałam tak dlatego, że wiąże się z tym domem tyle miłych dla mnie wspomnień.

- Zatem, madame, winna go pani często odwiedzać - powiedział. - Kiedy tylko pani sobie życzy, w towarzystwie, jak miemam, jej wysokości, pani szwagierki.

- Chyba pan nie sądzi - rzekła ze śmiechem - że przysłoby mi do głowy samotnie składać panu wizytę? Jeśli Anna nie będzie mogła, wezmę ze sobą pokojówkę.

- Sprawi mi pani przyjemność, madame, gdy zechce pani odwiedzić stare kąty.

Luke przysłuchiwał się tej wymianie zdań z niejakim zainteresowaniem. Stwierdził z ulgą że Henrietta poszła za jego radą i oderwała się od przeszłości. Nowy mężczyzna - to właśnie było jej potrzebne. Lomax zaś, mimo iż znacznie od niej starszy, był przystojny, szarmancki i sympatyczny. Jednak Luke, nie wiedzieć czemu, nie lubił go.

- Czy długo służył pan w armii, pułkowniku? - zapytał. - I w ja kim pułku?

Lomax odpowiedział na te pytania. Podał sporo szczegółowych informacji dotyczących spraw wojskowych, nie przestając bawić dam interesującymi anegdotami z lat spędzonych w Ameryce. Był świetnym gawędziarzem, co Luke, chcąc nie chcąc, musiał przyznać.

- Mieszkał pan kiedyś we Francji? - zapytał.

- Niestety nie - odparł ze śmiechem pułkownik. - W przeciwieństwie do pana, wasza wysokość, nie nabyłem tej ogłady i manier, tej elegancji, jaką może dać tylko dłuższe przebywanie w Paryżu. Moje wizyty tam trwały rozpaczliwie krótko.

Niewykluczone jednak, że Luke spotkał go gdzieś przypadkowo. Lecz o wszelkich przelotnych znajomościach szybko zapominał.

- Wrócił pan z Ameryki już dość dawno - powiedział Luke. - Czy ostatniej wiosny przebywał pan w Londynie? Wraz z żoną i całą rodziną byliśmy wtedy w mieście. Nie dane było nam się spotkać, co w naszym środowisku wydaje się dość dziwne.

- Nie ma w tym nic dziwnego. - Lomax wzruszył ramionami z lekkim uśmiechem na ustach. - Po tak długiej nieobecności w kraju, wasza wysokość, odwiedzanie starych przyjaciół zajęło mi sporo czasu.

Luke przymknął nieco powieki - nabył tego zwyczaju we Francji podczas długich miesięcy ostrego hazardu. Nauczył się, że pilna obserwacja przy pozorach rozleniwienia i

senności to ważna cecha doświadczonego gracza.

Lomax napotkał jego wzrok i przez chwilę jakby się wahał.

- Wasza wysokość brał ślub owej wiosny w Londynie, prawda? - zapytał, marszcząc z namysłem brwi. - Dziwne zaiste, ale to chyba ślub waszej wysokości obserwowałem z daleka. Spacerowałem wówczas bez celu po mieście i natknąłem się na grupę ludzi przed kościołem. W tym właśnie momencie otworzyły się wrota świątyni, a ja domyśliłem się, że ukaże się w nich zaraz młoda para. Zatrzymałem się z prostej ciekawości, co oczywiście urąga dobrym manierom. Wydaje mi się... - przerwał, spojrzawszy na Annę i uśmiechnął się - tak, jestem pewny, że wasze wysokości stanowili nowo poślubioną parę. Co za nadzwyczajny przypadek!

- Tak, istotnie - rzekł Luke, udając zdziwienie. A więc wytłumaczył to całkiem rozsądnie, myślał. Jemu samemu przed paroma dniami przyszła nawet do głowy taka ewentualność. Choć minął zaledwie rok od tamtej pory, Lomax ich nie rozpoznał. A dlaczego niby miałby rozpoznać? Byli dla niego całkiem obcymi ludźmi. Albo też człowiek ten był bardzo przebiegły. Dostrzegł coś w oczach Luke'a i odpowiedział na pytanie, jakie w nich wyczytał.

A może to Luke był zbyt podejrzliwy?

Pułkownik Lomax odstawił tymczasem pustą filiżankę i wszystko wskazywało na to, że zamierza się pożegnać.

- Ogrody w Bowden Abbey, jak pan już zapewne wie, słynne są w całej okolicy - powiedziała Henrietta. - A późną wiosną aż mienia się od barw.

- Faktycznie, madame - odrzekł pułkownik, składając jej niski ukłon. - Jadąc tutaj, zwróciłem uwagę na ich urodę.

- Mamy piękny dzień - ciągnęła z ciepłym uśmiechem - zbyt piękny, aby spędzać go w domu bądź w powozie.

- W całej rozciągłości podzielam pani zdanie. - Też się do niej uśmiechnął. - Należałoby się nim cieszyć, spacerując w miłym otoczeniu i w miłym towarzystwie. - Z niskim ukłonem zwrócił się ku Annie. - Czy wasza wysokość uczyni mi ten zaszczyt i nim odjadę, pokaże mi swoje ogrody?

Luke dostrzegł cień zawodu w oczach Henrietty, który nie w pełni udało jej się ukryć. Lecz całą swoją uwagę skupił na żonie, która z uśmiechem wstała z miejsca i oznajmiła pułkownikowi, że uczyni to z wielką przyjemnością.

Z jej twarzy nic nie można było wyczytać. Obserwując ją pilnie, Luke pomyślał sobie, że cała ta sytuacja mogła w gruncie rzeczy wyglądać całkiem inaczej, niż wydawałoby się postronnemu obserwatorowi. Czy dostrzegł coś w sposobie bycia żony, co świadczyłoby, że

znała tego człowieka? Jakiś wyraz niezadowolenia bądź zadowolenia z uczynionej przez niego propozycji? Poza dość zdawkowym uśmiechem - brak w nim było owej typowej dla niej serdeczności - niczego takiego jednak nie zauważył.

A Lomax? Czyż to nie był jawny afront wobec Henrietty? Tylko wyjątkowo tępy człowiek nie dostrzegłby, że zagięła na niego parol i prowokowała go, by poszedł z nią na spacer. Luke odniósł wrażenie, że za tym afrontem coś się kryło. Jak gdyby ta demonstracja sprawiała Lomaksowi szczególną przyjemność.

Ale znowu mógł to być wytwór jego imaginacji. Może Lomax uczynił jedynie kurtuazyjny gest wobec pani domu, właścicielki ogrodów?

Podczas pobytu we Francji Luke nauczył się również dowierzać własnej intuicji. Niejednokrotnie, kierując się nią, unikał sytuacji dość paskudnych. A jako żywo nie pamiętał, by intuicja tak nim zawładnęła i nękała go tak uporczywie. Najprościej byłoby zapytać Annę. Wiedział jednak, że spojrzy na niego wzrokiem bez wyrazu i wszystkiemu zaprzeczy. Istnieje chyba jednak jakiś sposób, by zdobyć informacje o tym przystojnym i czarującym dżentelmenie?

Gdy wyszli z domu - Anna ujęła Lomaksa pod rękę - Luke z okna swojego gabinetu obserwował ich przez chwilę. Szli, rozmawiali, jak to zwykła czynić pani domu z wizytującym ją gościem. Pułkownik miał na sobie niebieski długi surdut, szare pludry, białe pończochy i pantofle zapinane na sprzączki. Węzeł peruki z tyłu głowy był starannie upudrowane.

Trójgraniasty kapelusz trzymał prawidłowo - pod pachą. Nie sposób było stwierdzić z całą stanowczością, że jest to ten sam mężczyzna, który, od stóp do głów przyodziany w czerni, spacerował z Anną w Ranelagh.

Jedna rzecz zwróciła jednak uwagę Luke'a. A mianowicie sposób, w jaki skłamał na bok głowę, pochylał się uprzejmie nad swoją towarzyszką, słuchając wypowiedzianych przez nią słów. Było to coś nieuchwytnego, coś, czego Luke nie potrafiłby opisać. Lecz to coś sprawiło, że wstrząsnął nim zimny dreszcz.

To był ten sam mężczyzna. Nie miał już cienia wątpliwości.

Usiadł za biurkiem, wyciągnął z szuflady kartkę papieru, wypróbował ostrze pióra, zanurzył je w kałamarzu i zaczął pisać. Był przekonany, że Teo dostarczy mu potrzebnych informacji. Chciał wiedzieć wszystko o pułkowniku Henrym Lomaksie, poczynając od jego służby w armii.

- Raduje się moje serce, gdy cię znowu widzę, moja Anno - po wiedział. - Zbyt długo nie miałem tej przyjemności. Macierzyństwo ma swoje prawa, o czym zresztą wiedziałem,

pozwalając ci na nie. Jesteś jeszcze bardziej urocza niż przedtem.

Być może po raz pierwszy gniew Anny wziął górę nad strachem:

- Nie jestem twoją Anną - rzekła ostro. - Niepotrzebnie tu przyjechałeś i pod fałszywym nazwiskiem robisz sobie kpiny z ludzi.

- Masz tupet i odwagę - rzekł. - Zawsze podziwiałem cię za to, Anno.

- Ile w całości wynosi kwota długów mego ojca? - zapytała, wiedząc, że na nic się to nie zda. - Ile moja rodzina wciąż jest ci winna? Podaj mi sumę, a mój mąż pokryje należność. I na tym koniec. Ty masz swoje życie, ja swoje.

- Ty jesteś moim życiem, Anno - powiedział, lekceważąc jej gniew. - Czy on cię naprawdę kocha? Sprawia wrażenie człowieka zimnego i dumnego i takąż ma reputację. Ale rozumiem, zwiódł cię jego atrakcyjny wygląd. Czy ucieszyłby się na wieść, że jego księżna jest złodziejką i morderczynią?

- Wiesz przecież, że to nieprawda.

- Ja ci wierzę, Anno, bo jesteś moim życiem. Ale niestety, są ludzie bardziej ode mnie obiektywni i bardziej wiarygodni, którzy poświadczą ;] przysięgą twoją winę.

Pohamowała gniew.

- Rozumiem doskonale twoje intencje. Byłabym idiotką, gdybym nie zdawała sobie z tego sprawy. Od samego początku cel twój był jasny - zastawienie na mnie pułapki. I ja, głupia, niewinna dziewczyna, wpadłam w nią. To rozumiem. Nie rozumiem tylko przyczyny. Dlaczego tak ze mną postępujesz? Nie chodzi ci o pieniądze. Więc o co?

- Och, Anno - rzekł ciepło, skłaniając ku niej głowę. - O to, że cię kocham.

- Kochasz? - Znowu ogarnęła ją wściekłość, lecz w porę się opanowała, wiedząc, że z każdego okna domu ktoś ją może obserwować. - Po śmierci mamy wyszłabym za ciebie, byłeś tak troskliwy i pełen zrozumienia. Pokochałabym cię. Wiedziałeś o tym?

- Małżeństwo nie wchodziło w grę, Anno - oświadczył. - Łączy nas miłość innego rodzaju.

- Żadna miłość nas nie łączy - odparła. - Masz na moim punkcie obsesję. Nie chciałeś mnie za żonę ani kochankę, ale tak mnie naznaczyłeś, żebym nie została żoną nikogo innego. Nienawidzę cię. Gdyby istniało jakieś mocniejsze słowo, wyrażające stan moich uczuć, użyłabym go.

- Dlatego właśnie nic nie rozumiesz - rzekł. - Ale zrozumiesz, moja Anno. We właściwym czasie zrozumiesz, jakim szczęściem dla ciebie będzie spędzenie reszty życia ze mną. Będziesz szczęśliwa ponad wszelkie swoje wyobrażenia.

- Ja jestem szczęśliwa teraz. Mam męża, dziecko, rodzinę, przyjaciół.

- Rodzina - powiedział ciepło, z nutą smutku w głosie. - Masz córkę. Cieszę się, Anno, że to córka. Tym lepiej. Chciałbym ją niebawem zobaczyć.

Czuła się tak, jakby krew w niej zastygła.

- Nie - odparła.

- Ogrody są tak piękne, jak mówiła twoja bratowa - powiedział, oglądając się na dom. - Wspaniałe otoczenie dla tak starego i dostojnego domostwa. W Ameryce jest wiele świetnie zaprojektowanych posiadłości, ale nie czuje się w nich patyny historii jak w angielskich domach. Wracamy? Nie chciałbym nadużywać gościnności.

- W jaki sposób dostałeś się do wnętrza domu? - zapytała go nagle, myśląc o lękach, jakie nawiedzały ją przez kilka miesięcy. - A do parku? Jak to się działo, że przez nikogo nie widziany wchodziłeś do domów moich sąsiadów, gdy ja tam byłam?

- Anno - powiedział czule - ja jestem powietrzem, którym oddychasz.

- Czy to ktoś ze służby? Przekupiłeś kogoś ze służby? - Już uprzednio rozważała taką możliwość, lecz służba nie była przecież obecna przy jej rozmowach z rodziną ani nie brała udziału w sąsiedzkich spotkaniach.

- Jestem tak blisko ciebie jak twoje własne serce - oświadczył. - A ty, kiedy wszystko zrozumiesz, będziesz tak samo blisko mojego.

Jego powóz stał już przed wejściem. Wsiadł, a rodzina wyszła na taras, by go pożegnać. Anna pospieszyła na górę, do pokoju dzieciennego, w którym, na szczęście, Joy była tylko z niańką. Anna wzięła córkę na ręce, wysłała niańkę na dół, po herbatę, i zaczęła zabawiać Joy.

Musi być jakieś wyjście, myślała. Musi być. Nie będzie do końca życia jego niewolnicą. Dzisiaj niczego od niej nie żądał. Ale wkrótce zażąda. Będzie teraz żyła w ciągłym lęku przed jego wizytami i żądaniami. Ale jej wytrzymałość dobiega kresu. Nie może dłużej tego tolerować.

Nawet gdyby musiała go zabić.

Ta myśl przeraziła ją i zarazem zafascynowała.

Rozejrzała się po pokoju - była sama.

„Jestem powietrzem, którym oddychasz. Jestem tak blisko ciebie jak twoje własne serce”.

Emilia nigdy nie przychodziła na herbatę, choć miała już piętnaście lat i wkrótce będzie dorosła. Wiedziała, że rodzina tak naprawdę nigdy jej do grona dorosłych nie zaliczy. Zawsze będzie dla nich inna, trochę dziwna. Kochali ją, oczywiście, Luke, Ashley i Doris, lecz ciągle traktowali jak dziecko.

Tak więc w porze picia herbaty spacerowała po ogrodzie lub, gdy pogoda była zła, oglądała portrety w galerii albo w cieplarni przypatrywała się roślinom; wężała je, badała strukturę liści i płatków kwiatów.

Dziś spacerowała wśród drzew po przeciwnej stronie domu, skąd wiodła dróżka do rzeki i wodospadu. Lubiła tę ścieżkę. Drzewa rosły wśród łąk pokrytych dywanem dzikiego kwiecia. Wkrótce zakończyła jednak przechadzkę. Ashley uda się po herbacie do biura, myślała. Niedługo wyjeżdża do Indii - porządkuje więc księgi dla nowego zarządcy. Miał teraz dla niej mało czasu. Chciała zatem wykorzystać każdą jego wolną chwilę.

Anna przechadzała się po ogrodzie z jakimś dżentelmenem. Byli od niej daleko, mimo to dziewczynka cofnęła się instynktownie pod osłonę drzew. Rozpoznanie z tej odległości towarzyszącego siostrze mężczyzny było raczej niemożliwe. Ale nie dla Emilii. Miał charakterystyczną postać, ruchy. Tak, to on. Znowu odnalazł Annę. To jasne. Najpierw przysyłał listy, a teraz pojawił się osobiście.

Zrobiło jej się słabo. Oparła się o pień drzewa i wpatrywała się w postacie siostry i Lovatta Blaydona. Wracali - przed taras zajechał jego powóz.

Ten człowiek był zwiastunem zła - i zwiastunem zła była jego tutaj obecność. On stanie się powodem nieszczęścia Anny, może nawet tragedii. Emilia nie wiedziała, dlaczego jest tego taka pewna. Ale była pewna.

Gdy tylko powóz odjechał, a Anna udała się do domu, Emilia wyszła ze swojej kryjówki i popędziła przez trawnik. Ashley. O Boże, spraw, żeby był w swoim gabinecie. Błagam Cię, Boże! Rozpłakała się ze strachu, zanim dotarła na miejsce.

Ashley spojrzał na nią zdumiony znad sterty ksiąg, po czym zerwał się na równe nogi, obszedł biurko i chwycił ją ostrożnie za ramiona.

- Co się stało, mała sarenko? - zapytał z niepokojem. Spojrzała nań z powagą i wskazała na ogród.

- Coś się tam stało? Coś, czego się przelęknąś? Skinęła głową i uczyniła dłonią ten sam ruch. Objął wzrokiem całą jej postać.

- Ktoś zrobił ci krzywdę?

Wpatrywała się w niego, ich oczy się spotkały.

- Na Boga! - powiedział, wyczytując niepokój w jej spojrzeniu. - Nie możemy się porozumieć, mowa oczu nie wystarczy. Powinnaś, mała sarenko, nauczyć się czytać i pisać. Musi istnieć jakaś metoda nauczania, która by ci to umożliwiła. Rozumiesz język mówiony. Gdybym nie wyjeżdżał, nauczyłbym cię tej sztuki.

Zacisnęła usta. Nie, nie potrafi przekazać mu tego, co chciała. A nawet gdyby

potrafiła, to co dalej? Cóż on mógłby na to poradzić? Powiedziałby Luke'owi? A co Luke mógłby poradzić? Lovatt Blaydon sprowadzi na Annę nieszczęście i ma nad nią jakąś władzę, ale jaką? Tego Emilia nie wiedziała. Nawet gdyby mogła mówić, niewiele miałyby do powiedzenia.

Ashley obiema dłońmi ujął jej twarz i starł z policzków dwie duże łzy.

- Nie płacz - rzekł. - Nie pozwolę, mała sarenko, by ktoś zrobił ci krzywdę. Jesteś tu bezpieczna.

Przytulił ją do siebie i mocno objął. Zapomniał, rzecz jasna, że Emilia nie wie, o czym on mówi, bo nie widzi jego ust. Ale czuła wibrację w jego piersi i wiedziała, że wypowiada jakieś dobre, kojące słowa.

Jak ona będzie żyć bez niego? Na pewno umrze. Wolałaby umrzeć.

Cofnął się o krok, opuszczając ramiona.

- Lepiej ci już? - zapytał.

Skinęła głową. Serce jej pękało z powodu Anny i swego złego losu, ale uśmiechnęła się do niego. Do swojego ukochanego Ashleya.

- Naprawisz mi pióro? - zapytał, jakby trochę speszony. - Naciskałem zbyt mocno i uszkodziłem końcówkę. Nikt inny nie zrobi tego lepiej niż moja mała sarenka. Zgoda?

Emilia z zapalem przytaknęła.

Pułkownik Henry Lomax uśmiechał się serdecznie, gdy kamerdyner zamykał drzwi za Henriettą.

- Ach, księżno - rzekł - jak się cieszę i jaki jestem pani wdzięczny, że tak szybko odpowiedziała pani na moje zaproszenie. Minęła zaledwie godzina.

. Uśmiechnęła się uwodzicielsko i podeszła do niego.

- Tej twarzy niepotrzebna jest maska - oświadczyła - a tej sylwetce peleryna.

- Masz mi coś do zarzucenia? - zapytał, podczas gdy ona przycisnęła do jego piersi rozcapierzone dłonie.

- Postąpiłeś niegrzecznie - powiedziała ze złością - zapraszając Annę na przechadzkę, podczas gdy to ja ci ją zaproponowałam. Czy w ten sposób chroniłś moją reputację? A może przestałam ci się już podobać?

Pułkownik Lomax roześmiał się.

- Chcesz mi się podobać, madame? - zapytał, unosząc jej spódnicę do jazdy konnej. - Dżentelmen musi spełniać życzenia dam. - Pchnął ją na szeroką kanapę, przy której stała.

- Tutaj? - krzyknęła niemal. - To niebezpieczne!

- Każdy spośród służby, kto nie wezwany wejdzie do pokoju, zostanie natychmiast

zwolniony - rzekł. - No, Henrietto, udowodnię ci, że mi się podobasz.

Usiadł przy niej, jedną ręką ściągał z niej spódnicę, a drugą rozpinął własne pludry. Obrócił ją tak, by usiadła na nim okrakiem, chwycił za biodra i wszedł w nią. Dyszała ciężko.

- Teraz ty mi dogadzaj - powiedział, nie przestając się uśmiechać. Robisz to z takim entuzjazmem, księżno.

- Coś takiego! - rzekła z oburzeniem, usiłując oderwać się od niego.

Ale on trzymał ją mocno za pośladki, śmiał się.

- Ciesz się mną, Henrietto, także tym, że twoje marzenia niedługo się ziszczą. Zabiorę stąd Annę. Lecz upłynie trochę czasu, nim Harndon przeboleje stratę i zechce się pocieszyć. Więc na razie ciesz się mną.

Kochał się z nią krótko i brutalnie. Henrietta dyszała ciężko, jęczała z rozkoszy. Gdy skończył, oparła czoło o jego ramię.

- A może właśnie pragnę ciebie, nie Luke'a - powiedziała. - Może nie chcę, byś zabrał stąd Annę? Może wolałabym, żebyś zabrał stąd mnie?

- Zbyt długo, Henrietto, obywałaś się bez mężczyzny - rzekł - i zapomniałaś, co w życiu cenisz sobie najbardziej; a mianowicie pozycję i władzę. Godziłaś się w milczeniu z ich utratą i godzisz się po dziś dzień. Dostarczałaś mi wszelkich informacji o Annie, która przecież w niczym ci nie zawiniła. Przekazywałaś mi te dane w zamian za cotygodniową kopulację. Nie, moja droga księżno, nie możesz wyrzekać się tego, co jest dla ciebie najważniejsze. Użyczam ci swego ciała, ale czasem jest to dla mnie nużące. To nie jest to, czego pragnę.

- Pragniesz Anny - rzekła z goryczą, unosząc głowę. Uwolniła się od niego i usiadła obok. On zaś wstał i odwróciwszy się, zapinał pludry.

- Z Anną nigdy bym tego nie robił - powiedział. - Nie kalaj jej imienia, sugerując takie obrzydlistwa, madame. We właściwym czasie potrzebna mi będzie twoja pomoc. Przyjedź tu za tydzień o tej samej porze po instrukcje. Przyjeżdżaj tu także w następnych tygodniach, aż będę gotów do pełnego wykorzystania twoich możliwości.

Wygładziła spódnicę. Wściekłość biła z jej oczu, nadawała głosowi ostry ton.

- Dlaczego? - zapytała - Dlaczego mam do ciebie przyjeżdżać, skoro tak mnie obraziłeś?

Spojrzał na nią wyraźnie rozbawiony.

- Mam służbę, madame - rzekł. - Widziano cię tu dzisiaj, samą, bez pokojówki i przyzwoitki. Mój służący, madame, zajrzał tu do pokoju i widział, jak galopujesz na mnie na tej kanapie. Tak byłaś tym pochłonięta, że nawet go nie zauważyłaś.

Patrzyła na niego rozszerzonymi oczyma.

- Nikt... - zaczęła.

- I mam jeszcze trzech innych świadków, którzy przed paroma miesiącami widzieli, jak dogadzasz sobie z pewnym tajemniczym mężczyzną w masce - ciągnął. - Świadców, którzy mogliby przemóc zażenowanie i zacząć mówić.

- Dlaczego...?

Rzuciła się na niego z paznokciami, lecz on chwycił ją za nadgarstki.

- Poza tym, wasza wysokość - mówił dalej - wrócisz choćby tylko po to, prawda? - Po raz pierwszy pocałował ją, nie zwalniając uścisku, z całej mocy wtłoczył język w jej usta, po czym odchylił głowę i uśmiechnął się. - Potrzebne ci to jak narkotyk, nieprawdaż? W przyszłym tygodniu też ci to dam, Henrietto. Na samą myśl o tym czujesz rozkoszny ból między nogami, mam rację?

Patrzyła na niego w milczeniu. Jej twarz wyrażała na przemian gniew i pożądanie.

- Następnym razem - ciągnął z tym samym uśmiechem - będzie my się być może kochać w łóżku. Bez kłopotliwej odzieży. A więc za tydzień, moja miła.

Cofnął się o krok, puścił jedną jej rękę, a drugą uniósł do ust.

- A teraz już jedź. Nie chcielibyśmy oboje, by choć cień skandalu naruszył godność twojego nazwiska, nieprawdaż?

Henrietta nie odrywała od niego wzroku, podczas gdy on rozluźniał powoli uścisk dłoni na drugim jej nadgarstku. Odwróciła się na pięcie i pospieszyła do drzwi.

Nienawidziła go. Bała się go. A jej piersi i łono pożądały go aż do bólu.

Pułkownik Henry Lomax skupiał na sobie powszechną uwagę i gdziekolwiek się pojawił, był mile widziany. Żaden proszony obiad, żaden wieczorek taneczny, żadne przyjęcie nie odbyło się bez niego. Mężczyźni darzyli go sympatią kobiety - uwielbiały. Nawet niektóre młode dziewczyny chichotały i czerwieniły się, gdy prawil im komplementy, co zresztą , czynił dość często.

Luke zaś przyłapał się na tym, że rozważa z przyjemnością różne oryginalne metody zabicia tego człowieka.

W każdej sytuacji Lomax poświęcał Annie wiele uwagi.

Nie, nigdy w takim stopniu, by stało się to przyczyną plotek czy nawet drobnego skandalu towarzyskiego. Tak się zawsze składało, że siedział obok niej przy stole, lecz bawił rozmową obie siedzące przy nim damy, w salonie dołączał do grupy osób, wśród których była również ona, ale rozmawiał przeważnie z innymi, nie z nią. Na każdym spotkaniu towarzyskim tańczył raz - i tylko z nią. Ponadto w trakcie takiego wieczoru czarował wszystkie niewiasty, tłumacząc im przy okazji, że dawne rany nie pozwalają mu tańczyć tyle razy, ile by chciał. Towarzyszył temu uśmiech tak wymowny, że każda z dam była pewna, iż wskutek tych ran jego męskość nie doznała uszczerbku.

Jego zachowanie wobec Anny było bez zarzutu. Luke chciałby nawet, żeby było inaczej. Człowieka, który zalecałby się do jego żony, mógłby odpowiednio potraktować. Nie było niczego niewłaściwego w jego stosunku do Anny, a uwaga, jaką jej poświęcał, nie miała nic wspólnego z zalotami.

Henriette, rzecz jasna, wyprowadzało to z równowagi.

- Dziwię się - powiedziała któregoś wieczoru u Pierce'ow, gdy Luke tańczył z nią, a Lomax z Anną - że znosisz to wszystko.

- Słucham, madame? - Uniósł brwi i zmierzył ją zdziwionym spojrzeniem.

- To jasne - rzekła - że on ją uwodzi. A ona wcale się temu nie sprzeciwia.

Tak, nie sprzeciwia się. I właśnie w takich chwilach dopadały go myśli o morderstwie. Ale czemu właściwie miałaby się sprzeciwiać?

- Wnioskuje, że masz na myśli moją żonę i pułkownika Lomaksa - powiedział. - Jesteś w błędzie, Henrietto.

- Czy ty tego nie widzisz? - ciągnęła. - Ona wyszła za ciebie dla pieniędzy, Luke, i głowę daje, że chętnie wzięłaby sobie kochanka. Kiedy on złożył nam pierwszą wizytę, Anna powiedziała mi, że Lomax ma nieodparty urok i że jest przystojny. I ostrzegła mnie, że jeśli

zamierzam z nim flirtować, stanę się jej rywalką. Też coś, miałabym flirtować z mężczyzną o tak niewybrednym guście!

Luke popatrzył na nią chłodno - przerwała i spuściła oczy.

- Dość tego, madame - wysyczał przez zęby. - I tak za wiele już powiedziałaś.

Stała się zgorzkniała i złośliwa, pomyślał z zalem. A kiedyś wydawała mu się uosobieniem doskonałości. Może i tak było. Biedna. Czas nie obszedł się z nią laskawie.

Luke oczekiwał z niecierpliwością odpowiedzi wuja na zawarte w jego liście pytania ryczące Lomaksa. Nadeszła w końcu i aż wstrząsnął nim dreszcz, choć spodziewał się takich właśnie wiadomości. Armia nie miała żadnych akt pułkownika Henry'ego Lomaksa. Wyglądało na to, że taki człowiek, jeśli istnieje, nie miał i nie ma nic wspólnego z wojskiem. W dodatku Teo, mając liczne kontakty w różnych środowiskach, nie tylko wojskowych, nie natrafił na żaden ślad, który potwierdzałby tożsamość pana Lomaksa.

Okazało się zatem, że pułkownik Henry Lomax, skoro był człowiekiem z krwi i kości, wydzierzał Wycherly, posługując się fałszywym nazwiskiem.

Był kimś z przeszłości Anny. Kimś, kto wiedział o jej ślubie, a teraz przybył tutaj, by móc obserwować ją z daleka. Kimś, kto pojechał za nią do Ranelagh i przy pierwszej okazji wyciągnął na przechadzkę. Kimś, kto przez pierwsze pół roku ich małżeństwa zasypywał ją listami, a nawet spotykał się z nią potajemnie. Kimś, kto zadał sobie tyle trudu, by nawiązać towarzyskie kontakty z Willem, a może nawet namówić go na tak kosztowną podróż poślubną i na wydzierżawienie mu na rok Wycherly.

A uczucia jego były tak silne, że nie potrafił z niej zrezygnować.

Jej tajemniczy kochanek.

Luke siedział przy swoim biurku, obracając w rękach list od wuja i wpatrując się tępo przed siebie.

A co na to Anna?

Czy równie ciężko przeżyła rozstanie z tym Lomaksem czy jak mu tam?

Była mu wierna. Nie wiedział, skąd ma tę pewność, skoro nigdy jej nie śledził i od początku ich małżeństwa nie rozliczał jej z żadnego dnia ani godziny. Lecz mimo to był absolutnie pewny jej wierności. Nie sposób cały rok żyć intymnie z niewiastą i nie poznać jej. Anna była wierną żoną i dobrą matką.

Ale co z jej skrywanymi uczuciami?

Co spowodowało jej załamanie po balu w Ranelagh i po otrzymaniu tego pierwszego listu? Lęk przed odnowieniem znajomości? Lęk przed samą sobą? Czy nie z poczucia winy kochała się z nim wtedy w powozie z tak desperacką namiętnością? Czuła się winna, że nie

darzy uczuciem jego, tylko innego mężczyznę?

Pamiętał - i nigdy tego nie zapomni - wyraz jej oczu, lży tuż po nocy poślubnej, gdy zapytał ją, czy kochała tego mężczyznę, który odebrał jej dziewictwo.

Zmiał list z wściekłością i wstał zza biurka. Jedno było pewne - czas tajemnic się skończył. Musi dociec prawdy.

Jak? Przez Annę? Wątpił, czy uda mu się coś z niej wydobyć. Ale musi dociec prawdy. Sam. Nie zwróci się z tym do wuja. Będzie działał na własną rękę.

Luke i Ashley wybrali się na przejażdżkę. Jechali bez szczególnego celu i znaleźli się raptem na szczytce zbocza, parę kilometrów od domu, i obaj równocześnie zawrócili konie. Patrzyli na panoramę ogrodów i na swój dom rodzinny. Ashley wyjeżdżał nazajutrz.

- W Indiach będę wracał tu myślami - powiedział Ashley - i zastanawiał się, po kiego diabła mnie tam pognało. Podobno Anglicy najbardziej cenią swoją ojczyznę, gdy są od niej daleko. Podzielasz ten pogląd?

- Miałem powód, by nie sięgać do wspomnień o Anglii - rzekł cicho Luke. - A ty nie zmieniłeś zdania? Nie jest jeszcze za późno.

Ashley roześmiał się.

- Nie jest za późno? Skoro jestem spakowany i jutro jadę do Londynu, a w ciągu tygodnia dotrę do Indii? Nie, Luke, nie zmieniłem zdania. Ekscytuje mnie przyszłość. Ale będę tęsknił do was i do tego wszystkiego, na co patrzymy.

- Fox dostarczył dobre rekomendacje - rzekł Luke - ale na pewno nie będzie lepszy od ciebie. Możesz w każdej chwili wrócić, Ash... Ja też będę tęsknił, mój młodszy bracie.

Od urodzin Joy bardzo się do siebie zbliżyli.

- Mieliśmy jeszcze jednego brata - powiedział Ashley. - Czy byłeś chociaż na jego grobie?

- Nie - odrzekł szorstko Luke. - Wolałbym nie poruszać tego tematu.

- Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć - zaczął zniechęca Ashley. - Zdaniem mamy nikt poza nią, Henriettą i mną nie może poznać prawdy. Ale to mnie dręczy, szczególnie teraz, kiedy wyjeżdżam. Masz prawo wiedzieć.

Luke zawrócił konia i powoli zaczął zjeżdżać ze zbocza.

- Jeśli dotyczy to George'a, to niczego nie jestem ciekaw. Ashley podążał za jego koniem.

- On się zabił - rzekł.

Luke zatrzymał się tak gwałtownie, że koń stanął dęba, i dopiero po dłuższej chwili udało mu się nad nim zapanować.

- Co takiego? - zapytał, a jego twarz powlekła się trupią bladością.

- Upadł na ostrze noża - powiedział Ashley, równie blady, jak brat. - I nie był to przypadek. Na szczęście - może i na szczęście - we wsi panowała wówczas cholera i rodzina postanowiła jako przyczynę śmierci podać tę chorobę. Gdyby prawda wyszła na jaw, nie miałby chrześcijańskiego pochówku.

Luke miał zamęt w głowie, dzwoniło mu w uszach, już raz zaznał takiego uczucia.

- Ale dlaczego?

- Przypuszczam, że nie mógł wybaczyć sobie tego, co się z tobą stało. On cię kochał. Raz posłał ci pieniądze. Pamiętasz? A ty odesłałeś mu je z powrotem. Potem pił bez przerwy przez dwa tygodnie. Nawet ojciec nie mógł na niego wpłynąć.

O Boże!

- Henrietta dopięła swego - ciągnął Ashley. - Rozumiesz teraz, Luke, że to wszystko była jej robota? Stworzyła mu piekło na ziemi. A George był bezradny. Obwiniała go nawet o śmierć dziecka. Nienawidzili się. Może i żywiła do ciebie jakieś uczucia, ale ty byłeś młodszym bratem, a George'a miała w zasięgu ręki i chciała być księżną. Ironia losu, prawda? Zabierał ją często do Londynu, gdzie miała romanse i zmieniała kochanków jak rękawiczki. Gdy byłem na uniwersytecie, mówiło się o tym na salonach. A potem George popełnił samobójstwo.

- O Boże, Ash! - Luke jechał przed siebie, nieświadom nawet kierunku, w jakim zdązał.

- Skrzywdził cię, to fakt, ale wierz mi, Luke, zapłacił za to tysiącrotną cenę.

Odesłałem mu pieniądze, myślał Luke, nie wiedząc nawet, że jego koń przeszedł w kłus. Odesłałem mu pieniądze. Odrzuciłem jego prośbę pojednania.

- Może nie powinienem był ci tego mówić - rzekł Ashley ponurym głosem. - Ale miałeś, Luke, jeszcze jednego brata. Kochałem go.

A teraz Luke miał stracić drugiego. Nie w tak okrutny sposób i nie na zawsze. Lecz strata jest stratą. Ściągnął cugle konia i spojrzął na Ashleya.

- Postąpiłeś słusznie, Ash - powiedział. - Dziękuję ci. Ashley wzruszył ramionami.

- Mam do ciebie prośbę - rzekł. - Jutro rano będę miał paskudny nastrój. Chcę odjechać tak, jakbym udawał się na przejażdżkę do wsi. Nie chcę łzawych pożegnań.

- Uszanuję twoją wolę - obiecał mu niechętnie Luke. - I o to samo poproszę Annę.

Ashley westchnął z wyraźną ulgą.

- Dziękuję, bracie - powiedział z uśmiechem. - Będę pisał.

- Pamiętaj - rzekł Luke, kierując się ku stajniom. - To rozkaz głowy rodziny, Ash.

Nie było łatwo powiedzieć Ashleyowi dobranoc, tak jak każdego innego wieczoru, nie uściskać mu mocno dłoni, nie przycisnąć do piersi. Luke opuścił dom rodzinny i nie było go dziesięć lat, i nie zamierzał, i nie chciał tu wrócić. Teraz jednak, gdy odjeżdżał jego brat, zrobiło mu się żal, że go tu nie było. W ciągu dziesięciu lat mógłby lepiej poznać Ashleya.

Anna nie wykazała takiego hartu ducha. Przeprosiła obecnych, by udać się do pokoju dzieciennego i nakarmić Joy przed snem. Jak zwykle serdecznie powiedziała Ashleyowi dobranoc i ruszyła ku drzwiom. Nagle jednak zawróciła, podbiegła do niego, uściskała go i rozplakała się, a tego właśnie nazajutrz rano chciał uniknąć.

Był zakłopotany i również miał łzy w oczach.

Gdy Ashley zszedł na dół, Luke'a już nie było - zjadł wczesne śniadanie i wyjechał. Spędził bezsenną noc i nawet umknął do swojej sypialni, by nie budzić Anny.

George. George popełnił samobójstwo, rzucając się na ostrze noża.

Luke wcześniej wyszedł z domu, sam osiodłał konia i powoli, z niejakimi oporami, udał się tam, dokąd powinien się udać. Musiał złożyć komuś zaległą od dawna wizytę.

Jako chłopiec lubił wędrować po tym cmentarzu. Fascynował go fakt, że spoczywają tu wszyscy jego przodkowie i przodkowie sąsiadów, i przodkowie znanych mu wieśniaków. Nie była to chorobliwa fascynacja. Zachwycał się cudem i tajemnicą ciągłości życia.

Tym razem chciał odwiedzić dwie mogiły, których dotąd nie odwiedził. Najpierw stanął przy grobie ojca.

Ojciec był człowiekiem surowym, oschłym, ale miał w sobie duże zasoby miłości - kochał swoich synów i córkę. Jak każda miłość, tak i ta miała swoje granice. Luke te granice przekroczył. Miał dwadzieścia lat, kiedy ojciec go odtrącił - ciężko przeżył owo odtrącenie. Stał się cyniczny i pełen goryczy. Trzydziestjednoletni Luke był bardziej wyrozumiały.

Zastanawiał się teraz, czy przez ostatnie pięć lat życia ojciec miał wobec niego wyrzuty sumienia.

Przypomniał sobie nagle, jak ojciec z niezmaconą cierpliwością uczył go jeździć na kucyku. Była tam jeszcze mała mogiłka noworodka, który zmarł w łonie matki. Miał nawet imię: Lucas.

Luke dłuższy czas stał przy tej mogiłce, jakby lękając się zrobić krok i znaleźć się przy innym grobie, wzniesionym najpóźniej. Zrobił jednak ten krok.

George. Zmarł w wieku dwudziestu trzech lat. Sam zadał sobie śmierć, bo nie mógł sobie wybaczyć. Bo jego brat nie mógł mu wybaczyć. Bo jego brat nie przyjął od niego pieniędzy.

Luke, dumny i rozgniewany, odesłał mu pieniądze wraz z kartką, na której widniał

tylko podpis George'a.

Oferta pokoju.

Oferta miłości.

Wzgardzona i odrzucona.

Młodzińczy egoizm, myślał teraz Luke. Sądził wówczas, że cierpi tylko on i Henrietta. Odtrącił wyciągniętą ku niemu dłoń. I miłość. Zabił ją w sobie, wyrwał ze swego serca, żeby już nikt nie mógł go zranić.

Tymczasem on zranił kogoś tak boleśnie, że ten ktoś zadał sobie śmierć. Zranił swego brata. I zabił go.

Skulił ramiona, jakby poczuł w piersi ostrze noża.

Nie wziął peleryny. Wyglądało na to, że lada chwila zacznie padać. Wokół było szaro i ponuro.

- George - powiedział głośno - wybacz mi. Ja ci wybaczyłem. Wybacz mi. Wybacz mi. Kocham cię, George.

Miłość wróciła doń, zadając mu ból nie do zniesienia. Uklęknął, jedną rękę wsparł o nagrobek, drugą położył na ziemi, pod którą spoczywały szczątki brata.

- Wybacz mi. - Łzy, których nie powstrzymywał, kapały na trawę. - Wybacz mi. - Wsparł czoło o rękę i płakał, aż płacz zamienił się w szlochanie.

Sporo czasu minęło, nim wstał, i wiodąc konia za uzdę, skierował się do domu. Nikt do niego nie podszedł, choć parę osób, wśród nich proboszcz, widziało go.

Ashley oznajmił jej wczoraj, że nazajutrz wyjeżdża. Położył dłonie na jej ramionach, uśmiechnął się wesoło, powiedział, żeby była dobrą dziewczynką, i odszedł. Było to bardzo krótkie spotkanie. Potem przez całe popołudnie jeździł konno z Lukiem.

Emilia nie chciała dziś się z nim widzieć. Nie mogłaby patrzeć, jak odjeżdża. Obecnie jednak, gdy zjadła śniadanie - lub raczej gdy go nie zjadła, ogarnęło ją przerażenie. Czy odjechał? Czy już odjechał? Na zawsze? I więcej go nie zobaczy?

Siedziała przy oknie i patrząc na trawniki i drzewa, starała się uspokoić. Dzień był szary i ponury. A on może właśnie teraz wsiada do powozu, który wywiezie go na drugi koniec świata?

I ona nigdy w życiu już go nie zobaczy.

Opiekunka zaraz po nią przyjdzie i zabierze ją do jej pokoju, gdzie będzie ją zachęcać do robótek albo do malowania. Nie ma dziś ochoty ani na igłę, ani na pędzel, bo pęka jej serce. Pobiegła do garderoby po pelerynkę. Zarzuciła ją na ramiona i wybiegła z pokoju.

Może zdąży.

W holu stały kufry i pudła. Na podjeździe nie było powozu. I ani śladu Ashleya. Pewnie je śniadanie. Jeszcze nie odjechał. Ale nie pójdzie do niego, nie chce go dziś widzieć. Nieprawda, chce. Musi go zobaczyć, lecz tak, żeby on jej nie widział.

Wybiegła z domu na górny taras ogrodów. Pędziła co sił szerokim trawnikiem, potem przez most i w dół podjazdu. Ledwo dysząc, ukryła się wśród drzew. Oparta o pień widziała całą drogę, choć jej samej nikt by nie dostrzegł. Lecz cóż z tego, skoro zobaczy tylko powóz? Mało prawdopodobne, że on wyjrzy przez okno i dostrzeże wśród drzew jej postać. Zresztą nie chciałyby tego.

Niepotrzebnie wzięła czerwoną pelerynkę. Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej?

Drżała z zimna. I nareszcie usłyszała zbliżający się powóz. Nie usłyszała oczywiście. Lecz bardziej niż inni ludzie wyczulona była na wibracje. Wiedziała, że się zbliża, zanim pojawił się w jej polu widzenia. Była do głębi poruszona. On wyjeżdża na zawsze, a ona widzi tylko powóz. Wychyliła się nieco, desperacko pragnąc zobaczyć Ashleya po raz ostatni.

Powóz mijał ją, a ona nie mogła dostrzec ukochanego. Nagłe zwolnił tempo i zatrzymał się. Drzwi się otworzyły, Ashley wyskoczył i skierował kroki tam, gdzie ona stała oparta o pień.

Był przy niej, bardzo blisko. Miał smutek w oczach.

- Mała sarenka - powiedział.

Gdyby powiedział coś więcej, i tak nie wiedziałyby co. Mgła zasnuła jej oczy.

Przywarł do niej całym ciałem, wcisnął ją niemal w drzewo, choć rękami jej nie dotknął. Uniósłszy głowę, spojrzała na niego - pochylił się i popatrzył na nią uważnie.

Dotknął ustami jej ust - były miękkie, ciepłe, cudowne. I trwali tak przez chwilę. Odchyliła głowę, bo zabrakło jej tchu.

Jedną dłonią ujął jej twarz, drugą głaskał po włosach.

- Wróć, mała sarenko - powiedział. - Wróć i nauczę cię czytać i pisać, i nauczę cię języka, którym będziesz mogła się porozumiewać.

Jedyne, co chcę ci powiedzieć, to to, że cię kocham. Zawsze będę cię kochała.

- Ach, te twoje oczy - rzekł. - Wróć, Emilio. Nie zapomnę o tobie. Noszę cię w sercu.  
- Odszedł parę kroków i przyłożył do serca dłoń.

I odjechał.

Zamknęła oczy. Powóz zniknął. Czowała tylko wibracje.

Długo stała nieruchomo, po czym, na nic nie zważając, pobiegła niemal na oślep przez las, coraz szybciej i szybciej, jak gdyby wszyscy diabli deptali jej po piętach.

Luke wszedł do pokoju dziecinnego, gdy Anna bawiła się z Joy. Dziecko, które od

przeszło pół godziny marudziło i najwyraźniej było w złym nastroju, na widok ojca uśmiechnęło się promiennie.

- Ach, ty przekorna dziewczynko - powiedziała Anna.

- Ona ma twój uśmiech - rzekł Luke, kładąc dłoń na ramieniu Anny.

- Tylko wtedy, kiedy raczy się uśmiechnąć. Małe diablątko. - Anna zwróciła wzrok ku mężowi. Był blady. Wyglądał, jakby płakał. - Co się dzieje? - zapytała. - Widziałeś się z Ashleyem? Muszę przyznać, że trudno mi było tu usiedzieć. To niesamowite, żeby nie móc się z nim pożegnać, jak przystoi rodzinie.

- Ash jest bardzo młody - odparł Luke. - Za młody na to, by pozwolić sobie na łyzy. Nie, Anno, dzisiaj się z nim nie widziałem, poinformowano mnie tylko, że odjechał. Będzie mi go brak.

- Wiem. - Uśmiechnęła się. Ścisnęła ją mocno za ramię.

- Zaproś mnie do swojego salonu, dobrze?

Odkąd oznajmił żonie, że jest to jej prywatne królestwo, nigdy go tam nie zapraszała, choć wielokrotnie miała na to ochotę. Podała mu dziecko, wciąż uśmiechnięta, i zadzwoniła po niańkę. Kobieta przejęła opiekę nad Joy, Anna zaś skierowała się do salonu.

- Co ci jest? - Usiadła obok niego na kanapie i obiema rękami ujęła jego dłoń. Zdziwiły ją - a raczej przeraziły - łyzy w jego oczach.

- Byłem na grobie mego brata - rzekł, wspierając głowę o poduszki i zwracając się ku niej twarzą. - Poszedłem na cmentarz, na grób George'a.

- Cieszę się, Luke - powiedziała Anna cichym głosem. I wyczytała z jego twarzy, że nastąpiło coś w rodzaju pojednania. Wiedziała, że Luke'owi było to potrzebne, że po latach gorzkiej rozłąki chciał być blisko całej swojej rodziny.

- On popełnił samobójstwo, Anno. - Zamknął oczy, a jej aż ciarki przeszły po plecach. I opowiedział jej, czego się dowiedział od Ashleya i Doris. Na końcu wyznał jej to, co, jak się domyśliła, było najbardziej dla niego bolesne: - Przysłał mi pieniądze, dając mi tym do zrozumienia, że wciąż mnie kocha i żałuje swego czynu. A ja mu je odesłałem. Odrzuciłem go. Nie zabiłem go strzałem - czy wiesz o tym, że celowałem w drzewo, trzy metry od niego, a trafiłem centymetr od jego serca? - lecz zabiłem go zwrotem tych pieniędzy.

- Nie, Luke. - Przyłożyła dłoń do swego policzka. Nie zdarzało jej się widzieć męża w takim stanie. - Oczywiście, że go nie zabiłeś. Nie wolno ci tak myśleć. Dla was obu było to ciężkie przeżycie. Ty miałeś siłę, by się z tym uporać, on nie. Mógłby do tych pieniędzy dołączyć list, mógłby przyjechać do Paryża i spotkać się z tobą. Nie wolno ci obwiniać się o to, co zrobił, a czego nie zrobił. Odrzuciłeś go, ale on też cię odrzucił. Tak się niestety zdarza

wśród ludzi. Ranią się wzajemnie. Szczególnie ci, którzy są sobie najbliżsi. Niektórym brak jest tej wewnętrznej siły i nie godzą się z tym, że inni ją mają. I nic na to nie mogą poradzić. Mojego ojca przez całe swoje życie uważałam za silnego człowieka, dopóki nie okazało się, że matka ma gruźlicę. Wtedy całkiem się załamał. Wiele osób odwróciło się od niego. Nie było trudno przestać go wówczas lubić i... kochać.

- Ja kochałem George'a, Anno. Zawsze chciałem być taki jak on.

- On też cię kochał. Do końca, bo w przeciwnym razie nie cierpiałby tak bardzo. Na pewno nie chciałby, żebyś ty teraz cierpiał. Nie chciałby zadawać ci większego bólu po śmierci niż za życia.

Spojrzał na nią uważnie.

- Miłość nie jest łatwa, jakby to się mogło wydawać. Chciałbym, żeby był wśród nas, żebym mógł się z nim pogodzić, ale on nie żyje. Miłość sprawia ból, Anno.

- Tak, wiem. - Skłoniła głowę i pocałowała koronkowy mankiet u jego nadgarstka.

- Anno. - Patrzył jej prosto w oczy. - Czy uważasz Henriettę za swoją przyjaciółkę?

Zwlekała chwilę z odpowiedzią. Widziała jego wysiłki, by zjednoczyć rodzinę, pogodzić przeszłość z teraźniejszością.

- Nie, raczej nie - odparła. - Nie szczydziła trudu, by relacjonować mi spotkania z tobą, i zawsze dawała mi do zrozumienia, że łączy was miłość. Doszłam do wniosku - być może jestem wobec niej niesprawiedliwa - że robi to umyślnie, że mnie nie lubi. Jak mogę, unikam jej towarzystwa.

- Jej insynuacje, Anno, nie mają nic wspólnego z prawdą. Muszę ci się przyznać, że bałem się powrotu tutaj, bałem się, że jeśli ją zobaczę, odżyje we mnie uczucie, jakim ją darzyłem. Z tego samego powodu starałem się nie przebywać z nią sam na sam. Wszystkie te „przypadkowe” spotkania aranżowała ona. Bardzo szybko jednak zrozumiałem, że to, co do niej czuję, to tylko litość.

Anna westchnęła głęboko. Ponownie wzięła go za rękę i położyła ją sobie na kolanach.

- Czy żałujesz, Anno - rzekł, szukając wzrokiem jej spojrzenia - że mnie poślubiłaś?

- Nie, nigdy - odparła, zamknąwszy oczy. Po chwili je otworzyła i powiedziała tonem jeszcze bardziej dobitnym: - Nigdy.

- Ja też nie - rzekł. - To najszczęśliwsza rzecz, jaka mi się w życiu przydarzyła.

Zacisnęła usta. Dlaczego powiedział przed chwilą, że miłość sprawia ból?

- Czy istnieje coś... - zaczął z wahaniem, ale mówił dalej: - Czy mógłbym ci w jakiś sposób pomóc, Anno?

Najczęściej ważne życiowe decyzje podejmuje się zniemacka, pomyślała. Bez przygotowań. Po paru zaledwie sekundach namysłu. Dlaczego nie powiedziała o wszystkim? - zadawała sobie potem to pytanie. Rozmawiał z nią ciepło, niemal z czułością. Wyznał jej, jak wiele dla niego znaczy. Zwierzył się jej z błędów, jakie popełnił. I na pewno odniósłby się ze zrozumieniem do jej zwierzeń.

Lecz jej wahanie trwało tylko chwilę. Instynkt samozachowawczy podsunął jej jednak te słowa:

- Zawsze jesteś dla mnie dobry.

- I nie ma nic...?

- Nie - rzekła stanowczo, nie przestając się uśmiechać. Skinął głową.

- Muszę w pewnej sprawie jechać do Londynu - powiedział, zmieniawszy ton. - Zajmie mi to jakiś tydzień.

Serce w niej się rozradowało, choć oczywiście każda ucieczka była iluzją.

- Weźmiesz mnie ze sobą, mam nadzieję. Kiedy jedziemy?

- Nie wezmę, Anno. - Poglądził ją po policzku. - Pojadę sam. Za wiele byłoby zamieszania z pakowaniem ciebie, Joy i niańki. Wrócę możliwie najszybciej.

- Och - westchnęła zawiedziona i zasmucona.

- Czyżbyś bała się zostać sama? - zapytał, patrząc jej prosto w oczy. Lęk? Paniczny strach to lepsze określenie.

- Nie, oczywiście że nie. - Uśmiechnęła się. - Ja i Joy będziemy tęsknić za tobą. Będziemy liczyły godziny do twego powrotu.

- Anno - powiedział z westchnieniem - och, Anno.

Był dziwnie zamyślony. Szybko jednak wrócił typowy dlań sposób bycia. Wstał energicznie.

- Muszę porozmawiać z Foksem - rzekł - i z moim kamerdynerem.

Uśmiechnęła się, przemagając chęć przytulenia się do niego, błagania go, by nie zostawiał jej samej. Nie ruszyła się jednak z miejsca i Luke wyszedł z pokoju. Być może, myślała, gdy zostanie sama, bez pozorów ochrony przed niebezpieczeństwem, wyjdzie jej to na dobre. Może to właśnie jest jej najbardziej potrzebne? Może w samotności zdobędzie się na odwagę i zrobi coś w swojej własnej obronie?

Być może - znowu przyszło to jej do głowy - zdobędzie się na odwagę i zabije go?

Po mniej więcej godzinie Luke siedział w gabinecie swojego nowego zarządcy, Howarda Foksa, przysłuchując się z zadowoleniem jego pochwałom tyczącym ksiąg i akt majątkowych; udzielił mu również pewnych instrukcji na czas swojej nieobecności. Przerwało im pukanie do drzwi i w progu stanęła Anna. Była wyraźnie wzburzona.

- Emilia zniknęła - oznajmiła, przepraszając wzrokiem Foksa. Luke skinął mu głową i oboje wyszli z pokoju.

- Mamy dopiero wczesne popołudnie - rzekł - a Emilka ma zwyczaj spacerować o tej porze. Czy masz jakiś powód do niepokoju?

- Wyszła z domu wczesnym rankiem, a jej opiekunka, głupia baba, dopiero teraz powiadomiła mnie o tym. Nie ma jej już od dawna, Luke. Ashley wyjechał rano. Może zobaczyła, jak odjeżdża, i ukryła się gdzieś, aby wypłakać się w samotności? Jak mogłam dziś rano nie być przy niej?! Powinnam była przewidzieć jej reakcję. Jeden Bóg wie, gdzie ona teraz się podziewa.

- Biedna Emilia - powiedział. - Wróci, kiedy się uspokoi. - Ujrzał jednak lęk w twarzy żony. - Chcesz, żebym jej poszukał?

- Muszę teraz nakarmić Joy i zajmie mi to co najmniej pół godziny.

- Odnajdę ją i przyprowadzę bezpiecznie do domu - obiecał. - Czy była na tyle rozsądna, by zarzucić na siebie pelerynkę? Dziś jest przenikliwie zimno.

- Tak, wzięła tę czerwoną.

- Aha, to łatwo będzie ją odnaleźć - powiedział. Był niemal pewny, że dziewczynka pobiegnęła do wodospadu. To jeden z jej ulubionych zakątków.

I rzeczywiście była tam, leżała twarzą do ziemi na płaskiej, wystającej nad wodą skale - wiatr unosił nad nią pelerynkę.

- Emilko - rzekł przyciszonym głosem, stąpając ostrożnie po kamieniach. Biedne dziecko. Dziś rano tak był zaabsorbowany własnymi emocjami, że nawet o niej nie pomyślał.

- Emilko. - Położył dłoń na jej ramieniu.

Nie przestraszyła się, tak jak się tego obawiał. Odwróciła głowę, spojrzała nań smutnymi, zaczerwienionymi od płaczu oczami i znowu ukryła twarz w zgięciu łokcia.

Usiadł przy niej i gładził ją po ramieniu. Nie płakała już, była spokojna, zobojętniała. Biedne dziecko. Kochała Ashleya tak bezgranicznie, z takim oddaniem, jak żadne spośród nich. Mała już piętnaście lat i było wielce prawdopodobne, że kochała Asha nie miłością siostrzaną, nie tak jak dziecko kocha swojego bohatera, ale tak, jak kobieta kocha mężczyznę.

Z powodu kalectwa traktowano ją raczej jak dziecko, a nie przemieniającą się w niewiastę młodą dziewczynę.

Jaka będzie jej przyszłość? - zastanawiał się Luke. Czy zdołają wraz z Anną znaleźć jej męża i czy ten mąż będzie dla niej dobry? Dziewczynka nie myślała jednak teraz o przyszłości. Cierpiała.

Obrócił ją w końcu na plecy, chwycił w ramiona i posadził sobie na kolanach. Kołysał ją, a ona przytulała się do niego. Przemawiał do niej czule, choć wiedział przecież, że go nie słyszy.

- Widziałaś, jak odjeżdżał? - zapytał, gdy spojrzała nań wreszcie szeroko rozwartymi, smutnymi oczami.

Skinęła głową.

- Rozmawiałaś z nim? Pożegnał się z tobą? Skinęła głową.

Ciekawe, czy Ashley wie, że to dziecko go kocha? - zastanawiał się.

- Przykro mi - powiedział. - Przykro mi, że cierpisz, Emilio. Złożyła głowę na jego piersi i trwała tak parę minut, po czym wstała i owinęła się pelerynką. Podał jej ramię.

- Emilio - zaczął, pochyliwszy głowę, by na niego spojrzała. - Anna i ja bardzo cię kochamy. Wiem, że to nie ukoji twego bólu, ale taka jest prawda.

Uśmiechnęła się leciutko.

Gdy tak szli przez trawniki do domu, Luke wpadł na pewien pomysł. Zwolnił kroku, znowu się nad nią pochylił.

- Czy ty znasz pułkownika Lomaksa? - zapytał. Popatrzyła na niego pytająco.

- Naszego nowego sąsiada - dodał. - Tego, który zamieszkał w Wycherly?

Dostrzegł w jej oczach błysk zrozumienia. I jeszcze coś. Tak, na pewno jeszcze coś.

- Czy znasz go? - powtórzył. - Czy widziałaś go już kiedyś? Potakując skinęła głową, a jej oczy wyrażały coś, czego nie potrafił odczytać.

- Gdzie?

Wykonała ręką szeroki gest i wzruszyła bezradnie ramionami.

- W domu? W Elm Court? Potaknęła energicznie.

- I nie nazywał się Lomax? Potrząsnęła głową przecząco.

Tak właśnie podejrzewał. Ale potwierdzenie tych podejrzeń odczuł jak dźgnięcie nożem.

- Lubisz go? - zapytał.

Znowu przeczący ruch głową. Wyczytał z jej oczu, że uczucia Emilii są wręcz przeciwnej natury. Dlaczego? A czy Anna go lubiła? Lecz tego pytania nie zadał. Nie byłoby

to w porządku. Właściwie dlaczego nie w porządku, skoro nic na ten temat nie wiedział?

- Dziękuję ci - powiedział. - Sam dojdę prawdy, kochanie. Wierzysz, że mi się uda?

Przytaknęła i łzy pojawiły się w jej oczach. Uścisnął mocno ramię dziewczynki i ruszyli w stronę domu. Tak, dojdzie prawdy. Najwyższy czas. Miał uczucie, że od tego zależy przyszłość jego małżeństwa.

Małżeństwa, które powoli - tak powoli, że nawet tego nie zauważył - stało mu się bardzo drogie.

Gdyby czas mógł się cofnąć, myślała Henrietta, jadąc samotnie konno ku Bowden Abbey, i gdyby można było inaczej ułożyć sobie życie... Gdyby została przy Luke'u - nudnym, nie stosującym się do mody molu książkowym, marzącym o karierze duchownego, mogłaby teraz być żoną pastora albo biskupa. Albo może pierwszą księżną Harndon, gdyby George żył...

Gdyby nie... Miałby żonę, synów.

Wracała z Wycherly - podziękowano jej za wiadomość o zamierzonym wyjeździe Luke'a. Podziękowano w zwykły sposób. Coraz bardziej ją to złościło, obrażało. Nigdy w łóżku, jak jej to obiecał. Tego popołudnia odbyło się to w stajni, w jednym z boksów, drzwi były zamknięte, ale nie na klucz - za cienką przegrodą słychać było głosy stajennych. A on śmiał się z jej protestów.

A jednak nie mogła bez tego żyć.

Jak tylko zabierze stąd Annę - nie chciała już, żeby zabrał ją zamiast niej - ona, Henrietta, odzyska wolność. Otrzyma to, co jej się należy. Będzie znowu rządziła w Bowden. I Luke będzie jej. Jeśli wieści, jakie docierały do niej z Paryża, okazałyby się prawdziwe...

Tak, świadczyły o tym oczy Anny o poranku...

Dojeżdżała do domu z zaciśniętymi ze złości ustami. W holu podszedł do niej Cotes i skłoniwszy się nisko, powiedział, że jego wysokość życzy sobie z nią porozmawiać.

Henrietta uniosła ze zdziwieniem brwi i podążyła za Cotesem w stronę gabinetu pana domu; kamerdyner zapukał i otworzył przed nią drzwi.

Luke siedział za biurkiem. Wstał, wskazał jej krzesło naprzeciwko.

- Usiądź, Henrietto - powiedział.

Uśmiechnęła się. Przez dłuższą chwilę Luke w milczeniu jej się przyglądał. Jakżeż on się zmienił, myślała. Jest znacznie przystojniejszy i taki władczy... Atrakcyjny mężczyzna.

- Co się stało? - Pochyliła się do przodu, kładąc na biurku swą delikatną dłoń. - Czy Anna...

- Zamierzamy, Henrietto - zaczął - zaproponować ci, żebyś zamieszkała gdzie indziej.

Wpatrywała się w niego przez chwilę tępym wzrokiem, myśląc, że oto świat, w jakim żyła, rozpada się ostatecznie. Ale może wyciągnęła fałszywe wnioski? Oczy jej złagodniały, przezierał przez nie smutek.

- Biedny Luke - rzekła. - Czujesz to samo co ja? Nieustanne napięcie? Nie możesz dłużej tego znieść?

- Robiłaś, co mogłaś, madame - rzekł chłodno - żeby zniszczyć moje małżeństwo. Dość tego. Bardzo sobie cenię moje małżeństwo.

Zacisnęła wargi, oczy jej rozbłysły gniewem.

- Co ci Anna naopowiadała? Jakie kłamstwa na mój temat? To jest zwykła dziwka, Luke, a ty...

- Zamilcz - powiedział cicho, lecz takim tonem, że przerwała natychmiast i spojrzała na niego z lękiem.

- Wyjeżdżam na mniej więcej tydzień - zaczął - co oznajmiłem przy śniadaniu. Jutro. Do mojego powrotu, madame, masz być gotowa do przeprowadzki. Na razie zamieszkaś w Harndon House, póki nie znajdziemy ci stałego miejsca pobytu. Sama zadecydujesz, czy zechcesz mieszkać w mieście, czy też wolałabyś urządzić się na wsi. Możliwie najdalej od Bowden. Uszanuję twoje życzenia w tej kwestii.

Uświadomiła sobie ogrom swojej straty i... ogrom własnej głupoty. W jej oczach pojawiły się łzy.

- Luke - szepnęła - i to pozostało z naszej miłości?

- Kiedyś cię kochałem - rzekł - ale wątpię, Henrietto, czy ty w ogóle wiesz, co to jest miłość. Mówiąc szczerze, nie chcę dyskutować z tobą na ten temat. Od dawna jednak, stanowczo za długo, odgrywałaś w mojej rodzinie destrukcyjną rolę. Jesteś moją bratową, wdową po George'u, zatem do końca swoich dni masz prawo do w miarę luksusowego życia i wypłat z dochodów majątku. Lecz pod żadnym pozorem i w żadnych okolicznościach nie wolno ci będzie tutaj wrócić. Przynajmniej dopóki ja żyję.

Wstała, patrząc na niego z pogardą.

- Zawsze byłeś słabeuszem - powiedziała. - Najpierw chciałeś zostać duchownym, potem uciekłeś do Francji, skąd bałeś się powrócić, potem ożeniłeś się z dziwką, której nie kochałeś, a po powrocie kryłeś się przede mną za jej spódnicą, bo obawiałeś się uczuć do mnie. Zawsze byłeś słaby. Dobrze, że wyszłam za George'a, nie za ciebie. Oczywiście, gdyby nie ja, żyłby do tej pory, a ja co niedziela siedziałabym w kościele i udawałabym, że patrzę na ciebie z uwielbieniem, gdy ty odprawiasz nabożeństwo.

Luke wyjął z kieszeni tabakierkę i paznokciem kciuka otworzył wieczko.

- Jesteś wolna, madame - powiedział, obrzucając ją zimnym spojrzeniem.

Za późno zorientowała się, do czego to wszystko mogło doprowadzić. Straciła go na zawsze, straciła na zawsze Bowden. Ale on też coś stracił. Ona, Henrietta, nie będzie z tym zwlekać. Zacisnęła zęby, odwróciła się gwałtownie i ruszyła ku drzwiom. Stała, obejrzała się.

- Po urodzeniu się martwego dziecka - wysyczała - nie żył ze mną. I wtedy go znienawidziłam. Pozbawił mnie moich praw małżeńskich. Nie chciał już mieć ze mną dzieci. Tytuł książęcy miał przypaść tobie. I w końcu dał ci go - na końcu noża, że tak powiem. Wiedziałeś o tym? Wiedziałeś, że twój brat, a mój mąż, odebrał sobie życie? Nie miał następcy w osobie naszego syna, przekazał zatem tytuł swemu kochanemu bratu Luke'owi.

Luke zeszywniałymi palcami wziął jeszcze szczyptę tabaki, po czym wyszedł z pokoju. I wówczas ostatni klocek układanki znalazł się na właściwym miejscu. Przez wszystkie te lata uważał się za ofiarę okrutnej zdrady, a tymczasem przez wszystkie te lata był kochany prawdziwie i szczerze. Tak, Anna miała rację, George nie chciałby, żeby on teraz cierpiał z powodu poczucia winy. George kochał go i robił wszystko, co w jego mocy, by naprawić swój błąd, i w końcu - jakże głupio, jakże idiotycznie - odebrał sobie życie... dla niego. Większą miłość trudno sobie wyobrazić...

Nie chciała, żeby Luke wyjechał. Nawet na tydzień. Tydzień to całe siedem dni. Siedem długich dni. Wszystko wtedy może się zdarzyć. On się na pewno dowie, że Luke wyjechał, i może poczynić jakieś kroki. Jak dotąd ograniczał się do szukania jej towarzystwa na gruncie neutralnym, na przyjęciach u sąsiadów. Wtedy niczego od niej nie żądał. Teraz może być inaczej.

Z drugiej jednak strony, w ciągu tego tygodnia będzie mogła zastanowić się, co dalej, przemyśleć sytuację, w jakiej się znalazła. Jak położyć wreszcie kres temu terrorowi. A może...

Nie chciała, żeby Luke wyjechał. Może ubłaga go, by wziął ze sobą ją i Joy? Albo zostanie w domu i zleci załatwienie tej sprawy panu Foksowi? Nie, nie będzie go błagać. Widocznie musi wyjechać, i to sam. Anna nie czuła o to do męża urazy, a przynajmniej starała się nie mieć do niego żalu.

Gdy przyszedł do jej sypialni i wziął ją w ramiona, próbowała zachować pewien dystans, ale radość, że będą się kochać, wzięła górę. Chciała jakoś powściągnąć swój temperament, perspektywa bycia z nim była jednak tak podniecająca...

Pocałował ją. Całowali się długo, namiętnie, lecz Anna nie wtuliła się w niego tak jak zawsze.

- Co ci jest, kochanie? - zapytał.

Zawsze wiedział. Wydawało jej się czasem, że wie o niej więcej niż ona sama. Niełatwo było go zwięd.

- Nic - szepnęła. - Będę tęsknić, to wszystko.

- Dziś w nocy ci to wynagrodzę, dobrze? - powiedział, całując ją.

- Mhm - mruknęła.

Kochał ją powoli. Bardzo powoli. Wprawiał ją w stan ukojenia, stopniował podniecające pieszczoty. Znowu chwila ukojenia i znowu pieszczoty; i tak w nieskończoność. Jego ręce, palce, jego usta, język i zęby, jego uda, całe ciało było po to, by dać jej rozkosz. Po roku małżeństwa mogłoby się wydawać, że nie ma już innych sposobów wprawiania jej w ekstazę. Zawsze jednak odkrywała w nim coś nowego. A jej ręce i usta umiały już na różne sposoby odwzajemniać rozkosz.

Wszelkie lęki i niepokoje zniknęły, zapomniała o nich, żyła tylko tą chwilą. A gdy ich ciała miały się już połączyć, przyjęła go w siebie z westchnieniem szczęścia. Oddychała ciężko, bliska orgazmu. Kilka jego ruchów i poczuła wszechogarniającą błogość.

Uzucie spokoju. Leżała pod nim odprężona, wiedząc, że niebawem, zgodnie z jego naturą i temperamentem, znowu wprawi ich ciała w szaleńczy taniec, dający rozkosz im obojgu. Jej emocje nie osłabną, on wie, jak je podtrzymywać, za każdym razem zwiększać do granic możliwości uczucie rozkoszy i szczęścia.

- Anno. - Uniósł się na łokciach, patrząc jej prosto w twarz. Dzięki padającemu przez okno blaskowi księżyca widziała go wyraźnie; włosy opadały mu na ramiona, oczy rozświetlał dziwny blask. Serce załomotało jej z wrażenia. - Anno - powtórzył.

Odgarnęła mu włosy, obiema dłońmi dotknęła jego czoła i spojrzała czule na męża. Kochała go tak bardzo, że aż bliska była łez.

- Kocham cię - szepnął.

I wtedy łzy trysnęły jej z oczu i potoczyły się po policzkach.

- Kocham cię - powtórzył z ustami przy jej ustach. I czekał chwilę, dając jej czas, by odpowiedziała mu tym samym.

A potem kochał się z nią tak szaleńczo jak nigdy. Sięgał głęboko, przyspieszając rytm, aż oboje popłynęli pod niebiosa, gdzie nastąpiło spełnienie.

Kochał się z nią niezliczoną ilość razy. Kochał się z nią jak nigdy przedtem. Tak, była różnica. Anna wyczula ją ciałem i duszą. Zawsze dawał jej rozkosz, lecz nigdy dotąd nie dawał jej rozkoszy wraz z miłością.

Dlaczego, myślała, dlaczego ona nie wymówiła tych słów?

Odnalazł ustami jej usta.

- Kocham cię - powtórzył po raz drugi.

Dlatego, odpowiedziała sobie w duchu, że nie mogła jeszcze dać mu całej siebie. Dzieliły ich tajemnice; bariery, które sama wzniosła. Musi wyznać mu wszystko, zburzyć bariery. I wtedy... Nie wiedziała jeszcze, co stanie się, gdy to uczyni.

Nie, nie może mu jeszcze wyznać miłości. Czy nadejdzie taka chwila?

A przecież kochała go. Ponad wszystko. Ponad życie. Kochała go, odkąd tamtego wieczoru spojrział na nią, cały w szkarłacie i złocie. Będzie kochać go aż do ostatniego tchnienia, a może nawet i dłużej.

Podróż z Bowden Abbey do Elm Court trwała na ogół trzy dni. Luke przebył tę odległość w dwa. Wyjeżdżając, czuł się nieswojo. Może nie powinien był zostawiać Anny samej? Choć nie przypuszczał, by groziło jej jakieś niebezpieczeństwo. Jeśli jednak Lomax był jej kochankiem - czego Luke był prawie pewien - to może, zostawiając żonę samą, stworzył mu okazję?

Dręczyła go myśl, i nie mógł się od niej uwolnić, że Anna jego trzykrotne wyznanie miłości zbyła milczeniem. Nie pobrali się z miłości, nie była zobligowana, by darzyć go uczuciem, i jako żywo, nie chciał słyszeć, że go kocha, skoro go nie kochała.

Ale miał nadzieję, wierzył...

W noc przed wyjazdem kochali się z jakąś szczególną czułością. A może tak mu się tylko wydawało? Nie, to nieprawdopodobne, by tylko on odnosił takie wrażenie. W tym, co ostatnio przeżywali, było coś więcej niż doznanie fizyczne. Nie byli jedynie dwojgiem ludzi dających sobie rozkosz. Byli mężem i żoną, i tak właśnie kochali się tej nocy. Jedno ciało, jedna dusza.

Tak czuł.

Rok temu nie wyobrażał sobie, by mógł kogokolwiek pokochać. Uznałby to za kompletny absurd.

I oto znowu potrafił kochać. Również żonę. Szczególnie żonę.

Być może było to uczucie jednostronne. Anna wszak milczała.

Tylko te jej łzy.

Tak, musi wyjechać. Musi wreszcie dojść prawdy. Musi się dowiedzieć, co łączyło ją z Lomaksem. Miłość, a może coś innego?

Boże, zlituj się nade mną jeśli to była miłość, pomyślał.

Hrabiostwo Royce nie spodziewali się go i powitali go z niejakim zdziwieniem, choć bardzo serdecznie. Sprawili im oczywiście zawód, że przyjechał sam, bez Anny, Emilii i Joy.

- Lomax? Henry Lomax? - zapytał Royce, marszcząc brwi, gdy dwie godziny po przyjeździe Luke zadał mu to pytanie. Nie, nie zna nikogo o tym nazwisku.

Takiej odpowiedzi Luke właściwie oczekiwał.

- Emilia mi powiedziała, że on tutaj był - rzekł Luke. - Mieszka teraz w Wycherly Park, posiadłości Severidge'ow, bo Will i Agnes wyjechali w podróż poślubną. Według mojej oceny zbliża się do pięćdziesiątki, dystyngowany, nawet przystojny. Zyskał sobie powszechną sympatię. Czarujący wobec dam.

Uwagę Royce'a przykuło pierwsze zdanie Luke'a.

- Emilia ci powiedziała? - spojrzał na żonę i roześmiał się.

- Tak - potwierdził Luke. Jej brat powinien był zauważyć, pomyślał, że Emilia jest inteligentną dziewczynką.

Royce znów się zachmurzył. Ale dlaczego nie zapytałeś o to Anny? Skoro Emilia widziała go tutaj, to tym bardziej Anna. Czy coś umknęło mojej uwadze?

Luke zrobił głęboki wdech. Nie chciał dzielić się swymi podejrzeniami, tym bardziej, że Anna nie wiedziała nawet, iż on tu jest. Ale Royce był przecież jej bratem i wyglądało na to, że rodzinę łączyły bliskie więzi.

- Anna nie przyzna się, że go zna, i przez niego jest w jakiś sposób nieszczęśliwa. Chcę dociec prawdy.

- A może - zaczęła drżącym głosem młoda, idealistycznie nastawiona do życia Konstancja - powinieneś, wasza wysokość, zaufać mojej szwagierce?

- Kochanie! - upomniął ją mąż z zakłopotaniem.

- Tak - powiedział Luke, unosząc dłoń. - Ona ma rację, Wiktorze. Źle to ująłem. Chciałbym ci oświadczyć, że bardzo kocham Annę. Teraz rozumiesz? Dążę do tego, o ile jest to w mojej mocy, by zdjąć z jej ramion ciężar, który zakłóca jej szczęście. Obawiam się, że ukrywa jakąś tajemnicę, której z bliżej nie określonych względów boi się ujawnić.

- Może w jakiś sposób zależy j ej na tym człowieku - wyraziła przypuszczenie Konstancja. Głos wciąż jej drżał i patrzyła z lękiem na męża. Ta jego młodziutka Szwagierka ma charakter, pomyślał Luke z aprobatą.

- Być może - odparł. - Ale to go nie usprawiedliwia. Dlaczego ten człowiek, który podał się za Lomaksa, zamieszkał w pobliżu naszego domu? Zachowałby się godniej i uczciwiej, gdyby usunął się z jej życia i przestał ją niepokoić. Powiem mu to, jeśli tego właśnie dotyczy jej tajemnica.

- Słusznie - powiedziała ze smutkiem Konstancja spuszczać oczy, lecz zaraz je uniosła i spojrzała na męża z takim uwielbieniem, że Luke na ten widok uśmiechnął się

radośnie. - Tak, wasza wysokość, masz zupełną rację. Proszę mi wybaczyć.

- Darzę szacunkiem niewiastę, która broni prawa innych, madame - rzekł i z przyjemnością patrzył, jak w odpowiedzi na ów komplement spłonęła rumieńcem.

- Moim zdaniem - zaczął Royce - tym człowiekiem może być Blaydon. Lovatt Blaydon. Po śmierci naszego ojca wyjechał, zdaje się, do Ameryki. Nie słyszałem, żeby wrócił, zresztą mało mnie to obchodziło.

Lovatt Blaydon. W pamięci Luke'a otworzyła się szufladka, która przez rok zamknięta była na głucho. W ciągu pierwszego roku swego pobytu we Francji Luke był stałym bywalcem salonu gier. Któregoś wieczoru miał dobrze w czubie, ale dotarło do jego uszu, że jakiegoś gościa wyrzucono za kark, bo pobił bez powodu jedną z kurew urzędujących na górze i stale oszukiwał w kartach. Uderzyło wówczas Luke'a, że ten despekt spotkał człowieka - Lovatta Blaydona - który podczas poprzedniej awantury dolewał oliwy do ognia, oburzając się głośno na tych, którzy mieli czelność oszukiwać przy karcianym stoliku i których złapano właśnie na gorącym uczynku. Nie spotkał go już więcej - aż do dnia swego ślubu.

- Blaydon? - zapytał, unosząc brwi.

- Był dla nas bardzo dobry - rzekł Royce - szczególnie dla Anny. Jak ci wiadomo, po śmierci mamy to ona ponosiła cały ciężar problemów rodzinnych. A ojciec... - urwał. - Chyba Anna ci mówiła?

Luke skinął głową.

- Mieliśmy długi - ciągnął Royce. - Karciane długi ojca. Blaydon wykupił je i powiedział, że oddamy, kiedy będziemy mogli. Sądzę, że nie miał w tym żadnego interesu. Zresztą nie wiem. Studiowałem wtedy, Anna zajmowała się wszystkim. Było mi wstyd, ale dawała sobie jakoś radę i powtarzała mi ciągle, że muszę skończyć studia i niczym się nie przejmować. Spłaciła widocznie te długi, gdyż po śmierci ojca nie przed stawiono nam żadnych rachunków. Wydawało się nam wówczas, że Anna poślubi Blaydona. Sprawiali wrażenie, że lubią się wzajemnie. Lecz ku naszemu zdziwieniu Blaydon wyjechał, i to w czasie, kiedy był najbardziej potrzebny. Śmierć ojca była dla nas szokiem.

A więc długi. Spłacone? Luke wątpił w to. Bardzo wątpił. Wiedział, jak wielkie mogą być długi karciane, szczególnie gdy zaciągał je człowiek pijący bez umiaru.

Czy o to chodziło? Czy chodziło tylko o to? Luke poczuł wielką ulgę. Zatem winna jest temu człowiekowi pieniądze. Czy raczej Royce winien mu jest pieniądze, Anna zaś, zgodnie ze swoimi zasadami, nie chce obarczać tym brata i bierze wszystko na siebie. Niemądra kobieta! Jego biedna, dzielna, cudowna Anna. Dlaczego, na litość boską, nie

zwróciła się z tym do niego? Spłaciłby te długi nawet podwójnie, gdyby zaszła taka potrzeba, byle tylko ten typ przestał ją nękać.

Dlaczego nazajutrz po nocy poślubnej nie powiedziała mu o wszystkim, zamiast robić z tego tajemnicę?

Na wspomnienie tej porannej rozmowy przejął go chłód. Anna miała kochanka. Albo ujmując rzecz dokładniej: skoro nie miał pewności co do jego istnienia, to jednak ktoś odebrał jej dziewictwo. Blaydon? W zamian za część długów? A może to był gwałt?

Luke czuł się tak, jakby krew przestała w nim krążyć, i całkiem odruchowo sięgnął po szpadę.

- A może - zaczęła nieśmiało Konstancja - nie wszystkie długi ojca zostały spłacone? I dlatego ten człowiek pojechał za Anną do Bowden. I może to jest powód cierpienia twojej siostry?

- Tak też i ja uważam, madame - powiedział Luke. Royce skrzywił się, był blady jak płótno.

- Na Boga - rzekł - jeśli to prawda, proszę cię o wybaczenie, Luke. Za nękanie jej ten typ poczuje ostrze mej szpady. Spłacenie tych długów, jeśli takie istnieją, to moja powinność.

- Dotrę do sedna sprawy - oświadczył Luke ściszym tonem. - Możesz mi jeszcze coś powiedzieć o tym Blaydonie?

Royce po chwili namysłu potrząsnął głową.

- Przez większą część roku byłem poza domem - rzekł. I tu olśniła go nagle pewna myśl: - Być może Charlotte wie coś więcej. Ona była w domu cały czas. Wyszła za męża tuż przed wyjazdem Anny i Agnes do Londynu.

Charlotte. Może ona wypełni luki w całej tej historii, jeśli oczywiście takie istnieją. Niewykluczone, że nic się za tym wszystkim nie kryje.

Znowu zimne ciarki przeszły mu po plecach, gdy pomyślał... Jeśli Blaydon zgwałcił Annę, to być może...

Postanowił jak najszybciej wracać do domu.

Anna zdawała sobie sprawę, że popełniła błąd, nie podejmując podczas nieobecności Luke'a żadnych zdecydowanych kroków. Lovatt Blaydon złożył jej wizytę. Wiedział, rzecz jasna, że księcia nie ma w domu; trudno by jej było utrzymać to w tajemnicy przed sąsiadami. W ten sposób pozwoliła mu na przejęcie inicjatywy. Powinna była spotkać się z nim już pierwszego dnia, pomyślała, gdy do pokoju dziecinnego weszła pokojówka, anonsując przybycie pułkownika Lomaksa, który czekał na nią w salonie.

Anna podała dziecko Emilii, mówiąc z uśmiechem:

- Mam gościa.

Tego popołudnia nie przyjmowała gości, więc nikt inny nie wchodzi w grę, myślała, z drżącym sercem schodząc po schodach. On musiał o tym wiedzieć. Całe szczęście, pomyślała, że Henrietta jest w domu i właśnie zabawia gościa w salonie. Ostatnio stosunki między Anną a nią były napięte, ale w tej sytuacji Anna była wdzięczna losowi za jej obecność.

Gdy jednak Lovatt złożył przed Anną niski ukłon, Henrietta wstała, z czarującym uśmiechem podała mu dłoń i spoglądając z góry na Annę, rzekła:

- Nie chcę być *de trop*. Rozumiem, kiedy dwoje ludzi chce być sam na sam. Żegnam.

Anna stała bez ruchu.

Lovatt pochylił się nad dłonią Henrietty, dotknął ustami jej palców i powiedział, uśmiechając się z lekka:

- Jest pani osobą nader bystrą, droga księżno. Dziękujemy pani oboje.

Henrietta, wychodząc z pokoju, posłała Annie czarujący uśmiech. Czarująco nieprzyjemny.

- Moja Anno - rzekł Lovatt, wyciągając ku niej rękę. - W twojej szanownej szwagierce mamy sprzymierzeńca. Dobrze się składa.

- Takiego sprzymierzeńca nazywam wrogiem - rzekła Anna lodowatym tonem. - Zadzwoń, by podano herbatę.

Zastąpił jej drogę.

- Wkrótce już nadejdzie czas, Anno - zaczął - czas naszego wspólnego szczęścia, choć wiem, że teraz w to nie wierzysz. Wobec nieobecności twojego męża mamy w tym tygodniu szczególną okazję. Czy wciąż jeszcze karmisz dziecko?

Anna zapragnęła nagle usiąść. Zrobiło jej się słabo.

- Tak - powiedziała ostro.

- No to poczekam, aż odstawisz je od piersi. Tak sobie zaplanowałem. Jak widzisz, dbam o twoją córkę, tak samo jak o ciebie, moja Anno. Poczekamy. Ale muszę mieć jakiś zastaw, bym mógł ci zaufać. Od mojego przyjazdu do Wycherly niczego od ciebie nie żądałem, prawda?

- Prawda - odparła.

- Twój ojciec miał tamtego wieczoru szczególnego pecha - rzekł ciepłym głosem i obrzucił ją równie ciepłym spojrzeniem. Podał jej rachunek z podpisem ojca, najwyraźniej nabazgrany po pijanemu.

Anna rzuciła nań okiem, lecz po chwili przyjrzała mu się uważnie. Zrobiło jej się ciemno przed oczami.

- Tysiąc funtów - powiedziała. - Nie mam tyle pieniędzy.

- Och, Anno, w tym domu są cenne rzeczy, nie muszą być pieniądze. Na przykład biżuteria.

Najcenniejszą biżuterię, nawet jej własną, Luke przechowywał w swoim gabinecie, w sejfie. Anna wiedziała gdzie. Mała nawet klucz. Luke nigdy niczego przed nią nie chował. Jej klejnoty umieścił tam ze względów bezpieczeństwa. Tak, było tam aż nadto cennych rzeczy, by spłacić tak ogromny dług.

- Nie mam dostępu do tych kosztowności - rzekła. - Musisz dać mi czas.

- Jak sobie życzysz, moja Anno - odparł z uśmiechem. - Pojutrze rano albo popojutrze? W tym samym miejscu? I musisz odstawić dziecko od piersi. Nie chciałabyś, żeby jakaś mamka karmiła ją za ciebie, prawda?

Zapadła w kompletną ciemność, chłód przejął ją od stóp do głów. Zachwiała się, poczuła czyjeś ręce na swych ramionach i usłyszała dobiegający z daleka głos.

Luke. Luke.

- Luke!

- To ja, moja Anno. - To był głos Lovatta. Siedziała na fotelu, a on pochylał w dół jej głowę, by krew dotarła do mózgu. - Jaka jesteś niemądra, że mi nie ufasz. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że te wszystkie pieniądze, które od ciebie dostałem, i te wszystkie klejnoty, jakie mi dasz, nie świadczą o mojej zachłanności. Mnie one nie są potrzebne, potrzebne są nam, naszemu przyszlęmu szczęściu.

Usiadł przy niej, rozcierał jej dłonie, rozgrzewał lodowate palce. Znalazła w sobie tyle energii, że wyrwała mu rękę, którą unosił do pocałunku.

- Nie będę okradać własnego męża - powiedziała.

- Anno - rzekł z wyrzutem - to nie żadna kradzież. Czyż te klejnoty nie należą do

ciebie? Samej siebie nie można okradać.

- Są w moim posiadaniu jako księżnej Harndon - odrzekła i zaraz uświadomiła sobie, jaką okazała słabość. Tłumaczyła się przed nim. Nie stawiała mu czoła, jak to przysięgała sobie w duchu, i nie wzięła ze sobą broni. Byłby to cudowny moment, gdyby spośród fałd spódnicy wyciągnęła nóż i wbiła mu w jego plugawe serce. Niechby ją nawet za to powiesili.

- Czas na mnie - rzekł, wstając z miejsca. - Nie jesteś teraz zdolna do częstowania gości herbatą, moja Anno. Pojutrze rano zrobisz, tak jak ustaliliśmy, i większość długów twego ojca zostanie spłacona.

Wybuchnęła śmiechem.

Nie przestała się śmiać, gdy drzwi salonu zamknęły się za nim. Ten śmiech, nad którym nie mogła zapanować, przeraził ją bardziej, niż gdyby histerycznie się rozszlochała.

Gdy Lovatt Blaydon wracał do domu, Henrietta czekała na niego wśród drzew, u końca podjazdu. Na jej widok uchylił kapelusza i uśmiechnął się do niej tak samo jak przedtem do Anny.

- No i? - zapytała. - Kiedy to się stanie? Mam nadzieję, że wkrótce?

- Wzrusza mnie do głębi, madame, twoja troska o nasze przyszłe z Anną szczęście. Stanie się to w swoim czasie. Przyjdź do mnie za trzy dni, jak zwykle.

Z ust Henrietty znikł uśmiech.

- Coś takiego! - rzekła. - Nie zamierzasz wykorzystać nieobecności Luke'a? Zaczynam podejrzewać, że ty po prostu igrasz sobie z nami.

Lovatt pochylił się w siodle do przodu i końcem swego bicza uniósł podbródek Henrietty.

- Ale ty przepadasz za tym igraniem - powiedział. - Ubóstwiasz się poniżać. Muszę znaleźć jakieś półpubliczne miejsce dla naszych uciech cielesnych. Może namówię służącego, aby był przy tym obecny. Tak, chyba to zrobię. Inne moje igraszki, madame, nie powinny cię obchodzić. A twoja opinia nic dla mnie nie znaczy i nie życzę sobie jej wysłuchiwać. Mam nadzieję, że mnie zrozumiałaś?

Ucisk bicza był raczej nieprzyjemny. Nie cofnęła się jednak, a na odpowiedź zabrakło jej odwagi. Przelknęła ślinę.

- Jesteś mądrą niewiastą - rzekł. - Kolejny dotyk bicza byłby bar dziej bolesny i ugodziłby w inną część twego ciała, madame. Do rychłe go zobaczenia. - Wyprostował się, dotknął biczem kapelusza i odjechał.

Odprowadzała go wzrokiem, płonąć nienawiścią i bólem niezaspokojonego pożądania.

Na początku Charlotte, pulchna z powodu ciąży i radosna z tejże przyczyny, nie

powiedziała mu nic więcej ponad to, co usłyszał od jej brata. Lovatt Blaydon był wyraźnie zainteresowany Anną. Wszyscy - nie tylko rodzina, również sąsiedzi - przypuszczali, że się pobiorą, mimo iż zdaniem Charlotte i jej siostr był dla Anny stanowczo za stary.

- Bardzo przystojny - ciągnęła. - Wszyscyśmy go podziwiali, może z wyjątkiem Emilii. Ale ona zawsze była dziwna. Przekorna, biedulka. To z powodu kalectwa. Gdy tylko Lovatt pojawiał się u nas, uciekała.

Luke żywił głębokie przekonanie, że gdyby Emilia mogła mówić, powiedziała mu znacznie więcej o czymś, co uszło uwagi innych. Złościł się na siebie, że nie udaje mu się złożyć w całość tych wątków.

- Blaydon pojawił się u was wkrótce po śmierci waszej matki? - zapytał. - Czy nigdy nie wyjawiał powodu swego przybycia?

- Szukał jakiegoś domu na wsi - odparła Charlotte, wzruszając ramionami - i tamten dom był do wynajęcia. Mógł równie dobrze wybrać jakiś inny.

Luke miał co do tego wątpliwości. Zmarszczył czoło. Czuł, że jest coś, do czego nie mógł dotrzeć, czego nie potrafił zrozumieć. Jakie było to brakujące ogniwo? Czy Anna знаła Blaydona już przedtem? Czy podążył za nią do Elm Court tak jak teraz do Bowden Abbey?

- Czy Anna wyjeżdżała do szkoły? - zapytał. - Czy oddalała się z domu na dłużej?

Po chwili namysłu Charlotte potrząsnęła głową.

- Mama chorowała od wielu lat - rzekła. - Anna nam ją zastępowała. Nie opuszczała domu.

Wynika z tego, myślał Luke, że musi zadowolić się tym, czego zdołał się dowiedzieć. Być może, gdy powie jej o tym, Anna wreszcie wyjawি mu prawdę.

- Szkoda - ciągnęła Charlotte - że Lovatt nie wrócił trochę wcześniej. Nie miał okazji pożegnać się z mamą.

Luke spojrział na nią spod półprzymkniętych powiek. Przez chwilę sprawiała wrażenie nieco speszonej.

- Jego rodzina знаła rodzinę mamy - wyjaśniła. - A on i mama znali się w dzieciństwie.

Dziwne, myślał Luke, jak czasem bardzo istotna informacja dociera do nas całkiem przypadkowo. Charlotte potraktowała ją jako rzecz bez znaczenia, nie mającą odniesienia do interesującej go kwestii. Dla Luke'a natomiast miała ona ogromne znaczenie, świadczyła bowiem o tym, że Lovatt Blaydon znalazł się w Elm Court równie nieprzypadkowo, jak w Bowden Abbey.

Lecz jak dociec przyczyny tych dwóch nieprzypadkowych wydarzeń? Czy u źródła

leżała jakaś waśń rodzinna, którą on przejął w dziedzictwie? Czy matka Anny skrzywdziła go w jakiś sposób i on chciał się zemścić na rodzinie? Czy może kiedyś łączyła ich miłość?

Skąd on, Luke, ma się o tym dowiedzieć? Kto wiedziałby coś na ten temat?

Odpowiedź przyszła sama, zanim dokończył to zadane sobie w myśli pytanie.

- Lady Sterne - powiedział do Charlotte. - Ona była przyjaciółką waszej matki, prawda?

- O tak - odparła zaskoczona zmianą tematu. - Jak wiadomo, Anna jest jej chrześniaczką. Mówimy do niej „ciociu Marjorie”, choć wcale nie jest naszą ciotką.

- Jak długo obie panie się przyjaźniły? - zapytał. - Od najmłodszych lat?

- Poznały się w Londynie jeszcze jako panny - odparła. - Obie zostały przedstawione królowej. Mama często nam o tym opowiadała. I zaprzyjaźniły się na całe życie. Ale mama zabroniła cioci Marjorie przyjeżdżać tutaj. Powtarzała zawsze, że nie chce, by ktoś widział ją w takim stanie - bladą, wychudzoną i brzydką. Biedna mama.

Luke pomyślał, że pojawiła się pewna szansa. Może lady Sterne znała Blaydona albo przynajmniej słyszała coś o nim od lady Royce? To by oznaczało wyjazd do Londynu i powrót do domu o dzień później. Coraz gorzej znosił rozstanie z Anną, lecz musiał poznać prawdę albo przynajmniej to jej ogniwo, dzięki któremu udałoby mu się połączyć fakty już mu znane. Coraz bardziej skłaniał się ku przekonaniu - z radością i zarazem lękiem - że to, co łączyło Annę z Blaydonem, nie miało z miłością nic wspólnego.

Nazajutrz wcześniej rano wyjechał z Elm Court do Londynu.

Anna nie omieszkała powiedzieć paru osobom, dokąd się udaje. Nie za bardzo wypadało jej wyjeżdżać samej, ale nie przejmowała się tym. Powiadomiła o swoim zamiarze pana Foksa i panią Wynn, pojechała ze stangretem, lokajem i pokojówką.

Zamierzała złożyć poranną wizytę Lovattowi Blaydonowi.

W czasie, gdy jego człowiek stał ukryty wśród drzew i czekał, kiedy ona umieści pod kamieniem, nieopodal domku myśliwskiego, pieniądze i kosztowności, by on mógł je bezzwłocznie stamtąd zabrać, Anna wyjechała z Bowden i udała się w kierunku Wycherly. Dlatego zaplanowała wizytę o tak wczesnej porze, ponieważ była pewną że nie zostanie tam innych gości.

- Czekać tu na mnie - powiedziała lokajowi i stangretowi, gdy ten ostami pomagał jej wysiąść z powozu przed wejściem do Wycherly. Spotkał ich zawód, bo liczyli na piwo w kuchni, ale posłuszni jej woli skłonili głowy.

- Czekać tu na mnie - powiedziała pokojówce, gdy kamerdyner Lovatta zgłosił gotowość zaprowadzenia jej do salonu. Penny dygnęła i również na jej twarzy malowało się

rozczarowanie.

Anna przez dziesięć minut stała przy oknie, czerpiąc jak gdyby otuchę z widoku własnego powozu i służby u wejścia. Wsunęła dłoń pod pelerynę, potem do pasa na biodrach powyżej obręczy. Palce jej dotknęły zimnego metalu i nagle chłód przeniknął ją całą. Na parę minut zapařło jej dech, a przed oczami wirowały ciemne płatki.

Nie zemdleję, postanowiła. Już nie zemdleje. Nie chce być dłużej ofiarą. Nigdy więcej nie będzie miał nad nią władzy. Gdy mówił o świadkach licznych jej przestępstw, powinna była powiedzieć, by skorzystał z ich usług. Powinna była postawić własną uczciwość przeciwko ich kłamstwom. Tylko że wówczas miała wiele do stracenia. Zarówno ona, jak i, co najważniejsze, jej rodzina.

Nie, myślała teraz, nie musi winić się za własną słabość w tamtym okresie. Wtedy nie miała innego wyjścia. Ale koniec z tym. Teraz uległością wobec jego niekończących się żądań chroni tylko siebie, poniża się, staje się posłusznym narzędziem w jego rękach.

Dłużej tego nie zniesie.

Otworzyły się drzwi. Nie od razu się odwróciła.

- Cóż za miła niespodzianka, Anno. - Był szczerze zadowolony. - Przyniosłaś to osobiście, zamiast wsunąć pod kamień? Gdybym wie dział, że jesteś na tyle odważna i ryzykujesz własną reputację, sam bym cię prosił o odwiedzin. Siadaj. Każę przynieść coś do picia.

Odwróciła się w końcu i zmierzyła go ostrym spojrzeniem. Na pludry i koszulę narzucił szary jedwabny strój poranny. Bez usztywnionej kamizelki i surduta sprawiał wrażenie mężczyzny chudego raczej niż szczupłego. Na peruce miał resztki pudru. Chyba z wczorajszego dnia. Wyglądał starzej niż zwykle.

- Nie chcę ani usiąść, ani pić - powiedziała - i jak widzisz, żadne go pakunku ze sobą nie przyniosłam. - Rozłożyła przed nim dłonie. - I pod kamieniem przy domku myśliwskim też nic nie ma.

Wyraz twarzy miał serdeczny, bez cienia gniewu.

- Schował gdzie indziej klejnoty i klucze, moja Anno? Cóż to za mąż, zapytuję cię? On cię nie kocha, tak jak na to zasługujesz.

„Kocham cię”. Oczyma wyobraźni widziała nad sobą twarz Luke'a, blask miłości w jego oczach potwierdzający szczerść jego słów. Przywołała te wspomnienia.

- Nie będę więcej spłacać długów mego ojca - oświadczyła. - Wszystkie rachunki mają być przedłożone mojemu mężowi albo bratu. I wypraszam sobie wszelkie groźby. Jeśli chcesz wnieść skargę przeciwko mnie, zgłoś się do właściwych instytucji. Mój mąż wróci niebawem

i wtedy wszystko mu opowiem. Z najdrobniejszymi szczegółami. Być może wpędzisz mego brata w kłopoty finansowe, być może zniszczysz moje życie, może nawet zawiązesz pętlę na mojej szyi. Lecz ja nie pozwolę dłużej na to, byś mnie zastraszał i nękał bez końca. W tej właśnie chwili skończyła się twoja władza nade mną.

Przez jakiś czas patrzył na nią w milczeniu, z rękami założonymi do tyłu. Po czym uśmiechnął się nieznacznie.

- Jesteś wspaniała, Anno - rzekł w końcu. - Nareszcie stałaś się taką kobietą, jaką przewidywałem, że się staniesz.

- A teraz wracam do domu - powiedziała. - Mam ze sobą troje służby, a reszta osób w domu wie, dokąd udałam się dziś rano i o jakiej porze mają się mnie spodziewać. Jeśli będziesz usiłował zatrzymać mnie siłą mogą być kłopoty.

Roześmiał się.

- Jesteś cudowna, moja Anno - rzekł. - Pozwól, że ucałuję ci dłoń. - Co też uczynił. - Jesteś wolna i możesz odjechać, kiedy tylko zechcesz.

Stała, przyglądając mu się uważnie - starała się zrozumieć sens jego słów. Czy to możliwe, że puszcza ją bez oporu? Czy gdyby od początku miała odwagę mu się przeciwstawić, byłoby to równie proste, jak teraz?

Nie dawała temu wiary.

Skierowała się ku drzwiom - i nagle zastąpił jej drogę.

- Anno - powiedział niemal z czułością gdy go wyminęła. - Moja najdroższa Anno.

Plecy paliły ją od jego wzroku, gdy przekraczała próg; już w holu przywołała Penny. Spięta wyszła przed dom i lokaj pomógł jej wsiąść do powozu. Skóra na niej cierpią gdy tenże lokaj nieskończenie długo wdrapywał się na swoje miejsce obok stangreta.

W końcu powóz ruszył. Po paru minutach byli już poza posiadłością, na drodze wiodącej do Bowden.

Była wolna. Skończyła się męka. Była wolna.

Choć ani przez moment nie opuszczały jej wątpliwości.

Na widok Luke'a Doris nie posiadała się z radości. Uściskała brata i poszukała wzrokiem Anny. Wyjaśnił jej, że przyjechał do Londynu w interesach, na dzień lub dwa, Anna zaś została w domu z Joy.

Doris świetnie się bawiła podczas otwarcia wiosennego sezonu, miała nawet więcej wielbicieli niż w roku ubiegłym.

- Jeśli poświęcisz mi minutę, to powiem ci, że chyba nie wybiorę sobie na męża żadnego z nich. Nikogo tu nie darzę szczególną sympatią.

W ubiegłym roku, pomyślał Luke, nic by go to nie obchodziło. Teraz obchodzi. Uśmiechnął się do niej.

- Poczekaj zatem, Dor, aż ci się ktoś spodoba - powiedział.

Tak zorganizował sobie czas, by móc na osobności porozmawiać z matką.

- Dowiedziałem się prawdy o śmierci George'a - oznajmił. - Powinnaś była mi o tym powiedzieć, matko.

- Nie. - Twarz miała skupioną i bladą. - Nie musiałeś wiedzieć o rzeczy tak haniebnej. Wystarczająco złego byłeś o nim zdania.

- Dowiedziałem się całej prawdy - podkreślił. - Byłem na jego grobie, matko, i płakałem. Kochał mnie nawet wtedy, gdy sądził, że chce go zabić. Ja byłem na tyle wściekły, że wyzwałem go na pojedynek, to prawda, lecz zbyt go kochałem, by pozbawić go życia. Celowałem w drzewo, a trafiłem prawie w jego serce.

- On o tym wiedział. Sprzeczał się nawet z ojcem w tej kwestii. Luke nagle uklęknął przed matką i ujął w dłonie obie jej ręce.

- Matko - powiedział - ojciec i George nie żyją stało się nieszczęście. Będę bolał nad tym do końca moich dni. Ale zostaliśmy my - ty, matko, Ashley, Doris i ja. Kochajmy się, póki żyjemy, póki mamy tę szansę. Przez dziesięć lat żyłem bez rodziny i wmawiałem sobie, że tak jest lepiej. Lecz w ubiegłym roku przekonałem się, że rodzina i miłość to największy skarb, jaki człowiek posiada.

Matka trwała w niezmienionej pozycji, wpatrując się tępo w podłogę, aż w końcu przemówiła, starannie dobierając słowa.

- Tylekroć trzeba było podejmować decyzje bez chwili namysłu, pochopnie, nie zważając na konsekwencje. Ty z jednej strony, ojciec i George z drugiej. Poczucie obowiązku kazało mi wybrać ich. W moim małżeństwie obowiązek był zawsze na pierwszym miejscu. Najpierw obowiązek, potem miłość. Co to w końcu jest miłość? Emocja, która zadaje ból i wyrządza krzywdę. Zawsze kochałam cię najbardziej, ze wstydem to przyznaję. Lecz obowiązek przede wszystkim.

- Matko. - Ogrzewał swoimi dłońmi jej zziębnięte ręce. - Matko. - Raz po raz unosił je do pocałunku.

- Kocham was wszystkich - rzekła - i troszczę się o was wszystkich. Staralam się wpoić wam poczucie obowiązku i lękam się z całego serca, że każde z was ulegnie miłości, która was zrani.

- Matko. - Nie odrywał ust od jej dłoni. - Mamo. Spojrzała na niego uważnie.

- Ja się już nie zmienię, Lucas - rzekła. - Ale kocham was i pragnę waszego szczęścia.

Biorąc za żonę Annę, dokonałeś dobrego wyboru.

- To prawda. - Uścisnął ją na pożegnanie i wstał. - Muszę odwiedzić lady Sterne, mam dla niej list od Anny. I zaraz potem wracam do domu. Z Doris wszystko w porządku?

- Jak najbardziej. Jest już o rok starsza i, moim zdaniem, o pięć lat bardziej doświadczona.

Luke niezwłocznie udał się do lady Sterne i na szczęście zastał ją w domu. Był tam również wuj. Siedzieli w salonie, w przyzwoitej od siebie odległości. Luke wiedział, że byli kochankami. Wiedział także to, że zachowywali się bardzo dyskretnie, unikając wszelakich dwuznaczności.

- Co za szczęście! - powiedziała lady Sterne, przemierzając pokój z wyciągniętymi ku niemu ramionami. - Przystojnyś jak zawsze, Harndon. A Annę i dziecko zostawiłeś w Bowden? Wstydu nie masz!

- Zawracaj, chłopcze - rzekł lord Quinn, wstając z miejsca. - Mam patrzeć spokojnie na to, że nie przyjechaliście razem tylko dlatego, że już rok jesteście po ślubie? Tak czy siak, małżeństwo to rzecz najokropniejsza z okropnych.

- Przestań - burknęła lady Sterne. - Nie zwracaj na niego uwagi, Harndon.

- Potrzebne mi są pewne informacje - zaczął Luke - których, jak mniemam, pani mi udzieli, madame. - Usiadł na wskazanym mu fotelu.

Lady Sterne spojrzała nań pytająco.

- Świętej pamięci lady Royce, pani przyjaciółka - ciągnął - znała od dzieciństwa rodzinę Blaydonów. Szczególnie chłopca o imieniu Lovatt. Jego ojciec miał chyba tytuł barona. Czy kiedykolwiek lady Royce wspominała pani o nich?

- Na Boga, Luke - powiedział jego wuj - zadajesz bardzo dziwne pytania.

- Zaraz po śmierci lady Royce - tłumaczył dalej Luke - ten człowiek wynajął rezydencję w Elm Court. Ostatnio natomiast, pod innym nazwiskiem, wydzierżawił od lorda Severidge'a Wycherly Park. Anna udaje, że go nie zna i nie znała, lecz Emilia znała go i nie lubiła. Wracam właśnie z Elm Court, gdzie rozmawiałem na ten temat z Royce'em i Charlotte.

- Coś takiego - wyszeptała niemal lady Sterne. - Anna miałaby jakieś sekrety?!

- Uważaj, Luke - wtrącił lord Quinn - możesz napytać sobie biedy, próbując przeniknąć tajemnice żony.

- Anna nie jest szczęśliwa - oświadczył Luke. - A ja ją kocham. Och, Teo, oboje możecie sobie pogratulować sukcesu. Kocham ją i dlatego muszę dociec prawdy.

- Takie nazwisko nigdy nie obilo mi się o uszy - zapewniła lady Sterne. - Blaydon? - Zmarszczyła czoło, jakby szukała w pamięci czegoś, o czym zapomniała. - Jesteś pewien, że

nie Blakely? Lowell Blakely?

Luke popatrzył na nią uważnie.

- Możliwe - rzekł. - A co pani o nim wie, madame?

- To był przystojny chłopak - powiedziała. - Wysoki, smukły, o ciemnych włosach. Tak przynajmniej mówiła Lucy. Nigdy go nie widziałam. Zakochał się w niej i ona za młodu była w nim zadurzona. Obiecała mu - jako młoda dziewczyna - że go poślubi. Ale jeszcze zanim ojciec zabrał ją do Londynu, miała go dość; jego zalotów, natarczywości, zazdrości. Żaliła się, że zasypywał ją listami. Zaczęła mu je odsyłać nie przeczytane. Wówczas właśnie poznała Royce'a i żaden mężczyzna już się dla niej nie liczył.

- I nigdy potem nie zetknęła się z Blaydonem, z Blakelym? - zapytał Luke.

- O ile wiem, widziała go raz - odparła lady Sterne. - Brała ślub w Londynie. Pamiętam, jak mi potem opowiadała, że gdy wychodzili z Royce'em z kościoła, on stał z dala i w milczeniu ją obserwował. Aż ciarki mi przeszły po plecach, gdy mi o tym mówiła.

Luke'a także przebiegł dreszcz, ale nie okazał tego po sobie.

- Człowiek, który nazywa się teraz Henry Lomax - zaczął - stał w pobliżu, gdy po obrzędach ślubnych wychodziliśmy z Anną z kościoła.

- Coś podobnego - wyszeptała lady Sterne.

- Na Boga! - wykrzyknął lord Quinn.

- Chyba najlepiej będzie - rzekł Luke, wstając - gdy jak najszybciej wrócę do Bowden. - Złożył głęboki ukłon. - Proszę mi wybaczyć, madame.

- Przebóg! - Lord Quinn zerwał się na równe nogi. - Jadę z tobą chłopcze. Powiadam ci, że wciąż umiem strzelać i trafiać do celu. Jeśli ten Blakely - Blaydon - Lomax albo jak mu tam dotknie choć jednym palcem tej dziewczyny, spojrzysz prosto w lufę mej broni i na mój palec na spuście. Niech to diabli! Nie będę mógł towarzyszyć ci dziś wieczór, droga Marjorie.

- Tak jedź z Lukiem, Teo - powiedziała z dłonią przy ustach. - Och, Anna! Moja kochana mała Anna!

Luke nie sprzeciwił się. Przez prawie dziesięć lat pobytu we Francji szpada i pistolet były jego jedynymi przyjaciółmi i obrońcami. Lecz wówczas nie istniała w jego życiu miłość, którą winien chronić przed złem. Nie istniała Anna. Teraz był nieprzytomny z niepokoju o nią.

Dlaczego, na litość boską zostawił ją samą w domu? Dostrzegął tylko jej nieszczęście. Nie dostrzegął zagrożenia.

Po wizycie u Blaydona Anna wróciła do Bowden Abbey późnym rankiem; odwiedziła żonę jednego z pracowników męża, która urodziła właśnie swe ósme dziecko.

Anna czuła się szczęśliwa, ciężar spadł jej z serca. Luke'a nie było już od sześciu dni i jutro albo pojutrze powinien przyjechać. Drażył ją jedynie lekki niepokój na myśl, że będzie musiała wszystko mu powiedzieć. Tylko lekki. Luke znał ją już tak dobrze, że nie uwierzy, by była złodziejką lub morderczynią, i zrozumie, dlaczego dała się wplątać w takie ciemne sprawy. I dowie się o tamtym potwornym uczynku, choć drżała na samą myśl o opowiedzeniu mu o tym ze szczegółami. Może lepiej, myślała, pozostawić go w przekonaniu, że miała kochankę? Nie, powie mu prawdę. Trzeba zrzucić z siebie to brzemię, oczyścić własną duszę i sumienie.

Luke na pewno jej uwierzy. I na pewno ochroni ją przed wszelkimi zakusami Lovatta. Sięgając teraz myślą w przeszłość, dziwiła się samej sobie, iż nie wyznała mu wszystkiego na początku. Tego pierwszego strasznego poranka, kiedy powiedział jej, że wzajemna szczerłość jest podstawą dobrego małżeństwa. I chyba nawet wtedy pomógłby jej z tym się uporać.

Lecz wówczas Luke był innym człowiekiem. Ona też była inna. Wtedy nie patrzył na nią z takim blaskiem czułości w oczach. Nie powiedział, że ją kocha. Wręcz przeciwnie, twierdził, że miłość między nimi nie wchodzi w grę. W jego wzroku widziała tylko chłód.

„Kocham cię”. Usłyszała to od niego w noc przed wyjazdem. I zobaczyła blask w jego oczach.

Rozmyślając o tym, pobiegła do pokoju dziecinnego. Mimo trawiącego ją lekkiego niepokoju była tak szczęśliwa, że nie potrafiła zwolnić kroku. Co pomyśli sobie służba, widząc, że tak biegnie? Roześmiała się z samej siebie.

W progu stanęła jak wryta. Pokój był pusty. Dokąd niańka zabrała Joy? Co prawda dzień był ładny, ale niańka unikała spacerów, chyba że otrzymała wyraźne polecenie, by wyjść z dzieckiem z domu. Żywiła bowiem głębokie przekonanie, że dla dziecka poniżej roku świeże powietrze jest szczególnie szkodliwe.

Anna weszła do środka i sięgnęła po dzwonek. Jeśli niańka z dzieckiem są gdzieś w domu, to Anna zabierze Joy na spacer. Może nawet do wodospadu. Razem z Emilią. To skróci jej czas oczekiwania, szybciej minie dzień. Chociaż, powiedziała sobie, jutro Luke może jeszcze nie wrócić. Gdyby na to liczyła, mogłaby się boleśnie rozczarować.

W każdym razie przeżyłaby zawód. Uśmiechnęła się mimo woli.

Niańka pojawiła się w pokoju sama, bez dziecka.

- Gdzie jest Joy? - zapytała Anna. Widocznie jest z Emilią, pomyślała, choć nigdy nie zdarzyło się, by siostra zabierała dziewczynkę z pokoju dzieciennego.

- Księżna wzięła Joy na piknik, wasza wysokość - powiedziała niańka z uśmiechem. - Pomyślałam sobie, że będzie pani zadowolona. Nigdy dotąd księżna nie interesowała się dzieckiem. Zapakowała ubranka na zmianę, pełną torbę. Powiedziałam jej, że tyle tego wzięła, jak na cały tydzień. - Roześmiała się. - Uprzedziłam księżnę, by lady Joy nie przebywała za długo na powietrzu, bo wasza wysokość musi dziecko w porę nakarmić. Już minęła godzina.

Henrietta? Zabrała Joy na piknik? Bez niańki? Z ubrankami na zmianę? Anna przypomniała sobie jej uśmiech, gdy przed trzema dniami wychodziła z salonu, zostawiając ją sam na sam z Lovattem. Teraz zaniepokoiła się, a nawet przeraziła. Henrietta nigdy nie przejawiała zainteresowania dziewczynką.

- Dokąd poszła na ten piknik? - zapytała Anna.

- Nie powiedziała mi, wasza wysokość. - Po raz pierwszy w głosie niańki Anna wyczuła lęk. - Mówiła że rozmawiała o rym z panią przy śniadaniu.

Anna bez słowa wypadła z pokoju i zbiegła po schodach. W pół drogi zatrzymała się jednak, poszła do garderoby, wyciągnęła z szuflady nóż, który wczoraj do niej wsunęła, i wcisnęła go do kieszonki przy pasie. Przeraziła ją ta czynność i starała się przemówić sobie do rozsądku, opanować nerwy. Zbiegła ze schodów.

Ale gdzie ma jej szukać? I właściwie po co? W ciągu godziny Joy zgłodnieje i będzie marudzić, a potem zacznie głośno płakać. Henrietta Wróci, prędzej czy później. Zrobiła to specjalnie, żeby jej, Annie, dokuczyć.

Jakże nie cierpiała swojej szwagierki! I jakże było jej przykro, że stosunki między nimi tak się popsuły. A zdawało się na początku, że zawarły przyjaźń.

Anna, stojąc przed domem, zauważyła nagle idącą powoli w stronę domu Henriettę - samą. Gdy podbiegła do niej, ta zatrzymała się z uśmiechem. Z takim samym uśmiechem wychodziła wtedy z salonu.

- Gdzie jest Joy? - zapytała Anna, a przerażenie tamowało jej oddech.

- Jest w bezpiecznym miejscu - odparła Henrietta. - Z twoim kochankiem.

- C - co ta - takiego? - Znowu ta ciemność przed oczami.

- Cenię sobie naszą przyjaźń, nawet jeśli ty jej nie doceniasz. - Patrzyła na Annę z błyskiem triumfu w oczach. - Ja cię wciąż Kocham. Pomogłam ci, ułatwiłam ci ucieczkę. Musisz tylko udać się do domku myśliwskiego. Dziecko już tam jest. Masz szczęście, że twój kochanek weźmie cię razem z Joy. Nie każdy mężczyzna by tak postąpił. A wygląda na to, że

on bardzo ją sobie upodobał.

- Święty Boże! - Anna dzikim wzrokiem patrzyła na swoją szwagierkę. - Coś ty zrobiła, Henrietto?! On nie jest moim kochankiem! A teraz porwał Joy. Biegnij po pomoc. Błagam cię! - Chwyła ją kurczowo za rękaw. - Idź i powiedz panu Foksowi i Cotesowi. Niechaj tu przyślą wszystkich służących! Jak najszybciej! Pro - proszę cię, Henrietto! Błagam cię na wszystkie świętości!

Uśmiech nie zniknął z ust Henrietty.

- Oczywiście - rzekła. - Oczywiście, Anno. Idź tam. Czy ja zrobiłam coś złego?

Anna nic nie odpowiedziała, tylko, ogarnięta paniką, pobiegła co tchu w stronę domku. Przed chwilą, upajając się własnym szczęściem, nie przewidziała, co ją spotka, bo skąd coś takiego mogło jej przyjść do głowy?

Usiłowała nie myśleć, lecz opadały ją najstraszniejsze przypuszczenia i najstraszniejsze wizje jawiły się jej przed oczami. Lovatt z Joy na ręku. Lovatt grożący, że roztrzaska jej główkę o kamień przed domkiem myśliwskim, jeśli Anna nie przyniesie klejnotów i pieniędzy i jeśli po powrocie męża piśnie mu o tym choć słowo.

Dobrze, przyniesie. Odda duszę diabłu, byle tylko zwrócił jej dziecko.

Na moście przystanąła, oparła się o poręcz, by zaczerpnąć tchu. Dobry Boże, modliła się, podejmując bieg. Dobry Boże, proszę Cię, dobry Boże. Przecież ostatnio Bóg jej sprzyjał. Czy teraz znowu ogłuchnie na jej prośby? Ale teraz modliła się o dziecko. Bezbronne. Niewinne. Proszę cię, dobry Boże, błagam Cię!

Na polance przed domkiem stał jakiś mężczyzna. Nie widziała go przedtem. Na pewno służący, który dostarczał jej listy od niego, wsuwał rachunki pod kamień i zabierał pieniądze, które przynosiła. I chyba to on podjeżdżał konno przed dom.

Za rzędem drzew zatrzymała się.

- Gdzie ona jest?! - zawołała. - Gdzie on ją trzyma?! Mężczyzna przyłożył palce do ust i gwizdnął przeciągle, po czym uśmiechnął się do niej. Po chwili, spośród drzew po przeciwnej stronie, wyłonił się Lovatt Blaydon, trzymając na rękach dziecko zawinięte w koc. Było spokojne - czy żyło?

Anna podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami.

- Oddaj mi ją - prosiła. - Bła - błagam cię, oddaj mi ją. - Nie wie działa nawet, że słowa jej przerywa szlochanie.

Ktoś chwycił ją bardzo mocno za ramiona i nie pozwolił zrobić kroku dalej.

- Najdroższa Anno - rzekł Lovatt, uśmiechając się czule. - Właśnie nadszedł czas. Nieopodal jest boczna brama. Za nią stoi mój powóz. Nie martw się, że nie masz ze sobą

kufrow ani walizek. Są w środku. Wolałbym, byś nie brała ze sobą niczego, co on ci kupił. Chodź, moja Anno.

- Co?! - krzyknęła i przerażenie zmroziło jej krew w żyłach. - Dokąd ty mnie zabierasz?

- Do domu, moja Anno. Zabieram ciebie i twoje dziecko do domu, który przygotowałem dla ciebie przeszło rok temu. W Ameryce. Popłyniemy statkiem przez ocean, tam, gdzie nikt nam nie zmać spokoju i nikt nie będzie nas ścigał.

- Boże! - jęknęła.

- Chodź - powiedział i skinął na służącego, który wciąż trzymał ją za ramiona. - Porozmawiamy podczas jazdy.

- Nie! - krzyknęła. - Nie wywieziesz nas do Ameryki! Nie ruszę się nigdzie bez rozmowy z mężem. I nie możesz porywać Joy! To jego córka!

- Należy do ciebie - rzekł. Spojrzał czule na dziecko śpiące w jego ramionach. - A teraz i do mnie. Jest piękna, moja Anno. Ale chodź już. Nie wolno nam zwlekać.

Anna zmagala się ze służącym, który popychał ją do przodu.

- Zabieraj mnie, jeśli musisz - powiedziała, szlochając. - Ale proszę cię, odeślij dziecko do domu. Proszę cię. Joy jest jego. Należy do tego domu, tak jak on. Błagam, odeślij dziecko do domu. Jeśli je odeślesz, nie będę stawiała oporu.

Lecz Lovatt skinął tylko głową służącemu, który chwycił Annę na ręce i niósł wśród drzew ku bramie, o której istnieniu Anna nie miała pojęcia i za którą stał powóz. Wrzucił ją do środka, za nią, z dzieckiem w ramionach, wsiadł do powozu Lovatt.

Anna wcisnęła się w kąt i wyciągnęła na oślep ręce. Podał jej córkę i usiadł obok. Gdy ktoś zatrzasnął z zewnątrz drzwi, Anna skłoniła głowę nad ciepłym zawiniątkiem i zaczęła płakać. Po chwili powóz ruszył.

Emilia trzymała się kurczowo bramy, nie odrywając oczu od oddalającego się powozu. Była tak przerażona, że przez chwilę nie mogła ruszyć się z miejsca. Nie wiedziała, czy ma biec za powozem, czy pognać do wsi - gdyby biegła bez przerwy, dotarłaby tam w ciągu pięciu minut - czy też popędzić z powrotem do domu.

Stała, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Gonienie powozu na piechotę nie miało żadnego sensu. A gdyby dobiegła do wsi, nie potrafiłaby przekazać ludziom, że jej siostra i siostrzenica zostały porwane. A powrót do domu oznaczałby stratę czasu i też nic by z tego nie wynikło.

Ashley, och, Ashley...

Rozplakała się z bezsilnej rozpacz i zawróciła do domu. Musi kogoś o tym

poinformować. Musi. Ale nie, kiedy w pobliżu będzie Henrietta!

Emilia widziała, jak Henrietta wynosi Joy z pokoju dziecinnego, i uderzył ją ten niezwykle widok, tym bardziej że Henrietta miała przy sobie dużą torbę z jakimiś rzeczami. Jaka głupia ta niańka, pomyślała wtedy Emilia, że tak łatwo oddaje dziecko pod nieobecność matki i ojca.

Dziewczyna podążała ukradkiem za Henriettą z dzieckiem na rękę. Ku jej zdziwieniu Henrietta poszła drogą, prowadzącą do domku myśliwskiego.

Emilia wszystko to widziała - jej spotkanie z Lovattem Blaydonem i to, jak wziął od niej Joy i uśmiechnął się do małej. Emilia stała w ukryciu, obezwładniona przerażeniem, zdumiona, niezdolna podjąć żadnej decyzji. Czy powinna pobiec i próbować wyrwać mu dziecko? Ale ten służący, którego widziała przedtem, też tam był, nie dałaby rady. Nie powinna pokazywać się im na oczy. Musi tu trwać, przynajmniej powie Annie, co się stało z dzieckiem.

Stała tam długo, zrozpaczona i bezradna. Lovatt z Joy gdzieś zniknął, widziała tylko służącego, który chodził przed domkiem tam i z powrotem. Czekał. Na co? Na kogo? Na Annę? Tak, na pewno na Annę. Henrietta po powrocie do domu powie jej i Anna przybiegnie tu po małą. Z pewnością nie sama. Ze służbą - pomogą jej odebrać mu Joy.

Emilia przekonała się, że Anna przyszła sama.

Stała w ukryciu i obserwowała bezradnie scenę, gdy Anna walczyła o córeczkę, i w końcu służący zaniósł ją gdzieś, a za nimi szedł Lovatt z Joy na rękę. Emilia ruszyła ukradkiem za nimi i ujrzała bramę, której - mimo iż tak dobrze знаła teren - nigdy przedtem nie widziała.

Zobaczyła odjeżdżający powóz i wpadła w taką desperację, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie zaznała.

W jaki sposób ma to wszystko komuś opowiedzieć? - myślała, biegnąc w stronę domu. Henrietta na pewno wymyśli jakąś historyjkę wyjaśniającą tak długą nieobecność Anny z dzieckiem i nikt nie poweźmie żadnych podejrzeń, nikomu nie przyjdzie do głowy, że zostały porwane. Jak ona, Emilia, przekaze tę wiadomość? A nawet gdyby jej się to udało, jeśli ktoś by ją zrozumiał i uwierzył jej, to przecież nie potrafi nikomu wytłumaczyć, dokąd on chce je wywieźć.

Do Ameryki. Przez ocean. Wyczytała to z jego ust. Przypomniała sobie słowa Anny, gdy po śmierci ojca Blaydon wyjechał z Elm Court, że Ameryka jest daleko, na drugim końcu świata, za olbrzymim oceanem. Emilia wiedziała, że Anna była zadowolona z tego powodu i miała nadzieję, że on już nigdy nie wróci. Ona, Emilia, też na to liczyła.

A teraz on je tam wywozi. Annę i Joy. Jak ona ma kogoś o tym powiadomić?

Emilia biegła przed siebie, szlochając i nie mogąc złapać oddechu.

- Co takiego? - zapytała Anną wytrzeszczając oczy na Lovatta Blaydona, nie zważając na płacz córki, która domagała się pokarmu. - Co takiego?

Lovatt zachichotał i spojrział na nią tkliwie.

- Tak, to prawda - rzekł. - Widzisz, moja Anno, jakiej cudownej tajemnicy strzegłem przez tyle lat? Jesteś moją córką. Moją i mojej ukochanej Lucy.

- Bzdura! - powiedziała, a oczy jej pały oburzeniem. - Jak możesz opowiadać takie głupstwa!

- Rozumiem, że ta wiadomość jest dla ciebie szokiem - rzekł ciepło. - Wiem, że kochałaś człowieka, którego uważałaś za swego ojca, choć był to pijak i niecnota. Ale to ja jestem twoim ojcem, moja Anno.

- Kłamca! - rzuciła mu w twarz.

- Anno - zaczął, nie przejmując się jej wściekłością. - Moja najdroższa Anno, czy wiadomo ci, ile miesięcy po ślubie twojej matki przyszedł na świat?

Patrzyła na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

- Mama upadła - powiedziała - i dlatego urodziłam się miesiąc wcześniej. Byłam taka małątką że wszyscy myśleli, iż nie przeżyję. Mamę też z trudem uratowano.

- Och, Anno, to bajeczka, którą opowiedziano twojemu ojcu. Całe szczęście, moja Anno, że byłaś małym niemowlęciem. Gdybyś była większa, nikt by w to nie uwierzył.

Z przerażenia i grozy poczuła chłód w całym ciele. To niemożliwe. Mama i ten człowiek? Przyprawiła ojcu rogi? A ona miałaby być córką tego potwora, który od trzech lat dręczył ją i się nad nią znęcał? Gdyby to była prawda, wolałaby umrzeć.

Uświadomiła sobie raptem, co sprawia, że oprócz męki, jaką przeżywa, nurtuje ją niepokój innego rodzaju: Joy zanosila się płaczem.

- Zainteresuj się dzieckiem, Anno - powiedział. - Moją kochaną wnuczką. Czy ona jest głodna?

- Głodna i ma mokrą pieluszkę.

- Aha. Ale przewidziałem to i dostarczono mi niezbędne rzeczy. - Położył obok niej torbę z ubrankami i pieluszkami.

Anna przewinęła płaczącą wniebogłosy Joy. Przez cały czas, ledwo trzymając się na nogach w rozkołysanym powozie, nie przestawała zastanawiać się, jakby tu po kryjomu sięgnąć po nóż w pokrowcu za paskiem i w jaki sposób zadać cios temu człowiekowi. Śmiertelny cios. Lecz w powozie było mało miejsca i jeśli jej się nie uda, to nie będzie już dla

niej ratunku. No i Joy. Operowanie nożem, gdy dziecko leży obok, byłoby zbyt niebezpieczne.

- Masz, Anno - rzekł Lovatt z uśmiechem, gdy usiadła, trzymając w ramionach rozkrzyczane dziecko. - Zasłoń się skromnie tym szalem w obecności twego ojca.

Otulił jej ramiona pięknym kaszmirowym szalem, dzięki czemu rozpięła kaftanik i mogła, już bez zahamowań, że czyni to przy mężczyźnie, który nie jest jej mężem, podać dziecku pierś.

Och, Luke!

Joy natychmiast przestała płakać. Jakie to dziwne, myślała Anna, że w takich okolicznościach sprawia jej przyjemność karmienie córki. Dziwne i normalne zarazem, mimo dalekiej od normalności sytuacji.

Lovatt roześmiał się.

- Była głodna - powiedział... - Nie chciałem, żebyś wychodziła za mąż, Anno. Wiesz o tym. Skoro nie byliśmy razem, gdy dorastałaś, doszedłem do przekonania, że do końca mego życia musimy być tylko dla siebie, ty i ja. Mimo to pozwoliłem ci wziąć ślub, a to dlatego, by w naszym domu było dziecko. Twoja córka, moja wnuczka. Trzy pokolenia pod jednym dachem. Wy obie będziecie pociechą mego serca na stare lata, póki śmierć nas nie rozdzieli. A gdy ja odejdę, Anno, Joy będzie twoją pociechą.

- Nie jestem twoją córką! - powiedziała Anna ostro. - A moja córka nie jest twoją wnuczką. To absurd, idiotyzm. Nawet jeśli byłaby to prawda, to zachowujesz się jak człowiek niespełna rozumu. Dlaczego przez te trzy lata dopuszczałeś się wobec mnie takich podłości? Dlaczego chcesz mieć mnie tylko dla siebie? Normalny ojciec cieszyłby się szczęściem swego dziecka, cieszyłby się, czekając na następne wnuki.

- Byłaś związana z ludźmi, Anno, których nic nie obchodziłaś. Wcale się o ciebie nie troszczyli. Z tym niegodnym człowiekiem, który, gdyby nie ja, doprowadziłby do ruiny własną rodzinę. Z tym chłopakiem i dziewczynami, którzy są tylko twoim przyrodnim rodzeństwem, a jedno z nich to nawet nie całkiem ludzka istota. To boli, Anno. Wiem, że moją Lucy, twoją ukochaną matkę, rodzice okrutnie mi odebrali i zmusili do małżeństwa z hrabią. Przez całe twoje życie, Anno, nie dopuszczano mnie do ciebie. Dano ci jego nazwisko. Ale tylko nazwisko. Ty jesteś Anną Blakely - tak ja się nazywam - a moja wnuczka to Joy Blakely. Joy, radość. Cieszę się, że dałaś jej to imię. Nareszcie jesteśmy razem. Nie miej do mnie żalu, że zawsze do tego dążyłem. Zapewnię ci szczęście, Anno. Takie szczęście, o jakim nawet nie marzyłaś.

- Jestem szczęśliwa z moim mężem - rzekła. - Kocham go. To dziecko jest jego.

Nasze. - Odjęła Joy od piersi i przytuliła mocno. Poklepała po pleckach, żeby mała nie zakrztusiła się powietrzem.

Najedzona - przestała marudzić. Anna usiłowała teraz zebrać myśli. Postanowiła na chłodno i racjonalnie rozważyć całą sytuację, stworzyć jakiś plan działania. Czy byli na tyle blisko wybrzeża, by dziś jeszcze załadować się na okręt? I czy w istocie jest to możliwe, żeby okręt, mający kurs do Ameryki, stał w porcie gotowy do wyjścia w morze? Czy zatrzymają się gdzieś na noc? W jakimś zajeździe? Czy może będzie miała szansę poprosić kogoś o pomoc? Może właściciela zajazdu? Albo któregoś z gości? Czy nadarzy się okazja użycia noża i ucieczki wraz z Joy?

Tylko że był jeszcze służący, który wniósł ją do powozu. No i stangret.

I nagle olśniła ją pewna myśl. Oczywiście. Oczywiście!

Obróciła ku niemu głowę, starając się nie okazać po sobie radości.

- Nie jestem twoją córką - oświadczyła. - I mam na to dowód.

- Przestań, kochanie - mruknął.

- W pokoju mego ojca - rzekła, kładąc szczególny nacisk na dwa ostatnie słowa - stała miniaturka jego matki, mojej babci. Mam ją teraz u siebie w Bowden Abbey. Jesteśmy podobne do siebie jak dwie krople wody, co zawsze zdumiewało moją rodzinę, a nawet bawiło. Zupełnie jakbym, pozując do portretu, przywdziała szary z tamtej epoki. Ktokolwiek z obcych widział tę miniaturkę, myślał, że to ja. Gdybyś ty na nią spojrział, też nie miałbyś wątpliwości, że to moja babcia, mama mojego ojca.

Po raz pierwszy coś zmieniło się w twarzy Lovatta Blaydona. Pojawiły się na niej złość i czujność.

- Łatwo sobie wyimaginować podobieństwa w rodzinie - powiedział. - Lucy, twoja matka, należała do mnie. Do mnie! Taka miłość nie zdarza się na tym świecie. Miłość, którą zabrała ze sobą do grobu. I ja zabiorę ją ze sobą do grobu. Miłość ta połączy nas w wieczności. A ty jesteś tej miłości owocem.

- Nawet bez dowodu w postaci tej miniaturki nie zwątpiłabym w uczciwość mamy. Nie byłaby do tego zdolna. Nie oszukałaby ojca, podrzucając mu nie jego dziecko. A skoro już mowa o wielkiej miłości, to taka właśnie łączyła moich rodziców. Spłonęłabym ze wstydu, gdybym choć przez moment ci uwierzyła. Zawieź mnie z powrotem do domu. Nie należę do ciebie. Nic nas nie łączy.

W jego oczach pojawił się błysk, który ją przeraził. Ale jego głos brzmiał spokojnie:

- Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, Anno, że doznałaś szoku i zaprzeczasz prawdzie. Lecz w końcu w nią uwierzysz. Kiedy przekonasz się, jak cię kocham i jaki dobrobyt

zapewniłem tobie i mojej wnuczce, uwierzysz mi. Ameryka to piękny kraj. Ogromny nowy świat. Tam zaczniemy wszystko od początku. Będziemy wolni.

Wolność! Nic nie wskazywało na to, że jej słowa trafiły do jego świadomości i że posłusznie odwiezie ją do domu. Anna nie wierzyła, że jego opowieść zawiera choć łut prawdy. Jej matka nie zaliczała się do kobiet, które miesiąc przed ślubem oddają się innemu mężczyźnie. I rzeczywiście - matka szczerze kochała swego męża. Zatem Lovatt Blaydon musiał wiedzieć, że Anna nie może być jego córką. Ale czy on był świadom, że kłamie? Przekonał zapewne samego siebie, że kłamstwo jest prawdą.

Myśl, że ma do czynienia z wariatem, przerażała ją jeszcze bardziej, lecz nie pokazała tego po sobie. Jeśli istnieje choćby cień nadziei - a ona musi w to wierzyć - powinna zachować spokój i jasność umysłu. Musi mieć oczy i uszy otwarte na każdą choćby najmniejszą możliwość ucieczki.

Joy, syta i wyspana, miała ochotę na zabawę. Anna uśmiechała się do niej, ze ściśniętym sercem gwarzyła z nią, podczas gdy Lovatt przyglądał się im i chichotał uradowany.

Było wczesne popołudnie. Słońce jasno świeciło, po niebie płynęły białe obłoki. Gdy wyszło się z powozu, stanęło na tarasie i patrzyło na kojące piękno Bowden Abbey, wszelkie lęki i ponure myśli pierzchały, wydawały się nieistotne.

Luke spojrzął na wuja z zakłopotaną miną.

- Coś mi się wydaje, Teo, że niepotrzebnie wyrwałem cię z miasta i pozbawiłem przyjemności dzisiejszego wieczoru - powiedział.

Wbiegł po stopniach, wszedł do holu - chciał niezwłocznie przywitać się z jej wysokością, swoją żoną.

- Księżnej nie ma w domu, wasza wysokość - oznajmił Cotes, składając ukłon Luke'owi i lordowi Quinnowi.

- Aha - mruknął Luke. - A gdzież to moja żona może być, Cotes? Kamerdyner skłonił głowę z szacunkiem.

- Zabrała lady Joy na piknik, wasza wysokość - odparł. - Mimo iż niańka wyraziła opinię, że zbyt długie przebywanie na świeżym powietrzu zaszkodzi płucom lady Joy.

Luke uniósł brwi i spojrzął na wuja.

- Są na pikniku, Teo - rzekł. - Chętnie do nich dołączę po tak długim siedzeniu w powozie. Pójdiesz ze mną? Czy jej wysokość powie działa, dokąd się udaje? - zapytał Cotesa.

Ten potrząsnął głową i wtedy właśnie, z radosnym uśmiechem na ustach, wyszła ze swego pokoju Henrietta. Wyglądała pięknie - jak gdyby przed jego wyjazdem nie doszło między nimi do ostrej wymiany zdań, pomyślał Luke, składając jej sztywny ukłon.

- Tuszę, że dobrze się czujesz, Henrietto - powiedział.

- Bardzo dobrze, dziękuję. Przywiozłeś ze sobą wuja Teo. Miło mi cię widzieć, sir. - Podeszła do niego, podając mu łaskawie rękę, jak gdyby była panią na Bowden.

- Urocza jak zawsze - rzekł. - Nie towarzyszysz Annie na pikniku? Uśmiechnęła się filuternie.

- Czulałabym się tam nie na miejscu, wuju - odparła. - Anna przebywa w miłszym ode mnie towarzystwie. Na zaproszenie pułkownika Lomaksa piknikuje na terenie jego posiadłości. Powiedziałabym, że on jest nią oczarowany, choć Annie, rzecz jasna, nic nie można zarzucić.

- Jest u Lomaksa? - zapytał Luke, wymieniając z wujem spojrzenie. Wszystkie lęki wróciły doń ze zdwojoną siłą. O Boże, nie powinien był jej opuszczać. Nie wolno mu było

zakładać, że nic jej w Bowden Abbey nie zagraża. - Cotes, każ natychmiast osiodłać mi konia. Teo?

- Drugiego dla mnie, Cotes, jeśliś uprzejmy - rzekł lord Quinn. - Zaprawdę, coś mi się tu nie podoba.

- Przecież to tylko piknik - powiedziała Henrietta z niewinną minką.

W tym czasie ktoś inny wbiegł do holu i wydając niezrozumiałe dźwięki, przypadł do Luke'a.

- Emilia? - Poglądził ją po włosach, gdy dziewczynka oplótła go ramionami. Odchyliła głowę i spojrzała na niego z takim wyrazem bólu, że aż się zafrasował.

- Coś się stało? - zapytał.

Przytaknęła gwałtownie, a zza jej pleców odezwała się Henrietta:

- Anna nie chciała zabrać jej ze sobą na piknik. Biedna dziewczyna nie wiedziała dlaczego. Przyszła, żebyś ją pocieszył, Luke.

Luke utkwiał wzrok w przerażonej twarzy Emilii.

- Jadę po Annę - rzekł. - Jest z Joy na pikniku w Wycherly. Porozmawiamy jak wrócę.

- Emilia potrząsnęła energicznie głową i jeszcze mocniej zacisnęła oplatające go ramiona.

- Co jest? - zapytał wzburzony. - Czyżby Anny nie było w Wycherly? Ponownie przeczący ruch głową.

- Gdzie zatem jest?

Emilia cofnęła się o krok, by móc poruszać ramionami. Wskazała w jednym kierunku, potem w drugim i wreszcie zaczęła machać obiema rękami, z dala od siebie, co sugerowałoby odległość.

- Tracimy na próżno czas - stwierdził Luke z rozdrażnieniem. - Nie rozumiem cię, moja droga. Henrietta powiedziała mi, że obie są na pikniku u pułkownika Lomaksa.

Emilia z zapalem, nieustannie potrząsała głową i z miną oskarżyciela wskazała palcem Henriette. Nadała ramionom kształt kołyski i znów wskazała na Henriette; spojrzawszy błagalnie na Luke'a, uczyniła w stronę Henrietty ten sam gest.

Luke zachmurzył się.

- Henrietta miała dziecko na ręku? - zapytał. - Ale przecież Anna udała się tam tylko z Joy.

Emilia zaprzeczyła.

- Posłuchaj mnie, Luke - odezwał się lord Quinn. - Według mnie Emilia usiłuje ci powiedzieć, że Henrietta zabrała gdzieś dziecko.

Dziewczynka, wpatrując się skwapliwie w jego usta, zrozumiała o czym mówi. Tym

razem kiwnęła potakująco głową.

- Ja miałabym zabrać dziecko? - Henrietta roześmiała się. - To po prostu śmiechu warte. Wiesz przecież, Luke, że nie zajmuję się twoją córką. Zbyt żywo mam w pamięci stratę własnego dziecka. Powinno się ukarać Emilię za to, że pozwala sobie na takie chorobliwe domysły.

W Luke'u znów zaczęła narastać panika, pod której wpływem wrócił do domu dzień wcześniej i poprosił wuja, by mu towarzyszył.

- Emilko - zaczął, kładąc dłonie na jej ramionach i wymawiając wyraźnie każde słowo.

- Co ma z tym wspólnego pułkownik Lomax? Czy Henrietta zaniósła mu dziecko?

Dziewczynka skinęła głową i Luke poczuł, że serce podchodzi mu do gardła.

- Cóż za niedorzeczność! - powiedziała Henrietta.

- Do Wycherly? - zapytał Luke dziewczynkę. Zaprzeczyła i wskazała przed siebie.

- Gdzieś blisko domu? Na terenie posiadłości? Skinęła głową.

- Anny tam nie było? Gestem głowy odparła, że nie.

- Zatem Lomax ma Joy - stwierdził Luke, starając się zapanować nad sobą, zachować jasność umysłu i możliwie najszybciej poznać prawdę. - Czy Anna jest teraz razem z nim?

Potwierdzenie.

- Skąd ona się dowiedziała? Czy od Henrietty? Ponownie skinęła głową i wskazała Henriettę palcem.

- To wariatka - powiedziała zgryźliwie ta ostatnia. - Chyba nie wierzysz, Luke, tej niespełna rozumu dziewczynie?

- Na Boga, madame - wtrącił lord Quinn - jeśli nie poskromi pani swojego języka, to zapomnę, że jestem dżentelmenem.

- Więc Anna poszła do nich - mówił Luke. - Widziałaś to? W oczach Emilii zabłyśły łzy, zamrugała powiekami.

- I odjechała z nim? Zmusił ją do tego? Potwierdziła.

O Boże, dlaczego nikt - choćby on sam - nie nauczył Emilii jakiegoś sposobu porozumiewania się? Dlaczego nikt nie nauczył jej czytać i pisać?

- Emilio! - Całkiem nieświadomie ścisnął ją mocno za ramiona. Boże, żeby mogła odpowiedzieć na jego następne pytanie! - Dokąd on je wywiózł? Wiesz?

Potwierdziła.

- Do Wycherly? Nie.

- O Boże! Do Londynu? Nie. .

Gdzież on mógł je wywieźć? W jakieś miejsce nikomu niedostępne. Tam, gdzie nie

zdoła ich odnaleźć oszalały z rozpaczy mąż. Jak dowiedział się od Emilii - nie do Londynu. Dziewczynka wiedziała dokąd.

- Do Francji? - zapytał. Nie.

- Na Boga - zaczął lord Quinn - czyś ty mi czasem nie mówił, mój chłopcze, że po śmierci Royce'a ten łajdak pojechał do Ameryki?

Ameryka! Oczywiście!

- Do Ameryki?

Skinęła głową i Łzy polały się jej z oczu, a twarz wykrzywił ból. Luke przytulił ją i uściskał serdecznie. Nad jej głową spojrział w oczy Henriecie.

- A ty, madame - powiedział zdławionym głosem - zostaniesz tu, póki nie znajdę czasu na rozmowę z tobą. Podziękuj Bogu, że trochę się to odwlecze. Być może, jeśli uda mi się je odnaleźć i szczęśliwie sprowadzić do domu, zdołam ochłonąć i poskromić nieco swój gniew.

- Przebóg, co za bestia z tej niewiasty - rzekł lord Quinn. - Zamknij ją w jej pokoju i postaw na straży Cotesa. Ruszamy w pościg. Ja z tobą.

- Nie - odparł Luke. - Wolałbym, żebyś tu został, Teo, żebyś chronił Emilię przed tą wiedźmą. Diabli wiedzą, dokąd on je zawiózł. Może do Southampton, jak myślisz?

- Bardzo możliwe, mój chłopcze.

- Cotes, każ zaprząć nowe konie do powozu - powiedział Luke. - Jak najszybciej.

Emilia znowu na niego spojrzała, tym razem z nadzieją. Oczy miała zaczerwienione, włosy w nieładzie.

- Będę ich ścigał, kochanie - rzekł. - Nie bój się, wrócą bezpiecznie do domu. A twego bezpieczeństwa będzie strzegł lord Quinn. Czekać na nas. - Uniósł jej dłonie do pocałunku i przywołał uśmiech na twarz.

Lord Quinn wziął dziewczynkę za rękę, uśmiechnął się do niej z ojcowską czułością i zaprowadził ku schodom.

- Umiesz czytać z ust, prawda? - zapytał. - Pójdziemy teraz na górę i napijemy się herbaty.

Henrietta uniosła głowę i popatrzyła na Luke'a.

- Zrobiłam to, bo cię kocham - rzekła. - Zawsze cię kochałam, chociaż po naszej ostatniej rozmowie, kiedy tak boleśnie zraniłeś moje uczucia, mogłam cię znienawidzić. Zrobiłam to, bo oni są kochankami, a ona nie jest ciebie godna. Skąd masz pewność, że to twoje dziecko?

- Madame - zaczął tonem tak lodowatym, że w jej oczach pojawił się lęk. - Bądź potrójnie wdzięczna losowi. Po pierwsze: nie mam czasu. Niezadługo konie będą gotowe. Po

drugie, że nie jesteś mężczyzną; poczułabyś na karku koński bicz. Po trzecie: nie jestem zwolennikiem chłosty niewiast. Gdybym był, przekonałabyś się na własnej skórze, że ciężką mam rękę.

- Nigdy mnie nie kochałeś - powiedziała. - Zawiodłam się na tobie. Myślałam, że jesteś miłością mego życia, a ja twego.

- Jeśli chcesz zobaczyć miłość swego życia - rzekł, patrząc na nią z pogardą - to spójrz w lustro, madame. Uwiodłaś mego brata dla jego tytułu i fortuny i wykopałaś między nami przepaść, której nie udało się zasypać. Kłamałaś i twoja to wina, że w ciągu tych dziesięciu lat coś we mnie umarło. To ty doprowadziłaś do śmierci mego brata. A przez ostatni rok, pod płaszczykiem przyjaźni, robiłaś wszystko, by unieszczęśliwić Annę i za wszelką cenę starałaś się mnie uwieść. A sprawiłaś, że życiu mojej żony i córki zagraża niebezpieczeństwo. Nic ci nie przyjdzie z tłumaczenia, że nie zdawałaś sobie z tego sprawy. Zdawałaś aż nadto dobrze.

Chciała coś powiedzieć, otworzyła już usta, ale zrezygnowała. Cotes kaszlnął dyskretnie u drzwi.

- Powóz gotowy do odjazdu, wasza wysokość - oznajmił. Luke jeszcze przez chwilę nie odrywał wzroku od Henrietty.

- Zaprowadź księżnę do jej apartamentów, Cotes - rzekł. - I dopilnuj, żeby przez cały czas była pod strażą. Pod żadnym warunkiem nie wolno jej stamtąd wyjść.

Nie czekał na wykonanie polecenia. Wyszedł szybko i wszedł do powozu.

Obiecał Emilii, że Anna i Joy, zdrowe i całe, wrócą do domu. Kiedy jednak jechał sam, w zimnym powozie, nie wiedząc w dodatku, w jakim ma podążać kierunku, nie był pewny, czy uda mu się dotrzymać obietnicy.

Anno, myślał, oparłszy głowę o poduszki i zamknąwszy oczy. Mój Boże, Anno, Joy!

Byli już blisko nabrzeża i przed nocą dotrą na miejsce. Okręt udający się do Ameryki stał w porcie. Lecz odpłynie dopiero jutro i dopiero jutro, gdy zrobi się widno, pasażerowie będą mogli wejść na pokład. Zmuszeni byli zatem przenocować w hotelu portowym - jedna sypialnia i salon.

Anna musi być grzeczną dziewczynką, ostrzegł ją Lovatt przed drzwiami hotelu. Każdy jej podejrzany ruch, mający na celu zwrócenie czyjejś uwagi, może spowodować, że dziecku stanie się krzywda - wziął jej córkę na rękę, gdy tylko wysiedli z powozu. Więc lepiej niech nie próbuje. Opłacił sownie właściciela hotelu, by nie zwracał uwagi na tę niewiastę. Służący zaś spędzi cały wieczór i noc przed drzwiami ich pokoi.

- Będiesz szczęśliwa, gdy wyjdziemy w morze - powiedział Lovatt. - Czeka nas piękna przygoda, moja Anno. Lecz nie ma się czemu dziwić, że z niejakim żalem myślisz o

przeszłości.

Tak więc późnym wieczorem tegoż dnia Anna przemierzała tam i z powrotem salon hotelowy, ignorując rady, by usiadła i odpoczęła bądź udała się od razu do sypialni.

- Wyruszamy o świcie, droga Anno - powiedział.

Nóż wciąż miała przy sobie. Przez cały wieczór, rozpiąwszy dyskretnie guziki sukni, sięgała do kieszeni u pasa, sprawdzając, czy rękojeść noża znajduje się w odpowiednim miejscu. Tak, będzie mogła szybko go wyciągnąć.

Ale gdy go wyciągnie, czy będzie w stanie zabić człowieka? Wbić nóż w serce z taką siłą, by ostrze nie zaplątało się w materiał kamizelki i koszuli? Myśl o tym przerażała ją, lecz zrobi wszystko, by ocalić dziecko, by mogła znowu zobaczyć Luke'a.

Tak, potrafi się na to zdobyć. I zdobędzie się, gdy tylko nadarzy się okazja. Problem tkwił w tym, że nie pozwolił jej położyć Joy w sypialni, choć dziewczynka spała już od godziny i prześni prawdopodobnie całą noc. Anna nie może zaryzykować wyjęcia noża w pokoju, w którym znajduje się jej córka. Obawiała się, że jeśli jej atak się nie powiedzie, Lovatt może próbować zabić dziecko. Na myśl o tym wstrząsał nią dreszcz.

Tak więc zwlekąca z realizacją swego zamysłu.

Kiedy więc nadejdzie odpowiednia chwila? Czy w ogóle nadejdzie? Nikt nie wie, gdzie ona jest. Zatem może liczyć tylko na siebie. I na swój nóż.

Och, dobry Boże. Och, Luke!

Nie chciała poddawać się panice ani użalać nad sobą. Więc chodziła po pokoju tam i z powrotem.

I nagle jakiś dźwięk zatrzymał ją w pół kroku i wyostrzył słuch. Nie był głośny, jakby ktoś się z kimś szamotał.

Nie myliła się. Ów odgłos zaalarmował Lovatta. Unosił się właśnie z fotela i w tym momencie ktoś jęknął za drzwiami i zaraz potem drzwi otworzyły się gwałtownie.

- Z przykrością informuję pana, panie Blakely - rzekł Lucas Kendrick, księżę Harndon, czyniąc zadość etykietce - że pański służący uległ wypadkowi. Postawię sprawę jasno: odnoszę wrażenie, że nie żyje.

Ostrze jego szpady było zakrwawione aż po rękojeść, krew kapłała na lichy hotelowy dywan.

Anna uniosła do ust drżące ręce.

Dobry Boże, dzięki Ci, dobry Boże, oby to nie był sen. Chyba że snem się okaże cała ta koszmarna historia.

Przez całą drogę niepokój targał nerwy Luke'a. Był w kilku portach, między innymi

londyńskim, i szukał okrętu wypływającego do Ameryki. Co będzie, jeśli Blakely udał się do portu położonego dalej? Co się stanie, jeśli los mu sprzyjał i okręt właśnie wyszedł w morze? A jeśli pojechał do Southampton, to jak on, Luke, ich tam odnajdzie? Blakely, co utrwaliło mu się w pamięci, zwykł był jeździć otwartym powozem. Teraz jednak wątpił, czy go rozpozna.

Gdy dotarł do Southampton, zapadł już wieczór. I jak się okazało, wytropienie przeciwnika nie było trudne. W porcie stał okręt, który nazajutrz wyruszał w rejs do Ameryki. Kapitan potwierdził rezerwację miejsc dla Lowella Blakely, jego córki i wnuczki. Jutro o świcie mają wejść na pokład. Biorąc ów fakt pod uwagę, rzekł kapitan okrętu, zatrzymali się na pewno w hotelu niedaleko nabrzeża, o rzut kamieniem, można rzec.

Nie było ich ani w Białym Koniu, ani w Delfinie. Właściciele obydwu, choć patrzyli łączywie na złote monety dzwoniące w rękę Luke'a, nie mogli mu udzielić żadnej informacji. Co innego właściciel George'a. Obliznął się na widok złota i chytrym wzrokiem spojrzął na schody. Zaprzeczył jednak szybko - nic mu nie wiadomo o podróżnikach. Luke dodał jeszcze dwie monety.

- Tak, zajmują dwa pokoje, dżentelmen i lady z dzieckiem, numer dwunasty, czcigodny panie. Ale nie wiem, na Boga, czy o nich panu chodzi.

- Kto jeszcze jest z nimi? - zapytał Luke, trzymając monety między palcami.

- Służący - odparł właściciel. - Stoi na straży przed drzwiami, czcigodny panie. Ma pistolet. Lecz jeśli mój hotel dozna uszczerbku, pokryje pan wszystkie koszty, rozumiemy się?

Luke spojrzął chłodno na właściciela i upuścił na jego wyciągniętą dłoń jeszcze parę monet. Hotelarz znowu obliznął wargi i znowu uniósł w górę swe chytne oczka.

- Tak jak powiedziałem - rzekł - dwunastka, czcigodny panie. Służący, który ze znudzoną miną siedział przed drzwiami numer dwanaście, był tym samym mężczyzną, który u bramy do Bowden Abbey nie wydał Luke'owi listu do Anny. Teraz na widok księcia wyraz znudzenia zniknął z jego twarzy, zerwał się na równe nogi i przyjął pozycję obronną - podniósł w górę zaciśnięte pięści.

Luke wolałby pozbawić go tylko przytomności i gdy tamten zaatakował, zrobił unik i dał mu w pysk. Służący wyciągnął jednak pistolet. Popełnił błąd, który kosztował go życie. Zanim zdołał nacisnąć spust, Luke dźgnął go szpadą w sam środek brzucha. Mężczyzna jęknął i nieżywy upadł płasko na podłogę.

Luke otworzył na oścież drzwi i wpadł do środka. Jeden rzut oka wystarczył - w pokoju były tylko trzy osoby. Anna stała przy ścianie, Joy leżała zawinięta w kocyk na

kanapie. Pośrodku siedział na fotelu Blakely. I to na nim Luke skupił całą swoją uwagę.

- Z przykrością informuję pana, panie Blakely, że pański służący uległ wypadkowi. Postawię sprawę jasno: odnoszę wrażenie, że nie żyje.

Jego żonę i córkę dzieliła pewna odległość. Nie sposób podjąć walki, myślał Luke, mając je po obu stronach.

Lowell Blakely wstał i wyciągnął szpadę z pochwy.

- Harndon - zaczął, spoglądając z odrazą na szpadę Luke'a. - Zakłóciłeś pan nasz spokój.

- Nie waż się pan wymawiać imienia jej wysokości - powiedział Luke. - Proszę stanąć do walki.

- Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, Harndon - rzekł Blakely z uśmiechem - jaką ladacznicę wzięłeś sobie za żonę. Postąpiłby pan słusznie, wasza wysokość, nie stawiając mi oporu, gdy chcę ją usunąć z pańskiego życia.

- Chyba pan zauważył - powiedział Luke ściszym groźnie tonem - że mówię do pana „Blakely”, nie Blaydon ani Lomax. Znam fakty. Strzeż się, Blakely!

- Dziecko! - jęknęła Anna. - O Boże, Joy!

Luke orientował się doskonale, jakie niebezpieczeństwo zagraża żonie i córce, znajdującym się po obydwu stronach walczących.

Blakely nie był godnym jego przeciwnikiem. Luke stwierdził to już na początku walki, gdy po raz pierwszy skrzyżowali szpady. Walczył jednak zaciekle, stosując metodę obronną, starając się działać z zaskoczenia i szybko kończyć turę. Lecz był to desperat, a desperaci zawsze są groźni i nieprzewidywalni. Luke walczył racjonalnie, inteligentnie, parował ciosy i cierpliwie dopingował przeciwnika do finałowego starcia, w którego wyniku jego szpada ugodzi śmiertelnie porywacza.

Luke widział kątem oka, jak Anna przemyka wzdłuż ściany, by dostać się do córeczki. Nie ruszaj się, chciał krzyknąć. Zdołał jednak przedtem zauważyć, że jego żona jest na szczęście poza zasięgiem obu szpad.

I tu Luke popełnił błąd, zakładając, że jego przeciwnik nie dostrzega Anny, skupiając się wyłącznie na walce. Raptem Blakely obrócił się dookoła, z brzękiem opuścił szpadę na dywan, chwycił Annę i ustawił ją niczym tarczę między sobą a Lukiem. Wyciągnął z kieszeni pistolet. Chwilę potem przystawił lufę do jej skroni.

Dysząc ciężko, uśmiechał się.

- Byłoby wskazane, Harndon, gdybyś położył szpadę na podłodze - rzekł. - Widok rozpryskującego się po ścianach mózgu małżonki nie sprawiłby ci przyjemności. Czekam.

Po raz pierwszy wzrok Luke'a spoczął na Annie. Była śmiertelnie blada. Nie patrzyła na niego.

- Przepraszam - powiedziała. - Przepraszam. - I zamknęła oczy. Luke pochylił się i położył szpadę na podłodze. Wyprostował się.

I co dalej? Co ma teraz począć, do stu diabłów?! Przeklinał siebie w duchu, że nie przewidział rzeczy tak oczywistej.

- Luke - zaczęła - wracaj do domu. Wtedy nie zabije ani ciebie, ani mnie. Nie kocham cię, jak wiesz. Nigdy cię nie kochałam. I nie chcę już dłużej być z tobą. Wybieram się do Ameryki wraz z Lowellem. Wy budował tam dla mnie dom. I choć przez cały dzień byłam temu przeciwna, to teraz, kiedy cię zobaczyłam, naprawdę chcę się tam udać.

Patrzył na Annę, a jej słowa chłostały go boleśnie, mimo iż oczy mówiły coś wręcz przeciwnego. Spod przymkniętych powiek dostrzegł jej rękę sięgającą między fałdy sukni. Wsunęła dłoń do kieszeni u pasa. Cóż mogło w niej być? Cóż mogła tam mieć, do diaska? - myślał zaniepokojony.

- Ladacznica - powiedział, nadając głosowi pogardliwe brzmienie, - Słusznie rzekłeś, Blakely. Rzeczywiście ladacznica. Oto, czego się do wiedziałem, przyjechawszy tutaj za tobą, Anno, by odzyskać ciebie, moją własność. Ameryka, powiadasz? A jedź sobie! Dobrze, że pozbędę się ciebie, madame. - Nozdrza mu drgały, kolana uginały się pod nim. Widział już, co żona wyciąga spod fałd sukni.

Anna zaś obróciła powoli głowę, tak że lufa pistoletu Blakely'ego dotykała środka jej czoła.

- Zabij jego zamiast mnie, kochany ojciec - powiedziała. - Mój najdroższy tato.

Lowell spojrział na nią ze zdziwieniem i broń automatycznie zmieniła kierunek - lufa nie dotykała już jej głowy, ale nie była też wycelowana w nikogo z obecnych.

Luke patrzył, jak Anna wyciąga nóż i godzi nim z całych sił w udo Lowella.

Zawył z bólu, Anna odwróciła się błyskawicznie, a Luke podniósł z podłogi szpadę i wbił jej ostrze w samo serce Lowella Blakely'ego.

Ten spojrział na Luke'a z gasnącym uśmiechem na ustach. Luke wyciągnął szpadę z ciała, zanim porywacz upadł na twarz i wyzionął ducha.

Anna trzymała na ręku dziecko, które wciąż słodko spało. Podeszła do męża który, odłożywszy szpadę, wyciągnął ku niej ramiona. Przytulił je mocno do piersi i przez chwilę trwał tak z zamkniętymi oczami. Milczeli.

- Zmiłuj się, Boże Przenajświętszy - usłyszeli od progu głos hotelarza. - Dwa trupy i tyle krwi, że zaiste tuzin wiader nie wystarczy. A kto, czcigodny panie, będzie odpowiadał za

zabójstwo tych ludzi?

- Książę Harndon - oświadczył Luke wyniośle. - Poślij kogoś, nie zwlekając, do najbliższego urzędu, dobrego człowieka. Bezczyne gapienie się niczego nie załatwi.

Tymczasem w korytarzu zebrali się ciekawscy; służba i goście hotelowi. Przyglądali się fascynującemu widokowi, jakim był zakrwawiony trup leżący na podłodze. Kilku spragnionych dalszej rozrywki zajrzało do pokoju - i tu też trup, tyle że zabity był dżentelmenem, jak szeptano sobie z ucha do ucha.

- Anno - odezwał się Luke, wprowadzając ją do sypialni. - Nie ma potrzeby, żebyś dłużej na to patrzyła. Poczekaj tu z Joy.

- Dobrze - odparła, gdy oboje byli już w środku. Uniosła ku niemu twarz białą jak płótno. - Dzięki, że jesteś. Dziękuję ci, że zabiłeś go dla mnie. Nie przybyłam tu z własnej woli, przysięgam.

- Wiem. - Pocałował ją szybko w policzek. - Wiem, ukochana. Do końca moich dni będę się tobą opiekował. No i żył w ciągłym lęku przed nożem w twojej dłoni.

Roześmiała się niepewnie i zaraz przygryzła dolną wargę.

- Zostań tu na razie - powiedział; spojrzał na nieświadomą niczego córkę i pocałował ją w czoło. - Niedługo wrócę. Dziś wieczór, bez względu na porę, wyjedziemy stąd. Do domu.

- Tak. - Oczy miała pełne łez. - Do domu, Luke.

Wrócił około północy. Anna przez cały czas leżała na łóżku, patrząc przed siebie nie widzącym wzrokiem. Joy spała obok niej. Anna wsłuchiwała się w jej równomierny oddech i uspokajała się powoli. Starła się nie słuchać głosów dobiegających zza drzwi, nie widzieć linii światła nad progiem.

Zatopiła nóż w ludzkim ciele i słyszała jęki swej ofiary. Chlubiła się własną mocą, upajała triumfem. Gdyby musiała wyciągnąć nóż i ponownie wbić go, tym razem w serce, uczucie triumfu byłoby jeszcze silniejsze. Zadrzała.

W końcu drzwi się otworzyły i Luke wszedł do pokoju. Obserwowała go, gdy zbliżał się do łóżka. Światło padało nań od tyłu, nie mogła więc zobaczyć twarzy.

- Chcesz tu przenocować, Anno? - zapytał. - Jest już bardzo późno.

- Nie. - Usiadła. Na myśl, że mogłaby zostać w tym pokoju, a nawet starać się zasnąć, mimo iż Luke byłby z nią, zrobiło się jej niedobrze. - Chcę jechać do domu.

- Powóz czeka - powiedział, patrząc na córkę. - Jest dobrze otulona, nie zmarznie. To są twoje kufry?

Potrząsnęła głową.

- On wziął je dla mnie - odrzekła. - Nie chcę ich. Tylko torbę z ubrankami i pieluszkami Joy.

Pochylił się nad jednym z kufrow, otworzył wieko i po przeszukaniu rzeczy wyciągnął całkiem nową i ciepłą pelerynę. Zarzucił ją Annie, na ramiona.

- W domu możemy ją spalić, jeśli takie będzie twoje życzenie - rzekł.

Wciąż drżała, choć peleryna dawała przyjemne ciepło.

Właściciel hotelu cały czas był na nogach. Ukłonił się uniżenie, gdy przechodzili przez salę jadalną. Nieliczni goście, którzy popijali tam różne trunki i być może omawiali wydarzenia wieczoru, patrzyli na nich w milczeniu. Wreszcie cała trójka znalazła się w błogosławionej ciemności i we własnym przytulnym powozie.

Anna opadła z ulgą na fotel i patrzyła, jak Luke kładzie Joy na przeciwległym siedzeniu i opatula ją kocem, żeby nie spadła.

- Na szczęście - rzekła Anna - to niewinne dziecko przez cały czas czuło się bezpieczne, dzięki czemu przespało ten koszmarny wieczór.

Luke usiadł, ujął jej dłoń.

- Skąd wiedziałeś? - zapytała. - Skąd wiedziałeś, że on nas porwał? Skąd wiedziałeś, gdzie nas szukać? Od Henrietty? Powiedziała ci?

- Powiedziała mi Emilia. Ona wszystko widziała, Anno, i zdołała mi o wszystkim opowiedzieć. Nawet o tym, że ten typ zabiera cię do Ameryki. W Bowden jest Teo, by chronić Emilię przed Henriettą, nie martw się więc o siostrę. Jutro pozbywamy się Henrietty. Nigdy już jej nie zobaczysz.

Anna milczała. Cóż miałyby powiedzieć o kobiecie, którą oboje darzyli kiedyś uczuciem?

- Użyłeś jego prawdziwego nazwiska - rzekła w końcu. - Do tej pory go nie znałam.

- Właśnie w tej sprawie wyjechałem z domu - oznajmił. - Musiałem się dowiedzieć, kim naprawdę jest pułkownik Henry Lomax! Twój brat i siostra oraz lady Sterne pomogli mi rozwikłać tę zagadkę. Powiedziałaś do niego „ojcze”...

- Dziś poinformował mnie o tym - odparła. - I chyba sam w to uwierzył.

- Ale to nieprawda. - Uścisnął mocniej jej rękę. - Nie musisz się tym trapić, Anno. Odkąd twoja matka, jeszcze jako dziewczyna, rzuciła go, miał obsesję na jej punkcie - nawet gdy zakochała się w twoim ojcu i wyszła za niego za męża.

- Wiem - rzekła - wiem, że nie był moim ojcem. U mnie w pokoju wisi portret mojej babci, matki ojca.

- Rzeczywiście. Wszyscy uważają, że to ty przebrana na bal maskowy. Cieszę się, że tak jesteś do niej podobna. Dzięki temu nie możesz mieć cienia wątpliwości.

Zamknęła oczy. Zapra gnęła opręć głowę na jego ramieniu, ale nie. Jeszcze nie teraz.

- Luke - odezwała się nagle, z trudem dobierając słowa. - Znasz tylko połowę prawdy.

- Wiem, że jego obsesja z matki przeniosła się na córkę. Wiem, że wykupił wszystkie długi twego ojca i zyskał w ten sposób władzę nad tobą. Wiem, że co jakiś czas ponawiał żądania zwrotu i że ty spłacałaś te rachunki. I wiem, iż za bardzo kochasz swego brata, aby go nimi obarczać. Wiem też, że byłaś zbyt dumna, by przyjść z tym do mnie. Dlaczego mi nie zaufałaś? Czyżbyś nie zdawała sobie sprawy, że nigdy w życiu bym cię nie kontrolował?

- Znasz tylko połowę prawdy - powtórzyła czując na sercu ogromny ciężar. Jakiś zły duch podpowiadał jej, by na tym poprzestać. On nie musi wiedzieć więcej. Ale Anna chciała mu powiedzieć wszystko. Całą prawdę.

Pocałował jej dłoń.

- No to powiedz mi tę drugą połowę, kochanie.

- Gdy ją poznasz, to pewno nie usłyszysz już od ciebie słowa „kochanie” - rzekła. I opowiedziała mu o tym, co robiła, by pozbyć się części długów ojca, i o tym, że Blakely opłacił fałszywych świadków, aby przysięgli w razie potrzeby, że ona jest złodziejką i morderczynią.

- Anno - powiedział z nutą wyrzutu w głosie, gdy skończyła mówić. - Och, Anno, dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Jak mogłaś czuć się winna przestępstw, których musiałaś być świadkiem? I jak mogłaś przypuszczać, że będąc sam winny, oskarży cię przed sądem? Moja kochana, w jednej chwili rozwiałbym te twoje wątpliwości. A ty przez całe trzy lata przeżywałaś piekło! Gdybyś mi zaufała, już dawno położyłbym temu kres.

- Nie sądziłam, że będziesz w stanie mnie obronić - powiedziała. - Co gorsza, sądziłam, że w to uwierzysz i przepędzisz mnie.

- Anno. - Objął ją i obrócił ku sobie jej twarz. - Za jakiego łajdaka musiałaś mnie uważać! - Uniósł jej podbródek i pocałował ją mocno w usta.

Przytuliła się do niego - całowali się. Powoli wyzwalała się z odrętwienia. Zaczęło do niej docierać, że wszystko złe ma już za sobą, koszmar ostatnich trzech lat minął bezpowrotnie. Jest wolna i wraca do domu z mężem i córką. Już nigdy lęk nie będzie jej trawił.

Odchyliwszy głowę, spojrzał jej w oczy. W świetle księżycy widziała jego twarz bardzo wyraźnie.

- Uważał cię za swoją córkę, Anno - zaczął - a jednak cię zgwałcił. On, prawda? Raz czy wiele razy? Powiedz mi o tym, kochanie. Że byśmy mieli to już za sobą i zaczęli nowe życie.

Tak, jeszcze to. Jeszcze jedna bariera. Nie chciała o tym myśleć. Pragnęła wyrzucić to z pamięci.

W istocie rzeczy nie był to gwałt, choć w pewnym sensie można to tak określić. Było to ohydne i tak poniżające, że można to śmiało nazwać z gwałtem. Nie rozumiała tego, co się dzieje - ani wtedy, ani potem. Pojęła to dopiero teraz, kiedy dowiedziała się, że przypisał sobie rolę ojca.

Pod jakimś pretekstem zwabił ją do swego domu - nie było to trudne, gdyż nie śmiała się wówczas sprzeciwić wszelkim jego zachciankom. Zaprowadzili ją pod przymusem na górę, do sypialni, on i dwie służące, bo dobrowolnie nie chciała tam iść. Obie ciągnęły ją po schodach, prawie niosły, a on szedł za nimi, nie szczędząc jej czułych słówek. Potem przywiązali ją do łóżka za nadgarstki i kostki u nóg - leżała na wznak z rozłożonymi rękami i nogami, bezradna, pozbawiona godności, poniżona.

Służąca czy jakaś inna kobieta podwinęła jej suknię i halki aż do *pitni*. Anna zacisnęła powieki i szlochała ze wstydu i upokorzenia.

Wtedy tamta wzięła coś do ręki - Anna nie widziała tego, ale było to twarde i zimne - i wcisnęła jej do środka.

Paniczne przerażenie, krzyk, ostry ból - i jego pełen czułości, łagodny głos. Anna myślała, że umiera. Że nadziewają ją na pal. Ale kobieta wyciągnęła to coś i Anna poczuła między udami gorącą ciecz.

- Krew - powiedziała kobieta z satysfakcją. - Koniec roboty.

Jak jej później oznajmił, nie była już dziewicą. Żaden mężczyzna nie zechce jej za żonę. Nie ma prawa nawet myśleć o małżeństwie. Anna płakała. Bolesny szloch rozrywał jej piersi i tamował oddech.

- Ciii - mówił Luke, tuląc do siebie głowę Anny. Zdjął jej czepek, odpiął szpilki i gładził ją tklawie po włosach. - Wybacz mi, moja najdroższa. Wybacz mi.

Anna uświadomiła sobie nagle, że on też płacze. I dopiero po chwili dotarło do niej znacznie jego słów.

- Wybaczysz mi? - zapytała. - Co mam ci wybaczyć? Odchrząknął.

- Widzę siebie tamtego ranka, po naszej nocy poślubnej. Siedzę za biurkiem i mówię ci, że winna mi jesteś wyjaśnienie. Zadaję ci pytania. Chcę wiedzieć, ile razy z iloma kochankami. Domagam się odpowiedzi, czy go kochałaś. Wybacz mi, najdroższa.

Spojrzała mu w twarz.

- Dobrze, skoro poprawi ci to samopoczucie. Jakaż ja byłam głupia, że od razu ci wszystkiego nie powiedziałam. Dopiero teraz zdaję sobie z tego sprawę. Bałam się, Luke. Bałam się, że cię stracę.

- Bałaś się? - zapytał. - Dlaczego? Przecież znaliśmy się zaledwie tydzień. Nawet i to nie. Kiedy cofam się myślą w przeszłość, zawsze mnie to zdumiewa.

- Zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia - szczerze wyznała. - W życiu nie widziałam tak wspaniałego mężczyzny. Puder, wachlarz - mogło to wyglądać trochę niemęsko, tymczasem efekt był porażający. Byłam oczarowana. I od tego momentu zagubiłam się. Niemądra dziewczyna uległa pokusie, kiedy poprosiłeś ją o rękę. Zrobiłabym wszystko, podjęłabym każde ryzyko, byle cię nie stracić. Jakaż byłam głupia!

Westchnął ciężko.

- A ja tak rozsądnie przemawiałem do ciebie o obowiązku i rozkoszy w małżeństwie. Anno, Anno, to ja byłem głupi!

- Nie. - Ujęła w dłonie jego twarz i spojrzała nań z bezgraniczną miłością. - Byłeś tylko bardzo nieszczęśliwy i bardzo skrzywdzony przez los. Ukryłeś się za fasadą chłodu, pogardliwej obojętności, zrobiłeś z siebie człowieka bez serca. Wierzę, że niektóre rany już się w tobie zabiły, prawda?

Dotknął ustami jej ust.

- Wszystkie. Wszystkie, Anno. Przez dziesięć lat byłem martwy, moja ukochana, a ty przywróciłaś mnie do życia.

Uśmiechnęła się, oparła głowę o jego ramię. Poczowała, że jest bardzo zmęczona.

Gdy się obudził, było jeszcze ciemno. Miał wrażenie, że nie spał długo. Powóz wciąż jechał równomiernym rytmem. Całe szczęście, że noc była jasna. Stangret zapewnił go, że szybko dojadą na miejsce. I ani on, ani stangret nie obawiali się rozbójników.

Joy znowu zasnęła. Luke pomyślał, że obudziło go jej marudzenie, ale niebawem uspokoiła się i zapadła w sen. Anna, wsparta o jego ramię, nie spała.

Zabił w swoim życiu już czworo ludzi - dwóch tej właśnie nocy. Niełatwo żyć ze świadomością, że pozbawiło się kogoś życia, mimo iż w każdym wypadku miało to głębokie uzasadnienie i w każdym wypadku nie można było tego uniknąć. Lecz jeśli idzie o zabójstwo Lowella Blakely'ego, żałował tylko jednego: że nie może zabić go po raz drugi.

Jeszcze jedna rzecz napawała go zadowoleniem: że Blakely nie był ojcem Anny, na co ona ma niezbity dowód. Długo, może nawet do końca życia, te koszmarne wspomnienia będą jej towarzyszyć. Ale przynajmniej jego żona ma tę pewność, że człowiek, który tak ją skrzywdził i do którego zabójstwa przyłożyła rękę, nie był jej ojcem.

Sporo godzin dzieliło ich jeszcze od Bowden. Powinni dotrzeć tam dopiero za dnia, a nic jeszcze nie zapowiadało nadejścia świtu. Luke chciałby już być nareszcie w domu.

Dom. Poczul nagły przypływ tęsknoty i niewyobrażalnej wręcz miłości do swego gniazda. Bowden Abbey to jego miejsce na świecie. Tam zostaną poczęte następne dzieci, tam się urodzą i wychowają. Będzie wiódł życie w otoczeniu rodziny, darząc ją miłością i w zamian od niej miłość otrzymując. Wraz z Anną aż do późnego wieku, jeśli taka będzie wola Boża.

Bezwiednie przytulił żonę jeszcze mocniej. - Hmmm - mruknęła i ukryła głowę w jego surducie, po czym odchyliła się i spojrzała na niego sennym wzrokiem. - Czy zbliżamy się już do domu? Oto patrzę na moją żonę - powiedział - i trzymam ją w ramionach. Wystarczy lekki obrót i widzę moją córkę. Właściwie jesteśmy już w domu, prawda, kochanie?

Uśmiechnęła się do niego.

- Tak - rzekła. - Tak, Luke. Raptem zachichotał.

- Pamiętasz, jak wracaliśmy z Ranelagh? Przypuszczam, że niezbyt przyjemnie ci się to kojarzy, bo byłaś przerażona i zapragnęłaś, bym cię pocieszył. Lecz dla mnie te wspomnienia są nad wyraz przyjemne. I podniecające.

Roześmiali się oboje - promień słońca w środku nocy - z lekką nutą frywolności.

- A jakie zachowamy wspomnienia po nocy dzisiejszej? - zapytała, wstając chwiejnie

w kołyszącym się powozie i siadając mu na kolanach.

- Zacząłem od tego. - Pocałował ją w usta, a ręka, rozpinając stanik, sięgnęła piersi, pieściła gładkie, ciepłe ciało. - Anno, jaką mleko matki ma rozkoszną woń...

- Wracają wspomnienia - szepnęła. - Jak za mgłą.

- A potem było to. - Uniósł jej suknię, dotknął ud, jego palce pieściły ją i podniecały. - Choć mgliście to sobie przypominam, ukochana, wydaje mi się jednak, że oboje byliśmy wtedy zachłanni i z zapałem zmierzaliśmy do celu.

- Ja i teraz jestem zachłanna - powiedziała urywanym głosem.

- Ja też, kochanie. - Uniósł ją usiadła na nim okrakiem tak jak wówczas, podwijając spódnicę i rozpinając klapę jego pludrów. - Zmierzamy do uczyty, Anno. Nasyćmy się sobą.

Ni to westchnęła, ni to jęknęła, gdy poczuła w sobie jego twardość, a on przywarł ustami do jej piersi.

- Luke, Luke, jesteś wspaniały! Podniósł głowę, uśmiechnął się.

- I męski, jak sądzę. Zgadzasz się ze mną? Powiedz, że jestem rów nie wspaniały, jak męski. No, Anno, bo przestanę wierzyć w swoje możliwości.

Roześmiała się cicho, całując go we włosy.

- O tak - rzekła. - Muszę przyznać, że jesteś bardzo męski, Luke. Do tego stopnia, że nie mogę pojąć, jak się we mnie mieścisz.

Przepęniała ich radość i cudowne uczucie zespolenia, którym upajali się przez kilka dobrych minut. Życiodajna namiętność, a na końcu - ekstaza. Lecz nie tylko - bo także szczęście, oddanie i miłość. I obietnica, że to radosne święto będzie trwało zawsze.

Nie zmorzył ich sen. Siedzieli objęci, przytuleni do siebie, przyglądając się z czułością śpiącej na przeciwległym siedzeniu dziewczynce, która nie wiedziała, jaka groźba zawisła przed paroma godzinami nad jej życiem.

Wiozą ją teraz do domu, gdzie będzie bezpieczna, otoczona miłością, aż nadejdzie czas, gdy sama nią kogoś obdarzy i założy własną rodzinę. Jeżeli szczęście będzie im sprzyjać, dostanie od nich w prezencie siostry i braci.

- Wiesz, Luke - zaczęła Anna - ja zawsze umiałam cieszyć się szczęściem, gdy mi je los darował. Nigdy nie traciłam nadziei i potrafiłam doceniać wszelkie drobne radości, które ubarwiają życie. Teraz jednak wiem, że od dawną od bardzo dawna tak pełnego szczęścia nie zznałam. Jestem szczęśliwa teraz, w tym momencie. Absolutnie szczęśliwa. Bez względu na to, co szykuje nam przyszłość, tej chwili nigdy nie zapomnę. Bo właśnie taka chwila, nieważne, co było i co będzie, ma największą w świecie wartość.

Dotknął policzkiem jej włosów. - Będziemy się cieszyli każdą spędzoną razem

godziną. Spójrz, Anno, już dzieje. Zbliża się świt. Jasność i radość - dodał. - Popatrzmy na wschód słońca. Razem.

Westchnęła przepelniona radością. Słowa nie były już potrzebne.